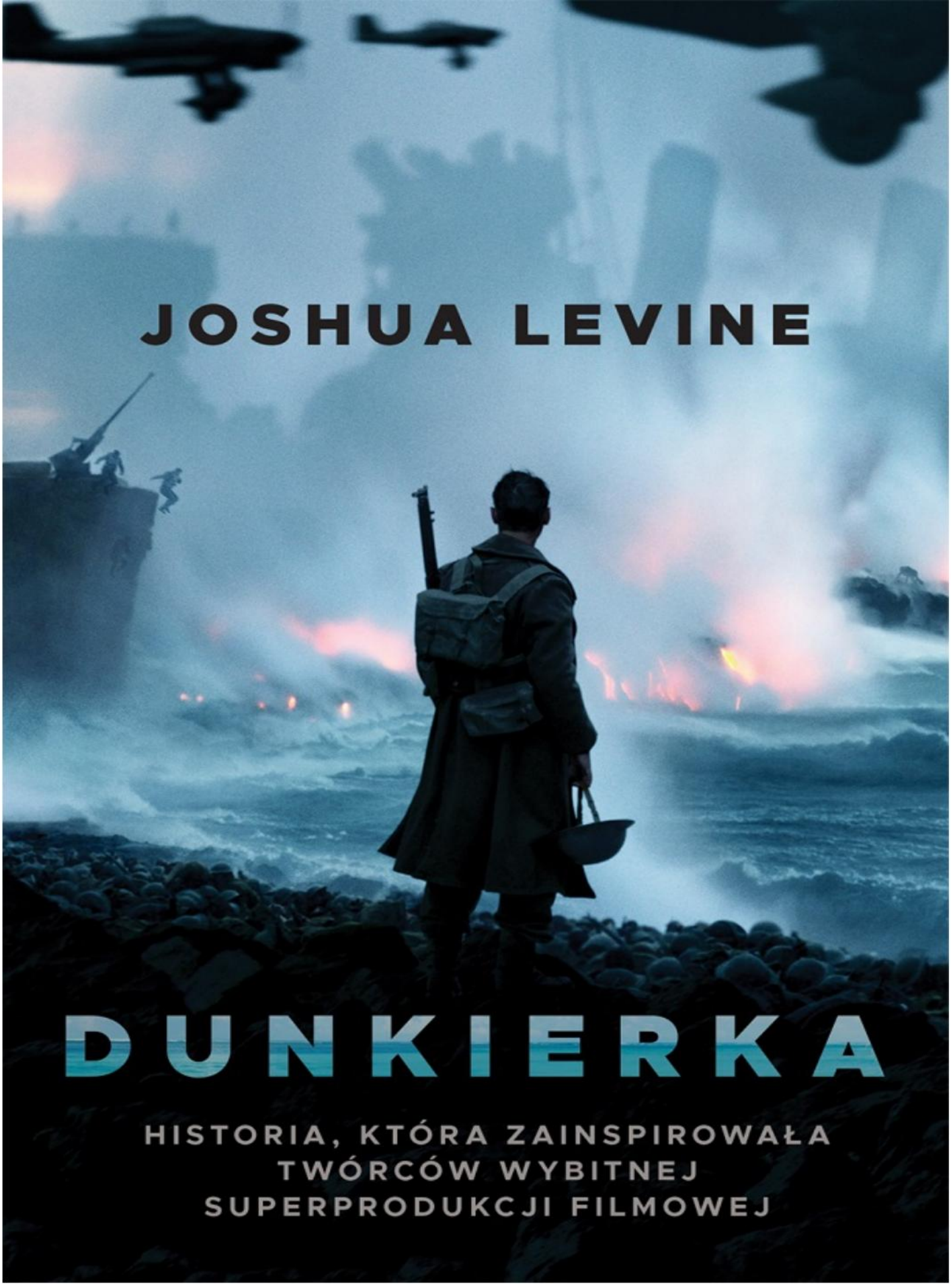
JOSHUA LEVINE
DUNKIERKA
HISTORIA, KTÓRA ZAINSPIROWAŁA
TWÓRCÓW WYBITNEJ
SUPERPRODUKCJI FILMOWEJ

Joshua Levine

DUNKIERKA

Tłumaczenie:
Leszek Stafiej

Lionelowi, który mnie zainspirował.
Peggy, którą mam nadzieję zainspirować.
Philipowi Brownowi, Ericowi Roderickowi,
Haroldowi „Vic” Vinerowi i Charliemu Searle’owi
z serdecznym podziękowaniem.

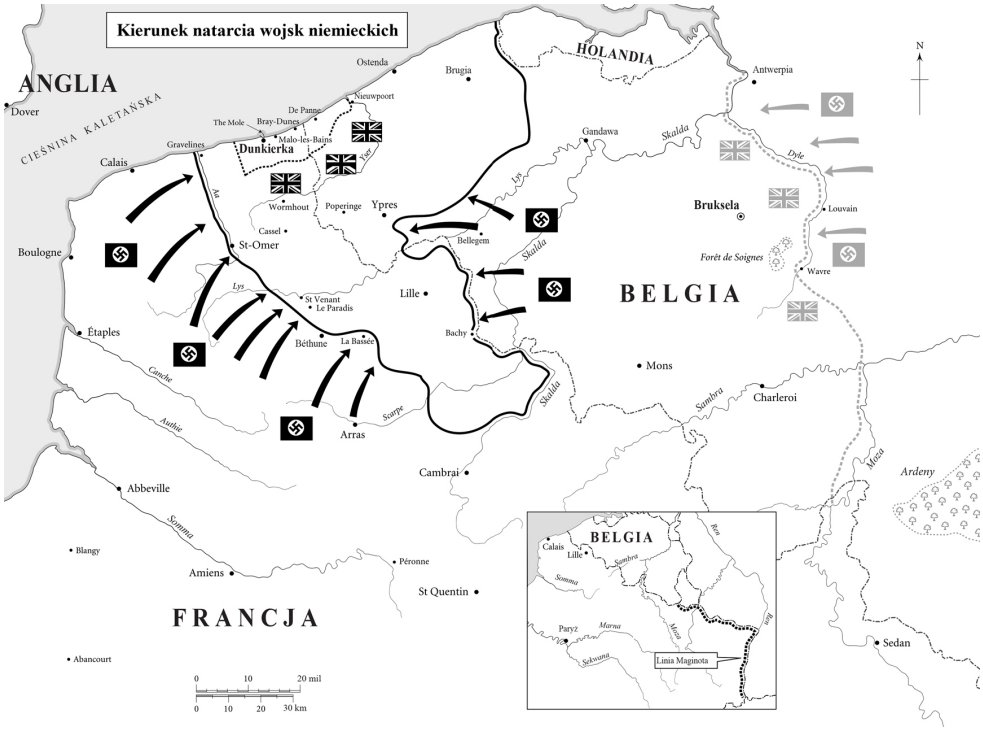
Kierunek natarcia wojsk niemieckich
ANGLIA
HOLANDIA
BELGIA
FRANCJA
CIEŚNINA KALETAŃSKA
Dover
Calais
Boulogne
Étaples
Abbeville
Blangy
Amiens
Abancourt
Ostenda
Brugia
Nieuwpoort
De Panne
The Mole
Bray-Dunes
Gravelines
Malo-les-Bains
Dunkierka
Wormhout
Poperinge
Ypres
Cassel
St-Omer
Lys
St Venant
Le Paradis
Béthune
La Bassee
Lille
Bachy
Arras
Scarpe
Canche
Authie
Somme
Péronne
St Quentin
Cambrai
Bellegem
Gandawa
Skalda
Ly
Yser
Aa
Antwerpia
Dyle
Bruksela
Louvain
Forêt de Soignes
Wavre
Mons
Charleroi
Sambra
Meuse
Ardeny
Sedan
N
0 10 20 mil
0 10 20 30 km
BELGIA
Calais
Lille
Sambra
Somma
Paryż
Marna
Meuse
Ren
Sekwana
Linia Maginota

WSTĘP

Pewnego dnia, gdy byłem w Archiwum Państwowym w Kijowie, natknąłem się na teczkę zawierającą raport komandora Michaela Ellwooda. Komandor Ellwood, który dowodził łącznością podczas ewakuacji wojsk spod Dunkierki, wspomniał mimochodem o urządzeniu nadawczo-odbiorczym Marconi TV5. Korzystano z niego bardzo krótko, ponieważ zepsuło się z powodu „zapiaszczenia generatora".

Wydało mi się to dziwne. W jaki sposób piasek mógł dostać się do wnętrza tak drogocennego sprzętu? Przecież Marconi TV5 to było pudło dość pokaźnych rozmiarów. Przed oczami stanęła mi scena z filmu *The Music Box* z roku 1932, w którym Laurel i Hardy (Flip i Flap) mają za zadanie dostarczyć pod wskazany adres pianino w wielkiej drewnianej skrzyni. Czy odbiornik Marconi TV5 również został porzucony na plaży przez jakichś dwóch niezdarnych tragarzy? Czy komandor William Tennant, dowódca sił morskich w Dunkierce, zgromił ich na wieść o tym, co się stało z jedynym urządzeniem umożliwiającym łączność, jakie dostał do dyspozycji? Czy może nie przyznali się, licząc na to, że wina spadnie na kogoś innego?

Wkrótce potem, w maju 2016 roku, stałem na skraju molo w Dunkierce w pobliżu miejsca, gdzie komandor Tennant urządził swój sztab. Rozglądając się wokół, widziałem

fragmenty plaży, na której tłoczyli się żołnierze – czy też mężczyźni, którzy wyglądali jak żołnierze. W głębi morza stały zakotwiczone okręty wojenne. Do nabrzeża przycumował biały okręt szpitalny wyraźnie oznaczony czerwonymi krzyżami. W oddali unosiły się kłęby czarnego dymu. Wszelkie ślady dwudziestego pierwszego wieku, w tym fasady zabudowań od strony morza, zostały osłonięte kamuflażem. Dunkierka znowu wyglądała tak, jak pod koniec maja 1940.

Nagle zaszło coś zaskakującego. Zerwał się gwałtowny wiatr i sypnął piaskiem, który wpadał we włosy i do oczu. Ludzie chodzili w goglach i zasłaniali twarze. Dopiero wtedy zrozumiałem, że nikt nie musiał porzucać nadajnika Marconi. Nie było żadnych niezdarnych tragarzy. W maju 1940 roku piasek dostał się do generatora tak samo, jak teraz wciskał się wszystkim w oczy i uszy. Tak więc przebywając w Dunkierce, dowiadywałem się o szczegółach tego wydarzenia, których inaczej nigdy bym nie poznał.

Dlatego zachęcam, by każdy, kto interesuje się historią ewakuacji, odwiedził Dunkierkę. Chodząc po plaży i po nabrzeżu, oglądając stanowiska na przyczółku, tam, gdzie wojska francuskie i brytyjskie odpierały natarcia Niemców, zwiedzając niezwykłe Muzeum Wojny i wzruszający cmentarz Église Saint-Éloi za murem poznaczonym śladami po pociskach i odłamkach – przywołuje się do życia wydarzenia, które miały miejsce w maju i czerwcu roku 1940. Bo historia wpisana jest w krajobraz, który wypełnia luki między słowami.

Podjąłem w tej książce próbę przedstawienia historii nieco inaczej, a przynajmniej z nieco szerszej perspektywy. I podobnie jak wizyta w Dunkierce sprawia, że o ewakuacji zaczyna się myśleć inaczej, tak moja książka usiłuje ukazać i wyjaśnić przebieg wydarzeń w szerszym, nie tylko militarnym, lecz także politycznym i społecznym kontekście. Próbuję dać wyobrażenie o tym, jak służyło się w armii w roku 1940, gdy było się bardzo młodym człowiekiem, a także o tym, jaką rolę w narastaniu nastrojów wojennych odegrała kultura młodzieżowa w swoich rozmaitych przejawach. Skupiam się także na przebiegu walki (a czasami na braku walki), która miała doprowadzić do ewakuacji. Wreszcie omawiam skutki ewakuacji, włącznie ze skutkiem ostatnim – filmem Chrisa Nolana z roku 2017.

Miałem szczęście pracować przy tym filmie w charakterze konsultanta historycznego. Cieszę się, że mogłem poznać tylu ciekawych i pełnych zapału ludzi. Przede wszystkim jednak cieszy mnie, że film w tak niezwykły sposób przywrócił do życia niedoceniany fragment historii. Ostatni rozdział książki poświęcony jest wspólnym staraniom reżysera, producenta i szefów poszczególnych zespołów o dochowanie maksymalnej wierności prawdzie historycznej tego wydarzenia. Ich wysiłek twórczy doprowadził do odtworzenia ducha ewakuacji tak obrazowo i realistycznie, jak to tylko możliwe. Dzięki temu mamy okazję przeżyć tę opowieść w taki sam sposób, w jaki

przebiegała – jako ciężką i rozpaczliwą walkę o przetrwanie, która wyzwoliła świat.

Nie ma rzeczy ważniejszej niż wolność. Dlatego zachęcam też, by podczas oglądania tego filmu nie zapominać, że gdyby nie tacy ludzie jak prawdziwy Tommy, George czy Alex, żylibyśmy dzisiaj w bardzo mrocznej epoce. A wielu z nas nie byłoby wcale na świecie.

JOSHUA LEVINE
Kwiecień 2017

To nie jest film wojenny. To opowieść o przetrwaniu.
Rozmowa Joshui Levine'a z reżyserem Christopherem Nolanem

Joshua Levine: *Jesteś Brytyjczykiem pracującym w Ameryce. Jaka była reakcja Amerykanów, kiedy dowiedzieli się, że chcesz zrobić w Ameryce film na tak bardzo brytyjski temat?*

Christopher Nolan: Zanim o tym powiedziałem, miałem już skończony scenariusz. No i wiedziała Emma Thomas, producent Dunkierki. To ona namówiła mnie, żebym przeczytał twoją książkę „Zapomniane głosy Dunkierki" (*Forgotten Voices of Dunkirk*). Wiele lat temu postanowiliśmy z przyjacielem przeprawić się przez kanał La Manche. (Przyjaciel występuje w tym filmie w jednej z łodzi). Było to coś w rodzaju rekonstrukcji historycznego wydarzenia, a okazało się dla mnie jednym z najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych doświadczeń w życiu. Byłem wdzięczny losowi, że wróciłem cały, a przecież nikt nas nie bombardował. To była sprawa wyłącznie między nami: kanał, żywioły i my troje w niewielkiej łodzi.

JL: *To miał być taki rejs ku czci?*

CN: Tak. Zabraliśmy się do tego nieco za wcześnie, gdzieś w okolicy Wielkanocy, bliżej kwietnia niż maja. Było

trochę za zimno. Płynęliśmy do Dunkierki, ale to nie był rejs maniaków historii. Znaliśmy tę opowieść, bo była częścią naszego dorastania. A przyjaciel miał łódź żaglową i wpadł na pomysł, żeby popłynąć. Ale okazało się, że rejs tak małą łodzią przez kanał La Manche to bardzo, ale to bardzo trudna wyprawa (przynajmniej dla mnie i dla Emmy). To było niezwykłe przedsięwzięcie. Taki rejs to pomysł zupełnie szalony, a co dopiero kiedy masz pełną świadomość, że płyniesz do strefy wojennej. Dlatego uważam, że mitologiczne znaczenie Dunkierki, jej prawdziwa wymowa jako nowoczesnego mitu, jest po prostu ogromne i niebywałe. Wejście na pokład z zamiarem odbycia takiego rejsu daje pewne, chociaż bardzo nikłe pojęcie, jakiej odwagi wymagała taka decyzja od ludzi, którzy się na to porwali. Bo to była naprawdę niezwykle odważna decyzja.

Przypomnieliśmy to sobie z Emmą po latach i zaczęliśmy ponownie przeglądać relacje uczestników. Dziwiliśmy się, dlaczego nikt nie zrobił o tym filmu – oczywiście mam na myśli film współczesny. Przecież to jedna z najciekawszych opowieści o człowieku. Opowieść uniwersalna. Więc zacząłem wczytywać się w ten temat, krążyć, tańczyć wokół niego, żeby sprawdzić, czy i jak można się do tego zabrać i dlaczego nikt tego jeszcze nie zrobił. W końcu doszliśmy do przekonania, że nikt nie nakręcił o tym filmu, ponieważ to była klęska. W dodatku musiałby być to bardzo, naprawdę bardzo drogi i wielki epicki film, bez względu na to, w jaki sposób pokaże się te wydarzenia. Próbowaliśmy

podejść do tematu w sposób bardzo intymny, ale ponieważ jest to opowieść epicka, nie może obejść się bez wsparcia ze strony Hollywoodu. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, żeby hollywoodzki przemysł filmowy miał ochotę uczestniczyć w opowieści o klęsce, nawet jeśli jest to klęska tak kolosalnych rozmiarów. Tymczasem to, co nas w tej opowieści najbardziej pociągało, to oczywiście nie zwycięstwo czy nawet nie bitwa. To ewakuacja. To opowieść o przetrwaniu.

Innymi słowy, to nie jest film wojenny. To film o przetrwaniu. Dlatego nie widać Niemców i dlatego pokazujemy wszystko pod kątem mechanizmu przetrwania, a nie z politycznego punktu widzenia.

JL: *Nie ogląda się tego jak film wojenny. Pamiętam, jak czytałem o Pokoju 101* w Roku 1984 *George'a Orwella, gdzie pojawiają się sprawy najgorsze na świecie w sensie doświadczeń osobistych. Ten wróg bez twarzy to prawdziwy koszmar wyobraźni, jest to coś, co nas najbardziej przeraża. Czy w takim razie ten film jest z gatunku grozy, coś w rodzaju grozy psychologicznej?*

CN: To jest film, który buduje napięcie, ale staramy się ograniczać do minimum napięcie irracjonalne, intuicyjne. W tym sensie mamy tu rzeczywiście do czynienia z nawiązaniem do języka filmów grozy.

JL: *Panuje niemal powszechne umowne założenie, że kiedy robi się film o nazistach, to zawsze trzeba pokazać ich takimi, jakimi byli. Moim zdaniem wykazaliście się wielką odwagą, właśnie tego nie robiąc.*

CN: To prawda. Kiedy pisałem pierwszy szkic, taką pierwszą przymiarkę, żeby wiedzieć, o co mi chodzi, to bez przerwy używałem słowa „naziści”. W dialogach też wszyscy mówili o nazistach. Tak jakbym chciał nieustannie przypominać współczesnej widowni, przekonywać ją, że wróg był zły i okrutny. Ale w pewnej chwili – wydaje mi się, że to nastąpiło podczas rozmowy z Markiem Rylance’em, który pojawił się w tym projekcie jako jeden z pierwszych – uświadomiłem sobie, że skoro postanowiłem w ogóle nie pokazywać Niemców, to bez sensu będzie nawet się do nich w jakikolwiek sposób odnosić. Nie można zatrzymywać się w pół drogi. To znaczy, że albo bierzesz się za całe to nazistowskie zło i ideologię, albo musisz je całkowicie obejść i w ogóle tego zła nie pokazywać, traktując je w pewnym sensie jak przekazy podprogowe, jako pewne zagrożenie, które czai się gdzieś poza ekranem. Tak jak rekiny w Szczękach: widać czasem kawałek płetwy, ale nie całego rekina. W ten sposób umysł widza, a nawet jego poczucie etycznej słuszności wyboru, z kim w tym filmie trzeba się utożsamić, a z kim nie, automatycznie czyni z nazistów coś najgorszego pod słońcem.

JL: *Wyobraźnia widza może więc swobodnie podążać, dokąd ze chce. Zważywszy jednak na to, że film ma obejrzeć wielu młodych ludzi, którzy nie mają pojęcia o drugiej wojnie światowej, czy nie należało zaznaczyć, kim byli naziści?*

CN: Uważam, że odpowiedzialność polega na tym, żeby nie pokazywać mylnego obrazu nazistów. Nazizm jest tu

ważny i zauważalny właśnie przez swoją nieobecność. I to jest moim zdaniem podejście właściwe. Należy oddać panujące w Europie poczucie kryzysu i zagrożenia. Oraz powszechną świadomość, że właśnie w tym krytycznym momencie historii żołnierze brytyjscy i francuscy zostali rozłożeni na łopatki. Trzeba także przekazać przekonanie o dotarciu do punktu absolutnie krytycznego. Nie zrobiłem tego poprzez personalizację i humanizację nieprzyjaciela, co zazwyczaj ma miejsce w ten czy inny sposób w większości filmów wojennych, nawet w filmach wojennych, które powstały w zamierzchłych czasach, jak *Na zachodzie bez zmian (All Quiet on the Western Front, 1930)*, gdzie daje się wyczuć pewną pokusę intelektualnie wyrafinowanego uczłowieczania wroga. Natomiast jeśli postawisz się w sytuacji żołnierza, który znalazł się na tej plaży, to dla większości z nich kontakt z wrogiem był bardzo ograniczony i sporadyczny. Przez większość czasu widać tylko spadające bomby. I słychać dochodzące gdzieś z oddali odgłosy strzałów, co zresztą musiało być bardziej przerażające, niż się wydaje, bo te odgłosy ciągle się zbliżały. Zastanawiamy się teraz, jak zmiksować dźwięk, żeby stworzyć właściwą przestrzeń dźwiękową. Chodzi o to, żeby bitwę było najpierw słychać z odległości kilkunastu kilometrów, potem dziesięciu, potem pięciu... I to musiało być piekielnie przerażające dla tych chłopaków na plaży.

W filmie ważne jest to, czego nie wiesz. Dlatego scena ekspozycyjna, czyli umiejscawiająca, wprowadza, jak mi się wydaje, dokładnie tylko tyle niezbędnych informacji, ile

trzeba. Chodzi o to, że Tommy i Gibson zupełnie nie wiedzą, co się dzieje. Potem docierają do nich jakieś niepokojące okruchy wiadomości. Na przykład: „próbujemy ewakuować z tej plaży około czterdziestu, pięćdziesięciu tysięcy". I wtedy myślisz sobie: „OK, to znaczy, że każdy dba sam o siebie". Znacznie bardziej interesowało mnie to, czego ludzie nie wiedzą, niż wyjaśnianie tego wszystkiego, co dzisiaj wiemy na ten temat. Kiedy człowiek uczestniczy w jakimś wydarzeniu, zwłaszcza takim, jak to, o którym mowa, kiedy nie było żadnych smartfonów i tym podobnych, to naprawdę trudno się połapać, o co w tym wszystkim chodzi. Dla mnie najbardziej wstrząsające w historii Dunkierki – i zdecydowanie najbardziej wzruszające – było to, że kiedy ich już w końcu uratowano i kiedy dotarli do domu, to oni mieli poczucie wstydu, że większość tych chłopców podczas powrotu do domu myślała, że sprawili rodakom w kraju ogromny zawód. A tu się nagle okazuje, że witają ich jak bohaterów. I to był naprawdę wyjątkowy i niezwykły emocjonalny zwrot historii. A wszystko właśnie dlatego, że oni nie mieli pojęcia, co się dzieje. Dlatego pokazujemy, jak czytają w gazecie przemówienie Churchilla. Bo przecież nie mogli być w parlamencie, przecież nie można było zrobić tego, co dzisiaj robi się zazwyczaj w filmie, czyli wkleić Winstona Churchilla, jak przemawia na posiedzeniu Gabinetu albo jak pracuje nad przygotowaniem przemówienia. Oni mogli dowiedzieć się o tym tylko z gazet, dlatego dowiadują się już po tym wszystkim, w czym brali udział.

JL: *Czy są w filmie jakieś odniesienia do współczesności? Czy widz będzie to oglądał jak coś, co wydarzyło się x lat temu, czy też ma szansę dopatrywać się czegoś, co może wydarzyć się znowu?*

CN: Jednym zwielkich nieszczęść naszych czasów, jedną zokrutnych, fatalnych okoliczności kryzysu migracyjnego w Europie jest to, że znowu mamy do czynienia z mechanizmem przemieszczania się i z fizyczną obecnością ludzi, którzy masowo pragną opuścić jeden kraj i przepłynąć łodziami do innego kraju. Dużo się o tym mówi, ale w naszych technologicznie zaawansowanych czasach łatwo zapomnieć, jak ogromne znaczenie odgrywają tu podstawowe prawa fizyki. Realia są nieubłagane. Jeżeli w jednym miejscu znajduje się ogromna liczba ludzi, którzy chcą przenieść się gdzie indziej, ale nie mogą tam dolecieć, to muszą płynąć łodziami – łodziami wypełnionymi po brzegi ludzkim pragnieniem przetrwania... I wydaje się rzeczą niewyobrażalnie okrutną, że dzisiaj, we współczesnej dobie, oglądamy to na pierwszych stronach gazet. Ale tak właśnie jest. A skoro to właśnie dzieje się w świecie współczesnym, to nie sądzę, żeby można było zlekceważyć Dunkierkę jako jakieś wydarzenie z innego świata i z zamierzchłej epoki.

JL: *A jakie są twoje ulubione filmy wojenne?*

CN: Jednym z moich ulubionych filmów, który najbardziej podziwiam, jest *Cienka czerwona linia (The Thin Red Line)* Terrence’a Malicka. Nie ma on prawie żadnego związku z filmem Dunkierka, ale miał bardzo dużo wspólnego

z innymi moimi filmami. Myślę, że *Memento* zawdzięcza bardzo wiele *Cienkiej Czerwonej Linii*, ale ten związek dotyczy tylko kluczowej warstwy strukturalnej w sensie stylistycznym, to znaczy ponadczasowości. Odnosi się wrażenie, że jest to bardzo przystępne i współczesne, chociaż przecież dotyczy drugiej wojny światowej. Zależało nam właśnie na tym konkretnym aspekcie strukturalnym. Natomiast z punktu widzenia fundamentów artystycznych i sposobu, w jaki opowiedziana jest fabuła, te filmy bardzo różnią się od siebie.

Nie oglądałem zbyt wielu filmów wojennych. Widziałem *Szeregowca Ryana (Saving Private Ryan)* Spielberga, który także okazał się dla mnie pouczający ze względu na estetykę filmu grozy. Jest tak intensywnie i skutecznie nasączony przemocą, że człowiek czuje potrzebę, żeby stamtąd wyjść. Z takim filmem nie można rywalizować. To byłoby jak ściganie się z *Obywatelem Kane'em (Citizen Kane)*. To jest po prostu absolut. Pokazana tam jest prawdziwa groza wojny. Dlatego my poszliśmy raczej w stronę budowania napięcia. Przestałem oglądać ten gatunek filmów, odkąd przeczytałem – to był chyba przedruk na opakowaniu *Cienkiej czerwonej linii* w formacie Blu-Ray w wydaniu Criterion Edition – fragment tekstu o filmach wojennych pióra Jamesa Jonesa, autora powieści *Cienka Czerwona Linia*. Ten tekst sprawił, że bardzo spokorniałem. Człowiek, który był na wojnie i pisał o niej, demaskuje tam wszystkie zabiegi i oszustwa filmów wojennych w sposób tak bezlitosny, że dla filmowca, który

zabiera się do pisania scenariusza filmu osadzonego w realiach historycznych, stanowiło to lekturę szczególnie onieśmielającą. Jones pyta, między innymi: „Co nowego można jeszcze powiedzieć o wojnie po *Na zachodzie bez zmian*?”. Więc obejrzałem jeszcze raz *Na zachodzie bez zmian*, który oglądałem przed wieloma laty. I rzeczywiście, jest to porażająco wszechogarniająca wypowiedź na temat wojny i jej okrucieństwa. Mimo że sztuka filmowa tkwiła wtedy jeszcze bardziej w powijakach niż dzisiaj – film jest czarno-biały i ledwie udźwiękowiony – zrobiono to znakomicie. A ponieważ jest to film o Niemcach, który powstał w łonie systemu hollywoodzkiego, posiada także wyjątkowo silny wydźwięk antynacjonalistyczny. I to właśnie sprawia, że *Na zachodzie bez zmian* góruje nad wszystkimi innymi filmami antywojennymi, które potem nakręcono. Przedstawiając potworności wojny, z całą bezwzględnością ujawnia sposoby szerzenia się mitów nacjonalizmu i szowinizmu, które prowadzą do powszechnej gloryfikacji wojny. Nie sądzę, żeby możliwe było nakręcenie takiego filmu, gdyby miał on dotyczyć Amerykanów albo Brytyjczyków.

JL: *Czy zatem twój film jest następcą tego kierunku?*

CN: Absolutnie nie. Ponieważ miałem za sobą te wszystkie lektury i badania, poszedłem jeszcze dalej w kierunku, w którym już zmierzałem. Nie chodziło mi o to, by zrobić film wojenny, lecz film o przetrwaniu. I wiedziałem, że to potrafię zrobić. Nie byłem na wojnie, nie walczyłem. Dla mnie wojna to najgorszy z koszmarów. Nie

potrafię sobie wyobrazić, żebym mógł brać w niej udział. Dlatego *Dunkierka* jest opowieścią o przetrwaniu. Warunkiem sukcesu lub porażki jest dla mnie właśnie przetrwanie. Kiedy Alex mówi: „Przecież my tylko przetrwaliśmy”, niewidomy odpowiada mu: „I to wystarczy”. Bo w kategoriach Dunkierki taka była definicja sukcesu. Właśnie stąd bierze się twierdzenie Churchilla, że w tej porażce było jednak zwycięstwo. Właśnie tę konkretną i szczególną sytuację czułem się na siłach pokazać.

JL: *Czy ktoś z członków twojej rodziny brał udział w wojnie?*

CN: Mój dziadek poległ podczas pierwszej wojny światowej. Latał na lancasterze jako nawigator.

JL: *O Boże! Czy wiesz, ile misji wylatał?*

CN: Czterdzieści pięć. Miał już zamiar przestać latać, ale prawdopodobnie zginął podczas czterdziestej szóstej. Po czterdziestu pięciu lotach przydzielano ich do szkolenia nowych pilotów, dziadek miał już nawet taki przydział. Jest pochowany we Francji. Podczas kręcenia filmu odwiedziliśmy jego grób. To było bardzo wzruszające. Kiedy dziadek zginął, miał koło trzydziestki i był najstarszy wśród załogi, więc trochę im ojcował. Bo to przecież były dzieci. Oni mieli po osiemnaście, dziewiętnaście lat.

JL: *Czy masz zwyczaj oglądać swoje filmy?*

CN: Tak.

JL: *Czy oglądając, oceniasz je? Jak ogląda się film nakręcony kil kanaście lat temu?*

CN: Oglądam z różnych powodów, czasem niedługo po ukończeniu, na przykład przed wydaniem na wideo czy z innych powodów technicznych. Ostatnio moje dzieci chciały obejrzeć Mroczne go rycerza i oglądałem razem z nimi. Ale kiedy powody znikają, to się nie ogląda. Bardzo dawno nie widziałem *Memento*. Jednak niektórzy filmowcy nigdy nie oglądają własnych filmów. Ja lubię raz na jakiś czas, bo z biegiem lat się zmieniają, w miarę jak człowiek się od nich oddala. Zaczyna się je wtedy oceniać bardziej obiektyw nie. Widać wtedy lepiej, co w nich jest dobre, a co złe. Mam wrażenie, że stają się wtedy bardziej częścią swoich czasów i przechodzą do przeszłości.

JL: *Tak, to prawda.*

CN: Co nie jest wcale pocieszające. Nie każdy lubi przyznawać, że się starzeje i przechodzi do przeszłości, chociaż tak właśnie się dzieje.

JL: *Ale przecież nie może być inaczej?*

CN: Tak, tacy właśnie jesteśmy. Dlatego każdy stara się zrobić film ponadczasowy.

JL: *Czy nie obawiasz się, że historia Dunkierki stanie się – na pewno na jakiś czas, na okres jednego pokolenia – twoją historią Dunkierki?*

CN: Tak, to rodzi swoiste poczucie odpowiedzialności, i mam to na uwadze. Ale to jest prawdopodobnie jedna z przyczyn, która sprawia, że ten film nie próbuje być wszechstronny. My nie zajmujemy się politycznym aspektem zaistniałej sytuacji. Nie interesuje nas szersza, globalna perspektywa, bo wtedy musielibyśmy wziąć na

siebie zbyt duży ciężar odpowiedzialności za bardzo złożony fragment historii, który praktycznie nie daje się zamknąć w dwugodzinnej narracji.

Nie unikam takich emocji wokół Dunkierki, które miałyby na pewien czas, przez kilka następnych lat, kształtować wyobrażenie o tym, na czym polegało to doświadczenie. Uważam, że potrafię to zrobić, ponieważ przeprowadziliśmy odpowiednie badania i wiemy, jak to kompleksowo sfilmować. Nie zabieram się jednak do szerszych implikacji tego wydarzenia w sensie historycznym. I nie sądzę, żeby ten film powinien się tym zajmować. Cechą mojego filmu jest prostota, która pozwala widzowi wyobrazić sobie wiele różnych relacji na temat przebiegu tych wydarzeń. Jest to zamierzone, rozmyślne, zasadne i wynika z przyjętej struktury filmu. Chcemy stworzyć widzom możliwość i przestrzeń do zrozumienia, że istnieje wiele innych, odmiennych sposobów przeżywania tych wydarzeń.

JL: *Pisałem o tym także w tej książce:*

„Każdy, kto stał na plaży lub na molo, lub wycofywał się z frontu w głębi lądu, kryjąc się w stadzie krów, otaczającą go rzeczywistość postrzegał inaczej. Gdyby zestawić je obok siebie, te różne sposoby widzenia przeczyłyby sobie nawzajem. Weźmy na przykład jeden z elementów relacji: plaże. Obejmowały ogromny obszar, zaludniały je dziesiątki tysięcy ludzi w rozmaitym stanie psychicznym i fizycznym, przebywających przez dziesięć dni w gwałtownie zmieniających się warunkach. Jak te relacje mogły sobie nie

przeczyć? Na plażach rozgrywało się wszystko, co tylko możliwe na świecie”.

Dla mnie to brzmi jak kwintesencja. Czy zgadzasz się z tym?

CN: Tak. Myślę, że ten film w znacznym stopniu opiera się na takiej właśnie ocenie ulotnej natury subiektywnego doświadczenia ludzkiego, które określa obiektywną rzeczywistość. Co zresztą stanowi wspólną oś wszystkich moich filmów. Wszystkie opowiadają o indywidualnych doświadczeniach osobistych, które stanowią potencjalne zaprzeczenie obiektywnej rzeczywistości. Tymczasem film próbuje za wszelką cenę pozostawić margines dla nieograniczonej, jak się wydaje, liczby doświadczeń i opowieści, które wzajemnie sobie przeczą albo komentują się nawzajem na rozmaite sposoby. Opowiadamy trzy indywidualne opowieści, które krzyżują się w jednym punkcie. Pokazujemy punkt, w którym się spotykają, i okazuje się, że doświadczenia są całkiem różne. Obserwując z pokładu jednego spitfire’a, jak pilot innego spitfire’a ewakuuje się ze swojej maszyny, odnosimy wrażenie, że on to robi z pełnym spokojem i pod pełną kontrolą. Ale podczas zdjęć, wykonując te same czynności, przekonujemy się, że jest zupełnie inaczej. Dokładnie odwrotnie. Właśnie to fascynowało mnie zawsze w naturze ludzkiego doświadczenia.

JL: *Podróżowaliśmy razem po Anglii, spotykając się z weterana mi Dunkierki. Czego dowiedziałeś się podczas tych spotkań?*

CN: Dowiedziałem się rzeczy absolutnie podstawowych. Ciekawe było także i to, że chociaż rozmawiając z nimi, czułem się zaszczycony i onieśmielony, to wcale nie wiedziałem, czego dokładnie spodziewać się po tych rozmowach. Wiedziałem, że to jest działanie słuszne, że konieczne jest przeprowadzenie rozmów z ludźmi, którzy wtedy tam byli, skoro mamy pokazywać ich doświadczenia. Jednak myśląc teraz o tym filmie, widzę scenę, kiedy oni patrzą na chłopaka, który wchodzi do wody. I ja nie wiem, co on robi: czy chce się utopić, czy myśli, że rzeczywiście da radę przepłynąć. Ale nie wiem, ponieważ gdy spytałem jednego z nich: „Czy on chciał się zabić?", on też nie wiedział. On to tylko widział.

JL: *A ten chłopak? Czy wiedział, co robi?*

CN: No właśnie. Nie mam pojęcia.

JL: *Lubimy wiedzieć wszystko na pewno: „On robi to i to". Ale w rzeczywistości, co najmniej przez połowę swojego życia nie wiemy nawet, dlaczego robimy to, co robimy. A co dopiero w takiej sytuacji, jak ta, pod tak niewyobrażalną presją…*

CN: Podczas rozmów z tymi niezwykłymi ludźmi nabrałem przekonania, że to, co zamierzamy zrobić, znajduje potwierdzenie w ich doświadczeniach. Różni ludzie opowiadali nam o tym, jak było na molo, jak wysiadali z łodzi… jak ten człowiek, który przywoził wodę do Dunkierki i wysiadał z łodzi, a potem nie mógł do niej wrócić. Słyszeliśmy wiele o tym koszmarnym chaosie, chaosie zorganizowanym, bo tak chyba trzeba to nazwać,

czy chaosie niemal biurokratycznym, jaki panował na tym molo. Relacje weteranów na ten temat były niezwykle interesujące. Także z tym gościem, który chociaż był cywilem, przypłynął z Anglii z dostawą wody. Fascynuje mnie działanie tego mechanizmu. Właśnie dlatego na początku filmu Tommy szuka toalety, bo te sprawy, sprawy logistyki, są dla mnie bardzo ciekawe. Skąd się bierze jedzenie? Skąd woda? Przecież nie było żadnych planów, więc to się dzieje ad hoc. Ktoś przypływa z wodą, widzi w oddali pożar i wie, że płynie właśnie tam. To jest w tym filmie nieustannie obecne: wszystko zmierza w kierunku tych płomieni na horyzoncie. A przecież to jest ostatnie miejsce na ziemi, w którym człowiek chciałby się znaleźć. Tak więc powtarzam, że ja z tych rozmów wyniosłem bardzo wiele. I z czasem to wszystko we mnie wsiąkało. Pouczające były też odpowiedzi na twoje pytanie o to, jak ci weterani rozumieją Ducha Dunkierki, zwłaszcza że ich interpretacje były tak różne. Pamiętam trzy z nich, bardzo zdecydowane. Jedna, że uosobieniem Ducha Dunkierki są Małe Statki. Nie pamiętam dokładnie słów drugiej, ale nasz rozmówca zdecydowanie dał do zrozumienia, że to jest kompletna bzdura. I wreszcie ten, z którym rozmawialiśmy na końcu, odniósł Ducha Dunkierki do tych chłopców broniących przyczółka, którzy w końcu zostali tam porzuceni. Wszystkie trzy interpretacje były stanowcze i ostateczne: tak było i to znaczy dokładnie tyle.

JL: *Pamiętam, że jeden z nich powiedział: „Każdy martwił się sam za siebie”.*

CN: No właśnie. Wydaje mi się zresztą, że był to jeden z najciekawszych rozmówców. Dał nam do zrozumienia, że miał za sobą różne przejścia, z których nie był dumny, ale w jego głębokim przekonaniu i w przekonaniu ludzi, którzy tam byli, owe uczynki w tamtej konkretnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, mieściły się w normie. Mam wrażenie, że wcale nie uważał, że zrobił coś złego albo coś nie tak, ale że są takie sprawy, o których nie powinno się mówić, które lepiej zostawić w spokoju. Moim zdaniem Aleksa, Tommy'ego i Gibsona łączy właśnie sytuacja tego typu. Nie chodzi o ocenę ludzkich postaw. Czuję, że to jest coś w rodzaju okna, które otwiera się na prywatność tego subiektywnego doznania.

JL: *Ciekawe, że kiedy osiąga się pewien wiek, znika ustalony po rządek rzeczy. Opowieści przestają prowadzić od początku do końca. Czas coraz bardziej traci na znaczeniu. Jako prawnik, a teraz jako pisarz zawsze instynktownie dążyłem do porządkowania ludzkich historii, szukając w nich jakiegoś logicznego sensu. Ty podchodzisz do tego zupełnie inaczej, pod innym, zresztą bardzo interesującym kątem. A ponieważ od tak dawna zajmujesz się w swoich filmach naturą czasu, w twoim działaniu jest coś bardzo głęboko uczciwego.*

CN: Faktycznie, moje zadanie polega na tym, żeby opowiedzieć historię w sposób bardzo zdyscyplinowany i uporządkowany, niezależnie od tego, czy jest to porządek chronologiczny, czy jakiś inny. I nie miałbym co robić, gdyby każdemu przychodziło to z naturalną, gawędziarską

łatwością. Tymczasem z nieznanego powodu w naturze ludzkiej nie leży zdolność do spójnego relacjonowania własnych doświadczeń. Dlatego społeczeństwo zawsze ceniło dobrą opowieść, i to niezależnie od formy, bo każda dobra opowieść wymaga szczególnej umiejętności, która polega na nadawaniu określonej formy narracyjnej. Dlatego z faktu, że ten weteran nie mówi nam o swoim konkretnym doznaniu, wynika pewna intrygująca szczelina w naszym zasobie wiedzy, która, moim zdaniem, wyraża znacznie więcej, niż potrafi wyrazić słowo. Bez względu na to, co się wydarzyło, nasz rozmówca musiał zdawać sobie sprawę, że użycie przez niego przekleństwa wobec oficera albo wyda nam się trywialne, albo godne potępienia. Tak czy owak, nie będziemy w stanie tego zrozumieć. Więc bez względu na to, co się wydarzyło, w momencie kiedy jego osobiste i subiektywnie postrzegane doświadczenie staje się opowieścią, to relacja ulega ograniczeniu. Uważam, że pozostawienie pewnej szczeliny w naszej wiedzy stanowi bardzo silny środek wyrazu, który daje widzowi wiele do myślenia. Jest to zarazem potwierdzenie tego, co jasno wynikało z naszych badań: że skala i różnorodność doświadczeń była ogromna.

ROZDZIAŁ PIERWSZY
PRZETRWANIE

Z początkiem lata roku 1940 młody oficer Anthony Irwin służył w Essex Regiment. Podobnie jak większość jego kolegów z jednostki, oficerów i szeregowych, pierwsze doświadczenia wojenne zbierał podczas walk batalionu, który – powstrzymywany przez cywilnych uciekinierów, nękany ogniem artyleryjskim i nalotami – wycofywał się w kierunku francuskiego wybrzeża pod naporem zbliżającej się piechoty niemieckiej.

Pewnego popołudnia po nalocie niemieckich bombowców po raz pierwszy w życiu zobaczył ciała zabitych. Na widok pierwszych dwóch poczuł niepokój, kolejne dwa przyprawiły go o mdłości i zalęgły się na całe lata w snach. Różnica nie wynikała z tego, w jaki sposób zginęli, ani nawet z tego, jak poważne odnieśli rany. Polegała na „nieprzyzwoitości” tych drugich: zwłoki były nagie, upodlone, wzdęte, zdeformowane, i ucieleśniały coś znacznie gorszego niż śmierć.

Tego wieczoru batalion Irwina znowu został zaatakowany. Jakiś szeregowiec nie wytrzymał napięcia i zaczął płakać. Irwin podszedł do niego i chciał go odprowadzić gdzieś na bok, ale sztywny z przerażenia żołnierz nie chciał się ruszyć. Irwin zdecydował, że jedyne, co może zrobić, to dać mu w twarz. Rozkazał więc sierżantowi, żeby wymierzył

młodemu cios w szczękę, ale sierżant chybił i wyrżnął pięścią w ścianę. Szeregowiec ocknął się i zerwał do biegu. Irwin jednak dopadł go i uderzył w twarz. Chłopak stracił przytomność.

Irwin zarzucił go sobie na plecy i zniósł do pobliskiej piwnicy. W środku było ciemno, więc zawołał, żeby mu ktoś poświecił. We względnej ciszy, która panowała w środku, usłyszał zdziwione głosy, męski i damski. Kiedy jego wzrok przywykł do ciemności, w kącie piwnicy dostrzegł żołnierza, który kochał się z belgijską kelnerką. Pomyślał, że trudno mieć im za złe. W obliczu śmierci próbowali trzymać się życia.

Irwin znalazł się wśród setek tysięcy oficerów i żołnierzy Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych – British Expeditionary Force – wycofujących się przez terytorium Belgii w kierunku wybrzeża. Przypłynęli do Francji w związku z wypowiedzeniem przez Anglię wojny Niemcom 3 września 1939 roku. Po wielu miesiącach „dziwnej wojny” rankiem 10 maja 1940 roku rozpoczęła się na zachodzie niemiecka wojna błyskawiczna – Blitzkrieg – i większość wojsk brytyjskich przemieszczono pośpiesznie do Belgii, gdzie zajęły ustalone wcześniej pozycje wzdłuż rzeki Dyle. Uformowały tam, wraz z armią francuską i belgijską, lewą flankę sił alianckich, stawiając czoła Grupie B armii hitlerowskiej. Na południu prawą flankę aliantów zabezpieczała ciągnąca się wzdłuż granicy francusko-niemieckiej potężna Linia Maginota złożona z obronnych fortec, bunkrów i schronów.

Przez kilka krótkich dni maja 1940 wydawało się, że wojska alianckie i niemieckie, w kategoriach militarnych mniej więcej porównywalne, skazane są na kolejną wojnę pozycyjną na wyniszczenie. Gdyby wierzyć doświadczeniu, Niemcy powinni niebawem wykrwawiać się w natarciach na umocnione alianckie linie obronne.

Jednak zamiast tego dowództwo alianckie otrzymało surową lekcję nowoczesnej sztuki wojennej. Między umocnionymi flankami aliantów ciągnęły się silnie zalesione góry Ardeny, teoretycznie nie do przebycia. Ten długi na 160 kilometrów fragment linii obronnej zabezpieczały wojska francuskie w stosunkowo niewielkiej sile czterech dywizji lekkiej kawalerii i dziesięciu dywizji rezerwy. Niemiecki plan natarcia przewidywał wykorzystanie właśnie tego odcinka frontu.

Plan ten, zgłoszony pierwotnie przez generała Ericha Mansteina, do maja 1940 roku poddawany był siedmiokrotnej weryfikacji. Zakładał zastawienie pułapki na aliantów poprzez przypuszczenie w pierwszej kolejności ataku na Holandię i północną część Belgii. W tym samym czasie na południu miało nastąpić główne natarcie niemieckie, wymierzone w najsłabszy punkt obrony w Ardenach. Rozpocząć je miały dywizje pancerne, które po przekroczeniu rzeki Mozy powinny przedrzeć się na północny zachód przez tereny wokół Sedanu i dalej w kierunku francuskiego wybrzeża, przecinając i dzieląc wojska francuskie na dwie części, żeby na koniec połączyć

się z północnym skrzydłem uderzenia niemieckiego i okrążyć Brytyjskie Siły Ekspedycyjne.

Plan Mansteina był niezwykle ryzykowny. Przedarcie się przez górski i gęsto zalesiony obszar stanowiło trudne wyzwanie logistyczne, zwłaszcza że niemiecki czołg nie został jeszcze dostatecznie przetestowany. Podstawowym warunkiem powodzenia miała być bezprecedensowa prędkość natarcia i silne wsparcie z powietrza, a nade wszystko zaskoczenie. Gdyby Francuzi dowiedzieli się o tym zawczasu, plan z pewnością by się nie powiódł. Okazuje się zresztą, że w styczniu 1940 roku Belgowie przechwycili kopię jeszcze wcześniejszego planu niemieckiego, który przewidywał główne uderzenie w Holandii i Belgii, czyli dokładną powtórkę niemieckiej strategii z pierwszej wojny światowej. Alianci nie mieli więc powodu przypuszczać, że Niemcy rozważają jakieś alternatywne rozwiązanie.

Poziom ryzyka związanego z realizacją planu Mansteina był tak wysoki, a zerwanie z dotychczas stosowaną praktyką tak gruntowne, że większość generalicji niemieckiej odmówiła poparcia. Opowiedział się za nim jednak wpływowy generał Franz Halder, szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych. A także, co miało znaczenie kardynalne, zyskał aprobatę osobistości, która w nazistowskich Niemczech miała najwięcej do powiedzenia – Adolfa Hitlera. Wydano rozkaz ataku.

I rzeczywiście, Francuzi dali się kompletnie zaskoczyć. Niemieckie siły pancerne, na czele z Korpusem Pancernym

pod dowództwem generała Heinza Guderiana, wsparte niszczycielskimi nalotami Luftwaffe przedarły się przez linię frontu, tworząc pokaźnych rozmiarów wyrwę we francuskim systemie obrony. Niemieckie czołgi zaczęły bezkarnie grasować po całej Francji. Właśnie z tego powodu wojska brytyjskie, które były w stanie stawić czoła Niemcom, wezwano do wycofania się zaledwie kilka dni po zajęciu pozycji na terytorium Belgii. Żołnierze sądzili, że rozkaz wynikał z jakiejś lokalnej przyczyny. Być może Niemcy przełamali pobliski odcinek frontu? Albo tylko nasza jednostka zostaje odesłana na tyły z powodu niestosownego zachowania?

Z początku jednostki brytyjskie wycofywano stopniowo, zwijając kolejne linie obrony. Czasem odwoływano całą dywizję, jakby miała za zadanie wypełnić odległą lukę w obronie. W miarę jak odwrót nabierał tempa, konsternacja przybierała na sile i wśród wojska zaczęły szerzyć się różne pogłoski. Jedna z nich okazała się prawdziwa: potężny wyłom dokonany przez Niemców na południu zagroził okrążeniem armii brytyjskiej. Tak czy owak, w trakcie operacji odwrotowej nie było mowy o żadnej ewakuacji ani też wzmianki o legendarnej dziś Dunkierce.

W marszu ku wybrzeżu uczestniczyły wojska wszelkich formacji, od jednostek elitarnych po niewyszkolone oddziały pomocnicze. Jedni poruszali się pieszo, maszerując całymi batalionami lub wlokąc się w pojedynkę. Inni korzystali z transportu samochodowego, jechali konno, na ciągnikach

albo na rowerach. Widziano nawet grupę śmiałków, którzy posuwali się do przodu pod osłoną krów. Narażeni na ostrzał nieprzyjacielski i pozbawieni zaopatrzenia żołnierze znajdowali się w nie najlepszej kondycji fizycznej i psychicznej.

Jeden z nich, Walter Osborn z Royal Sussex Regiment, znalazł się w sytuacji szczególnie trudnej. Po wysłaniu do premiera Winstona Churchilla anonimowego listu z prośbą o „udzielenie chłopakom jakiegoś urlopu”, został skazany na czterdzieści dwa dni aresztu za „użycie języka szkodliwego dla właściwego porządku i zachowania”. Teraz, wycofując się wraz z towarzyszami, Walter brał udział w działaniach bojowych, jednak po zakończeniu walki zamykano go w najbliższej stodole lub piwnicy, żeby nadal odsiadywał swój wyrok. Walter Osborn uważał, że postępowano z nim nie fair, dlatego poskarżył się wojskowemu żandarmowi, że „człowiek powinien wiedzieć, na czym stoi!”.

Inny żołnierz, który podróżował na skrzyni ciężarówki do Tourcoing w stalowym hełmie, szynelu khaki i z karabinem w dłoni, nie wyróżniał się niczym oprócz nieco drobniejszej postury niż przeciętny żołnierz. Ot, mundur wisiał na nim trochę bardziej niż na innych, ale to też nie było nic nadzwyczajnego. Od szeregowców nie wymagano, by nosili się nienagannie jak Errol Flynn w filmie *Szarża lekkiej brygady*. Niezwykły był natomiast z pewnością fakt, że żołnierza tego łączył z pewnym szeregowcem z East Surrey Regiment… związek małżeński.

Dwudziestojednoletnia Francuzka Augusta Hersey, bo o niej mowa, kilka dni wcześniej poślubiła Billa Herseya, magazyniera z 1. Batalionu East Surrey. Poznali się w prowadzonej przez rodziców Augusty kawiarni. Hersey stacjonował w okolicy i chociaż znali tylko swoje języki ojczyste, zakochali się w sobie na zabój. Hersey poprosił ojca Augusty o rękę córki, pokazując palcem wyraz *mariage* w słowniku francusko-angielskim i powtarzając wielokrotnie „twoja córka”.

Na szczęście dla Billa Herseya dowódca jego kompanii okazał się romantykiem i łamiąc liczne punkty regulaminu, zgodził się, żeby Augusta włożyła mundur wojskowy i przyłączyła się do batalionu. W ten sposób para nowożeńców wycofywała się przed Niemcami w tym samym czasie i prawie razem.

Należy zaznaczyć, że odwrót nie prowadził do żadnego określonego celu, dopóki lord Gort, dowódca wojsk brytyjskich, nie podjął odważnej decyzji, że jedyną szansą na przynajmniej częściowe ocalenie armii było wysłanie Anthony’ego Irwina, Waltera Osborna i całej reszty Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych w kierunku Dunkierki. Był to bowiem ostatni port nadal pozostający w rękach aliantów, skąd część z nich mogłaby zostać przetransportowana do domu drogą morską.

Przybywających do Dunkierki witał niezapomniany widok. Komandor William Tennant, powołany przez Admiralicję na dowódcę sił morskich prowadzących ewakuację, przypłynął z Dover rankiem 27 maja w celu koordynowania Operacji

Dynamo. Zastał miasto w pożodze. Ulice zatarasowane wrakami, wszystkie okna powybijane. Dym z płonącej rafinerii ropy naftowej spowijał całe centrum i doki. Martwi i ranni żołnierze zalegali na ulicach. Idąc dalej, komandor napotkał rozsierdzoną, groźnie pomrukującą gromadę brytyjskich żołnierzy z bronią gotową do strzału. Z trudem zdołał załagodzić sytuację, dzieląc się z przywódcą grupy zawartością swojej piersiówki.

Inny oficer marynarki, który pojawił się w Dunkierce dwa dni później, idąc do miasta od strony morza, natknął się na jedną z najbardziej przygnębiających scen, jakie widział w życiu. Na wschód od portu zaczynały się plaże i ciągnęły się przez ponad szesnaście kilometrów. Plaże jak okiem sięgnąć były czarne od tłoczących się na nich dziesiątków tysięcy żołnierzy. Podchodząc bliżej, oficer zauważył, że wielu mężczyzn brodziło w wodzie, ustawiając się w kolejkach do małych, żałośnie wyglądających wątłych łódek. Był to widok beznadziejnie przygnębiający. Zastanawiał się, jak mogą nie zdawać sobie sprawy, że tylko ułamek procent z nich ma szansę na ocalenie.

Jednak im bliżej plaży się podeszło, a zwłaszcza im dłużej się na niej przebywało, tym wyraźniej było widać, że każdy żołnierz to zupełnie inny przypadek i całkiem odrębna historia. Jeden z oficerów Royal Sussex Regiment opowiadał, że po wejściu na plażę najpierw odebrał honory od przedstawiciela żandarmerii wojskowej, następnie zapytano go, z jakiej jest jednostki, po czym został uprzejmie skierowany do świetnie zorganizowanej kolejki.

Jednak w innej kolejce pewien młody żołnierz, sygnalista, usłyszał:

– Spadaj, kolego, zanim poślemy ci kulkę.

Sierżant z Royal Engineers obserwował z daleka, jak na widok przypływającej łodzi gromada zdesperowanych żołnierzy rzuciła się do bójki o miejsce na pokładzie. Dowodzący łodzią marynarz czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby zaprowadzić między nimi porządek, zanim łódź się wywróci, po czym wyjął rewolwer i strzelił prosto w głowę jednego z żołnierzy. Pozostali niemal nie zwrócili na to uwagi.

– Na plaży panował tak wielki chaos – wspominał sierżant – że taki postępek wydawał się całkiem normalny.

Każdy, kto stał na plaży lub na molo (czyli długim falochronie, z którego ewakuowano większość wojsk) lub wycofywał się z frontu w głębi lądu pod osłoną krów, otaczającą go rzeczywistość postrzegał inaczej. Gdyby postawić je obok siebie, te różne sposoby widzenia przeczyłyby sobie nawzajem. Weźmy na przykład jeden z elementów relacji: plaże. Obejmowały ogromny obszar, zaludniały je dziesiątki tysięcy ludzi w rozmaitym stanie psychicznym i fizycznym, przebywających przez dziesięć dni w gwałtownie zmieniających się warunkach. Jak te relacje mogły sobie nie przeczyć? Na plażach rozgrywało się wszystko, co tylko możliwe na świecie.

A kiedy żołnierze znaleźli się już na pokładzie łodzi i okrętów w drodze do Anglii, wcale nie było lepiej. Pod bombami i ogniem maszynowym Luftwaffe, pod ostrzałem

artylerii wzdłuż wybrzeża, zagrożona minami magnetycznymi i torpedami, armia brytyjska zmierzała ku ocaleniu, lecz ono jeszcze nie nadeszło. Oficer Cheshire Regiment był jednym z trzydziestu pasażerów wiosłowej łodzi wielorybniczej, która płynęła z plaży w kierunku niszczyciela za kotwiczonego w głębi morza. Okręt miał zabrać ich do domu, jednak kiedy łódź zbliżyła się do niego, niszczyciel podniósł kotwicę i ruszył w kierunku Anglii. Jeden z pasażerów, kapelan wojskowy, ogarnięty nagłym wzburzeniem poderwał się z krzykiem:

– Boże! Boże! Czemuś nas opuścił?!

Pod wpływem jego gwałtownych ruchów łódź przechyliła się i nabrała wody. Pozostali pasażerowie zaczęli kapelanowi głośno wymyślać. Po chwili, być może w odpowiedzi na jego modły, chociaż raczej reagując na wrzaski pasażerów, niszczyciel zawrócił i wziął wszystkich na pokład.

Ogromna większość wojsk Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych wróciła z Dunkierki do domu cała i zdrowa. Przeważającą liczbę spośród nich przewiozły okręty marynarki i duże statki handlowe. Słynne Małe Statki (niektóre obsługiwane przez cywilów, przeważnie żeglarzy) służyły do transportowania żołnierzy z płytkich plaż na pokład większych jednostek zakotwiczonych na morzu. Gdyby żołnierze ci zginęli lub gdyby dostali się do niewoli, Wielka Brytania z całą pewnością byłaby zmuszona do poszukiwania układu pokojowego z Hitlerem. Wtedy

historia potoczyłaby się o wiele mroczniejszym torem i dzisiaj wszyscy żylibyśmy w zupełnie innym świecie.

W tym kontekście łatwiej zrozumieć, dlaczego Dunkierka – desperacka ewakuacja w następstwie tragicznej klęski – zaczęła być postrzegana jako wydarzenie chwalebne, jako drogocenny kawałek zwycięstwa odzyskanego z globalnej katastrofy. Podczas gdy Armistice Day, dzień zakończenia pierwszej wojny światowej obchodzony 11 listopada, podobnie jak większość rocznic wojennych upamiętnia ponure klęski, rocznica Dunkierki, w trakcie której Małe Statki odtwarzają rejs przez kanał La Manche, odbierana jest raczej jako uroczystość radosna. Ponieważ Dunkierka symbolizuje dziś nadzieję i przetrwanie. I tak było od samego początku.

W chwili gdy przystępowano do ewakuacji, sytuacja militarna Wielkiej Brytanii była tak fatalna, że – jak na dnie puszki Pandory – pozostała tylko nadzieja. W niedzielę 26 maja ogłoszono narodowy dzień modlitwy. W ślad za nabożeństwami w opactwie westminsterskim i w katedrze św. Pawła, żarliwie modlono się w kościołach i synagogach całego kraju, a także w londyńskim meczecie w Southfields.

Arcybiskup Canterbury wygłosił kazanie, w którym przyznał, że Wielka Brytania potrzebuje pomocy bożej i na nią zasługuje.

– Zostaliśmy wezwani do udziału w potężnym konflikcie między dobrem a złem – stwierdził, podkreślając, że wyznawane przez Brytyjczyków zasady moralne należy uznać za święte, ponieważ „oznaczają wolę bożą”. Bóg był

po stronie Wielkiej Brytanii i tylko On wiedział, w jaki sposób nieprzyjaciel zostanie pokonany. Nic zatem dziwnego, że ewakuacja, nazwana wkrótce przez Winstona Churchilla „cudowną”, nabrała niemal religijnego znaczenia. Arcybiskup nie mylił się. Wiele wskazywało na to, że Bóg rzeczywiście sprzyjał Wielkiej Brytanii, potwierdzając opinie takich pisarzy jak Rupert Brooke i Rudyard Kipling oraz prowadząc do powstania pojęcia, które przetrwało już ponad siedemdziesiąt lat: Duch Dunkierki.

Wydaje się, że Duch Dunkierki, rozumiany jako odmowa złożenia broni czy poddania się rozpaczy w obliczu kryzysu, zadomowił się w świadomości zbiorowej całkiem spontanicznie. Wracający do Anglii żołnierze w przeważającej większości uważali się za pożałowania godną resztkę rozgromionej armii. Wielu czuło głęboki wstyd. Dlatego niespodziewanie radosny powszechny nastrój, jaki napotkali w kraju, wprawiał ich w zakłopotanie.

– Wsadzono nas do pociągu i na każdej stacji ludzie częstowali nas kawą i papierosami – wspomina jeden z oficerów z Durham Light Infantry. – Sądząc po tej szalonej euforii, traktowano nas jak bohaterów, którzy odnieśli zwycięstwo, chociaż przecież było oczywiste, że zostaliśmy pokonani.

Nella Last, gospodyni domowa z Lancashire, w pierwszych dniach czerwca zapisała w swoim dzienniku:

Dzisiaj rano przy śniadaniu czytałam wielokrotnie relację z ewakuacji pod Dunkierką. Czułam się tak, jakby drżała we mnie i grała jakaś harfa… Zapomniałam, że jestem kobietą w średnim wieku, która często bywa zmęczona i cierpi na bóle w krzyżu. Ta relacja sprawiła, że poczułam się częścią czegoś wielkiego, co trwa wiecznie.

Ten powszechny przypływ emocji nie wszystkich jednak cieszył. Generał Bernard Montgomery, który podczas odwrotu dowodził 3. Dywizją, z niesmakiem patrzył na żołnierzy paradujących po Londynie z naszywką „Dunkierka" na mundurach. Podsumował to w takich słowach:

Myśleli, że są bohaterami, cywile myśleli tak samo. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że Armia Brytyjska poniosła sromotną klęskę.

Inwazja niemiecka nie była niespodzianką i generałowi nie odpowiadała taka demonstracja dumy oraz fałszywego samozadowolenia. Wobec perspektywy dalszej walki i szansy przetrwania większość społeczeństwa brytyjskiego wolała jednak widzieć w powracających żołnierzach wspaniałych bohaterów.

Zdarzali się również cywile, którzy nie podzielali euforii. Pewna starsza pani tak skomentowała widok wynędzniałych żołnierzy schodzących 3 czerwca z okrętów w Dover:

– W czasach mojej młodości żołnierze nosili się tak elegancko, że nigdy nie wyszliby bez rękawiczek.

Obserwator z instytutu Mass Observation, który odnotował tę wypowiedź, zwrócił też w swoim raporcie

uwagę na panującą w mieście atmosferę beznamiętnej apatii:

Żadnych kwiatów, żadnych flag, zupełnie inaczej niż w doniesieniach prasowych.

Władze nie szczędziły jednak zachęty do publicznego wyrażania uniesienia i podkreślania poczucia ulgi. Instynkt polityczny podpowiadał Winstonowi Churchillowi, że jest to działanie bardzo potrzebne, o wielkim znaczeniu. Oliver Lyttelton, późniejszy członek Gabinetu Wojennego, zauważa, że wybitne przywództwo polega na umiejętności brania w ryzy racjonalizmu na rzecz entuzjazmu. W roku 1940, po rozważnej analizie prawdopodobieństwa, mało kto gotów był podejmować stanowcze i jednoznaczne decyzje. Churchill, poza tym że wyróżniał się niebywałą błyskotliwością, potrafił także umiejętnie wzbudzić zapał w narodzie. Jak pisze Lyttelton, sprawiał, że czułeś się wielkim aktorem uczestniczącym w wielkich wydarzeniach.

Wieczorem 4 czerwca nadano w radiu przemówienie premiera wygłoszone wcześniej tego dnia w Izbie Gmin. Churchill nie owijał niczego w bawełnę, mówił o niemieckich dywizjach pancernych, które przerwały brytyjsko-francusko-belgijską linię frontu na północy, torując drogę „tępej brutalnej masie” armii niemieckiej. Mówił o stratach w ludziach i ogromnych stratach w uzbrojeniu i sprzęcie. Przyznał też, że wdzięczność za ocalenie armii nie powinna przesłaniać Brytyjczykom faktu, „że to, co zaszło we Francji i Belgii, jest kolosalną klęską militarną”.

Churchill opisał także „cud ocalenia osiągnięty dzięki odwadze, wytrwałości, wzorowej dyscyplinie, nienagannej służbie, pomysłowości, umiejętnościom i niezłomnej wierności”. Mówił, że skoro potrafimy osiągnąć aż tyle w chwili klęski, to można sobie wyobrazić, na co nas stać w zwycięstwie! Wyraził też przekonanie, że Wielka Brytania zdoła obronić się przed niemiecką inwazją:

Będziemy walczyć na morzach i oceanach, będziemy walczyć z rosnącą wiarą i coraz większą mocą w powietrzu, będziemy bronić naszej Wyspy bez względu na koszty, będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na lądowiskach, będziemy walczyć na polach i na ulicach, będziemy walczyć w górach, i nigdy się nie poddamy...

Chociaż te słowa musiały brzmieć inspirująco (nazajutrz pierwsza strona porannego wydania *Daily Mirror* krzyczała: NIGDY SIĘ NIE PODDAMY), jest w nich jednak zapowiedź niełatwej przyszłości. Walka na ulicach i w górach implikuje, że kiedy Niemcy staną na ziemi brytyjskiej, trzeba będzie podjąć walkę partyzancką. Poza tym Churchill dawał też do zrozumienia, że Wielka Brytania posiada określone rezerwy sił. Takie zapewnienie mogło zarówno służyć podniesieniu narodu na duchu, jak i nieść przesłanie pod adresem Stanów Zjednoczonych. Będziemy utrzymywać twierdzę, mówił Churchill, dopóki się do nas nie przyłączycie. Ale proszę, nie zwlekajcie zbyt długo...

Joan Seaman, nastolatka z Londynu, pamięta, że bardzo obawiała się ewentualnych konsekwencji Dunkierki, jednak wypowiedź Churchilla zdecydowanie ją uspokoiła. Dlatego

potem, słysząc słowa potępienia pod adresem Churchilla, zawsze mówiła:

– Tak, ale dzięki niemu przestałam się bać.

Szeregowy George Purton z Royal Army Service Corps po powrocie z Dunkierki nie podzielał wprawdzie opinii Churchilla na temat ewakuacji, ale musiał przyznać, że był to „kawałek doskonałej propagandy”.

Wieczorem 5 czerwca nastroje Brytyjczyków podniosła kolejna audycja radia BBC. Po wiadomościach nadano pogadankę pisarza i dramaturga J. B. Priestleya. Była utrzymana w tonie znacznie bardziej bezpośrednim niż przemówienie Churchilla i przypominała towarzyską pogawędkę z kolegami przy barze. Mówiąc z regionalnym akcentem Yorkshire, Priestley żartował, że ewakuacja spod Dunkierki była typową dla Anglików próbą naprawienia popełnionego błędu, zanim będzie za późno. Szydził z Niemców, twierdząc, że chociaż nie popełniają wielu błędów, to nie mają też na swoim koncie żadnych wielkich czynów. Poza tym, jego zdaniem „nie mają w sobie niczego, co może kojarzyć się z wyobraźnią”. Nawiązując zaś do brytyjskiego uroku, poczucia absurdu i donkiszoterii, pisarz podkreślał typową „angielskość” całej operacji: parowe stateczki spacerowe zostają oderwane od zamków z piasku oraz miętowych lizaków, żeby udać się w rejs do okrutnego świata min magnetycznych i karabinów maszynowych. Niektóre Małe Statki poszły na dno. Dzięki temu stały się nieśmiertelne.

– I kiedy nasze prawnuki będą uczyć się o tym, jak zaczynaliśmy tę wojnę od zamiany klęski w chwałę, żeby zaraz potem iść prosto do zwycięstwa, dowiedzą się także, jak te małe spacerowe parowce popłynęły na wycieczkę do piekła i zwycięsko z niej wróciły.

Pogadanka Priestleya – podobnie jak wiele innych podobnych reakcji na ewakuację – wyrażała dumę z powszechnie szanowanych cech brytyjskiego ducha, takich jak skromność, braterstwo, ekscentryzm, przyzwoitość, gotowość sprzeciwu wobec agresji oraz naturalnemu poczuciu wyższości. Nikt w końcu nie lubi, żeby było widać, jak bardzo się stara. Jak pisał Kipling:

Im większy czyn, tym większa w nas
Ochota, by pośmiać się z niego.
Tak Anglik ma do samego dnia
Sądu Ostatecznego![1]

Rodzącą się historię Dunkierki kształtowano tak, by odpowiadała poczuciu tożsamości narodowej. Kiedyż to po raz ostatni dzielna mała armia przedzierała się ku wybrzeżom Francji w rozpaczliwej ucieczce przed przeważającymi siłami brutalnego wroga, żeby mimo nikłych szans przebić się jednak do wolności? Oczywiście podczas wojny stuletniej, gdy Anglicy odnieśli słynne zwycięstwo w bitwie pod Agincourt za sprawą, jak pisał Szekspir, „nielicznych szczęśliwców” i „braterskiej zgrai”. Skoro więc narodowe poczucie angielskiej tożsamości zrodziło się pod Agincourt, to historii Dunkierki nie trzeba już było naginać.

Dominujące nastroje społeczne dobrze ilustruje publiczna reakcja na sztukę Roberta Ardreya pod tytułem *Grzmiąca skała (Thunder Rock)*, której premiera z Michaelem Redgrave'em w roli głównej miała miejsce dwa tygodnie po ewakuacji w lokalnym londyńskim teatrze Neighbourhood w dzielnicy Kensington. Przedstawienie, które autor określił jako dramat dla ludzi w rozpaczy, natychmiast stało się przebojem. Krytyk teatralny Harold Hobson twierdzi, że spektakl wywierał na widzach takie samo wrażenie, jak przemówienie Churchilla na słuchaczach. Sztuka cieszyła się powodzeniem do tego stopnia, że Ministerstwo Skarbu po kryjomu dofinansowało ją i przeniosło na londyński West End, potwierdzając tym samym płynność granicy między spontaniczną reakcją publiczną a reakcją narzuconą przez władze.

Dramat opowiada o dziennikarzu, którego tak bardzo rozczarował współczesny świat, że wycofał się z życia publicznego i przyjął posadę latarnika w głębi amerykańskiej krainy jezior. Tam odwiedzają go duchy mężczyzn i kobiet, którzy sto lat wcześniej utonęli w jeziorze, uciekając na wschód przed trudnymi wyzwaniami swojej epoki. W rozmowie z gośćmi z zaświatów bohater dochodzi do wniosku, że podobnie jak oni powinien zmierzyć się z aktualnymi wyzwaniami. Opuszcza więc latarnię i idzie na wojnę. W monologu finałowym bohater odnosi się bezpośrednio do kwestii żywotnej dla współczesnej widowni:

Mamy powody przypuszczać, że pewnego dnia wojny ustaną, ale tylko wtedy, gdy sami je powstrzymamy. Trzeba się więc za nie wziąć, żeby się ich pozbyć... Musimy zaprowadzić nowy porządek w starym chaosie... Nowy porządek, który zniesie ucisk, bezrobocie, głód i woj ny, tak jak stary porządek zniósł zarazę i plagi. I o to właśnie musimy walczyć, na to pracować... nie walczyć dla samej walki, lecz żeby stary świat zamienić na nowy.

Tak wzniosłe ambicje społeczne ilustrują proces ewolucji, jakiemu ulegał Duch Dunkierki. W ówczesnych realiach politycznych początkowe uczucie ulgi (klęska nie jest nieuchronna) i poczucie dumy (heroiczny ostateczny zryw) stopniowo ulegało wzbogaceniu i przekształcało się w myśl o wiele głębszą i znacznie bardziej złożoną. Jeżeli Adolf Hitler jest raczej skutkiem niż przyczyną, to w wyniku zwycięstwa musi powstać świat lepszy i bardziej przyzwoity.

Cokolwiek by jednak napisać i powiedzieć, najbardziej imponujące przejawy Ducha Dunkierki wystąpiły w sferze gospodarki. Robotnicy brytyjscy w pełni uznali potrzebę zwiększenia wysiłku wynikającą z bezpośrednich następstw ewakuacji. Punktem szczytowym Ducha Dunkierki okazała się niebywała zgodność, która nastąpiła między pracownikami a kadrą zarządzającą, będąca wyrazem wspólnej woli i dążenia do przetrwania. Niespełna dwa tygodnie po Dunkierce wydajność w fabryce SU Birmingham produkującej gaźniki do myśliwców typu Spitfire i Hurricane uległa podwojeniu. Oficjalnie godziny

pracy trwały od ósmej rano do siódmej wieczorem przez siedem dni w tygodniu, ale robotnicy często nie opuszczali stanowiska pracy aż do północy i zostawali w zakładzie na noc. Taki stan rzeczy byłby nie do pomyślenia w jakimkolwiek innym okresie minionego stulecia.

Kiedy nadszedł niemiecki Blitzkrieg, który przez osiem i pół miesiąca, od września 1940 roku do maja 1941 roku nękał Wielką Brytanię masowymi nalotami Luftwaffe, ludzie zrozumieli, że trzeba wziąć się w garść. Duch Dunkierki wespół z Duchem Blitz tworzył niepowtarzalny klimat szlachetnego współdziałania. U podstaw obu tych impulsów leżało jednak instynktowne przekonanie, że trzeba ratować życie.

W latach powojennych powoływano się czasem na Ducha Dunkierki jako na dowód zarzucanej Brytyjczykom rzekomej skłonności do tego, by przykładać się do działania dopiero w chwili, gdy zajdzie ostateczna konieczność. Całkiem niedawno miało miejsce przywołanie Ducha Dunkierki w sensie bardziej bezpośrednim: oto emerytowany ramiarz Peter Clarkson z Cumbrii po intensywnych opadach, które w grudniu 2015 zalały mu cały dom, włożył kąpielówki i zaczął pływać po swojej kuchni. Zmierzając kraulem do lodówki, krzyczał:

– Tak rozprawiamy się z powodzią! – dodając, że próbuje w ten sposób „rozbudzić w sąsiadach Ducha Dunkierki”.

Kiedy zaś Hull City Association Football Club awansował do Premier League 2016-17 mimo kontuzji odniesionych przez kilku głównych zawodników i mimo braku stałego

selekcjonera, pomocnik Shaun Maloney oświadczył, że drużyna zawdzięcza sukces panującemu w klubie Duchowi Dunkierki.

Prawdziwą próbę sił przeszedł jednak Duch Dunkierki podczas kampanii referendalnej w sprawie Brexitu w roku 2016, w której często nawiązywano do doświadczeń z okresu drugiej wojny światowej. Peter Hargreaves, główny sponsor kampanii na rzecz opuszczenia Unii, zachęcał do głosowania za Brexitem, przywołując moment, kiedy Wielka Brytania rozstawała się z Europą po raz ostatni:

– To będzie następna Dunkierka. Wyniesiemy się stamtąd i odniesiemy niewiarygodny sukces, ponieważ znowu stracimy poczucie bezpieczeństwa. A brak poczucia bezpieczeństwa jest dla nas fantastyczny.

Z kolei Nigel Farage, niezbyt zadowolony z powoływania się na Dunkierkę, usiłował ją rekonstruować, żeglując flotyllą małych statków wzdłuż Tamizy ze sloganami w stylu „Głosuj za wyjściem i za Brytanią znowu Wielką”.

Takie nawiązania wynikają ze współczesnych programów, z działań powstałych w realiach współczesnych. Jak jednak opisują Ducha Dunkierki weterani ewakuacji? Co Duch Dunkierki znaczył – i co znaczy – dla nich?

Większość z nich dostrzega go w swoich doświadczeniach osobistych. Robert Halliday z Royal Engineers przybył do Francji na początku wojny i został ewakuowany 1 czerwca z plaży Bray Dunes. Według niego Duch Dunkierki

przejawiał się w zażartej obronie przyczółka wokół Dunkierki przez oddziały brytyjskie i francuskie.

– Ci goście, którzy trzymali Niemców na dystans, żebyśmy mogli przejść na plażę, byli dla nas po prostu na wagę złota!

Halliday pamięta, jak żołnierze pozdrawiali ich, życząc im powodzenia. Do dziś opowiada o tym ze łzą w oku:

– To było po prostu piękne. – Dla niego Duch Dunkierki jest nadal całkiem namacalny.

George Wagner, ewakuowany z plaży De Panne 1 czerwca, twierdzi, że Duch Dunkierki to przetrwanie:

– Chcieliśmy przetrwać jako naród. Chodzi o braterstwo i wzajemną pomoc.

Nie wszyscy są zgodni. Ted Oates z Royal Army Service Corps, zabrany na statek z nabrzeża w Dunkierce, pytany, czy dzisiaj Duch Dunkierki coś dla niego znaczy, kręci przecząco głową. A George Purton uważa, że w gruncie rzeczy armia brytyjska została zdradzona:

– Wysłano nas do wykonania zadania, z którym nie mogliśmy dać sobie rady. – Wspomina Dunkierkę jako czas osamotnienia: – Tyle się wokół działo, że człowiek musiał sam zacząć martwić się o siebie: „Jak ja, u diabła, z tego wszystkiego wyjdę?”.

W zbiorowej świadomości Brytyjczyków Dunkierka zajmuje miejsce niemal święte. Nagromadziło się wokół niej wiele sprzecznych doświadczeń i postaw. Wzbudza silne emocje nie tylko wśród weteranów, lecz także wśród osób urodzonych później, skazanych jedynie na pamięć zbiorową

i interpretacje wygodne dla polityków. Jak zatem podchodzi do tego współczesny twórca filmowy?

Chris Nolan, jeden z najbardziej cenionych współczesnych reżyserów, napisał scenariusz i wyreżyserował film fabularny, którego akcja toczy się podczas ewakuacji. Jest to opowieść, którą Chris znał bardzo dobrze.

– Myślę, że zna ją każdy uczeń w Anglii. Wszyscy mamy ją w kościach. Ja jednak doszedłem do wniosku, że najwyższy czas, żeby wrócić do pierwotnego źródła.

Badając historię Dunkierki, Chris stawiał pytania o to, co się tam wydarzyło naprawdę.

– Zakładałem, jak każdy cyniczny człowiek ery nowożytnej, że kiedy się w to zagłębię, to się rozczaruję. Że zniknie cała mitologia Ducha Dunkierki, obnażając banalne wnętrze.

Lecz odsłaniając kolejne warstwy, natknął się na coś, czego się zupełnie nie spodziewał.

– Uświadomiłem sobie, że w rzeczywistości uproszczenia ujawniają prawdę, bo najprawdziwsza prawda, samo jądro prawdy, polega na tym, że pod Dunkierką zdarzyła się rzecz absolutnie niezwykła. Uświadomiłem sobie cały heroizm tego wydarzenia.

Było to wydarzenie heroiczne. Ale nie jednoznaczne:

– Kiedy zanurzasz się w prawdziwym życiu tej opowieści, kiedy zastanawiasz się, jak tam było naprawdę, to widzisz niezwykle skomplikowane wydarzenie. Weźmy samą tylko liczbę uczestników. Tam, na plaży, zebrało się ich tylu, jakby

to było całe miasto. I jak w każdym mieście nie brakowało tchórzostwa, samolubstwa, chciwości oraz bohaterstwa.

Fakt, że bohaterstwo sąsiadowało z zachowaniami nagannymi, że występowało mimo ludzkiej nikczemności, czyni je jeszcze potężniejszym i bardziej wzruszającym.

– Bo na tym właśnie polega prawdziwy heroizm – mówi Chris.

Jednak mimo rozmaitych indywidualnych aktów odwagi, ewakuacja wojsk spod Dunkierki nadal jawi mu się jako wspólny wysiłek zwykłych ludzi na rzecz większego i ważniejszego dobra. Zdaniem Chrisa to właśnie czyni bohaterstwo znacznie większym niż suma poszczególnych części, które się na nie składają. I to stanowi ostateczny powód, dla którego postanowił zrobić ten film.

Kolejną zaletą jest czysty uniwersalizm tej historii.

– Wszyscy rozumieją jej wielkość, bo to historia pierwotna i biblijna. To są Izraelici zepchnięci do morza przez Egipcjan.

Takie jest idealne tło dla „postaci czasu teraźniejszego”, jak nazywa je Chris, anonimowych postaci bez żadnych obciążeń z przeszłości.

– Postaci są anonimowe i neutralne po to, żeby widz, spotykając je, dał się pochłonąć problemom i wyzwaniom, przed jakimi stanęły.

Podczas pracy nad filmem Chris jest zawsze rzecznikiem widza.

– Robiąc film, opieram się na tym, co czuję i jak chcę pokazać to, co czuję – czyli jak dochodzę do poszczególnych

ujęć – i to pobudza moją wyobraźnię oraz pozwala mi złożyć film w całość.

Jeżeli dochodzi do reakcji emocjonalnej, to znaczy, że jest na właściwym tropie.

– Siedząc w kinie, mam widzieć dokładnie to, co rejestruję. Dobrze opowiedziana historia musi być nakręcona z punktu widzenia jej uczestników na ziemi, w powietrzu i na morzu.

Co oznacza, że prawie wszystkie ujęcia na małych statkach rejestrowano z pokładu statku, że w samolocie kamery starannie umieszczane są tam, skąd widz widzi to samo co pilot.

– Chcę, żeby wszystko wyglądało tak, jak wyglądało naprawdę, i żeby można było to poczuć. Dla mnie czyste kino zawsze jest poznaniem subiektywnym.

Nieprzyjaciel pojawia się w filmie bardzo rzadko. Niemieckich żołnierzy widzimy przelotnie, jedynie przez chwilę, i nawet wtedy ledwie widać ich twarze. Nolan zapewnia, że taka decyzja oddaje rzeczywistą sytuację, czyli subiektywne doświadczenie mężczyzn zebranych na plaży.

– Z relacji uczestników tego wydarzenia wynika, że do bliskiego kontaktu żołnierzy brytyjskich z nieprzyjacielem dochodziło tylko sporadycznie. Moim zamiarem było postawienie widza w sytuacji młodego, niedoświadczonego żołnierza, który nie miał okazji spojrzeć Niemcom w oczy. Chciałem tę sytuację odtworzyć wiernie i oddać ponadczasową naturę opowieści. Bo ta historia przetrwała parę pokoleń i będzie trwać nadal mimo różnych

interpretacji, dlatego że nie opowiada o Niemcach i Brytyjczykach ani o szczegółach konfliktu. Opowiada o przetrwaniu. I ja chciałem nakręcić historię o przetrwaniu.

Prawdziwym wrogiem większości żołnierzy brytyjskich (w każdym razie tych, którzy nie bronili przyczółka Dunkierki) były samoloty, działa artyleryjskie, łodzie podwodne, miny i kanonierki. A bitwa z niewidzialnym wrogiem, z którym nie można walczyć, którego nie można dotknąć ani zobaczyć, to okazja do stworzenia niezwykłego filmu. Chris uważa, że nie jest to film wojenny:

– To jest raczej film z gatunku grozy niż film wojenny. Film grozy psychologicznej, film o niewidzialnym zagrożeniu. Ci chłopcy na plażach nie bardzo rozumieli, co się wokół dzieje i co będzie dalej. I chciałbym, żeby widz poczuł się tak samo jak oni.

Kolejnym wrogiem był czas.

– To jest bezwzględna walka z czasem. Przy czym musisz się uporać z rzeczywistym czasem trwania wydarzenia, włącznie z nudą, zastojami, bezczynnością i tym, że nic się nie dzieje. Utknęli w pułapce, to rodzi napięcie, z którego bierze się adrenalina. Kiedy się robi film o ludziach, którzy stoją w kolejce na moście prowadzącym donikąd, czas staje się wszystkim.

Chris Nolan może sobie życzyć, żeby jego widownia czuła się równie zdezorientowana i zagubiona, jak ci młodzi chłopcy oczekujący pod ogniem nieprzyjacielskim na miejsce w łódce, która zabierze ich do domu. Jednak ja,

jako autor książki historycznej na ten sam temat, nie mogę sobie na to pozwolić. Chciałbym odmalować żywy obraz tych wydarzeń i zaproponować czytelnikom więcej niż to, co dwóch żołnierzy zaproponowało pilotowi Alowi Deere'owi z 54. Dywizjonu, kiedy 28 maja wylądował awaryjnie na plaży.

– *Dokąd idziecie? – zapytał Deere.*

– *To ty nam powiedz – odparł jeden z żołnierzy.*

– *Ewakuujecie się, tak?*

– *Może tak, może nie…*

Zanim jednak opowiem, co się tam stało, chciałbym najpierw przedstawić właściwy kontekst historyczny tych wydarzeń. Uważam, że warto dowiedzieć się więcej o tym, jak ci wszyscy młodzi ludzie żyli przed wojną w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. W kolejnym rozdziale zastanowimy się więc, co znaczyło być młodym w epoce niepewności. Skąd w ogóle wzięła się ta Dunkierka?

ROZDZIAŁ DRUGI
TAK SAMO JAK U NAS

Opowieść o Dunkierce nie sprowadza się tylko do trwającej jeden miesiąc szamotaniny marynarzy, uwięzionych na plażach żołnierzy, ambitnych polityków, trzęsących się generałów oraz nacierających czołgów. To nie tylko głęboki osobisty i narodowy dramat przetrwania. Dunkierka to opowieść o uczestniczących w tym dramacie mężczyznach i kobietach, o tym, skąd się wzięli i co ich uformowało. To także historia reakcji różnych krajów na gnębiące świat nieszczęścia lat trzydziestych ubiegłego wieku. Oraz o tym, jakie okoliczności doprowadziły do ewakuacji armii brytyjskiej zagrożonej zniszczeniem przez wojska nieprzyjaciela. Jest to wreszcie opowieść o tym, jak dochodziła do głosu młodzież – w sensie politycznym, gospodarczym i militarnym.

Zaczniemy tę opowieść od Wielkiej Brytanii. Potem przeniesiemy się do Niemiec, na końcu zaś do Stanów Zjednoczonych. Przyjrzymy się podobieństwom i różnicom. I zastanowimy się, kim bylibyśmy w tej sytuacji i jak byśmy się zachowali.

ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO

Dziewiętnastoletni Thomas Myers z Durham Light Infantry został ewakuowany z plaż Dunkierki 31 maja 1940 roku. Po latach Thomas wspomina, że wśród spadających wokół bomb, świszczących kul i pocisków artyleryjskich zachowywał się jak struś, próbując schować głowę (i inne części ciała) w piasku. Udało mu się zachować względny spokój w odróżnieniu od nieszczęśników, którzy ogarnięci przerażeniem biegali w popłochu po całej plaży.

Jednak mimo że wykazał się takim opanowaniem pod ostrzałem, Thomas nie był wcale żołnierzem doświadczonym. Pięć lat wcześniej, w wieku czternastu lat, wyszedłszy pewnego piątkowego popołudnia ze szkoły w hrabstwie Durham, udał się na spotkanie z kierownikiem kopalni Dean and Chapter Colliery. A w poniedziałek o trzeciej rano rozpoczął pracę jako górnik.

Ojciec i dwaj starsi bracia Thomasa byli także górnikami.

– W naszej okolicy dzieciaki były wychowywane na górników – mówi Thomas. A zapytany, czy lubił tę pracę, odpowiada: – Po to się człowiek rodził, żeby być górnikiem. Szło się do kopalni i tyle.

Thomas zaczynał pracę tak samo jak wcześniej jego ojciec. Nie odbył żadnego szkolenia. Kazano mu po prostu zaprowadzić pracującego pod ziemią kuca do innego, starszego chłopca. Potem okazało się, że zadanie Thomasa polega na zebraniu z przodka wózków z węglem, zaprzęgnięciu do nich konia i przeciągnięciu kilkaset metrów dalej, skąd były mechanicznie wyciągane na powierzchnię. Następnie zabierał puste wózki z powrotem

do ponownego napełnienia. Cykl powtarzał się przez całą szychtę, która trwała siedem i pół godziny.

Thomas tak wspomina pierwszą noc w kopalni:

– Strop podparty drewnianymi stemplami był popękany i wyglądał tak, jakby lada chwila miał się zawalić. Do tego to trzeszczenie i inne odgłosy. Bałem się śmiertelnie, zwłaszcza kiedy byłem sam. Dla czternastolatka takie zejście na dół było naprawdę przerażające.

Obawy Thomasa były uzasadnione. Wkrótce w kopalni zginął chłopiec, który wykonywał taką samą pracę. Rębacz polecił mu, żeby zabrał do wózka wiertarkę. Po drodze koń się spłoszył i po niósł, wózek się wykoleił, a wiertarka wypadła i wbiła się w chłopca. Wiadomość o wypadku mocno Thomasem wstrząsnęła.

– Ja tam już nie zejdę – zwierzył się wieczorem starszemu bratu.

– Zejdziesz, zejdziesz. Musisz sobie z tym poradzić – powiedział brat.

Niedługo potem zginął kolejny chłopiec. Tym razem Thomas pojawił się na miejscu wypadku jako pierwszy.

– To był potworny widok. Z chłopaka nic nie zostało, rozdarło go na strzępy.

W roku, w którym Thomas zaczął pracę w kopalni, w Wielkiej Brytanii ginęło przeciętnie czterech górników dziennie. Górnictwo węglowe było najbardziej niebezpiecznym zawodem w kraju. Nawet jeśli górnik dosłużył się stanowiska rębacza, praca wcale nie stawała się bardziej bezpieczna. Rębacze pracowali w wąskich

korytarzach, czasem w szczelinach niewiele szerszych niż trzydzieści centymetrów. Rębacz ciosał węgiel jedną ręką, leżąc na boku, podczas gdy drugą rękę, zgiętą w łokciu, chował pod kolanem. W wywiadzie przeprowadzonym w roku 1938 przez Joan Littlewood z radia BBC, pewien górnik z Durham mówił:

– Wyrabiasz tyle węgla, ile się da, a kiedy słyszysz, że strop zaczyna się walić, to musisz mu zejść z drogi. Jedyny sposób, żeby być bezpiecznym, to zostawić ten cholerny węgiel w spokoju tam, gdzie jest...

Życie było więc w tych czasach nie tylko trudne, lecz także niebezpieczne. Umazani węglem i spoceni górnicy wracali po pracy do swoich małych domków, w których nie było łazienek. Myli się przeważnie w niedużej balii stojącej w kuchni. Pisarz W. F. Lestrange spędził jakiś czas w domu podobnym do tego, w którym mieszkał Thomas. W rodzinie było trzech górników. Gospodyni „większość czasu bezskutecznie walczyła z pyłem węglowym pokrywającym ściany, meble i podłogi, a w przerwach gotowała wodę na trzy kolejne kąpiele”, pisał Lestrange.

Po drugiej stronie Morza Irlandzkiego wcale nie było lepiej. Irlandia Północna, chociaż geograficznie należała do Irlandii, w sensie politycznym była (i nadal jest) częścią Zjednoczonego Królestwa.

– Ludzie albo zarabiali na wypłatę, albo nie – opowiada Harry Murray, który od roku 1937 pracował w stoczni Harland and Wolff w Belfaście. – A jeśli nie zarabiali, to ich wyrzucano i na tym koniec.

Harry pracował na dworze bez względu na pogodę. Pił herbatę z kanki i miał pół godziny przerwy na posiłek, grę w kości lub modlitwę. Jego przyszłość zależała od widzimisię majstra.

– Majster brał łapówki za miejsce pracy w postaci masła, jajek albo pieniędzy – wyjaśnia Harry. – Ale wystarczyło, żeby nie spodobał mu się twój wygląd, i już byleś zwolniony. A bez pracy było sto razy trudniej przeżyć.

Jednak, choć trudno w to uwierzyć, Harry Murray mógł mówić o szczęściu. Premier Irlandii Północnej zapewniał, że jego rząd jest „protestanckim rządem dla protestantów". I dlatego Harry, jako protestant, miał zagwarantowany dostęp do mieszkania o standardzie podstawowym i do nisko płatnej pracy w przemyśle. Żaden katolik z Ulsteru nie mógł liczyć na takie zabezpieczenie. Ponieważ od początku XX wieku stocznia Harland and Wolff nie zatrudniała katolików, nie ubiegali się tam o pracę. W ten sposób praca w stoczni stała się naturalną specjalnością protestantów, przekazywaną z ojca na syna i ze stryja na bratanka.

A zatem, mimo że protestanci z Ulsteru zarabiali mniej niż ich koledzy po fachu w Anglii i mimo iż mieszkali w domach niewyposażonych w bieżącą wodę i oświetlenie gazowe, w pewnym sensie mogli uważać się za uprzywilejowanych. Przecież lepiej być obywatelem drugiej niż trzeciej kategorii.

Zwykłym ludziom nie było łatwo nawet w Londynie, w samym sercu Imperium Brytyjskiego. W roku 1939

przeciętna długość życia londyńczyka wynosiła 63 lata (dzisiaj 82). Na uniwersytetach studiowało 2% londyńczyków (dzisiaj 43%). Siostra Patricia O'Sullivan przyjechała do Londynu w roku 1934 i zamieszkała we wschodniej części miasta wśród rodzin marynarzy. Zwróciła uwagę, że dla miejscowej ludności szczególne znaczenie miały lombardy. Mężczyzna, który wypływał w morze, przez jakiś czas nie potrzebował garnituru, oddawał go więc do lombardu. Po powrocie próbował go odzyskać, zastawiając przedmioty, które przywiózł z dalekich krajów. Siostra Patricia często wyposażała biedne domostwa w rzeczy oddane pod zastaw przez marynarzy.

Jedno z takich domostw należało do Doris Salt. Jej mąż zginął w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego kierowcę, który dodatkowo jechał skradzionym samochodem. Z powodu tych okoliczności nie przysługiwało jej odszkodowanie od ubezpieczyciela.

– Musiałam sobie jakoś radzić. Nauczyłam się robić dobre jedzenie z byle czego – mówi Doris. – Baranie głowy? Nie, ludzie tego nie jadają, ale my je polubiliśmy.

Florence Muggridge z londyńskiej dzielnicy Poplar znała kobietę, której mąż zginął w wypadku w porcie i która tak skomentowała swoje nagłe wdowieństwo:

– Biedny łobuz! A mieliśmy dziś wieczorem wyjść na miasto.

– Rzecz w tym – wyjaśnia Florence – że człowiek tak naprawdę niczego nie oczekiwał od życia. Trzeba sobie było radzić w sposób, który dzisiaj byłby nie do pomyślenia.

Dzisiaj można traktować życie – przynajmniej z perspektywy Zachodu – jako ciąg określonych wyborów, jednak na początku dwudziestego wieku młodzi Brytyjczycy mieli do wyboru znacznie mniej niż dzisiaj. Przejmowali zawód po ojcu, mieszkali w pobliżu miejsca urodzenia, a małżeństwa zawierali z rozsądku równie często, jak z miłości. Niebawem jednak, pod wpływem wstrząsów gospodarczych, które nastąpiły w latach trzydziestych, fundamenty porządku społecznego w Wielkiej Brytanii, podobnie jak w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych, poważnie się zachwiały. Zmianie ulegały także poglądy i oczekiwania młodych. Pojawił się i narastał konflikt pokoleń.

Jak wiadomo, każda zmiana wymaga katalizatora. Tym razem stała się nim recesja gospodarcza. Pisarz Ronald Blythe zauważa, że wszechogarniającym tłem brytyjskiego międzywojnia było ponure, dojmujące i nieuchronne bezrobocie, które boleśnie dotknęło wszystkie grupy społeczne.

Trevor, siedemnastolatek z południowej Walii, marzył o tym, żeby zostać inżynierem, jednak kiedy jego ojciec stracił pracę, musiał zrezygnować ze szkoły i zatrudnił się jako goniec. Miało to być rozwiązanie tymczasowe, niestety ojcu nie udało się znaleźć nowej pracy, zresztą wkrótce Trevor także został zwolniony i całymi dniami grał w ping-ponga w ośrodku dla bezrobotnych.

W roku 1933 liczba bezrobotnych Brytyjczyków wynosiła trzy miliony i utrzymywała się na wysokim poziomie aż do

wybuchu wojny. Alfred Smith z południowego Londynu stracił pracę w roku 1935. Trzy lata później, mimo że był już dobrze po trzydziestce, opisano go w magazynie *Picture Post* jako mężczyznę o pomarszczonej twarzy i zapadniętych policzkach, który chodzi „krokiem typowym dla bezrobotnych”, z głową opuszczoną i wzrokiem wbitym w ziemię.

Alfred mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu z żoną i trojgiem małych dzieci. Jeden z pokojów podzielony był przepierzeniem. Zazwyczaj rodzina jadła na śniadanie chleb z margaryną, na obiad gulasz lub gotowaną rybę z ziemniakami i chlebem, a na kolację znowu chleb z margaryną. Owoce i warzywa pojawiały się rzadko, ale nie dlatego, że były zbyt drogie, lecz dlatego, że były mniej sycące niż chleb i ziemniaki. Bezrobotni w Wielkiej Brytanii częściej bywali źle odżywieni niż niedożywieni.

W roku 1935 aż 45% młodych ludzi w wieku poborowym uznano za niezdolnych do służby wojskowej. Pięć lat później amerykański dziennikarz William Shirer, akredytowany jako specjalny korespondent przy armii niemieckiej, miał okazję spotkać się z grupą brytyjskich żołnierzy wziętych do niewoli niedługo przed ewakuacją Dunkierki. Shirer pisze, że tworzyli wesołą kompanię. (Jeden z nich przyznał, że po raz pierwszy w życiu widzi „prawdziwego Amerykanina”. I dodał: „Zabawne, że akurat w takim miejscu”). Dziennikarz zwrócił jednak uwagę na ich „marną kondycję fizyczną”. Recesja w Niemczech i Stanach Zjednoczonych dokonała podobnego jak w Anglii, jeśli nie większego

spustoszenia, ale wydaje się, że najbardziej widoczne piętno odcisnęła na młodych Brytyjczykach. Zdaniem Shirera szkolenie wojskowe nie kompensowało złej diety, braku świeżego powietrza i ruchu.

George Orwell, niezrównany kronikarz życia brytyjskiej klasy robotniczej, zauważył, że bodaj najbardziej dotkliwą krzywdą, jaką wyrządziło bezrobocie, bardziej nawet dojmującą niż ubóstwo, było „przerażające uczucie niemocy i rozpaczy”.

Wymowny tego przykład stanowi siedemnastoletni Trevor z Walii, który zabijał czas grą w ping-ponga.

– Przychodzę tutaj codziennie o dziesiątej i gram do obiadu – zwierzał się w rozmowie z W. F. Lestrange’em. – A ponieważ po południu też nie mam nic innego do roboty, wracam z powrotem i gram dalej, jeśli stół nie jest zajęty. Ping-pong, odbijanie celuloidowych piłeczek. To jest teraz moje życie. Będę grał w ping-ponga do końca życia. Kiedy byłem mały, myślałem, że zostanę… chciałem zostać… – Bliski płaczu wybiega z pokoju.

Życie bezrobotnych stało się jeszcze bardziej uciążliwe po wprowadzeniu powszechnego badania pod nazwą Means Test na temat sytuacji materialnej. Ankieta nakładała na bezrobotnych obowiązek regularnego i kłopotliwego usprawiedliwiania się wobec obcego im urzędnika państwowego rządowego. Stojąc w głównym pokoju mieszkania, ankieter zadawał domownikom różne pytania, na przykład na temat płaszcza w podejrzanie porządnym

stanie. Tym sposobem człowiek bezrobotny został pozbawiony prawa do godności i tajemnicy.

Próbowano więc unikać badania. Młoda osoba mieszkająca z rodzicami mogła podać fałszywy adres zamieszkania, żeby otrzymać osobny zasiłek. Zdarzały się też przypadki niesłusznego pozbawienia zapomogi. Orwell pisze o mężczyźnie, który dokarmiał kury sąsiada podczas nieobecności właściciela. Kiedy doniesiono, że ma pracę, odebrano mu zasiłek. Ci, którym udało się wymknąć z tej sieci, nie mogli liczyć na łaskawość urzędników. Pewien bezrobotny, zatrzymany za kradzież dwóch bochenków chleba podczas podróży po kraju w poszukiwaniu zajęcia, tłumaczył się w sądzie, że nie potrafił oprzeć się pokusie. Sędzia nie uznał tego tłumaczenia i skazał nieszczęśnika na dwa miesiące ciężkich robót.

Nie ulega jednak wątpliwości, że to kobiety cierpiały najbardziej. Żona bezrobotnego nadal musiała dbać o utrzymanie domu. Często sama nie dojadała, żeby nie zabrakło jedzenia dla dzieci. To ona użerała się z poborcą czynszu i komornikami. Na domiar złego, trzeba było radzić sobie z konsekwencjami niskiej samooceny męża. Jak zauważył Orwell, przeciętny przedstawiciel klasy robotniczej nigdy nie zaprzątał sobie głowy zajęciami domowymi, nawet jeśli spędzał w domu całe dnie. Co nie przeszkadzało mężczyznom nadal zachowywać się protekcjonalnie wobec kobiet. Na przykład dał temu wyraz przewodniczący Royal Society, sir F. G. Hopkins, który w przemówieniu wygłoszonym w roku 1935 do członków

Towarzystwa stwierdził, że „brytyjska gospodyni domowa z biedniejszej klasy społecznej musi przede wszystkim nauczyć się gotować prosto i smacznie”.

Nic zatem dziwnego, że wobec braku funkcjonującego właściwie systemu opieki społecznej i braku porozumienia między różnymi warstwami społecznymi, do głosu zaczęły dochodzić ekstremistyczne partie polityczne. Brytyjska Unia Faszystowska pod przywództwem oportunisty Oswalda Mosleya w przeważającej mierze składała się z młodych robotników przed trzydziestką. Jej członkowie przemierzali te regiony kraju, w których mogli skutecznie prowokować ludność lokalną. W październiku 1936 roku potężna demonstracja pod wodzą Mosleya przemaszerowała ulicami londyńskich dzielnic East Endu, zderzając się, co było do przewidzenia, przy Cable Street z tłumem młodych antyfaszystów rozsierdzonych tą nieproszoną wizytą. Doszło do starć, w wyniku których aresztowano więcej antyfaszystów niż faszystów, co pozwoliło Mosleyowi przedstawić swoich ludzi jako ofiary agresji. W rezultacie Brytyjska Unia Faszystowska zyskała nowych członków.

Pod koniec marca Mosley wygłosił przemówienie do swoich zwolenników.

– Rząd ulega czerwonej przemocy i żydowskiej korupcji – mówił, zapewniając jednocześnie, że faszyści nie ulegną im nigdy. – Płonie w nas ogień, który obejmie wkrótce cały kraj, a potem cały świat.

W wywiadzie dla radia BBC w roku 1989 Diana Mosley, wdowa po Mosleyu (jedna z ekscentrycznych i utytułowanych sióstr Mitford) zapewniała, że jej mąż w gruncie rzeczy wcale nie był antysemitą, lecz został sprowokowany przez Żydów, którzy usiłowali powstrzymać jego marsz na Cable Street. (W tym samym wywiadzie pani Mosley, wspominając Hitlera, wyznaje, że „był niezwykle interesującym rozmówcą… miał wiele do powiedzenia…”).

Na krótko przez demonstracją w Londynie ojciec Diany Mosley, lord Redesdale, wystąpił w Izbie Lordów, zarzucając Brytyjczykom ignorancję wobec postaw nazistowskich. Za najbardziej powszechny błąd uważał stosunek nazistów do Żydów. Jego zdaniem w rzeczywistości Niemcy nie mają nic przeciwko Żydom tak długo, dopóki Żydzi zachowują się właściwie. Jeśli jednak Niemcy uznają, że Żydzi stwarzają problemy, to mają prawo rozwiązać ten problem po swojemu. Gdyby natomiast naziści mieli pojawić się kiedyś w Wielkiej Brytanii, to z pewnością mogą liczyć na poparcie zarówno ze strony klas wyższych, jak i niższych warstw społeczeństwa.

Wśród młodych Brytyjczyków zaczynał także zyskiwać popularność inny rodzaj ekstremizmu – komunizm. Jeden z jego zwolenników, Giles Romilly, kuzyn Winstona Churchilla, napisał:

Młodzież ma prosty wybór: albo stanąć po stronie pasożytów i wyzyskiwaczy... albo po stronie klasy robotniczej, żeby obalić system kapitalistyczny i stworzyć podwaliny państwa bezklasowego.

W latach 1936-1937 tysiące młodych ludzi ruszyły do Hiszpanii, by wstąpić do Brygad Międzynarodowych i walczyć przeciwko generałowi Franco. Większość z nich reprezentowała klasę robotniczą, jednak nie wszyscy. Penny Fiewel była pielęgniarką z Hertfordshire.

– Jedna z koleżanek zapytała mnie, czy pojechałabym na ochotnika do Hiszpanii. Przyznałam się, że nic nie wiem o Hiszpanii, bo nic nie wiedziałam. Koleżanka na to, że w takim razie muszę się poduczyć i wszystko mi opowiedziała, także o tym, jak siostry zakonne stanęły po stronie Franco. To mnie chwyciło za serce. Byłam młoda i bardzo uczuciowa.

Penny znalazła się wkrótce we frontowym szpitalu polowym, pielęgnując ciężko rannych i szkoląc hiszpańskie pielęgniarki. Kiedy po raz pierwszy w pobliżu sali operacyjnej spadły bomby, wszędzie zaroiło się od przerażonych i poszukujących schronienia cywilów. Po zderzeniu w ciemności z jakimś mężczyzną Penny poczuła, że lepią jej się ręce. Gdy włączono światło, okazało się, że wybuch oberwał mężczyźnie połowę twarzy.

Tak więc dużo wcześniej, nim we wrześniu 1940 roku Hermann Goering rozpoczął naloty Luftwaffe na Londyn, Penny Fiewel poznała straszliwe skutki nalotów dywanowych. Wojna domowa w Hiszpanii – taka, jak odmalował ją Pablo Picasso – nauczyła świat strachu przed lotnictwem bombowym.

Kilka miesięcy później Penny została poważnie ranna podczas nalotu. Obudziła się w jakiejś szopie, czując

potworny ból. Była naga, miała na sobie tylko bandaże, którymi opatrzono jej klatkę piersiową i brzuch. Naloty trwały przez cały czas jej dalszego pobytu w szpitalu.

– To były koszmarne dni – wspomina Penny.

Jak wiadomo, wojnę wygrali nacjonaliści generała Franco dzięki wsparciu wojskowemu ze strony Niemiec, co stanowiło ewidentne naruszenie podpisanego przez nich paktu o nieinterwencji. Jednocześnie było to ostrzeżenie, że Hitlerowi nie należy ufać. Mimo to przywódcy brytyjscy mieli do Führera stosunek równie niezobowiązujący, jak do gospodarki.

Wielka Brytania wygrała wprawdzie pierwszą wojnę światową, ale gospodarka narodowa bardzo na tym ucierpiała. (Do roku 2017 Zjednoczone Królestwo nadal nie spłaciło pokaźnej części obligacji wojennych). Największe straty poniosła jednak w ludziach. Poległy tysiące młodych Brytyjczyków, a z tych, którzy przeżyli, mnóstwo odniosło rany i urazy psychiczne. Przywódcy kraju robili wszystko, by wojna jak najprędzej przeszła do historii. Chcieli wierzyć w nowy pokojowy porządek na świecie pod skrzydłami Ligi Narodów i niechętnie poświęcali uwagę temu, co działo się w Niemczech. Równie niechętnie myślano o podnoszeniu podatków w celu dozbrojenia armii. Znacznie łatwiej i znacznie wygodniej było solidarnie chować głowy w piasek, niż wsłuchiwać się w okrzyki wojenne polityków pokroju Winstona Churchilla.

Chociaż więc politycy brytyjscy nie aprobowali postępowania Hitlera, początkowo nie dostrzegali w jego

działaniach żadnego zagrożenia. Jak stwierdził późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy w swojej książce z roku 1940 „Dlaczego Anglia spała” (Why England Slept):

Tylko obawa, gwałtowna obawa o własne bezpieczeństwo... jest w stanie wywołać ogólnonarodową potrzebę zbrojeń.

Wielka Brytania nie czuła takiej obawy do momentu, kiedy było już niemal za późno.

Natomiast Niemcy wręcz przeciwnie, nie mogli nadążyć z remilitaryzacją. Te, tak odmienne postawy obu państw – jedna konserwatywna i ugodowa, druga radykalna i bezwzględna – miały stanąć do konfrontacji podczas wydarzeń, które nastąpiły w maju i czerwcu 1940.

Bez względu na przeciwności, z jakimi przyszło zmagać się Brytyjczykom w latach bezpośrednio poprzedzających wojnę, w społeczeństwach tych krajów zachodziło także inne, bardziej pozytywne zjawisko. W Ameryce, a także w Niemczech, chociaż tam w sposób swoiście ponury, rodziła się odrębna kultura młodzieżowa. Czytamy w artykule wstępnym Picture Post z początku roku 1939:

Młodzież wybuchła gwałtownie, jak epidemia wysypki.

Wszyscy, od dziennikarzy przez polityków po przywódców kościoła, zaczęli mówić o „młodzieży”. W Picture Post napisano:

Skąd się bierze cała ta paplanina o „młodzieży”? Po części stąd, że żyjemy w epoce przejściowej, że ludzie starsi zostali stłamszeni przez instytucje, w które przestaliśmy już

wierzyć. I mamy nadzieję, że młodzi lepiej sobie z tym poradzą!

Tu dochodzimy do zaskakującego podobieństwa, które łączy omawiane trzy kraje. Recesja i pozorna porażka poprzedniego pokolenia pozwoliły młodym zabrać się do kształtowania swej nowej tożsamości. W Wielkiej Brytanii, w odróżnieniu od pozostałych państw, skorzystali z tej możliwości młodzi pracujący zarobkowo, od czternastolatków po dwudziestoparolatków, ponieważ zarobki zapewniały im więcej wolnych środków niż pozostałym grupom społeczeństwa. Kultura młodzieżowa nie dojrzewałaby bowiem w tak szybkim tempie, gdyby nie przynosiła dużych korzyści tym, którzy wspierali jej przejawy.

Badanie przeprowadzone w roku 1937 w ubogiej dzielnicy Manchesteru ujawniło, że:

Pracujące dzieci z najuboższych rodzin wyjeżdżały na wakacje, kupowały sobie nowe ubrania, podczas gdy ich rodzice, a zwłaszcza matka, zostawali w domu i chodzili w starych ubraniach.

Jesteśmy więc świadkami narodzin nastolatka dużo wcześniej, zanim powstało to pojęcie. Dzięki temu, że młodzi zatrzymywali dla siebie sporą część zarobionych pieniędzy, korzystali ze znacznie wyższego standardu życia niż starsi członkowie ich rodzin.

Sporo pieniędzy młodzi przeznaczali na kino, zresztą głównie amerykańskie. Oglądali przeciętnie jeden film tygodniowo. Niektórzy chodzili do kina znacznie częściej.

Filmy dostarczały nie tylko rozrywki, ale były też dla tego pokolenia ważnym wzorcem i źródłem wiedzy. Młodzi naśladowali modę, fryzury, akcent oraz kształtowali swoje poglądy. Chłopcy chodzili w kapeluszach filcowych typu fedora, dziewczęta nosiły się w stylu Scarlett O'Hara.

Z zapisu w pamiętniku dziewczyny z robotniczej rodziny mieszkającej na przedmieściach Manchesteru wynika, że w roku 1938 wieczory poniedziałkowe najczęściej spędzała w kinie z przyjaciółką na filmie z udziałem George'a Formby'ego. Filmy podsuwały tematy do dyskusji, głównie o chłopakach i modzie. A po powrocie do domu słuchało się muzyki do tańca i rozmawiało z rodziną – o filmach.

Nastolatkowie wydawali sporo pieniędzy na tańce. George Wagner (saper, który zostanie ewakuowany z De Panne w maju 1940) miał szesnaście lat, kiedy w roku 1936 został stałym bywalcem sali tanecznej. Był chłopcem nieśmiałym, lecz taniec okazał się jego pasją.

– Tam spotykało się wszystkie dziewczyny.

W garniturze z kamizelką, który kupiła mu matka, i pod krawatem (długie spodnie zaczął nosić dopiero po ukończeniu czternastego roku życia) w towarzystwie trzech najbliższych przyjaciół chodził na tańce piechotą do oddalonego o kilka kilometrów Palace Ballroom w Erdington.

Naukę tańca prowadził Harry Phillips, który krążył po sali, partnerując chłopakom i dziewczynom. Nie podawano alkoholu, więc jeśli któryś z przyjaciół George'a chciał napić się czegoś mocniejszego, musiał korzystać z pubu,

udając przy tym pełnoletniego. Pięcioosobowy zespół muzyczny grał popularne przeboje amerykańskie – ulubionym utworem George'a był Deep Purple – a młodzieńcy zbierali się na odwagę, żeby zaprosić jakąś dziewczynę. George tak to wspomina:

Trzeba było dziewczynę poderwać i sprawdzić, czy da się ją zabrać do siebie. Nie miałem wtedy żadnej dziewczyny, byłem za młody. Od prowadzałem je do domu i pewnie trochę się migdaliłem przed bramą, ale były bardzo dobrze pilnowane. Czasem rodzice obserwowali przez okno w świetle latarni i wołali: „Chodź do domu. Jest późno!".

Co zatem różniło młodych pracowników zarobkowych tego pokolenia od ich poprzedników? Instynkty pozostały te same, lecz zachowania ulegały zmianie. Młodzi, zatrzymując swoje zarobki dla siebie, coraz częściej przeznaczali je na własne zainteresowania i pragnienia. Przed pierwszą wojną światową raczej nie było takich atrakcji, które były przeznaczone tylko dla młodych ludzi. Sale taneczne i tanie teatrzyki były wówczas popularne we wszystkich grupach wiekowych. Lecz czasy się zmieniły i trudno było nie zauważyć rosnącej niezależności oraz znaczenia młodych. Równie trudno sobie wyobrazić taki rozwój wydarzeń, gdyby nie recesja.

Chociaż może nam się wydawać, że nastolatkowie z lat trzydziestych byli tacy jak my, nie należy im przypisywać naszych współczesnych postaw. Prawda jest bardziej złożona. Kiedy George uczył się, jak postępować z dziewczętami, wciąż był typowym dzieckiem swoich

czasów. Lubił spędzać czas z przyjaciółmi pod namiotem, podkraść trochę węgla na kolei, żeby przyrządzić na ognisku to, co znalazło się w polu; lubił wydrążyć żołądź, przebić słomką, wypełnić tytoniem z niedopałków i palić jak fajkę.

– Ale gdyby matka się o tym dowiedziała, wytargałaby mnie za uszy – wyjawił.

Postawy młodzieży mogły się więc zmieniać, lecz większość młodych ludzi zachowała niewinność zgodnie z dzisiejszymi kryteriami.

Powinniśmy także pamiętać, że nie tylko młodzi doświadczali nowych przyjemności i rozrywek. Rozwijała się bowiem także dostępna dla wszystkich kultura popularna w typowo brytyjskim smaku. Przybrała formę tanich dóbr luksusowych oraz ich substytutów, na które mogli pozwolić sobie ci, których nie stać na dobra podstawowe. I to właśnie, zdaniem Orwella, było logicznym następstwem recesji, ponieważ producencka potrzeba nowych rynków zbytu pokrywała się z pragnieniem tanich rozrywek ze strony niedożywionej gawiedzi.

Dobra luksusowe są dziś prawie zawsze tańsze od dóbr podstawowych. Para prostych, porządnych butów kosztuje tyle, co dwie pary supermodnych. Za cenę jednego solidnego posiłku można kupić około kilograma tanich słodyczy. Za trzy pensy nie da się kupić dużo mięsa, ale można dostać dużo ryby z frytkami. Przede wszystkim jednak jest hazard, najtańszy ze wszystkich luksusów.

Nawet człowiek na skraju wyczerpania głodowego może za jednego pensa kupić sobie los, czyli kilka dni nadziei.

Zjawiska te towarzyszą nam do dziś, chociaż wiele konkretnych przejawów wyszło już z użycia.

Tymczasem panowały dwa tańce, w których pod koniec lat trzydziestych lubowali się Brytyjczycy bez względu na wiek: lambeth-walk i chestnut tree. Pierwszy był pastiszem kultury cockney, drugi wywodził się z dziecięcej rymowanki. W porównaniu z groźną falą pierwotnego swingu z amerykańskiego importu, były to tańce przytulne i na wskroś brytyjskie w swoim niewinnym ekscentryzmie.

W Blackpool, ulubionym nadmorskim kurorcie, królowały atrakcje w podobnie niepowtarzalnym brytyjskim stylu. Jedną z nich stanowiła pani Valerie Arkell-Smith, kobieta o męskiej aparycji, która przez lata przedstawiała się jako emerytowany pułkownik armii brytyjskiej, poślubiając przy tym nic niepodejrzewającą przedstawicielkę własnej płci. Po odsiedzeniu wyroku za złożenie fałszywego oświadczenia małżeńskiego, pani Arkell-Smith otrzymała propozycję uczestniczenia w programie cyrkowym. Reklamowana jako kobieta, która przeszła operację zmiany płci, wy stępowała w swobodnej pozie na łóżku w towarzystwie leżącej na sąsiednim łóżku młodej kobiety. Między łóżkami mieścił się słupek z migoczącym pomarańczowym światłem błyskowym, tak zwany Belisha beacon, którym oznaczane są w Anglii przejścia dla pieszych. Pomysł polegał na tym, że obie panie przedstawiano jako osoby, które niedawno wstąpiły w związek małżeński, lecz Valerie postawiła 250

funtów, że powstrzymają się od wszelkiego kontaktu fizycznego przez dwadzieścia jeden tygodni. Za ten dziwaczny aseksualny pokaz łóżkowy widzowie płacili dwa pensy, wykrzykując obscena pod adresem „małżonek”.

Popularnością cieszył się także pokaz jeszcze bardziej niezwykły. Harold Davidson, niegdyś rektor parafii Stiffkey w hrabstwie Norfolk, został pozbawiony godności duchownego, gdy sąd kościelny uznał go winnym utrzymywania niemoralnych stosunków z licznymi kobietami. Oburzony Davidson urządził najpierw strajk głodowy (z zamiarem udowodnienia, że Pan Bóg nie pozwoli mu umrzeć z głodu), potem zaś przez wiele miesięcy przebywał w beczce ustawionej na głównej alei Blackpool Promenade, zbierając datki na wniesienie odwołania od wyroku. Rok później zrezygnował z beczki i postanowił wystąpić w jaskini lwa w wesołym miasteczku Skegness Amusement Park. Występ ten położył kres eklezjastycznej wędrówce eksduchownego ze Stiffkey, gdyż lew rozszarpał go i pożarł na oczach widowni. Pokaz był biletowany.

Często mówi się, że kultura młodzieżowa, a wraz z nią popularna kultura tanich dóbr luksusowych, zrodziła się z inspiracji amerykańskiej w latach pięćdziesiątych. Nie ulega jednak wątpliwości, że początki tego procesu sięgają lat przedwojennych. I podczas gdy z końcem lat trzydziestych gospodarka amerykańska i niemiecka stawała na nogi, wyraźnej poprawie ulegał także standard życia w Wielkiej Brytanii.

Jednym z tego przejawów był żywiołowy rozwój niektórych obszarów miejskich, na przykład takich jak dzielnica Soho w Londynie. Obok tradycyjnych restauracji i kawiarni francuskich pojawiły się tam restauracje chińskie, hiszpańskie i węgierskie. Zważywszy na to, że w roku 1939 niespełna 3% londyńczyków urodziło się poza granicami Anglii (w roku 2017 – 37%), Soho stało się prawdziwie kosmopolitycznym centrum miasta.

Magazyn Picture Post odnotowuje bogactwo odmian serów, grube pęta kiełbas i półki uginające się pod ciężarem butelek chianti w słomianych opakowaniach, puszek z anchois, oliwek i owoców, słodyczy, różnokolorowej fasoli i błyszczących ekspresów do kawy. W magazynie czytamy:

Witryny sklepowe w Soho są pełne towarów, barwne, błyszczące i jaskrawe.

Przy ulicy Denmark Street, po przeciwnej stronie Charing Cross Road, zadomowiła się społeczność japońska, oferująca prawdziwym śmiałkom własne przysmaki. Nie jest to obraz, który kojarzymy zazwyczaj z latami trzydziestymi ubiegłego stulecia.

W ślad za takimi zmianami pojawiały się także całkiem nowe i nowoczesne zajęcia. Bill Taylor nie umiał czytać ani pisać, ale pracował jako kierowca ciężarówki. Kiedy wręczano mu dokument dostawy, wyszukiwał na mapie nazwę najbardziej zbliżoną wyglądem do tego, co napisano w dokumencie. Następnie jechał najprostszą drogą do miejsca przeznaczenia, omijając po drodze wszystkie

większe miasta. W każdym mieście, do którego dotarł, pytał, jak dojechać do następnego.

– Żaden z szefów nie wiedział, że nie umiem czytać – mówi Bill. – Łatwiej było, kiedy zaczynałem jeździć wozem konnym, bo niektóre konie same wiedziały, dokąd jechać.

Dodatkową atrakcję w pracy Billa stanowiły „lorry girls", dziewczyny przydrożne, które stały pod kafejkami dla kierowców.

– Woziło się je z miasta do miasta, a niektóre zostawały z kierowcą na cały tydzień, spały z nim i dotrzymywały towarzystwa.

W zamian kierowca kupował im jedzenie i papierosy.

– Niejedno małżeństwo się rozpadało, kiedy dowiedziała się o tym żona – dodaje Bill.

Z kolei Sam Tobin był obwoźnym sprzedawcą odkurzaczy firmy Hoover w północnym Londynie. W każdy poniedziałek rano, zanim ruszył w teren, musiał wspólnie z pozostałymi sprzedawcami odśpiewać firmową pieśń motywacyjną:

Wszelki brud, piach czy liście
Nasz Hoover łapie oczywiście.
Bo gdy pracuje,
To zamiata i pucuje.

Praca Sama polegała na tym, że starał się, by wpuszczono go do domu, gdzie demonstrował działanie odkurzacza. Używał do tego celu próbek piasku, który ze sobą nosił.

– Było to bardzo dołujące zajęcie – przyznaje Sam. – Przy kiepskiej pogodzie albo jeśli zdążyli cię uprzedzić

konkurenci z firmy Elektrolux, bardzo trudno było przekonywać do prezentacji.

Jedno z najbardziej nowoczesnych przedsięwzięć rozpoczęło się w Anglii za sprawą świeżo przybyłego z Polski imigranta żydowskiego Josepha Rotblata. Joseph był fizykiem, specjalistą w dziedzinie promieniowania radioaktywnego. Przyjechał do Anglii w 1939. Wiedział o przeprowadzonym przez Frischa i Leitnera rozszczepieniu jądra atomowego i przyszło mu do głowy, że gdyby reakcję łańcuchową udało się przeprowadzić w bardzo krótkim czasie, to można by wyzwolić potężny ładunek energii. W pierwszej chwili porzucił ten pomysł – pomysł, dodajmy, na bombę atomową – ponieważ przeraziła go perspektywa spustoszenia, jakie wywoła taka operacja, którą dziś nazywamy bronią masowej zagłady. Zanim jednak dotarł do Anglii, zorientował się, że Niemcy mogą już prowadzić prace nad taką bombą. Uznał więc, że ma obowiązek podzielić się swoim pomysłem z brytyjskimi naukowcami.

– Nie wykluczam, że mogło mi przejść przez myśl, że jestem pierwszą osobą, która wpadła na pomysł odstraszającej broni nuklearnej – przyznaje Joseph. Dlatego zwrócił się do sir Jamesa Chadwicka, odkrywcy neutronów. Pomysł spodobał się Chadwickowi, przydzielił więc Rotblatowi dwóch asystentów. Takie właśnie były początki ponurego wyścigu atomowego.

Spośród wszystkich zachodzących zmian najbardziej obawiano się jednak wybuchu wojny. Gdy w kwietniu 1939 ogłoszono ograniczoną rekrutację do armii brytyjskiej,

zgłosiło się na ochotnika wielu dwudziesto – i dwudziestojednolatków. Podczas pierwszej wojny światowej wykazano wiele entuzjastycznej gotowości walki za króla i ojczyznę oraz pokazania kajzerowi, gdzie jest jego miejsce. Ćwierć wieku później tego rodzaju emocje nieco osłabły. Młode pokolenie roku 1939 demonstrowało zrównoważone poczucie obowiązku i świadomość potrzeby, by dać odpór Niemcom. Wielu młodych wstępowało jednak do wojska bez względu na sytuację polityczną i bynajmniej nie z poczucia obowiązku.

Thomas Myers, młody górnik z Durham, o którym pisaliśmy na wstępie, zaciągnął się do Armii Terytorialnej na początku roku 1939 ponieważ, jak twierdzi, było to modne.

– Każdy chciał służyć w Terytorialsach i było tylu chętnych, że panowało zamieszanie.

Thomasa nie interesowała polityka.

– Nie wiedziałem, że będzie jakaś wojna. I nic nie wiedziałem o Hitlerze.

W końcu przyznaje, że zaciągnął się, żeby móc czasem wyjechać gdzieś na wolny weekend i wyjść gdzieś wieczorem. Młodym pracującym mężczyznom, ograniczanym obyczajami lokalnej społeczności, armia umożliwiała zerwanie z monotonią i restrykcjami środowiskowymi. Dawała możliwość przeżycia przygody.

George Wagner, jeden z zapalonych tancerzy z Erdington, mówi:

– Zaciągnęliśmy się, żeby mieć coś do roboty. Do tego płacili żołd i raz do roku mogłeś wyjechać na dwutygodniowe ćwiczenia. I to było bardzo przyjemne.

Anthony'emu Rhodesowi, młodemu oficerowi z formacji Royal Engineers, przydzielono doświadczonego adiutanta. Był to człowiek, który szukał schronienia, miejsca, w którym mógłby odpocząć w odosobnieniu. Zdarzali się więc także żołnierze czasu pokoju, których przyciągał do armii brak przygód.

Dla jeszcze innych armia stanowiła dogodne rozwiązanie. Thomas Lister, młodzieniec z Durham, nie zdążył się ustatkować. Kiedy miał czternaście lat, ojciec wysłał go na rozmowę o pracę w warsztacie elektrycznym. Thomas poszedł, rzucił okiem na podłogę warsztatu – wyglądała jak dno piekła – i wyszedł. Przez pewien czas pracował jako posłaniec w firmie Burton's Tailors, ale mu się znudziło. Potem sprzedawał ryby. Nie czuł jednak żadnego powołania ani nie otrzymał żadnego stosownego wsparcia. Uznał więc, że w narzuconej przez wojsko dyscyplinie i braterstwie broni odnajdzie to, czego mu brakuje. Armia pomogła mu znaleźć odpowiedź na pytanie, co zrobić z życiem – przynajmniej na jakiś czas.

NIEMCY

W Niemczech Adolfa Hitlera młody wiek, połączony z czystością rasową, dawał poczucie ważności. Hitler uważał, że młodzież jest podstawą świetlanej przyszłości

narodu, jednak nie zamierzał rozwijać inteligencji ani pobudzać inicjatywy młodych ludzi. To nie sprytni słabeusze mieli przyczyniać się do poprawy sytuacji kraju. Naród potrzebował twardych, zdrowych i zdecydowanych chłopców i dziewcząt.

– Słabi muszą być eliminowani – stwierdził Hitler w roku 1938. – Potrzebuję odpornych na ból młodych mężczyzn i młodych kobiet. Młody Niemiec musi być zwinny jak chart, wytrzymały jak rzemień i twardy jak stal Kruppa.

Chociaż nigdy nie przyznano tego publicznie, Niemcy muszą mieć także mózgi wyprane na tyle, żeby przyjąć jego ideologię. Młodzi czystej krwi i ubezwłasnowolnieni, mieli znowu uczynić Niemcy wielkimi.

W roku 1938 ponad 80% młodych Niemców należało do organizacji Hitlerjugend. Dla tego pokolenia dzieciństwo kończyło się w dziesiątym roku życia wraz z przyjęciem do najmłodszego oddziału organizacji. Od tej chwili dzieci stawały się politycznymi żołnierzami Vaterlandu. Chłopcy i dziewczęta należeli do oddzielnych sekcji, które przygotowywały ich do ról żołnierzy, gospodyń domowych, wyznawców i głosicieli światopoglądu nazistowskiego.

Organizacja Hitlerjugend miała nawet swoją wewnętrzną tajną policję, dziecięce Gestapo, które zajmowało się tropieniem i wykorzenianiem nielojalności oraz denuncjacjami.

Na przykład Walter Hess doniósł, że jego ojciec nazwał Hitlera szaleńcem. Ojciec skończył w obozie koncentracyjnym, a Walter otrzymał awans za godną

pochwały czujność. Tymczasem Hitlera czczono niczym świeckie bóstwo, a dzieci deklamowały na jego cześć zaklęcia oparte na Modlitwie Pańskiej:

Adolfie Hitlerze, jesteś wielkim Führerem. Imię twe przyprawia wrogów o drżenie. Nadchodzi Twoja Trzecia Rzesza, Twoja wola jest jedynym prawem na ziemi. Daj nam słyszeć co dzień Twój głos i rozkazuj nam z mocy przywództwa swego, gdyż będziemy Ci posłuszni do końca, nawet za cenę życia. Wychwalamy Cię! Heil Hitler!

Melita Maschmann była członkinią Bund Deutscher Mädel (Związku Niemieckich Dziewcząt), żeńskiej sekcji nazistowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend. W roku 1938, w wieku osiemnastu lat, podjęła pracę jako rzecznik prasowy organizacji. W listopadzie, po zakończeniu wiecu we Frankfurcie, szef lokalnego oddziału ochrony NSDAP zaproponował jej wspólne wieczorne wyjście na miasto, ponieważ, jak twierdził, miało wydarzyć się coś ciekawego. Melita odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem. Nazajutrz rano na ulicach pełno było porozbijanych szyb i roztrzaskanych mebli. Policjant zapytany, co się stało, odparł, że to jest dzielnica żydowska, w której doszło do „wrzenia Duszy Narodowej”.

Melita była więc świadkiem pogromu Żydów, który od rozsypanych na mieście odłamków szkła zyskał nazwę Kristallnacht, czyli Noc Kryształowa. Tej nocy w całych Niemczech, a także na obszarach kontrolowanych i zajętych przez Niemcy, podburzone przez przywódców nazistowskich tłumy bojówkarzy i członków Hitlerjugend

ruszyły na synagogi i domy należące do Żydów, plądrując je i dewastując. Michael Bruce, korespondent gazety brytyjskiej w Berlinie, obserwował grupę bojówkarzy, która zmierzała w kierunku synagogi. Budynek stanął niebawem w ogniu, a tłum wiwatował. Zrywano drewniane części fasady, podsycając płomienie buchające w środku budynku. Po chwili gromada mężczyzn i kobiet przeniosła się pod pobliski sklep prowadzony przez Żydów. Rycząc z radości, wybili kamieniami okna oraz drzwi i jeden przez drugiego wpadli do środka, żeby łupić towar. Widząc, że wyciągają z domu Żydówkę, Bruce i inny reporter rzucili się jej na pomoc. Następnie tłuszcza ruszyła w kierunku żydowskiego szpitala dziecięcego. Przywódcy, wśród których było wiele kobiet, zaatakowali szpitalny personel, podczas gdy przerażone dzieci uciekały boso po rozsypanym szkle. Bruce pisał, że był to „najbardziej podły pokaz bestialstwa, jaki widziałem”.

Zamieszki i agresja szerzyły się na niespotykaną skalę. Bernt Engelmann, siedemnastoletni mieszkaniec Düsseldorfu, miał zacząć wkrótce służbę w Luftwaffe. Widząc, jak banda młodych wandali włamuje się do mieszkania żydowskiej rodziny w jego kamienicy, zastanawiał się, czy zamiast przyglądać się, nie powinien ich powstrzymać. Przechodzący w pobliżu policjanci odmówili interwencji. W końcu Bernt wbiegł do mieszkania i zwrócił się rozkazującym tonem do przywódcy bandy:

– Ty tu dowodzisz? Tutaj już skończone?

– Tak jest, skończone!

Na szczęście młodzi opuścili mieszkanie. Bernt znalazł córeczkę właścicieli, która ukryła się przed napastnikami w głębi mieszkania. Zaprowadził ją do siebie, jego matka dała dziewczynce pigułkę nasenną i położyła do łóżka, a Bernt udał się na poszukiwanie jej rodziców. Spotkał ich na ulicy i zapewnił, że córka jest bezpieczna, pod opieką jego matki. Nakłonił ich, by przenocowali u znajomych, którzy nie są Żydami. Znajomi objęli ich w milczeniu i zaprosili do siebie.

W drodze powrotnej Bernt widział, jak z budynku wynoszono zabitego żydowskiego lekarza.

– Opierał się dzielnie – skomentował jeden z gapiów.

Stąpając z chrzęstem po rozbitym szkle wśród porzuconych przedmiotów, widział przemykających pod ścianami ludzi, którzy nieśli wypchane torby. Trudno było stwierdzić, czy to uciekający w popłochu Żydzi, czy czmychający chyłkiem złodzieje.

Przy Steinstrasse napotkał skuloną ze strachu kobietę z dzieckiem. Uspokoił ją i zaprowadził do domu pewnego wysoko postawionego nazisty, który nielicznym znany był z tego, że ukrywał Żydów i szmuglował ich za granicę. Bernt zostawił tam kobietę i wrócił do domu, gdzie wraz z innymi sąsiadami zaczęli sprzątać splądrowane mieszkanie żydowskiej rodziny.

Przemierzając Düsseldorf, obserwował tragiczne skutki podsycanego przez władze wybuchu anarchii oraz różne reakcje przechodniów.

– To wstyd! Policja tylko się przygląda i nic nie robi!

– Jeszcze przyjdzie nam, Niemcom, drogo zapłacić za to, co zrobiono Żydom tej nocy.

Jedna z reakcji brzmi dzisiaj szczególnie dziwacznie:

– Nie powinni tego robić. Führer z pewnością tego nie pochwala!

Wielu przechodniów przyglądało się jednak w milczeniu, ukrywając zarówno lęk, jak i poparcie dla systemu.

W Niemczech, Austrii i Szwajcarii zniszczono setki synagog, zniszczono i splądrowano tysiące sklepów i domów, Żydzi byli ofiarami ataków, dziesiątki tysięcy z nich aresztowano i zesłano do obozów koncentracyjnych. Niewykluczone też, że kilkuset Żydów zamordowano, chociaż nigdy nie będziemy tego wiedzieć na pewno.

Rząd wydał pospiesznie oświadczenie, że zamieszki – „Wrzenie Narodowej Duszy", jak to określił frankfurcki policjant – wybuchły spontanicznie oraz że całkowitą winę za nie ponosi społeczność żydowska. Zostanie więc ukarana grzywną w wysokości 400 milionów dolarów amerykańskich. Jednocześnie konfiskacie ulegają wszystkie odszkodowania wynikające z umów ubezpieczeniowych.

Noc Kryształowa oznaczała początek zorganizowanej przemocy, której celem była całkowita eliminacja Żydów z Niemiec. Otworzyła drogę do masowej zagłady.

Bierna postawa większości społeczeństwa niemieckiego upewniła rząd, że takie, a nawet bardziej ekstremalne działania można kontynuować w przyszłości. Za przykład niech posłuży Melita Maschmann, która stąpając po rozbitym szkle we Frankfurcie, doskonale zdawała sobie

sprawę, że zdarzyło się coś okropnego, jednak szybko to sobie zracjonalizowała. Wiedziała, że Żydzi są wrogami narodu niemieckiego. Może to wydarzenie – czymkolwiek było – stanie się dla nich ze wszech miar pożądaną nauczką. I Melita przestała zawracać sobie tym głowę.

A jeszcze niespełna sześć lat wcześniej, w styczniu roku 1933, kiedy Adolf Hitler doszedł do władzy, Melita była zwykłą piętnastolatką wolną od jakichkolwiek przekonań politycznych czy uprzedzeń rasowych. Niemcy były wówczas zupełnie niepodobne do kraju, jakim miały się wkrótce stać. Melita była tego dnia z wizytą u krawcowej, którą bardzo lubiła, po odbiór przerobionej na nią sukienki jej matki. Krawcowa należała do klasy robotniczej i była interesująca, bo inna. Miała garb i utykała, a w klapie płaszcza nosiła metalowy krzyż ze swastyką. Dużo opowiadała o jakimś Hitlerze, dzięki któremu Niemcy staną się lepsze, bo różnice klasowe przestaną mieć znaczenie, służba będzie mogła jeść przy jednym stole z bogatymi chlebodawcami. Kiedy mówiła o „Społeczności Narodowej”, jej wzrok płonął.

Melita była pod dużym wrażeniem tych opowieści, intrygowała ją wizja przyszłości, w której „ludzie wszystkich klas żyć będą razem jak bracia i siostry”. Chociaż dziś trudno uwierzyć, że nazizm – jedna z najbardziej nikczemnych i nienawistnych ideologii politycznych dwudziestego wieku – mógł uchodzić za źródło sprawiedliwości społecznej i troski o najsłabszych, to jednak tak właśnie przedstawiano go w roku 1933.

Wieczorem Melita udała się z bratem do centrum Berlina, żeby oglądać obchody zwycięstwa NSDAP, niemieckiej partii nazistowskiej. Po raz drugi tego dnia była oczarowana, tym razem paradą z pochodniami. Migoczące płomienie, czerwono-czarne sztandary, równy krok maszerujących jak jeden mąż podobnych do niej chłopców i dziewcząt, agresywnie sentymentalna muzyka – wszystko to miało swoje znaczenie. Melita poczuła nagły przypływ więzi i nadziei, ogarnęło ją uniesienie. Kiedy zaś w pewnym momencie jakiś młody człowiek wyrwał się z maszerującego szyku, żeby uderzyć kogoś, kto stał tuż obok niej, Melita mimo zrozumiałego przerażenia wpadła w zachwyt. Tłumaczy to w ten sposób:

Maszerujący w pochodzie śpiewali „za sztandar gotowi jesteśmy oddać życie". Nie chodziło o ubiór, jedzenie czy szkolne wypracowania, ale o śmierć i życie... Poczułam bolesne pragnienie, żeby stać się jednym z tych ludzi, dla których była to sprawa życia i śmierci.

Jednak to w końcu ani nie polityka, ani nie widowisko przekonało Melitę do nazizmu, chociaż miały w tym swój udział. Czynnikiem decydującym stał się młodzieńczy bunt.

Rodzice Melity wyznawali poglądy konserwatywne. Opowiadali się za starym porządkiem i niezbyt interesowali ich ludzie młodzi czy prawa robotników. Wychowywali córkę surowo, oczekując od niej posłuszeństwa, tak jak oczekiwali go od służby. Melita nie znosiła tych poglądów, zanim jeszcze przeszła polityczną przemianę. Nazizm posłużył jej więc jako poręczne antidotum. Przywiązywał

dużą wagę do młodzieży i ludzi pracy, a radykalna niezłomność jego przesłania reprezentowała to wszystko, czego nie reprezentowali rodzice. Bo w Niemczech bunt dla pokolenia Melity nie oznaczał Elvisa Presleya, Beatlesów, Davida Bowie czy Public Enemy. Oznaczał Adolfa Hitlera.

Istniały też inne, bardziej prozaiczne przyczyny, dla których młodzież okazywała entuzjazm dla nazizmu. Młodzi niezbyt ufali istniejącym instytucjom i formom rządu. Demokracja, która w Niemczech miała niewielką tradycję, towarzyszyła wszystkim kolejnym kryzysom. W roku 1922 bochenek chleba kosztował trzy marki. Rok później, w listopadzie, kosztował osiemdziesiąt miliardów marek. Robotnicy pobierali pensję dwa razy dziennie, żeby mogli zjeść obiad i kolację. Na początku lat trzydziestych z powodu recesji było sześciomilionowe bezrobocie, a na czele narodu stał rząd, który okazał się tak bardzo bezradny, że państwo nie było w stanie zapewnić nawet najbardziej podstawowych usług socjalnych.

Narodowi Socjaliści ze swoim charyzmatycznym przywódcą, umiejętnościami propagandowymi i mistycyzmem rasowym sprytnie przekazali masom obietnicę pracy, chleba i stabilizacji politycznej. W zaistniałych okolicznościach była to propozycja jednoznaczna i atrakcyjna. Przyjmując ją, społeczeństwo niemieckie zezwoliło na podeptanie uzgodnionych wcześniej granic. Im bardziej naziści je deptali, tym bardziej wikłało się społeczeństwo, aż do chwili, kiedy

każde zachowanie zostało usprawiedliwione – albo też należało je zignorować.

Najbliższa koleżanka szkolna Melity Maschmann przyszła do klasy w roku 1933 i była Żydówką. Melita zaprzyjaźniła się z nią, choć doskonale wiedziała, jaką wyznaje religię. Dziewczęta miały wspólne zainteresowania, dużo czytały na temat filozofii i uwielbiały literaturę. O religii nie rozmawiały, lecz podążały tą samą drogą co ich rówieśnicy. Wkrótce też miało nastąpić pranie mózgu Melity.

Uczniowie niemieckich szkół nie zajmowali się analizą militarnych i gospodarczych błędów popełnionych przez Niemcy podczas pierwszej wojny światowej. Zamiast tego uczono ich, jak zrzucać winę za klęskę na „nóż wbity w plecy” przez Żydów. „Międzynarodowe żydostwo” obarczano winą zarówno za kapitalizm, jak i za komunizm, czyli za wszystkie problemy świata.

Melita uczestniczyła w licznych wykładach na temat religii żydowskiej, podczas których rzekomy ekspert twierdził, że Żydzi byli odpowiedzialni za morderstwa rytualne chrześcijan. I chociaż Melita utrzymuje, że dostrzegała bezsens takich teorii, nie mogła lub nie chciała zdystansować się od nich na tyle, by uznać, że jej nowe poglądy są wynikiem indoktrynacji. Kpiła z tego, co mówił wykładowca, lecz nie podawała w wątpliwość celu, któremu służyła jego wypowiedź.

Bezustanna indoktrynacja zaczynała w końcu działać. Melita uwierzyła w „strasznego Żyda”. To on ponosił winę

za kapitalizm, komunizm i wszystkie nieszczęścia świata. Jego krew jest zepsuta, a duch niepokorny.

Adolf Hitler nie miał wątpliwości, że indoktrynacja zadziała. W roku 1933 stwierdził:

– Kiedy wróg mówi: „Nie przejdę na twoją stronę”, ja spokojnie mu odpowiadam: „Twoje dziecko należy już do nas”.

Ponieważ Melicie było dobrze z żydowską przyjaciółką, nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby stać się jej jakaś krzywda. Kiedy dowiedziała się, że Żydzi pozbawiani są swojej własności i zamykani w gettach, dokonała kolejnej racjonalizacji, to znaczy prześladowany był tylko „zły Żyd”. Chociaż była kobietą inteligentną, taka racjonalizacja jej wystarczyła.

Negacja rzeczywistości stała się wśród Niemców powszechnym mechanizmem obronnym. Bernt Engelmann znał pewnego żydowskiego lekarza, do którego przyszedł z wizytą młody bojówkarz. Lekarz stwierdził, że nic mu nie dolega:

– Miał lekkie zapalenie gardła, prawdopodobnie z powodu częstego wykrzykiwania „Heil”.

W rzeczywistości bojówkarz chciał tylko porozmawiać. Być może próbował w ten sposób zagłuszyć poczucie winy. Opowiedział, czym się ostatnio zajmował. Pomagał między innymi w fałszowaniu wyborów, wypełniając ponad pięćset kart do głosowania. Na odchodnym powiedział z powagą:

– Chciałbym, żeby pan wiedział, że nic nie mam przeciwko panu. – Zasalutował, krzyknął „Heil Hitler!”

i wyszedł.

Jak powiedział kiedyś Heinrich Himmler, zwracając się do strażników w obozie koncentracyjnym:

– Każdy Niemiec ma swojego ulubionego Żyda.

Po dojściu nazistów do władzy zaczęły znikać kolejne swobody obywatelskie. Ustawa Upoważniająca z marca 1933 roku pozwalała Hitlerowi na wprowadzanie aktów prawnych bez konieczności zwracania się do Reichstagu. Zniesiona więc została wolność słowa, stworzono obozy koncentracyjne, zdelegalizowano partie polityczne, zniszczono związki zawodowe, zaczęto stosować przemoc fizyczną i tortury, palono książki niezgodne z „niemieckim duchem”. Podczas jednej z sesji publicznego palenia książek hitlerowski minister propagandy Joseph Goebbels tak mówił do studentów:

– Przyszły Niemiecki Człowiek nie będzie człowiekiem książek, lecz człowiekiem charakteru. Tego chcemy was uczyć. Zadanie młodego pokolenia polega na tym, by już w młodości umieć z odwagą wytrzymać bezwzględne spojrzenie, by przełamywać strach przed śmiercią i by odzyskać wobec niej szacunek.

Oto klucz do nazistowskich zamiarów. Młodzi ludzie mieli przed sobą przyszłość wymagającą działania, poświęcenia, zdecydowania i posłuszeństwa. Nie było w niej miejsca na indywidualność.

Robert Ley, przywódca Niemieckiego Frontu Pracy (Deutsche Arbeitsfront), stwierdził jednoznacznie:

– Nie istnieje nic takiego, jak jednostka prywatna.

Hitler posunął się jeszcze dalej, dzieląc się w prywatnej rozmowie wizją, w której młoda osoba, poczynając od dziesiątego roku życia aż do osiągnięcia dojrzałości, będzie wysyłana z jednej organizacji militarystycznej do drugiej, dopóki nie stanie się „kompletnym narodowym socjalistą". A kiedy to się stanie, „już do końca życia nie będą wolni".

Ambicje Hitlera zaczęły przybierać realny kształt. Mieszkająca w Hamburgu Brytyjka Christabel Bielenberg była zagorzałą przeciwniczką nazistów. Po dwóch latach rządów narodowych socjalistów zauważyła, że spotykani na niemieckich drogach młodzi ludzie podróżujący autostopem ubrani są w posępne mundurki Hitlerjugend. Chłopcy nosili identyczne krótkie fryzury, a dziewczęta obowiązkowo warkocze. Zniknął wszelki indywidualizm. Musiała też jednak przyznać, że ludzie wydawali się bardziej pogodni i bardziej uprzejmi wobec siebie. Minęły obawy związane z kryzysem finansowym i wzrosło poczucie dumy narodowej.

Nie wszędzie panował taki optymizm. W kwietniu 1936 roku Bernt Engelmann siedział w przedziale pociągu przejeżdżającego przez Duisberg, miasto w Zagłębiu Ruhry. Był to okres budowy autostrad zwanych „Adolf Hitler Reichsbahns". Naprzeciw Bernta siedzieli dwaj inżynierowie drogowi i narzekali na projekt. Do przedziału weszła młoda członkini kobiecej sekcji NSDAP, przywitała wszystkich radosnym „Heil Hitler!" i zajęła miejsce. Mężczyźni podjęli przerwaną rozmowę, a kobieta zajęła się

lekturą gazety. Po chwili jednak przerwała czytanie i podniosła wzrok.

– Czy takie narzekanie naprawdę jest konieczne? – zapytała nagle. – Powinniście być wdzięczni, że macie pracę, i dziękować Führerowi, że zlikwidował bezrobocie!

Inżynierowie spojrzeli na nią, po czym jeden z nich wyjaśnił, że są zatrudnieni na zasadzie świadczenia obowiązkowego, mają dziesięć dni urlopu rocznie, mieszkają w drewnianych barakach, śpią na materacach ze słomy, dostają beznadziejne wyżywienie, a niskie wynagrodzenie jest ciągle obniżane. W efekcie zarabiają mniej niż przed dojściem nazistów do władzy, a w dodatku mają zakaz prowadzenia własnej działalności zawodowej.

Po krótkim milczeniu kobieta zaczęła ich przekonywać, że Niemcy wreszcie odzyskały potęgę, że Hitler zdziałał cuda, że ludzie wreszcie są pełni nadziei.

– Musicie zachować wiarę w Hitlera! – zakończyła.

Wspominaliśmy wcześniej o na wpół religijnym stosunku do ewakuacji Dunkierki, ale blednie on całkowicie wobec świeckiego kultu Trzeciej Rzeszy, gdzie Hitler i Ojczyzna znaczyły Bóg i Niebo. Młoda kobieta przywoływała Hitlera w taki sam sposób, jak chrześcijanin przywołuje Jezusa czy muzułmanin Allaha. Już dwa lata później, tuż przed Nocą Kryształową, Melita Maschmann przeżyła kolejne euforyczne, na wpół religijne uniesienie, tym razem podczas spotkania Bund Deutscher Mädel, żeńskiej sekcji Hitlerjugend. Owładnęła nią euforia z powodu poczucia

przynależności, wzajemnej miłości, wspólnoty w działaniu na rzecz wzmacniania potęgi Niemiec.

Największą radość i odurzenie Melita miała jeszcze przed sobą. Stało się to 1 września 1939 roku, w dniu najazdu na Polskę. Inwazję przedstawiano w Niemczech jako w pełni uprawnione działanie, którego celem jest wyzwolenie ludności niemieckiej mieszkającej na okupowanym terytorium. Melita została wysłana na placówkę służbową do jednego z przygranicznych miast polskich. Wysiadając z pociągu, poczuła w sobie niezłomną siłę. Zniknęły wszelkie obawy związane z tym, co jest większe i potężniejsze od niej. Zgodnie z ideałem Roberta Leya, przestała być już jednostką. Stała się Niemcami.

Z chwilą rozpoczęcia wojny Melita nie tylko przestała się bać. W roku 1940 wysłano ją do Kraju Warty (Warthelandu), okupacyjnego regionu administracyjnego III Rzeszy zamieszkiwanego głównie przez Polaków i Żydów oraz niewielką liczbę Niemców. Podczas przeprawy przez Wartę w towarzystwie przywódcy Hitlerjugend, samochód ugrzązł na środku rzeki. Po pewnym czasie zostali odholowani w bezpieczne miejsce przez kilku wychudłych, brodatych tubylców. Okazało się, że byli to Żydzi, mieszkańcy pobliskiego getta. Wyczyścili starannie karoserię z mułu i brudu. Kiedy Melita wsiadała z powrotem do samochodu, jeden z mężczyzn powstrzymał ją, żeby usunąć przeoczoną plamkę.

Gdy skończył, Melita i jej towarzysz odjechali bez słowa, chociaż Żydzi zadali sobie niemało trudu, żeby im pomóc.

Żadnemu z nich nie spojrzała w oczy. Pogardzała nimi za to, że byli Żydami, i za gotowość niesienia pomocy tym, którzy nimi pogardzali. Ale wstydziła się swojego zachowania. Wiedziała, że powinna im podziękować.

W jaki sposób miała uznać ich człowieczeństwo? Przecież oni nie mieli osobowości. Podobnie jak ona. Stała się Niemcami.

STANY ZJEDNOCZONE

Niemcy nie były jedynym krajem na Zachodzie, który cierpiał z powodu trudności gospodarczych w okresie międzywojennym. Stany Zjednoczone przeżyły głęboki kryzys giełdowy w roku 1929, którego konsekwencją była wieloletnia wyniszczająca recesja. Odczuły ją boleśnie wszystkie grupy społeczne. Spadek zarobków i brak pracy najbardziej dotknęły jednak najbiedniejszych.

Nadzieja dla młodego pokolenia pojawiła się wraz z New Deal, programem reform społecznych Franklina D. Roosevelta, a w szczególności w wyniku powołania National Youth Administration (Państwowa Administracja ds. Młodzieży). Młodym Amerykanom zaproponowano stypendia w zamian za pracę w niepełnym wymiarze godzin, co pozwalało na kontynuowanie nauki. Jednocześnie mogli uczestniczyć w programach doskonalenia zawodowego lub podejmować pracę pełnoetatową za pośrednictwem lokalnych biur NYA.

Był to zakrojony na szeroką skalę program federalny, który mógł wydawać się mało amerykański ze względu na nacisk, jaki położono na świadczenia społeczne. W gruncie rzeczy trudno nie zauważyć, że koncepcja Roosevelta – oparta tak silnie na organizacjach młodzieżowych i młodzieżowych obozach pracy, pełna konserwatywnej w duchu ideologii podkreślającej znaczenie tężyzny fizycznej i aktywności na świeżym powietrzu, wraz z całym mnóstwem nowych agencji oraz regulaminów – pod wieloma względami przypominała pomysły Adolfa Hitlera.

Z pewnością przywódcy obu tych krajów odziedziczyli po swoich poprzednikach gruntowne spustoszenie gospodarcze. Obaj usiłowali przywrócić narodowi zarówno poczucie godności, jak i równowagę finansową. I obaj pokładali ogromne nadzieje w młodym pokoleniu. Młodzi ludzie stanowili gwarancję ciągłości i odrodzenia narodowego, więc zasługiwali na odrębne i specjalne traktowanie.

Na tym wszakże podobieństwa się kończą. Hitlerowskie Niemcy postawiły na pozbawienie młodzieży indywidualnej tożsamości. Młodego Niemca czekała przyszłość polegająca na służbie i posłuszeństwie wobec Ojczyzny, której potrzeby są ważniejsze niż jego własne. Natomiast inicjatywy Roosevelta zakładały wprawdzie daleko posunięty kolektywizm, lecz nie przewidywały indoktrynacji młodzieży amerykańskiej. New Deal proponował rozwój osobisty, który miał następować równolegle z rozwojem narodowym.

Jakże mogło być inaczej w Ameryce, która powstała na gruncie samodzielności i autoekspresji?

Dzisiaj przywykliśmy już do amerykańskich źródeł kultury młodzieżowej, która promienieje na cały świat. Kultura młodzieżowa pojawiła się jednak po raz pierwszy pod koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku pod wpływem reform wprowadzonych przez Roosevelta i w wyniku stopniowego złagodzenia skutków recesji. Po krótkiej kadencji jazzu nastąpiła epoka swingu, który podbił wszystkie warstwy społeczne. I chociaż termin „nastolatek" nie przyjął się jeszcze przez kilka dobrych lat, a na rock and roll trzeba było czekać co najmniej półtorej dekady, to wśród amerykańskich kilkunastolatków właściwa muzyka, ubranie i właściwe poglądy nabrały zupełnie nowego znaczenia.

Młodzi Amerykanie zawdzięczali to w dużym stopniu właśnie umowie społecznej New Deal. Trzy czwarte młodzieży w wieku od czternastego do osiemnastego roku życia, czyli znacznie więcej niż poprzednio, uczyło się w szkołach średnich. Nie ulegając już tak silnym wpływom ze strony rodziców ani starszych kolegów z pracy, młodzi zaczęli tworzyć swoją odrębną tożsamość we własnej, odrębnej nastoletniej bańce.

Socjolog August Hollingshead zajrzał do wnętrza tej bańki, przeprowadzając badania młodzieży zamieszkałej w pewnym środkowo-zachodnim mieście, które dla niepoznaki nazwał Elmtown.

Jedna z nastoletnich dziewcząt uskarżała się na brak zrozumienia ze strony rodziców, którzy:

Nie mają pojęcia, o co chodzi ich dzieciom, i myślą, że powinniśmy postępować tak jak oni dwadzieścia lat wcześniej.

Inne uwagi odnosiły się do ubioru i stylu. Jedna z respondentek napisała:

Janet jest dużą dziewczynką, ale nie ubiera się tak jak trzeba, więc po prostu nie jest akceptowana.

Presja rówieśnicza była silna, a reguły dotyczące ubioru mogły obowiązywać dlatego, że uczniowie szkół średnich mieli własne dochody. Mieszkając w domu rodzinnym, otrzymywali zazwyczaj kieszonkowe od rodziców, oprócz tego mieli dochody z pracy dorywczej, a nie musieli opłacać czynszu ani innych rachunków. Jedna z badanych stwierdziła:

Nie było więc powodu, żeby nie ubierać się jak trzeba.

Zresztą nawet ci młodzi, którzy nie mieli pieniędzy i korzystali ze skromnego zasiłku wypłacanego przez National Youth Administration, wydawali ile mogli, żeby wyglądać właściwie. Materializm amerykański ma zatem swoją dumną historię.

Badania Elmtown okazały się także interesujące w odniesieniu do seksu i małżeństwa. Wynikało z nich, że dla wielu chłopców aktywność seksualna była sprawą honorową.

„Chłopak, o którym wiadomo, że jest prawiczkiem albo jest o to podejrzewany, nie cieszy się uznaniem

rówieśników” – odnotował Hollingshead, opisując grupę chłopców z klasy niższej, którzy nazwali się „The Five Fs”, czyli „Pięć razy F”, co oznaczało „Find ‘em, feed ‘em, feel ‘em, fuck ‘em, forget ‘em” – znajdź je, nakarm, poczuj, przeleć i zapomnij.

Dziewczęta musiały natomiast stąpać po niebezpiecznie cienkiej ścieżce między „dobrą zabawą” z jednej strony i byciem „wolną i łatwą” z drugiej.

Respondentka Hollingsheada oznaczona imieniem „Mary” opowiadała o wyjściu z chłopakiem na tańce, podczas których doszła do przekonania, że „mogłaby mu dać”, ale musiałaby się upić, żeby przez to jakość przejść. Pojechali więc do baru, gdzie Mary wypiła podwójnego burbona i trzy podwójne whisky, po czym udali się w odosobnione miejsce. „Było cudownie!” – wspomina Mary. W ciągu kilku następnych miesięcy miała romans z pięcioma innymi mężczyznami, przy czym każde „intymne zbliżenie” poprzedzały co najmniej cztery randki. Zależało jej na tym, żeby żaden z kolejnych chłopców nie wiedział, że „ona wie, o co chodzi”. A potem, w wieku lat osiemnastu wyszła za dwudziestojednoletniego pracownika młyna. Na tym skończyła się jej krótka, ale bogata historia przygód erotycznych.

Mimo zachodzących licznych zmian społecznych, jednak to muzyka wyznaczała główny nurt kultury młodzieżowej. Swing miał bardzo szybki rytm i w uszach białych przedstawicieli starszego pokolenia brzmiał przerażająco. Pobudzał do dzikiego, niekontrolowanego tańca, włącznie

z tańcem solo, bez partnera. Drumbeat w takich utworach, jak *Sing Sing Sing* Benny'ego Goodmana, brzmiał brutalnie i ogłuszająco. Miłośnicy swingu chodzili w „dzikich draperiach" i porozumiewali się własnym slangiem. Mimo irytujących ulicznych korzeni kulturowych, a może właśnie ze względu na nie, swing zdobył ogromną popularność w kręgach białej młodzieży.

Swing wszedł do głównego nurtu dnia 16 stycznia 1938 wieczorem, kiedy orkiestra Benny'ego Goodmana zagrała w Carnegie Hall, najbardziej prestiżowej sali koncertowej Nowego Jorku. Goodman pytany, jak długą życzy sobie przerwę, odparł:

– Nie wiem. A jak długą ma Toscanini?

Kiedy zaś kilka miesięcy później na koncert Swing Jamboree w Chicago przyszedł stutysięczny i wielorasowy tłum wielbicieli tego gatunku, nie ulegało już wątpliwości, że to muzyka podnosi naród na duchu. New York Times pisał:

Swing jest głosem młodości, który chce być słyszany w naszym pędzącym naprzód świecie.

Był to głos nadziei, który zabrzmiał w chwili, gdy Ameryka otrząsała się w końcu z recesji.

Błędem byłoby jednak przypuszczać, że młode pokolenie nie ruszyło dalej niż poprzednie. W roku 1940 Amerykański Instytut Opinii Publicznej zwrócił się do młodzieży w całym kraju z pytaniem:

Czy gotów byłbyś/byłabyś poprzeć zmianę systemu rządzenia, gdyby obiecano ci większe możliwości

w zakresie miejsc pracy?

Odpowiedź przeczącą udzieliło 88% badanych. Jeden z respondentów, wyrażając w ten sposób przekonanie większości, stwierdził:

Nasz system jest jedyną właściwą formą rządów.

Pod koniec lat trzydziestych młodzi Amerykanie mogli nabrać więcej optymizmu, mogli rozwijać własną odrębną kulturę pokoleniową i nadal dobrze się czuli, będąc Amerykanami. Pod wieloma względami stali się punktem odniesienia dla nowej Europy. Kulturę amerykańską uwielbiano i naśladowano w Wielkiej Brytanii, natomiast piętnowano ją i zakazywano jej w Niemczech.

Mimo że młodzi Amerykanie tak bardzo byli zaabsorbowani kształtowaniem swojej nowej tożsamości, nie mogli jednak uniknąć skutków napięć ogarniających całą Europę. Ponieważ Nowy Świat nie przerósł jeszcze starego.

ROZDZIAŁ TRZECI
DŁUGI, KRÓTKI I WYSOKI

Dnia 3 września 1939 roku premier Wielkiej Brytanii, Neville Chamberlain, ogłosił, że Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę. Nieco wcześniej Królewskie Siły Lotnicze (RAF) wysłały do Francji niewielką grupę samolotów zwiadowczych. Następnego dnia z Portsmouth wyruszyły grupy zwiadowcze floty brytyjskiej (Royal Navy). W ciągu tygodnia w portach francuskich lądowali żołnierze czterech brytyjskich dywizji. Dokładnie tak samo, jak ćwierć wieku przedtem ich ojcowie i wujowie.

Szybkość nie musi jednak świadczyć o gotowości. Generał Bernard Montgomery, dowódca 3. Dywizji, pisał, że Armia Brytyjska była „całkowicie nieprzygotowana do prowadzenia wojny pierwszej kategorii na kontynencie europejskim”. Wielka Brytania słusznie cieszyła się renomą z powodu Royal Navy, wniosła też poważny wkład w rozwój wojny powietrznej, lecz armia, która wkroczyła do Francji we wrześniu 1939 roku, była słabo wyszkolona i słabo wyposażona.

Już w kwietniu 1938 roku rząd brytyjski postanowił, że Anglia odpowie na ewentualną wojnę w Europie głównie działaniami na morzu i w powietrzu. Siły lądowe nie zostaną wysłane do Europy, będą broniły kraju i wciąż jeszcze ogromnych terytoriów kolonialnych Imperium

Brytyjskiego. W momencie wybuchu wojny podjęto rozpaczliwe próby ponownej oceny sytuacji. Nastąpił gorączkowy zryw w kierunku przezbrojenia armii oraz intensyfikacji szkoleń wojskowych. Wprowadzono powołanie do wojska. Powstała pilna potrzeba nadrobienia licznych zaległości.

Wojsko miało uczestniczyć w nowoczesnych działaniach wojennych przeciwko uzbrojonym dywizjom pancernym, lecz większość karabinów przeciwczołgowych, w które je uzbrojono, nie nadawała się do użycia, gdyż bardziej groziła uszkodzeniem barków brytyjskich żołnierzy niż zniszczeniem niemieckich czołgów. I chociaż to armia brytyjska użyła jako pierwsza czołgów nad Sommą w roku 1916, to upłynęło wiele miesięcy, zanim 1. Brytyjska Dywizja Pancerna była gotowa do przekroczenia kanału La Manche. Przez cały czas trwania ewakuacji Dunkierki Brytyjczycy dysponowali niewielką liczbą skutecznych czołgów. Jedynie model Matilda Mark II – wyposażony w przeciwpancerną armatę dwufuntową, imponujący prędkością maksymalną i grubym pancerzem – mógł równać się z najlepszymi czołgami francuskimi czy niemieckimi. Generał Montgomery pisał jednak, że przez całą zimę nie widział ani jednego brytyjskiego czołgu. Krótko mówiąc, płynące do Francji Brytyjskie Siły Ekspedycyjne nie były jeszcze przygotowane do wojny.

Mimo to w listopadzie 1939 roku lord Gort, dowódca Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, w wywiadzie udzielonym Jamesowi Lansdale’owi Hodsonowi powiedział:

Nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości co do wyniku tej wojny.

Lord Gort był człowiekiem pogodnym i ze wszystkich sił starał się podnieść rodaków na duchu, ale niezależnie od stanu armii miał jeszcze jeden problem. Jako dowódca Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych odpowiadał przed dowódcą wojsk francuskich, którym był generał Georges, ten zaś z kolei podlegał generałowi Gamelinowi, Naczelnemu Dowódcy Armii Francuskiej. Z pozoru było to uzasadnione pokaźnymi rozmiarami połączonych armii wojsk alianckich, jednak w praktyce oznaczało, że Brytyjskie Siły Ekspedycyjne można traktować jako jednostkę podległą. Dopuszczalne zatem było nieujawnianie najnowszych planów czy ignorowanie rad i opinii. Dlatego na lorda Gorta spadło dodatkowe poważne zadanie, mianowicie musiał uważnie obserwować sojusznika.

Brytyjskie Siły Ekspedycyjne zostały stworzone głównie z ludzi młodych, których poglądy kształtowały się podczas recesji i pozostawali pod wpływem formującej się kultury młodzieżowej, a do wojska wstępowali z najróżniejszych powodów, od pragnienia przeżycia przygody, po ucieczkę przed bezrobociem. Inaczej mówiąc, Brytyjskie Siły Ekspedycyjne stanowiły bogato zróżnicowaną zbiorowość. Cyril Roberts, plutonowy w Queen’s Royal Regiment, miał czarnoskórego ojca z Trynidadu i białą matkę z Lancashire, którą rodzina ukarała wydziedziczeniem za zawarcie małżeństwa z czarnoskórym. W tym czasie w Wielkiej Brytanii mieszkało mniej więcej 0,0003 procent ludności

czarnoskórej lub rasy mieszanej. Cyril wyróżniał się więc nie tylko w Brytyjskich Siłach Ekspedycyjnych, lecz także na tle całej społeczności brytyjskiej. Wraz ze swoim bratem Victorem dorastali w południowym Londynie. Tam nauczyli się stawać nawzajem w swojej obronie.

– Jedyny czarny w klasie – mówi Lorraine, córka Cyrila – po prostu musi sobie z tym radzić.

Na szczęście chłopcy mieli wzór godny naśladowania. Ich ojciec, George Roberts, służąc podczas pierwszej wojny światowej w Middlesex Regiment, zyskał sławę jako Kokosowy Bombowiec z powodu niezwykłych osiągnięć w rzucie granatem, którą to umiejętność, jak opowiadano, opanował w Trynidadzie podczas strącania orzechów z palm kokosowych.

Cyril, który przed wojną praktykował w łączności, poszedł w ślady ojca i wstąpił do wojska przed osiągnięciem pełnoletniości, dzięki czemu szybko uzyskał stopień wyższy niż wielu starszych i bardziej od niego doświadczonych żołnierzy.

– Był bardzo spokojny i doskonale zorganizowany – wspomina ojca Lorraine. – Roztaczał wokół siebie taką aurę, że kiedy dowodził, to ludzie po prostu robili, co kazał.

Batalion Cyrila wypłynął z Southampton i dotarł do portu w Hawrze nazajutrz wczesnym rankiem. Cyril, podobnie jak jego koledzy i wielu innych żołnierzy, po raz pierwszy w życiu podróżował za granicę. Jaka jest ta Francja? Jak wygląda? Czy tam jest inaczej?

Podporucznik Peter Hadley z Royal Sussex Regiment obserwował ożywienie wśród żołnierzy przekraczających kanał La Manche. Zachowywali się jak dzieci podczas szkolnej wycieczki. Jednak już po krótkim pobycie we Francji w listach (które Hadley czytał) do rodziny i narzeczonych jego podwładni często dawali wyraz rozczarowaniu, że ludzie i domy wyglądają tu dokładnie tak samo jak w Anglii.

Żołnierze batalionu Cyrila Robertsa odnieśli podobne wrażenie. Z początku, kiedy pociąg przemierzał północną Francję, wszyscy cisnęli się do okien, jednak szybko się znudzili i zajęli grą w karty. Po przybyciu do miejsca zakwaterowania w Abancourt, Pas de Calais, posłano ich od razu do pracy przy budowie linii kolejowej. Była to ciężka fizyczna praca wykonywana kilofem i łopatą, bez żadnego wsparcia sprzętem mechanicznym. I w zasadzie do tego właśnie ci żołnierze byli przeznaczeni, ponieważ nie przeszli żadnego szkolenia wojskowego przygotowującego ich do walki.

Zanim wojna wybuchła, większość Brytyjczyków zdecydowanie się za nią opowiadała, a gdy już się zaczęła, większość wierzyła, że Hitler będzie musiał odkryć karty. Zwycięstwo było pewne, jak stwierdził lord Gort w rozmowie z dziennikarzem w listopadzie 1939 roku. To przekonanie podzielał każdy Brytyjczyk, od naczelnego dowódcy począwszy, a na zwykłym pasażerze czekającym na przystanku autobusowym w Clapham w Londynie

skończywszy. Było też wielu święcie przekonanych, że wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem.

Zdarzało się też, że wojna była mile widziana z powodów czysto osobistych. Zanim Fred Carter wstąpił do Royal Engineers, był bezrobotnym betoniarzem, i właśnie w wojnie upatrywał szansę powrotu do wyuczonego lub przynajmniej pokrewnego zawodu. John Williams z Durham Light Infantry współczuł wszystkim „nieszczęsnym frajerom", którzy nie służąc w wojsku, skazani są na swoje marne zajęcia, podczas gdy on i jego towarzysze mogą liczyć na dziewczęta i sławę.

Jimmy Langley, jeden z podkomendnych w Coldstream Guards, przyznaje, że słuchając podczas mszy w Surrey oświadczenia Chamberlaina o przystąpieniu do wojny, prawie się spodziewał, że za chwilę wpadnie do kościoła gromada uzbrojonych Niemców. W przypadku nielicznych Brytyjczyków niemal tak właśnie się stało, ponieważ pewne działania nastąpiły natychmiast. Winifred Pax-Walker, osiemnastolatka z Londynu, która marzyła o karierze filmowej, płynęła akurat z matką do Montrealu na pokładzie statku *Athenia* linii oceanicznych firmy Anchor-Donaldson. Wiadomość o przystąpieniu do wojny odebrano wieczorem, kiedy statek znajdował się dwieście mil na zachód od Irlandii. Pewien pasażer o budzącym szacunek wyglądzie, który twierdził, że przeżył atak gazowy podczas pierwszej wojny światowej, zapewniał Winifred i jej matkę, gdy wspólnie spożywali kolację, że *Athenia* nie musi obawiać się ataku. Jego zdaniem Niemcy zaatakują statek dopiero

w drodze powrotnej z Ameryki Północnej, kiedy będzie wyładowany sprzętem wojskowym, dlatego pasażerowie wypływający z Wielkiej Brytanii nie mieli żadnego powodu do obaw. Ledwo skończył swój wywód, w statek ugodziły dwie torpedy.

Wprawdzie Hitler zabronił atakowania statków pasażerskich, lecz wszystko wskazuje na to, że dowódca niemieckiej łodzi pod wodnej U-30 pomylił *Athenię,* która płynęła zygzakiem z wygaszonymi światłami, z uzbrojonym statkiem handlowym. Obawiając się ewentualnych konsekwencji w razie zawarcia pokoju, minister propagandy Goebbels w imieniu rządu niemieckiego pośpiesznie wyparł się wszelkiej odpowiedzialności za to zdarzenie.

Winifred i jej matka miały nadzieję uciec przed wojną, lecz wojna dopadła je w ciągu kilku godzin. *Athenia* zaczęła tonąć. Z powodu niewłaściwego opuszczenia szalupy ratunkowej nie można było zlokalizować zatyczki, która zamyka zawór. Kiedy w końcu zawór zamknięto, pasażerowie zaczęli schodzić do łodzi dwójkami, co spowodowało złamanie drabiny. Marynarze musieli bosakami wyławiać ich z morza. Jeden z marynarzy zepchnął matkę Winifred z pokładu do łódki. Dziewczyna skoczyła do łódki sama.

Szalupa natknęła się na norweski frachtowiec *Knut Nelson,* który zabrał rozbitków. W drodze powrotnej w kierunku Galway w Irlandii, kapitan frachtowca zwrócił się do Winifred:

– Ach, wy Brytyjczycy! Bez przerwy prowadzicie jakieś wojny. Spróbujcie tak jak Norwegia trzymać się z daleka od tych spraw!

Podczas wprowadzania frachtowca do portu Galway przez statek pomocniczy, Winifred usłyszała fragment rozmowy między dwiema Angielkami w średnim wieku. Zachowywały się jak na spotkaniu koła gospodyń domowych. Jedna z nich stwierdziła z przekonaniem:

– Oczywiście, moja droga, na koniec koniecznie trzeba oblać ciasto różowym lukrem…

Podczas ataku zginęło dwustu dwunastu pasażerów *Athenii*. W wyniku tego incydentu niewiele statków oceanicznych decydowało się na rejs przez Atlantyk. Podobno Amerykanie płynący liniowcem *Aquitania* należącym do Cunard Line modlili się o pomyślne dotarcie do celu, podczas gdy Brytyjczycy siedzieli w Palladium Lounge i zawzięcie omawiali sytuację meteorologiczną.

Do dnia 27 września 1939 roku bezpiecznie dotarło do Francji 152 031 żołnierzy brytyjskich (oraz 60 tysięcy ton mrożonego mięsa). John Williams był zaskoczony obfitym i jaskrawym oświetleniem miast francuskich, tak innych od zaciemnionych miast w Anglii. Do dziś wspomina z rozrzewnieniem „rozświetlone bary i burdele!”. Williama Hardinga ujęła serdeczność, z jaką Francuzi witali jednostki Royal Artillery. Maszerujących ulicami Cherbourga żołnierzy brytyjskich obsypywano kwiatami. Mieszkańcy wychylali się z okien tak głęboko, że wydawało się, że zaraz wypadną.

Dotarłszy na miejsce na wschód od Lille po francuskiej stronie granicy z Belgią, żołnierze zabrali się do kopania i umacniania okopów, schronów i bunkrów. Zachowywali się tak, jakby się urządzali, chociaż wcale nie mieli takiego zamiaru. Po spodziewanym ataku niemieckim mieli przemieścić się 120 kilometrów na wschód i zająć nowe pozycje po stronie belgijskiej na linii rzeki Dyle. Przemawiało za tym wiele względów. Po pierwsze, Francuzi chcieli zatrzymać działania wojenne jak najdalej od obszarów przemysłowych, Anglicy zaś nie chcieli dopuścić do tego, by Niemcy zakładali lotniska w takiej odległości od wybrzeża, która umożliwiałaby uderzenie na południowe rejony Anglii. Obu krajom zależało na partnerstwie Belgii. Ponieważ jednak Belgia zadeklarowała neutralność, ani Francuzi, ani Brytyjczycy nie mogli wkroczyć na terytorium belgijskie, dopóki Niemcy nie zaatakują. Właśnie dlatego w tym czasie budowali zupełnie zbędne umocnienia.

Stanowisko Belgii irytowało Winstona Churchilla. W styczniu 1940 roku porównał deklarację neutralności w obliczu potrząsających szabelką Niemców do karmienia groźnego krokodyla. Każdy neutralny kraj żywił nadzieję, że wystarczy karmić krokodyla, żeby zapewnić sobie ostatnie miejsce w kolejce do pożarcia. Trudno jednak nie współczuć Belgom. Niemcy natychmiast wykorzystaliby jako dogodny pretekst do inwazji ich ewentualną decyzję o przystąpieniu do wojny. Jak zauważył w Paryżu w styczniu 1940 roku brytyjski minister Oliver Harvey:

Bez względu na to, co zrobią Belgowie, Niemcy najadą na Belgię, jeśli im to będzie odpowiadało.

Tymczasem oddziały brytyjskie budowały bezużyteczną linię obronną lorda Gorta. Zimą w okopach było tak mokro, a poziom wód gruntowych był tak wysoki, że żołnierze budowali przedpiersia stanowisk ogniowych praktycznie nadzy od pasa w dół, owijając stopy kawałkami płótna. Richard Annand, oficer z Durham Light Infantry, uznał, że jego ludzie będą pracować z większym zapałem, jeśli przyłączy się do kopania. Widząc go wśród żołnierzy, dowódca brygady polecił mu natychmiast opuścić okop. Pouczył go, że jego zadanie polega na doglądaniu ludzi, a nie na wykonywaniu zadań, które należą do nich. Znosząc linię podziału hierarchii wojskowej, utrudnia zadanie członkom własnej klasy oficerskiej. Mimo to Annand wrócił do okopu i nadal nurzał się w błocie. Podczas kolejnej wizytacji dowódca brygady jedynie mruknął do pułkownika:

– Macie tu, jak widzę, złotoustych szeregowców w batalionie.

Zima 1939 roku była szczególnie mroźna, a warunki życia żołnierzy wprost opłakane. Napotkawszy jakąś starą szopę pełną szczurów, żołnierze z Royal Corps of Signals zbudowali prycze z desek, kabli telefonicznych i czego się dało. Colin Ashford pamięta, że trzeba było myć się i golić w lodowatej wodzie z pełnego glonów wodopoju dla bydła. Percy Beaton z Royal Engineers wspomina z niesmakiem sprzątanie porzuconej przez Francuzów kwatery:

– Wszędzie pełno było odchodów. Oni chyba podcierali się rękami, a potem rozmazywali to po ścianach.

Zauważono wyraźny spadek ogólnego poczucia dyscypliny po zamianie bardziej formalnego umundurowania służbowego na polowe. Ponieważ mundur polowy nie posiadał guzików, które należy polerować, mimo obowiązku czyszczenia butów i bielenia pasa John Williams twierdzi, że żołnierze nie zadawali już szyku „lśniącymi guzikami jak miesiąc wcześniej".

Niektórym z trudem udawało się utrzymywać przyzwoity wygląd. Mundur, który Fred Carter z Royal Engineers otrzymał w kwatermistrzostwie, był o kilka numerów za duży. Fred próbował poprawić go samodzielnie, lecz niestety nie miał zdolności krawieckich i w efekcie „mundur był dziurawy".

Mundur polowy, battledress, zarówno oficerów, jak i podwładnych, składał się z zielonkawobrązowej kurtki i spodni z serży. Oficerowie nosili kurtkę rozpiętą pod szyją i koszulę z krawatem. W początkowym okresie wojny na mundurach widniało niewiele dystynkcji czy insygniów. Oficjalnie jedynymi dozwolonymi insygniami były naramienniki (z nazwą pułku wykonaną czarnymi literami na płótnie khaki), naszywka stopnia wojskowego z gładkiego płótna i podobna naszywka oznaczająca specjalność. Pułki Royal Guards, czyli gwardii królewskiej, posiadały status elitarny i mogły nosić kolorowe naramienniki. Hełmy wolno było nosić z maskującym pokrowcem z juty lub bez, według własnego uznania.

Taka standaryzacja miała na celu ograniczenie do minimum informacji, jaką spostrzegawczy nieprzyjaciel mógł wydedukować z munduru. (Jedynym dowodem tożsamości osobistej żołnierza były zielone i czerwone identyfikatory noszone na szyi, na których wypisane było imię i nazwisko, numer ewidencyjny i wyznanie). Ponieważ jednak mamy do czynienia z armią, wkrótce wszystkie te reguły poddano próbie w praktyce. I tak niektóre pułki zachowały metalowe naramienniki z nazwą stopnia w starym stylu, żołnierze z innych oddziałów nosili naramienniki kolorowe, a jeszcze inni naszywki na rękawie w różnych kolorach i wzorach. Toteż mimo że większość brytyjskich żołnierzy pod Dunkierką charakteryzował wygląd zgoła spartański (zwłaszcza tych, którzy chodzili tylko w gładkim i ciężkim płaszczu), zdarzały się również liczne odstępstwa.

Na przykład wyjątek stanowili żołnierze z Queen’s Own Cameron Highlanders, jedyny pułk w Brytyjskich Siłach Ekspedycyjnych, któremu zezwolono we Francji na kilty, mimo że oficjalnie było to zabronione. Tartan nosił nazwę Cameron z Erracht i często zakrywał go gładki, owinięty wokół pasa „fartuszek kiltowy”. Wybrzuszenie, jakie tworzył z przodu, sprawiało, że jego nosiciel przypominał nieco kangura w kolorze khaki.

Trudno było się delektować jedzeniem wojskowym, a wyspecjalizowana formacja, czyli Army Catering Corps, powstała dopiero w roku 1941. Zdaniem George’a Wagnera, do gotowania przydzielano najgłupszych. Kucharz kompanii

Wagnera, którego nazywano „Szalony Jack”, znany był zwłaszcza z przyrządzania niejadalnego kari.

– Kucharzem mógł zostać każdy, kto chciał – twierdzi Norman Prior z Lancashire Fusiliers, który wspomina nakładane łychą przez znudzonych ochotników nieapetyczne porcje gulaszu maconochie, pamiętnego i znienawidzonego podstawowego produktu spożywczego armii z czasów poprzedniej wojny.

Jednak istniał pewien wybór. Żołnierze brytyjscy wychowani na prostej diecie znaleźli się w kraju, którego mieszkańcy delektowali się jedzeniem, celebrowali posiłki, spożywając w dodatku różne dziwne stworzenia zanurzone w gęstych sosach. Według Jamesa Lansdale’a Hodsona większość Brytyjczyków okazywała niechęć do eksperymentów kulinarnych:

– Niektórzy, mając do wyboru na obiad zupę, sardynki, cielęcinę i kawę, wybierają jajko i frytki. Nie gustują w omletach, wolą jajko sadzone od jajecznicy.

Alexander Frederick, podoficer ze Szkocji, płacił co wieczór pięć franków za posiłek nieodmiennie złożony z jajka sadzonego, frytek, kubka kawy z mlekiem i kawałka chleba. John Williams, który większość wolnego czasu spędzał w normandzkim barze prowadzonym przez pewną wdowę, skarżył się tylko na jedno, a mianowicie że właścicielka nie potrafiła usmażyć jajka. I postanowił temu zaradzić:

– Pewnego dnia wszedłem do kuchni i zapytałem, czy mogę pokazać, jak to się robi.

Nie wszyscy podporządkowali się stereotypom. Na przykład Colin Ashford z przyjemnością wspomina degustację nowych potraw w Lille. Jego zdaniem miejscowe wypieki były smaczniejsze niż to, co jadał w domu. Próbował nawet mięsa końskiego z frytkami i uznał, że „było w porządku”.

Do wyboru były także nieznane napoje. W barach i kawiarenkach, gdzie podawano alkohol, jedni uczyli się pić wino i piwo pełne jasne, inni trzymali się ciemnego. John Williams mówi, że picie jasnego piwa uchodziło za dowód zniewieścienia.

– Dzisiaj, widząc tyle wina do wyboru u Marksa and Spencera, śmiać mi się chce na myśl o czasach, kiedy wino uważano za dziwactwo, które lubią tylko Francuzi.

Chociaż Williams twierdzi, że żołnierze brytyjscy nigdy nie sprawiali kłopotu, to jednak zdarzało się, że sprawiali. W grudniu 1939 roku dwudziestotrzyletni starszy kapral żandarmerii wojskowej Rowson Goulding został oskarżony o dokonanie zabójstwa podczas bójki w barze. Z lektury werdyktu sądu wojennego wynika bezsprzecznie, że podczas spożywania alkoholu w Café de la Mairie w miejscowości Drocourt, Goulding wraz z czterema kompanami wdał się w awanturę z przedstawicielami miejscowej społeczności. W ruch poszły krzesła i butelki. Kilka minut później na ulicy słyszano strzały. Jeden z mieszkańców, Fernand Bince, został zabity.

Francuscy świadkowie zajścia twierdzili, że żołnierze byli bardzo pijani. Zaczęli sami nalewać sobie drinki, rozbijali

kufle, weszli za kontuar i brali cygara. Kiedy poproszono ich o zapłatę, według Francuzów odmówili i zaczęli bójkę. W końcu wyrzucono ich z baru. Wcześniej jednak kilku mieszkańców, w tym także Fernand Bince, odniosło rany.

Żołnierze twierdzili z kolei, że nie byli pijani. Według ich relacji jeden z nich został bez żadnego powodu zaatakowany i raniony przez bywalca baru, co doprowadziło do bójki. Twierdzili, że wynieśli kolegę na ulicę, a Goulding był tym incydentem szczególnie wzburzony.

Bez względu na to, która wersja – jeżeli którakolwiek – jest prawdziwa, wydaje się, że Goulding pobiegł na kwaterę, wziął od kolegi rewolwer i wrócił do baru. Bince mógł zrobić to samo, ale z pewnością wiadomo tylko tyle, że wrócił do baru. Nie było naocznych świadków dalszych wydarzeń, jednak słyszano kilka strzałów i widziano, jak Goulding ciągnął Bince'a ulicą, trzymając go za nogi. Bince zmarł wkrótce w brytyjskim punkcie sanitarnym. Otrzymał jeden strzał w klatkę piersiową.

Sąd wojenny uznał Gouldinga winnym zabójstwa i skazał go na karę śmierci. W aktach sprawy znajdują się dwie prośby o złagodzenie kary. Pierwsza została podyktowana przez matkę Bince'a i przetłumaczona na język angielski. Pani Bince wyraża w nim głębokie współczucie dla Gouldinga i błaga władze o okazanie mu litości:

Nie chciałabym, żeby jego matka płakała po stracie swojego syna, jak ja płaczę po stracie mojego.

Drugi list został wysłany przez mera Drocourt i również zawierał prośbę o ułaskawienie. Wzruszająco nieporadną angielszczyzną mer pisze, że:

Z pewnością nie przestaniemy kochać Armii Brytyjskiej z powodu, że jakiś człowiek popełnił wielką winę. Biorąc pod uwagę moją prośbę, będziecie wspierać dalszą miłość i dlatego chciałbym z całym szacunkiem prosić o okazanie możliwie największej łaski temu bied nemu kapralowi.

Gouldinga ułaskawiono, wyrok zamieniono na dożywotnie więzienie. Cytowane listy adekwatnie charakteryzują okres, w którym Francuzi gotowi byli wybaczyć Brytyjczykom bardzo wiele.

– Traktowali nas jak wyzwolicieli – mówi George Wagner.

Nie był to jednak stosunek powszechny. Kiedy podoficer Anthony Irwin zaoferował pewnemu gospodarzowi pomoc przy naprawie dachu uszkodzonego podczas nalotu przez pocisk przeciwlotniczy typu ack-ack, zamiast podziękowania za troskę spotkała go histeryczna reakcja ze strony żony gospodarza. Obwiniając Anglików za wojnę, kobieta uderzyła Irwina w głowę cynowym garnkiem.

Anthony Irwin nie miał natomiast wątpliwości na temat nastawienia Francuzów do Niemców. Trzydziestoparoletnia córka kupca winnego, u którego kwaterował, opowiadała z oburzeniem o swoich doświadczeniach z poprzedniej wojny, kiedy to kwaterę zajmowało dwóch żołnierzy niemieckich. Ilekroć nie posmakowało im jedzenie lub wino, zmuszali ją, by weszła do kotła do prania bielizny, grożąc,

że ją w nim ugotują, jeśli nie przygotuje czegoś smaczniejszego. Musiała to znosić przez dwa lata.

Tymczasem John Williams znalazł się na kwaterze u dwóch starszych sióstr, które prowadziły urząd pocztowy. Kobiety opowiadały mu, że niemiecki żołnierz, który mieszkał u nich podczas poprzedniej wojny, regularnie upijał się i wymiotował na schodach. Kiedy jedna z sióstr nazwała go pijaną świnią, zaciągnął ją na posterunek, gdzie na kilka tygodni zamknięto ją w areszcie. Siostra odwiedzała ją codziennie i wrzucała chleb przez kraty.

Mimo licznych opowieści o brutalności Niemców, zachowanie niektórych oddziałów brytyjskich mogło również pozostawiać wiele do życzenia. Dotyczy to zwłaszcza członków pomocniczej formacji Auxiliary Military Pioneer Corps. W grudniu 1939 roku brytyjski generał odnotował, że zachowanie pionierów źle wpływało na relacje między Brytyjczykami i Francuzami. Średnia wieku członków tej formacji wynosiła około pięćdziesięciu lat, byli niezdyscyplinowani (w sądzie wojennym toczyło się przeciwko nim więcej spraw niż przeciw jakiejkolwiek innej formacji przebywającej we Francji), dowodzili nimi podrzędni oficerowie, w dodatku pracowali jako robotnicy niewykwalifikowani. Ogólnie rzecz biorąc, mieli fatalną reputację.

Percy Beaton z Royal Engineers, który pracował z kompanią pionierów, czuł się przez nich chroniony i jednocześnie zastraszany. Wspomina:

– Traktowali nas jak niedoświadczonych gówniarzy, a jednocześnie nam ojcowali. – Jednak dodaje, że cały czas miał się na baczności. Starał się ich nie drażnić zwłaszcza po tym, co przydarzyło się pewnemu sierżantowi, który im się naraził. Mianowicie pionierzy wywlekli go za nogi z baru i przeciągnęli twarzą po bruku. – Nie dało się go rozpoznać – wspomina Beaton. – Widać było tylko dwie wąskie szparki i kawałek ust.

Po kilku miesiącach, w późniejszej fazie odwrotu, John Williams zdołał zatrzymać jednostkę pionierów, którzy opuścili stanowiska i ruszyli do ucieczki w kierunku kanału La Manche, chociaż powinni nadal walczyć. Williams zwrócił uwagę dowodzącemu grupą starszemu sierżantowi, ten jednak krzyczał:

– Wynosimy się stąd, do jasnej cholery!

– Do jasnej cholery!? Powinien się pan wstydzić – odparował Williams. – Jest pan sierżantem sztabowym armii brytyjskiej i ma pan czelność mówić o ucieczce w obecności swoich ludzi!?

Kilku pionierów odbezpieczyło karabiny, dając do zrozumienia, że gotowi są go zastrzelić. Dygocząc ze strachu, Williams także podniósł broń i zawołał:

– Pierwszego, który strzeli, położę trupem! No to który pierwszy?

Jeden za drugim pionierzy powoli opuścili karabiny i zaczęli się wycofywać. Ostatecznie wrócili na stanowiska i uczestniczyli w operacji obronnej.

Chwilę później Williams widział, jak wynoszono z pola bitwy sierżanta, któremu pocisk urwał połowę pośladka.

– Do cholery, sierżancie! Mówił pan, że się wynosicie – zagadnął Williams. – Cieszę się, że w końcu się to panu udało.

Chociaż już niebawem żołnierzy miały czekać ciężkie chwile, zanim to nastąpiło, trwała tak zwana „dziwna wojna", którą wszyscy relacjonują w podobny sposób.

– To wyglądało jak wakacje – mówi Williams. – Nie chciało nam się wierzyć, że trwa jakaś wojna.

W raportach dyscyplinarnych Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych z tego okresu odnotowano niewielki odsetek dezercji. Po ogłoszeniu ostrzeżenia, że awanturnicy odsyłani będą do Anglii, nawet zachowanie Middlesex Regiment uległo wyraźnej poprawie.

Liczący w wojsku na dowartościowanie Anthony Rhodes z Royal Engineers uznał, że „dziwna wojna" jest „zabawna i ciekawa". Z kolei pewien medyk w dojrzałym wieku, który w cywilu harował jak wół, wspomina ten okres jako czas kojącej ulgi. Jego życie stało się proste, składało się z jedzenia, picia, a także, jak to nazywał, „rzeczywistości cielesnej".

Jimmy Langley zapamiętał szczególnie pewien radosny piątkowy wieczór, w który żołnierzom z jego plutonu wypłacono żołd wcześniej niż pozostałym. Kiedy oficer dowodzący jedną z kompanii wyraził zdziwienie na widok gromadnego biegu na przełaj całej jednostki, Langley, którego pluton biegł na czele, jakoś mu nie wyjaśnił, że

wyścig, którego nikt nie chciał przegrać, prowadzi do najbliższego burdelu.

David Elliott z Royal Army Medical Corps dobrze zapamiętał Rue ABC, wąską brukowaną uliczkę w Lille, po obu stronach której ciągnęły się burdele. Do każdego z nich prowadziły drzwi przycięte od góry do połowy, jak drzwi do obory. Zaglądając do jednego z tych przybytków, Elliott zobaczył najpierw podłogę do tańca i bar, przy którym siedziały dziewczęta w stringach i popijały z żołnierzami, by potem wejść z nimi do pokojów na górze.

– Dla mnie to było objawienie – wspomina David. – I te dziewczyny się do siebie przytulały! Bo chociaż miałem już prawie dwadzieścia jeden lat, to nigdy jeszcze nie słyszałem słowa „lesbijka”.

– Trudno było poskromić naturę ludzką – przyznaje działonowy William Harding z Royal Artillery. Był jednak rozczarowany doświadczeniem, za które przed wejściem na piętro zapłacił dziesięć franków, czyli koszt dwóch porcji jajka sadzonego z frytkami. – Brakowało w tym prawdziwego ludzkiego dotyku – skomentował. – Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało wulgarnie – dodaje – ale przed wejściem dziewczyna wychodziła z pokoju, rozchylała nogi i wycierała się kawałkiem szmaty. A potem rzucała tę szmatę na dół, między chłopaków, którzy czekali w kolejce na górę. I chłopaki wydzierały sobie tę szmatę.

Oczywiście wiele przemawiało za tym, żeby trzymać się od burdeli z daleka, a najważniejszy powód to choroby weneryczne. Alexander Frederick mówi, że jego ojciec i inni

weterani pierwszej wojny światowej zalecali mu ostrożność w korzystaniu z „tych przybytków”. Kiedy jednak lekarz wojskowy pokazał mu serię zdjęć przedstawiających dotknięte zakażeniem męskie genitalia, zainteresowanie „przybytkami” minęło jak ręką odjął.

Najbardziej zagorzałym przeciwnikiem chorób wenerycznych został, o dziwo, generał Montgomery. Wystosował takie oto kontrowersyjne memorandum do żołnierzy:

Jeżeli mężczyzna ma potrzebę obcowania z kobietą, zdecydowanie należy mu na to pozwolić, musi jednak kierować się zdrowym rozsądkiem i zadbać o wszelkie niezbędne zabezpieczenia przed infekcją. W przeciwnym razie stanie się ofiarą własnej lekkomyślności, a to oznacza pomaganie nieprzyjacielowi.

Montgomery uważał, że obowiązkiem armii jest zapobieganie chorobom wenerycznym wśród żołnierzy między innymi poprzez stwarzanie możliwości nabywania prezerwatyw, udostępnianie „pomieszczeń profilaktycznych”, w których mężczyźni mogą umyć się po spotkaniu intymnym, oraz poprzez naukę języka francuskiego na tyle, by umieli kupić prezerwatywy w aptece oraz zapytać o drogę do licencjonowanego burdelu.

Generał Alan Brooke, dowódca 2. Korpusu Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, nazwał memorandum Montgomery’ego obscenicznym, lecz mimo to nie zostało wycofane. Monty

napisał później, że dostał od Brooke'a „na odlew", ale jednocześnie przyznaje:

Osiągnąłem, co chciałem, bo choroby weneryczne ustały.

Panująca w armii tolerancja wobec aktywności seksualnej żołnierzy podczas pobytu we Francji – czy wręcz zachęta do tej aktywności – wcale nie sprawiła, że dla wielu młodych żołnierzy Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych kwestie te przestały być szokujące. Colin Ashford studiował przed wojną sztuki piękne i projektowanie graficzne w prestiżowej Glasgow School of Art. Teraz został piechurem i służył jako szeregowy w Highland Light Infantry wśród ludzi, którzy bez przerwy przeklinali i interesowali się wyłącznie piciem i seksem.

– Nie zdawałem sobie sprawy – dziwi się Colin – że jest tylu mężczyzn, którzy mają tak niski poziom inteligencji. Pamiętam jednego starszego sierżanta, po którym dosłownie było widać, jak myśli, kiedy się coś do niego powiedziało.

Ashford i jego koledzy postanowili używać długich wyrazów, żeby dezorientować sierżanta.

– Facet powinien nosić żałobny wieniec na głowie – twierdził jeden z kolegów Colina – żeby było wiadomo, że jego mózg zmarł.

Wracając do spraw intymnych, poza ulotnymi kontaktami seksualnymi dochodziło także do niewinnych flirtów oraz stałych związków. Percy Beaton przez pewien czas spotykał się z pewną Francuzką, której wszędzie towarzyszyła przyzwoitka. William Harding zakochał się na zabój

w dziewczynie z Nantes, ale związek urwał się, kiedy jego batalion przemieszczono bez uprzedzenia. W nowym miejscu stacjonowania Hardingowi oznajmiono, że ma gościa. Ucieszył się i wybiegł na spotkanie uradowany, w przekonaniu, że to jego dziewczyna. Czekała go jednak niespodzianka.

– To była jej matka – wspomina. – Zarzuciła mi ramiona na szyję i zalała się łzami.

Wypominała mu, że tak nagle wyjechał, i zapewniała, że córka bardzo za nim tęskni. Towarzysze Hardinga obserwowali tę scenę z wielkim rozbawieniem.

– Dali mi potem nieźle popalić – mówi Harding. – Żartowali, że spałem z obiema, z córką i matką, i wygadywali jeszcze różne inne okropności.

„Dziwna wojna” stwarzała więc żołnierzom brytyjskim rozmaite możliwości. Odcisnęła też na nich ważne symboliczne piętno. Młodzi ludzie przemierzali tereny, na których ćwierć wieku wcześniej walczyli i ginęli ich ojcowie.

– Znalazłem się nagle w tym samym rejonie Francji – opowiada Colin Ashford – gdzie mój ojciec został ciężko raniony odłamkiem.

Colin widział ślady starych okopów oraz zwiedzał brytyjskie, francuskie i niemieckie cmentarze, których rozmiary i architektura zrobiły na nim duże wrażenie.

Podczas rozpoznania stacjonujący w Belgii Ted Oates zwiedzał wraz z weteranem wojennym sierżantem kwatermistrzem Richardsonem Bramę Pamięci (Menin

Gate) w Ypres, gdzie wykuto nazwiska poległych w pierwszej wojnie światowej. Przed wejściem na cmentarz sprzedawano lody, które zamierzali kupić, gdy będą wracać. Jednak w drodze powrotnej wózka z lodami nie zastali, ponieważ sprzedawca ukrył się przed niemieckim nalotem. Sierżant kwatermistrz Richardson nie wrócił do Anglii. Jego nazwisko widnieje na Dunkirk Memorial wśród tych, których grobów nie zidentyfikowano.

Rzecz jasna nie tylko brytyjscy żołnierze piechoty walczyli we Francji. Byli tam także lotnicy z RAF-u, tej radosnej kompozycji wojska i marynarki nieobciążonej surowością i dyscypliną żadnej z tych pokrewnych formacji. W ramach wsparcia wysłano do Francji cztery dywizjony wyposażonych w doskonałe działa myśliwców hurricane. Roland Beamont dostał przydział do 87. Dywizjonu i wylądował w Lille. Działalność szwadronów polegała przede wszystkim, jak mówi, na „bezustannym patrolowaniu okolicy w poszukiwaniu zwiadu nieprzyjaciela”. Ale nieprzyjaciela widywali bardzo rzadko.

Powołano też Advanced Air Striking Force, czyli Wyprzedzający Lotniczy Korpus Uderzeniowy, którym dowodzili Francuzi. W jego skład wchodziły kolejne dwa dywizjony hurricane’ów oraz jedenaście dywizjonów lekkich i średnich bombowców. Ta formacja miała więcej okazji do sprawdzenia się w boju. Billy Drake, członek załogi hurricane’a wchodzącego w skład 1. Dywizjonu, widząc atakującego go nagle messerschmitta Bf 109, przystąpił

natychmiast do kontrataku, chociaż był to jego pierwszy kontakt z nieprzyjacielem.

Niemiec wiedział, co robi. Próbował złapać mnie w pułapkę i spychał w kierunku biegnących nad rzeką przewodów wysokiego na pięcia, żebym musiał pod nimi przelecieć. Podniósł się w górę, żeby sprawdzić, czy się rozbiję, a ja się nie rozbiłem. I to był jego błąd. Udało mi się go dopaść, posłać mu serię i o ile wiem, zmusić do lądowania awaryjnego.

Chojnie dofinansowane i stylowo umundurowane siły lotnicze miały wyraźną przewagę nad armią. Przyciągały w związku z tym liczne i nieprzeciętne indywidualności. W kwietniu 1940 do Francji poleciał wraz z 98. Dywizjonem niejaki Vivian Snell. Lubił spędzać wieczory w Reims, gdzie za ułamek londyńskiej ceny zamawiał olbrzymie ilości szampana. Przyjaźnił się z Freddiem Snellem, który przypadkowo nosił takie samo nazwisko i bardzo lubił się zabawić.

Vivian Snell opowiada, jak Freddie spędzał burzliwy weekend w jednym z hoteli w Reims, gdzie drzwi wejściowe zamykano o 23.00. Freddiemu nie odpowiadał ten zwyczaj, więc ostrzegł obsługę:

– Nie zamykajcie drzwi, bo i tak je otworzę.

Tak też zrobił. Wracając nocą do hotelu, odstrzelił zamek z rewolweru. Następnego dnia uznał, że pianista w barze gra zbyt długi utwór i posłał dwie kulki w pianino. To jednak nie wszystko. Wielki finał dopiero nastąpi.

Freddie miał wrócić do jednostki w poniedziałek rano. W środku nocy adiutant dywizjonu próbował nakłonić go do powrotu do domu:

– Chodź już, Freddie. Przecież musisz być rano w jednostce.

– Nie mogę! Widzisz, że tańczę – odparł Freddie, który tańczył w towarzystwie kilku dziewcząt. – Ty też z nami zatańcz! – zaproponował adiutantowi, wyciągnął rewolwer i zaczął strzelać w podłogę wokół jego nóg, więc adiutant faktycznie zaczął tańczyć.

Freddie Snell stanął przed sądem wojennym. RAF był formacją tolerancyjną, ale tylko w pewnych ramach.

Tymczasem liczba przestępstw w innych jednostkach rosła niemal z dnia na dzień. Przestępstwa dokonywane przez poborowych o podejrzanej reputacji pojawiły się niemal natychmiast po wylądowaniu pierwszych dywizji Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych we Francji, od włamań do jubilera po kradzież jedynego samochodu policyjnego w Rennes. Najczęściej dokonywano kradzieży zaopatrzenia dla wojska. Powstała zorganizowana sieć, która obejmowała kradzieże towarów z brytyjskich magazynów, z portów po obu stronach kanału La Manche, ze statków dostawczych, magazynów francuskich, pociągów, samochodów ciężarowych, aż po końcowych odbiorców. Nie było chwili, by los dostawy nie był narażony na rabunek. Korzystał na tym świetnie zaopatrzony czarny rynek po obu stronach kanału La Manche.

We wrześniu 1939, podczas rozładunku wyposażenia Sztabu 1. Korpusu w Cherbourgu, ginęły tak wielkie ilości zaopatrzenia, że trzeba było wyprowadzić z portu i trzymać pod strażą wszystkie samochody służbowe. Nie było rzeczy zbyt dużej lub zbyt małej, żeby nie nadawała się do kradzieży. Raport wysłanego do Francji Głównego Inspektora Scotland Yardu George'a Hatherilla, był druzgocący:

Prawie w każdym odwiedzonym przeze mnie porcie, na każdej bocznicy kolejowej i w każdym magazynie działo się to samo: znikały pokaźne ilości wszelkiego rodzaju dostępnych towarów, często w ciągu kilku godzin po rozładowaniu.

Natychmiastową reakcją dowództwa było odwołanie z rodzimych jednostek pięciuset żołnierzy rezerwy z doświadczeniem policyjnym i przydzielenie ich do eskorty dostaw. Hatherill zalecił także powołanie Special Investigations Branch, czyli specjalnego działu śledczego, w żandarmerii, marynarce i lotnictwie. Wcielono do niego w charakterze detektywów wojskowych pięćdziesięciu ośmiu funkcjonariuszy i podoficerów Scotland Yardu. Wkrótce Special Investigations Branch stał się organizacją równie liczną, co skuteczną.

Chociaż, jak wiadomo, kradzież od niepamiętnych czasów była sposobem na przetrwanie w armii.

– Potrafili, jak to mówią, ukraść niewidomemu mleko z herbaty – opowiada sygnalista, któremu ukradziono nóż oraz czapkę, zmuszając go do ich „odkradzenia" komuś

innemu. Pomijając jednak szerzące się wszędzie podkradanie (oraz usilne starania Auxiliary Military Pioneer Corps) nie wydaje się mimo wszystko, by żołnierze Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych mieli dopuszczać się we Francji poważnych zbrodni. Jak wynika z wyrywkowego przeglądu protokołów sądu wojennego z początku marca 1940, najbardziej powszechnym przewinieniem było opilstwo, a w jego następstwie przemoc w stosunku do przełożonych oraz kradzież. Powszechności opilstwa trudno się dziwić, zważywszy na niskie ceny piwa, wina i wysokoprocentowych napojów alkoholowych, zwłaszcza biorąc pod uwagę mocny kurs funta brytyjskiego w porównaniu ze słabym frankiem (kurs funta brytyjskiego wynosił 176,5 franka).

Pijaństwo, choć samo w sobie nie było zbrodnią, prowadziło często do poważniejszych przestępstw. To prawdopodobnie pijaństwo miało istotny udział w zabójstwie popełnionym przez starszego kaprala Gouldinga, które mogło zaostrzyć stosunki między żołnierzami brytyjskimi a miejscową ludnością. Mogło też utrudnić stojące przed armią zadania. Pewien kapitan, dowódca kompanii z East Yorkshire Regiment, upił się do tego stopnia, że 9 maja 1940 roku, w przededniu wymarszu Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych do Belgii, uznano go za niezdolnego do pełnienia służby. Nie był to zapewne jedyny aktor, który 10 maja nie pojawił się na scenie. Zachowanie w przypadku prostego żołnierza podlegało jednak całkowicie innej ocenie niż w przypadku oficera.

Po oficerach armii brytyjskiej spodziewano się zachowania nienagannego. Obowiązywały ich konkretne standardy i szczególne poczucie odpowiedzialności. W zamian za to powierzono im zwierzchność nad innymi i zapewniono określone wygody i przywileje. Przynajmniej teoretycznie. Pisarz Anthony Powell, który służył w Welch Regiment w stopniu podporucznika, dowodził plutonem, w którym odpowiadał, jak pisze – „za trzydziestu ludzi bez absolutnie żadnej możliwości sprawowania nad nimi władzy". Jego zdaniem podwładni wymagali wyłącznie bezustannej opieki. Trudno polemizować z tym poglądem, chociaż prawdą było także i to, że nie każdy oficer wywiązywał się należycie ze swych obowiązków.

Niektórzy byli na przykład mściwi. Kiedy dobrze zapowiadający się żołnierz Gordon Highlander odmówił przyjęcia awansu, wyjaśniając, że wolałby pozostać z kolegami, został natychmiast karnie pozbawiony przepustki na siedem kolejnych dni, po czym dotknięty odmową przełożony oskarżył go o niestosowny ubiór, gdyż spod getrów wystawała sznurówka.

Inni okazywali rażące niedbalstwo. W lutym 1940 roku czterech oficerów Royal Warwickshire Regiment skazano za bunt i nieuzasadnioną nieobecność w oddziale. Sąd wojenny rozpatrywał także wypadek utonięcia szeregowca podczas ćwiczeń desantowych. Wszystkich czterech oficerów potraktowano łagodnie: dwu majorom udzielono surowej nagany, a dwu porucznikom nagany. Dowódcę batalionu odwołano z funkcji. Oficerowie ci wraz z dowódcą

nie dopełnili obowiązków służbowych – nie wykazali właściwej troski o swoich ludzi.

Relacje z ewakuacji spod Dunkierki brzmią zazwyczaj tak, jakby do Francji przybyła cała armia brytyjska. Oczywiście nie miało to miejsca. Do wojska wstępowali poborowi i ochotnicy, a instytut Mass Observation czuwał nad tym, co myśleli i jakie postawy reprezentowali członkowie armii. Jeden z regularnych respondentów, świeżo przyjęty do RAF-u poborowy, przyznał, że chociaż jego koledzy nie byli bez pamięci zakochani w RAF-ie, to zdecydowanie woleli RAF od armii regularnej, gdzie, jak powszechnie sądzono, żyło się najgorzej. Stwierdził także, że jego towarzysze lekceważyli Niemców znacznie rzadziej niż cywile, którzy nadal trwali w przekonaniu, że wojna zostanie wkrótce wygrana, „chociaż, jak powszechnie wiadomo, mamy twardy orzech do zgryzienia”. Hitlera określano zgodnie mianem sukinsyna, jednak nie okazywano powszechnej nienawiści do Niemców. Lotnicy rzadko wdawali się w dyskusje polityczne, mimo że – lub właśnie dlatego że – wśród poborowych nie brakowało komunistów, socjalistów i eksfaszystów. Respondent stwierdził, że „lubią demokrację, ale bardzo dobrze wiedzą, że tak naprawdę chodzi tylko o brytyjską stolicę”. Ten swoisty cynizm wydaje się ciekawy, zważywszy na fakt, że ulubionym przez większość poborowych członkiem rządu był Winston Churchill, polityk, który utrzymywał, że wojna toczy się o wolność i demokrację.

Jeśli chodzi o panujące w tej grupie opinie na temat osób odmawiających służby wojskowej ze względu na przekonania, to były one podzielone. Jedni odrzucali takie postawy jako „nienaturalne i kwalifikujące reprezentujące je osoby do rozstrzelania”. Zaskakująco wielu badanych było jednak zdania, że „sprzeciw ze względu na przekonania wymaga nie lada odwagi, podczas gdy my poszliśmy na łatwiznę, postępując tak jak wszyscy”.

Rzeczywiście, niektórym przeciwnikom służby wojskowej trudno było zarzucić, że idą na łatwiznę. R. J. Porcas z Norbury w południowym Londynie był z przekonania pacyfistą i uważał, że służba wojskowa to przyuczanie do mordowania bliźnich. Nie zarejestrował się jednak jako osoba odmawiająca służby, uważał bowiem, że żaden trybunał nie ma moralnego prawa osądzać jego sumienia. Sytuacja jest analogiczna, argumentował Porcas, do średniowiecznej inkwizycji, która skazywała ludzi za przekonania religijne.

Porcas zdawał sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji swego zachowania. W liście skierowanym do ministra pracy pisał, że jest gotów oddać się do dyspozycji „władzom wojskowym, by sprawdziły, czy uda im się mnie złamać”. Ostatecznie nie musiał odgrywać roli męczennika. Uznano go za osobę odmawiającą służby wojskowej ze względu na przekonania bez konieczności stawienia się przed trybunałem, a nawet bez potrzeby rejestracji. Tak światła decyzja (i wysiłek włożony w jej wydanie) ilustruje przepaść dzielącą pierwszą i drugą wojnę światową pod

względem stosunku do osób, które odmawiają służby wojskowej z powodów moralnych.

Mimo że kilku znanych pacyfistów, na przykład A. A. Milne, autor „Kubusia Puchatka”, zmieniło poglądy i poparło wojnę, byli tacy, którzy uparcie opowiadali się za jednostronną deklaracją pokoju. Poseł Partii Pracy, Rhys John Davies, pytany podczas publicznego spotkania, czy zgadza się z Hitlerem, odparł, że nienawidzi Hitlera, podobnie jak naród niemiecki. Dalej przekonywał, że jest to ostatnia wojna, jaką Wielka Brytania prowadzi jako mocarstwo. Jego zdaniem Zjednoczone Królestwo stanie się w przyszłości „czymś w rodzaju wasala Ameryki”. Mimo tak szokujących opinii na temat współczesności, poseł Davies wykazał się, jak widać, zaskakującą przezornością na temat przyszłości.

Nie trzeba było jednak być pacyfistą, żeby podczas „dziwnej wojny” uniknąć powołania do wojska. Wystarczyło, gdy poborowy został uznany za niezdolnego do służby wojskowej z powodów zdrowotnych. Lub gdy udawał taki brak zdolności. Młody londyńczyk Jack Brack był chory na serce i w październiku 1939 otrzymał orzeczenie komisji lekarskiej o niezdolności do służby. Niedługo potem stał się znany jako bohater afery związanej z poborem. Mianowicie przyjął pieniądze od Maurica Kravisa, szefa sali bilardowej w Brick Lane, za to, że stawi się zamiast niego przed wojskową komisją lekarską. Brack zgłosił się na badania, podając się za Kravisa, i uzyskał zwolnienie ze służby wojskowej. Ponieważ amatorów takiego zwolnienia było

więcej, Brack zaczął regularnie bywać na badaniach komisji pod różnymi nazwiskami. Starał się przy tym nie pojawiać się dwa razy przed tym samym składem komisji. Jednak po pewnym czasie stał się tak znaną twarzą, że przedsięwzięcie się posypało. Oczywiście Brack trafił do aresztu razem ze wszystkimi, pod których zdążył się podszyć. Uznano go winnym uczestnictwa w spisku mającym na celu uniemożliwienie egzekwowania prawa przewidzianego Ustawą o Narodowej Służbie Wojskowej. Skazano go na trzy lata więzienia.

W Burton-on-Trent dwudziestoszścioletni Raymond Gould trafił do więzienia za to, że nie stawił się na wezwanie komisje poborowej. Jego matka twierdziła, że Raymond jest zbyt leniwy, żeby służyć w wojsku. Inspektor Ministerstwa Pracy, który wystąpił na rozprawie jako świadek oskarżenia, zeznał, że musiał czekać dwadzieścia minut na rozmowę z Gouldem. W tym czasie matka i siostra Raymonda próbowały nakłonić go, żeby wstał z łóżka.

Podczas rozprawy Gould nie odezwał się ani razu, chociaż sąd został poinformowany, że mówić potrafi, gdyż niedługo przedtem skazano go za używanie obraźliwego języka podczas zawodów Derby Police Court.

Jak więc widać, próbowano unikać służby wojskowej na różne sposoby i z wielu powodów.

Jednak znalazł się również ktoś, kto postanowił złamać prawo, żeby dostać się do wojska. Samuel Martin, dwudziestojednoletni mieszkaniec północnego Londynu, stanął przed sądem Old Bailey pod zarzutem sabotażu

w fabryce, w której zatrudniony był przy produkcji części do łodzi podwodnych.

Samuel starał się za wszelką cenę przerwać pracę w fabryce i zaciągnąć się do wojska, tyle że jego przełożeni nie chcieli się na to zgodzić. Dlatego celowo zmontował w niewłaściwy sposób elektryczny zapalnik torpedy, po czym oświadczył kierownikowi zmiany, że stracił zainteresowanie pracą. Kolejnego dnia złożył to samo urządzenie, nie umieszczając w nim jednego z najważniejszych elementów. Na koniec zaś popełnił błąd, którego zdaniem rzeczoznawcy nie można popełnić bezwiednie. Uznano go więc winnym sabotażu, za co groziła surowa kara, jako że od sabotażu blisko do zdrady. Sędzia odstąpił jednak od jej wykonania, umożliwiając Samuelowi natychmiastowe wstąpienie do armii.

Społeczeństwo brytyjskie, które oczekiwało ataku aliantów już od jesieni 1939 roku, z czasem zaczęło się dziwić, że wciąż nic się nie dzieje. Według sondażu instytutu Mass Observation, przeprowadzonego tuż przed niemiecką ofensywą z 10 maja, osiem i pół miesiąca bezczynności wywołało wśród Brytyjczyków wyraźne objawy zniechęcenia. Dotychczasowa wiara w zwycięstwo i pewność siebie ustępowały miejsca pogłębiającej się dywersyfikacji postaw wobec Hitlera od powściągliwego uznania, po nienawiść i inwektywy w rodzaju „humanoidalny diabeł” czy „przekleństwo naszych czasów”.

Takie postawy dochodziły do głosu jeszcze częściej z chwilą, gdy Niemcy ruszyli do ataku. Pojawiły się też

nowe poglądy, mianowicie że Hitler jest militarnym geniuszem, a jego machina wojenna jest niezwyciężona.

Na szczęście alianci rzucili do walki milion ludzi więcej niż Niemcy. Sami Francuzi mieli od nich więcej czołgów i samolotów bojowych. Legendarne niemieckie dywizje pancerne, na których opierało się przekonanie o tym, że naziści są niezwyciężeni, w rzeczywistości stanowiły zaledwie nikły procent siły uderzeniowej armii Hitlera. Składały się zresztą głównie ze zdobycznych czołgów czeskich i czołgów szkoleniowych pośledniej jakości. Co zaś do wiary w geniusz Hitlera, to nikt nie podzielał jej z głębszym przekonaniem niż sam Hitler – co miało w przyszłości przynieść niemieckim siłom zbrojnym fatalne skutki.

W miarę jak Anglia zmuszona była pogodzić się w końcu z uznaniem potęgi Niemiec, do Brytyjczyków docierała także świadomość, jak wątła jest Linia Maginota i jak bezsensowna strategia Francuzów.

– Siedzieli na pozycjach i czekali, aż coś się wydarzy – komentuje Peter Barclay, oficer Norfolk Regiment.

Po zwiedzeniu Linii Maginota Barclay nabrał przekonania, że wywiera ona destrukcyjny wpływ na gotowość żołnierzy do walki, gdyż powoduje zbyt silne nastawienie na defensywę. Inni żołnierze brytyjscy, którzy odwiedzali francuskie fortyfikacje, opisywali je jako kompletne nieporozumienie i zupełnie niepotrzebne przedsięwzięcie.

Trzeba jednak przyznać, że Linia Maginota doskonale spełniła swoje zadanie, bo nigdy nie została przerwana. W świetle późniejszych wydarzeń bardziej znamienne są krytyczne oceny armii francuskiej, które często pojawiają się w wywiadach oraz pamiętnikach oficerów i żołnierzy brytyjskich.

Oczywiście wiele z tych opinii można uznać za mądrość po fakcie, jednak niektóre brzmią wiarygodnie. Podczas manewrów w roku 1939 kapitan Henry Faure Walker zaobserwował u żołnierzy francuskich rażący brak dyscypliny i niski poziom wyszkolenia. Kapitan Walker opisuje, między innymi, grupę rezerwistów, którzy na wydany przez oficera rozkaz „baczność" zaczęli na niego krzyczeć, przeklinać, a nawet mu grozić. Oficer, który był dowódcą batalionu, spojrzał tylko na Walkera i wzruszył ramionami.

Walker utrzymywał podczas „dziwnej wojny" przyjacielskie stosunki z oficerami francuskimi. Wiosną 1940 roku jeden z nich zwierzał się, że morale jego ludzi spadło do tego stopnia, że prawdopodobnie nie będą już w stanie dalej walczyć. W roku 1939 byli wystarczająco zmotywowani, ponieważ jednak dostają niskie żołdy i są znudzeni oraz rozczarowani, stali się „militarnie bezużyteczni".

Lord Gort znalazł się więc w trudnej sytuacji. Z jednej strony oficerów brytyjskich dręczyła obawa o skuteczność armii francuskiej, a z drugiej nie mógł liczyć na uzyskanie od francuskiego dowództwa pełnej informacji na temat

rozwoju wydarzeń. Musiał zatem nie tylko zorganizować jak najlepiej własne siły zbrojne, ale także dbać i zabiegać o utrzymanie regularnych i owocnych kontaktów z Francuzami. W przeciwnym razie wszystkim groziło wielkie niebezpieczeństwo.

Niemcy przystąpili do ataku 10 maja 1940 roku. Zdezorientowani obywatele małego Luksemburga z niepokojem obserwowali ciągnące w kierunku granicy belgijskiej kolumny artylerii, pojazdów opancerzonych, samochodów i czołgów. Młody niemiecki czołgista (kapitan Carganico) skutecznie posuwał się do przodu, dopóki nie natknął się na pole minowe w Bodange po belgijskiej stronie granicy. Wraz z resztą kolumny czołgów musiał odczekać, aż saperzy oczyszczą drogę. Następnego dnia ruszył dalej, ze zdziwieniem odnotowując kontrast między dobrze odżywionymi i zamożnymi Luksemburczykami a biedną, mizerną Belgią.

Po pewnym czasie kapitan Carganico otrzymał przez radio ostrzeżenie o kolejnym polu minowym oraz o zbliżających się oddziałach motocyklistów nieprzyjaciela. Kolumna czołgów zatrzymała się, czekając, aż dowódca prowadzącego plutonu odstrzeli kilka min widocznych na powierzchni drogi. Po serii detonacji czołgi znowu posuwały się przed siebie.

Czołgiści woleli omijać miasta, toteż po kilku kilometrach kolumna zboczyła, żeby objechać wokół Neufchâteau. Z grzbietu wzgórza rozciągał się widok na dolinę i połyskujące w słońcu białe zabudowania wioski Petitvoir.

Nagle rozległy się strzały. Padły najpierw od strony wsi, a potem z lasu z przeciwnej strony. Wkrótce strzały ucichły. Na przeciwległym zboczu pojawili się artylerzyści belgijscy, którzy próbowali uruchomić działa, jednak wcześniej dosięgnął ich niemiecki ogień karabinów maszynowych. Kilku Belgów upadło, pozostali rzucili się do ucieczki. W oddali widać było gęstą kolumnę piechoty, która posuwała się na zachód, uciekając przed niemieckim natarciem.

Kapitan Carganico wysłał przez radio meldunek, w którym poinformował, że musi uzupełnić paliwo oraz że należy przysłać oddział do zabezpieczenia zdobytego terytorium, po czym jechał dalej. Nagle w słuchawkach zabrzmiał głos dowódcy:

– Halt!

Kierowca czołgu wcisnął hamulec, a Carganico zorientował się, że zatrzymali się kilkanaście centymetrów od krawędzi wykopu głębokiego na ponad metr i obrośniętego liściastymi krzakami. Ominąwszy pułapkę, pośpieszył dalej, wyprzedzając po drodze lżejsze pojazdy opancerzone.

Tuż przed zachodem słońca kolumna czołgów niemieckich dotarła do wsi Rochehaut. Następnego dnia od świtu w poszukiwaniu mostu przeczesywano brzeg rzeki Semois w kierunku południowym, ale nieprzyjaciel otworzył ogień maszynowy z przeciwległego brzegu, Niemcy udali się więc na północ do przeprawy w miejscowości Mouzaive. Kolumna dostała się wprawdzie pod ostrzał artyleryjski, ale

dotarła w stanie nienaruszonym do płytkiego odcinka rzeki. Niemieckie działka przeciwlotnicze ostrzelały francuski samolot, który pojawił się podczas przeprawy motocyklistów na drugi brzeg. Rzeka w tym miejscu miała niewiele ponad pół metra głębokości, więc czołgi bez trudu mogły przez nią przejechać.

Następnie jednostka skierowała się na południe, do Ban d'Alle, żeby niebawem wjechać do porośniętych lasem i rzekomo nieprzebytych Ardenów. Po drodze mijali porzucony sprzęt wojskowy i unieruchomione pojazdy, co świadczyło o tym, że nieprzyjacielskie oddziały w panice wycofywały się w głąb lasu, uciekając przed Niemcami. Tymczasem kolumna pancerna zbliżała się krętą leśną drogą do granicy francuskiej. Po przebyciu dwustu dwudziestu kilometrów przez Niemcy i Francję stanęli przed drogowskazem na Sedan. W ten sposób znaleźli się bardzo blisko pierwszego celu niemieckiego natarcia. Carganico i jego koledzy wreszcie poczuli się pewni swego.

Tak zakończyła się dla wojsk brytyjskich „dziwna wojna". Jak pisał później John Williams:

„Dziwna wojna" był to czas wymarzony. Nie wiem, czego się tam spodziewaliśmy. Znajdowaliśmy się w stanie kompletnej niewinności. Robiliśmy, co nam kazano, mieliśmy swoich oficerów, znaliśmy się ze wszystkimi chłopakami i byliśmy przekonani, że świat jest w porządku. Na myśl o tym wzdrygam się i chce mi się płakać.

ROZDZIAŁ CZWARTY
WIELKIE NADZIEJE

William L. Shirer, amerykański korespondent w Berlinie, obserwował, jak funkcjonują na co dzień nazistowskie Niemcy. W dniach bezpośrednio poprzedzających Blitzkrieg zwrócił uwagę na przemówienie radiowe niemieckiego ministra edukacji Bernharda Rusta, które miało przygotować młodzież szkolną na nadchodzący atak wojsk hitlerowskich:

– Społeczeństwo niemieckie pod przewodnictwem Hitlera nie chwyciło za broń po to, by najechać inne kraje i zmuszać inne narody do posłuszeństwa. Zostaliśmy zmuszeni do wojny przez państwa, które zamknęły nam drogę do chleba i zjednoczenia Niemiec.

Niemieckie dzieci nie były wychowywane w duchu wiary w świat, w którym obowiązują tolerancja i akceptacja odmienności. Według Rusta:

Pan Bóg stworzył świat jako miejsce pracy i walki. Kto nie rozumie praw walki obowiązujących w życiu, zostanie wyeliminowany, jak to się dzieje na ringu bokserskim. Na tym świecie liczą się puchary zwycięstwa. Zdobywają je silni. A słabi je tracą.

Była to kwintesencja nazizmu. Shirer opisywał ją w swoim dzienniku jako największy problem Europy. Inny korespondent, Webb Miller, zginął w katastrofie kolejowej.

Prasa niemiecka do nosiła, że został zabity przez brytyjskie tajne służby wywiadowcze. Shirer pytał w komentarzu:

Co dzieje się z wewnętrzną tkanką narodu, karmionego każdego dnia takimi kłamstwami?

To pytanie jest tak samo ważne dzisiaj jak 9 maja 1940 roku.

Shirer wysłuchał też memorandum Joachima von Ribbentropa, ministra spraw zagranicznych Rzeszy, z którego naród niemiecki dowiedział się, że Wielka Brytania i Francja zamierzają zaatakować Niemcy od strony tak zwanych Niskich Krajów, czyli Belgii, Holandii i Luksemburga, zajmujących tereny historycznych Niderlandów. Wobec tego Niemcy, gotowe stanąć w obronie neutralności tych krajów, nie mają innego wyboru, jak tylko wysłać wojsko na terytorium Belgii i Holandii.

Shirer skomentował to następująco:

Ta wypowiedź ustanawia nowy rekord cynizmu i bezgranicznego zuchwalstwa.

Nic zatem dziwnego, że cenzura niemiecka nie dopuściła, by nazwał atak wojsk niemieckich „inwazją". Zezwolono mu jednak poinformować Amerykanów o „wkroczeniu" Niemców do Belgii i Holandii.

Shirer napisał:

Tak czy owak, Ameryka sama umiała rozpoznać inwazję.

Hitler był zdecydowany do natarcia w każdej chwili. Powstrzymywały go jedynie prognozy pogody. W końcu nocą 9 maja 1940 roku meteorolodzy dali zielone światło.

Heinz Guderian, autor książki pod tytułem *Achtung! Panzer!* oraz, podobnie jak Erich von Manstein, zagorzały i wpływowy zwolennik wojny błyskawicznej Blitzkrieg, dowodził XIX. Korpusem Pancernym, liczącym prawie sześćdziesiąt tysięcy wojska i dwadzieścia dwa tysiące pojazdów. Znany jako „Szybki Heinz", osobiście nadzorował trzy pancerne dywizje czołgów, z których jedna miała ruszyć 10 maja w kierunku Sedanu. Jak później wyjaśniał, był przekonany, że „zdecydowane i szybkie uderzenie" w kierunku wybrzeża, prowadzące przez Sedan i Amiens i wymierzone we flankę nacierających aliantów, daje „duże szanse powodzenia".

Podejmując atak na rzece Mozie pod Sedanem, wspierany ciągłymi nalotami bombowymi i nalotami bombowców nurkujących (które w przeciwieństwie do nalotów skoncentrowanych, nie dawały obrońcom możliwości przegrupowania), Guderian zamierzał podważyć przekonanie aliantów, że Francuzi posiadają dość sił wojskowych i sprzętu, żeby odeprzeć każdą niemiecką próbę przełamania Linii Maginota.

Plan Guderiana mógł wydawać się z pozoru beznadziejnie ambitny. Zakładał, że trzy dywizje pancerne przebiją się przez linię frontu na odcinku długości niespełna pięciu kilometrów między wioskami Donchery i Wadelincourt. Trudno było sobie wyobrazić, żeby wojska przecisnęły się przez tak wąski przesmyk, zwłaszcza że francuska obrona dysponowała trzykrotnie silniejszą artylerią niż Niemcy.

Jak się okazało, decydujące znaczenie miały naloty Luftwaffe. W ciągu dziewięćdziesięciu minut poprzedzających przeprawę Niemców przez Mozę rankiem 13 maja, na obrońców spadł grad bomb zrzuconych z 750 samolotów. Było wśród nich wiele bombowców nurkujących junkers Ju 87 *(Sturzkampfflugzeug)*. Nazywano je powszechnie „stuka” (w Polsce „stukas” lub „sztukas”). Były to jednostki latające o bardzo interesujących cechach: niezbyt szybkie, o niewielkim zasięgu, w związku z czym odegrały nieznaczną rolę w bitwie o Wielką Brytanię, ponieważ były podatne na ataki myśliwców. Jednak na tym etapie wojny, w którym nie były narażone na zbyt liczne ataki myśliwców, stanowiły skuteczne i groźne wsparcie sił lądowych.

Sposób, w jaki stukasy przeprowadzały ataki bombowe, sprawiał, że były one szczególnie celne. Samolot posiadał charakterystycznie wygięte skrzydła w kształcie litery „W”, dzięki czemu mógł nurkować niemal prostopadle z prędkością bliską 600 km/godz. i z wysokości ponad czterech kilometrów. Formacja stukasów potrafiła spadać z nieba jak stado wściekłych mew, dokonać zrzutu bomb i kosząc ogniem maszynowym, poderwać się ostro w górę. Pilot jednym naciśnięciem guzika na pulpicie sterowniczym wyprowadzał samolot z lotu nurkowego. Był to decydujący manewr, podczas którego pilot oraz siedzący tyłem do kierunku lotu strzelec byli wystawieni na cel obrony przeciwlotniczej.

Stukasy miały zazwyczaj na pokładzie jedną główną bombę o wadze 250 kg i cztery bomby o wadze 50 kg, po dwie pod każdym skrzydłem. Niektóre maszyny były wyposażone w „trąby jerychońskie”. Były to syreny akustyczne uruchamiane mocowanymi do podwozia śmigiełkami, dzięki czemu natężenie dźwięku wzrastało wraz z prędkością samolotu. Z kolei do stateczników bomby głównej przymocowane były tekturowe rurki, które wydawały przeraźliwe świsty w różnej tonacji. Owe piekielne jęki syren okazały się najbardziej skuteczną bronią stukasów, groźniejszą nawet od zniszczeń powodowanych przez bomby, ponieważ wywoływały powszechną panikę w szeregach żołnierzy i wśród cywilów. Podobnie jak strach przed czołgami pancernymi często sprawiał, że żołnierze porzucali w popłochu pozycje, nim jeszcze zobaczyli czołgi, tak sam odgłos stukasów potrafił wystraszyć i zmusić nieprzyjaciela do ucieczki, zanim doszło do ataku.

Pewien oficer francuski napisał:

Wycie syren nurkującego samolotu wwierca się w uszy i szarpie wszystkie nerwy. Ma się wtedy ochotę wrzeszczeć i ryczeć.

Anthony Irwin, brytyjski oficer z Essex Regiment, po ataku sześciu stukasów pod Lens doznał jeszcze głębszego wstrząsu:

– Kiedy te sukinsyny przelatywały mi nad głową, widziałem jednego z pilotów. Z głową odgiętą do tyłu pod

wpływem siły grawitacji, z zamkniętymi oczami i szeroko otwartymi ustami wyglądał, jakby się ze mnie śmiał.

Jeszcze długo po tym, jak samoloty zniknęły na horyzoncie, Anthony nie mógł ruszyć się z miejsca. Czuł się wyczerpany i w pewnym sensie zaspokojony, jak po intensywnym doznaniu seksualnym.

– Spociłem się – mówi – i miałem ochotę na więcej.

Tym bardziej może dziwić decyzja o wymontowaniu syren z wielu Ju 87 do końca maja 1940 roku. Nastąpiło to z kilku powodów: syreny spowalniały maszynę w locie poziomym, sygnalizowały jej obecność, kiedy nie zdążyła wycofać się z walki, a długotrwałe słuchanie syren doprowadzało załogę do szaleństwa. W każdym razie trudno znaleźć relację brytyjskiego, francuskiego czy belgijskiego żołnierza z nalotu bombowców nurkujących, w której nie byłoby mowy o syrenach. Być może sława stukasów była tak wielka, że zarówno żołnierze, jak i cywile wyobrażali sobie, że słyszą syreny nawet wtedy, gdy ich nie było. Samolot nurkujący niemal pod kątem prostym z prędkością 600 km/godz. mógł zresztą wydawać odgłos podobny do wycia syreny.

Tak czy owak, przy takim wsparciu lotniczym czołgi Guderiana miały ogromną przewagę nad aliantami. Jednak dokładniejsza analiza osławionego niemieckiego uderzenia ujawnia pewne niespodzianki. Ostrze ataku stanowiła 1. Dywizja Pancerna z 1. Pułkiem Strzelców i Pułkiem Großdeutschland na czele. Pułk ten miał podjąć próbę

przeprawy przez rzekę mostem Pont Neuf na wysokości północnego Sedanu. Rozkazy były proste:

2. Batalion rozpocznie przeprawę pułku przez Mozę, przełamie Linię Maginota i zabezpieczy Punkt 247.

Dwie długie i ciężkie godziny zajęło 6. i 7. Kompanii przedarcie się przez blisko dziesięciokilometrowy obszar ziemi niczyjej w kierunku rzeki. Jednostki miały ze sobą amunicję, karabiny maszynowe i moździerze. Przeszedłszy przez miasteczko Floing, zniszczone i opustoszałe, jeśli nie liczyć psów i kotów, Niemcy dotarli do rzeki płynącej za miastem. Wezwali łodzie desantowe, a Francuzów, którzy przywitali ich ogniem z bunkrów, uciszyli działami przeciwlotniczymi.

Wkrótce pierwszy pluton 6. Kompanii przeprawiał się przez rzekę w łodziach desantowych. Tuż za nimi ruszyła drużyna karabinów maszynowych. Reszta kompanii ubezpieczała ich z przeciwległego brzegu. Kiedy Francuzi niespodziewanie otworzyli z ukrycia ogień z broni strzeleckiej i karabinów maszynowych, Niemcy podeszli do nich na odległość rzutu granatem, obrzucili granatami ręcznymi, z krzykiem przeszli do natarcia i zdobyli francuskie pozycje. Jak twierdzili Niemcy, Francuzi szli do niewoli szczęśliwi, że zdołali ocalić życie.

Kiedy większa część 6. Kompanii znalazła się po drugiej stronie Mozy, jednostka ruszyła w kierunku Wzgórza 247, które miało szczególne znaczenie strategiczne. Niemcy szli przez dzielnicę podmiejską Sedanu, zdobywając dom po domu i biorąc jeńców, których przekazywano na tyły.

Obrońcy ostrzeliwali się ze zrujnowanej fabryki. Z okien budynków wydobywały się kłęby mdlącego dymu. Ich również wzięto do niewoli.

Napastnicy przekroczyli biegnącą na zachód linię kolejową między Sedanem a Donchery. Połączyli się tam z jednostkami 7. Kompanii. Dowiedzieli się od nich, że kilka dużych francuskich bunkrów uniemożliwia dalszy przemarsz. Po krótkiej naradzie postanowiono, że 6. Kompania podejmie próbę zdobycia bunkrów. Atak podjęto bezzwłocznie. Większa grupa Niemców przebiegła przez sad w kierunku pierwszego bunkra, podczas gdy sierżant z dwoma żołnierzami miał zaskoczyć Francuzów, podczołgując się do bunkra z lewej strony pod osłoną kępy drzew. Kiedy rzucono granat, Francuzi natychmiast opuścili bunkier z rękami do góry.

Przy drugim bunkrze opór okazał się silniejszy. Od strony wioski Frenois zatrzymał Niemców ogień karabinów maszynowych. Nastąpił ostry ostrzał artyleryjski. Odezwało się także, nie wiadomo skąd, działo przeciwczołgowe. Żołnierze niemieccy padali i głośno wzywali sanitariuszy. Jeden z rannych zmarł, dyktując dowódcy plutonu ostatnią wiadomość dla matki. W końcu Niemcy zorientowali się, że ogień pochodzi z szopy, która stoi na podejrzanie wyglądającej zielonej podmurówce, która okazała się gniazdem działa. Działo szybko unieszkodliwiono. Przy zdobywaniu następnego bunkra znaleziono pokaźne zapasy butelkowanej wody, które pozwoliły żołnierzom ugasić narastające pragnienie.

Następnie, napotkawszy przypadkiem obsługę karabinu maszynowego 1. Rifle Regiment, 6. Kompania skierowała się na prawo, wstępując w ostatnią fazę natarcia na zbocze Wzgórza 247. Czekali tam na nich Francuzi, do których Niemcy otworzyli ogień z lekkich moździerzy i karabinów maszynowych. Francuzi nie pozostali im dłużni i znowu zdołali położyć kilku nacierających wrogów. Wówczas Niemcy, nie bacząc na silny ostrzał, podeszli bliżej i obrzucili obrońców wzgórza granatami. Kilku z nich dopadło francuskich pozycji, w wyniku czego wywiązała się chaotyczna walka wręcz.

– Idziemy naprzód jak jedna wielka fala przypływu! – meldował porucznik von Courbiere, dowódca 6. Kompanii. – Punkt 247 jest w naszych rękach! Droga na południe stoi otworem!

Koncepcja Blitzkriegu, zaproponowana przez Mansteina i Guderiana, polegała na szybkości i mobilności dywizji pancernych. Przyjęła się opinia, że czołgi przerwały linię obronną aliantów pod Sedanem, czego konsekwencją były dalsze wypadki w maju i czerwcu 1940. Jednak z dokładnej analizy przebiegu wydarzeń wynika, że pierwsze niemieckie sukcesy tak naprawdę były zasługą niewielkich grup uderzeniowych, które przeprawiły się przez Mozę z pomocą oddziałów inżynieryjnych i przy wsparciu lotnictwa. Nie było to zatem wcale dzieło osławionych niemieckich czołgów. Co więcej, odbywało się to w czasie, gdy czołgi nadal przechodziły przegląd techniczny przed natarciem.

Czołgi 1. Dywizji Pancernej zaczęły przeprawiać się przez rzekę dopiero 14 maja mostem zbudowanym nocą przez wojska inżynieryjne. Guderian posyłał je w kierunku wybrzeża w takim pośpiechu, że piechota została daleko w tyle. Chociaż wizerunek dywizji pancernych sunących ku morzu niepowstrzymanym strumieniem jest bardziej znany i bardziej atrakcyjny niż jakieś grupki piechoty walczące o przeprawę przez rzekę, to nie da się ukryć, że podczas samego przerwania frontu Niemcy stracili niewiele ponad stu ludzi. W porównaniu z dziesiątkami tysięcy, które dwadzieścia cztery lata wcześniej tylko jednego dnia poległy, gdy próbowały przebić się nad Sommą, i zważywszy na starania, jakich w minionych latach dokładali Francuzi, by zapobiec inwazji niemieckiej, trzeba przyznać, że niemieckie wojska odniosły olbrzymi sukces.

Dla postronnego obserwatora szybkość i powodzenie pancernego uderzenia mogły stanowić dowód niepodważalnego zwycięstwa, jednak niektórzy obawiali się pewnych trudności. I tak 15 maja Paul von Kleist, zwierzchnik Guderiana, nakazał natychmiastowe wstrzymanie natarcia czołgów. Wściekły Guderian zadzwonił do Kleista i w wyniku burzliwej, prowadzonej podniesionymi głosami rozmowy, Kleist odwołał swoją decyzję i zgodził się na kontynuację natarcia.

Już następnego dnia, 16 maja, stało się jasne, że niepokój Kleista podzielają zarówno generał Gerd von Rundstedt, dowódca Grupy Armii A, jak też sam Hitler. Podczas gdy alianci wyczuwali nadchodzącą klęskę, wśród Niemców

zaczęła rosnąć obawa, że Francuzi, atakując od południa, mogą pokonać dywizje pancerne. Rundstedt uważał więc, że należy zatrzymać dywizje zmotoryzowane do momentu, gdy dołączy do nich „naszyjnik z pereł”, jak nazywano dywizje piechoty, żeby zabezpieczyć skrzydła. Hitler niezwłocznie zatwierdził ten rozkaz.

Franz Halder, szef sztabu Najwyższego Dowództwa Armii Niemieckiej, nie widział takiego zagrożenia. Zgadzał się z Guderianem, że natarcie należy kontynuować, i to z możliwie najwyższą mocą. O Hitlerze zaś pisał:

Führer okropnie się denerwuje. Jest przerażony własnym sukcesem i boi się ryzykować, dlatego woli raczej ściągać wodze pod pozo rem, że chodzi o zagrożenie lewego skrzydła.

Był to dopiero jeden z pierwszych w ciągu kilku nadchodzących dni potwierdzony przez Hitlera rozkaz do powstrzymania natarcia. Halder prawdopodobnie się nie mylił. Hitler wolał nie posyłać dywizji pancernych przez Ardeny, żeby uniknąć powtórzenia porażki z poprzedniej wojny. Nie mógł jednak przewidzieć, że przejście Ardenów okaże się aż tak łatwe. Nieustraszony wódz był przerażony własnym sukcesem.

Następnego dnia Hitler zmienił zdanie i zezwolił na kontynuowanie natarcia. Jak twierdzi Walter Warlimont, który pozostawał w bezpośrednim kontakcie z Hitlerem, Führer przyznał sobie władzę totalną, którą zamierzał sprawować. Brak wiedzy i doświadczenia sprawiał jednak,

że targały nim różne nastroje i emocje, dlatego wódz rzucał się z jednej skrajności w drugą.

Niemcy zmagały się więc z kapryśnym przywódcą, a Brytyjczycy właśnie wybierali nowego lidera. Kiedy dnia 7 maja parlament brytyjski debatował nad kampanią w Norwegii, przywódcą kraju był Neville Chamberlain. Większość parlamentarna spodziewała się debaty namiętnej, może nawet burzliwej, mało kto oczekiwał, że skończy się wyborem nowego premiera. Jeszcze trudniej było przewidzieć, że nowym premierem zostanie stary kłopotliwy awanturnik Winston Churchill.

W istocie debata na temat Norwegii zamieniła się w ogólną ocenę działalności administracji państwowej, stosunku do obywateli i możliwości prowadzenia wojny. Przysłuchiwał się temu z zainteresowaniem siedzący na galerii parlamentarnej ambasador Stanów Zjednoczonych Joseph Kennedy. Właśnie oświadczył lordowi Halifaxowi, brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych, że czuje się zniesmaczony zachowaniem Brytyjczyków. Był bowiem przekonany, że Wielka Brytania przegra tę wojnę.

Chamberlain rozpoczął debatę od niezbyt udanej próby obrony działań rządu brytyjskiego w Norwegii, ale szybko został zakrzyczany z tylnych ław parlamentu i zmuszony do żenującego uzasadniania sugestii, którą wysunął na początku kwietnia, że jakoby „Hitler spóźnił się na autobus”. Uwagę zebranych zwróciło dopiero przemówienie admirała sir Rogera Keyesa, posła Partii Konserwatywnej z Portsmouth North, który obwieszony orderami wystąpił

w mundurze galowym i wypowiedział się w imieniu „niektórych bardzo niezadowolonych oficerów marynarki wojennej i ich podkomendnych”.

Admirał wyjaśnił, że powodem tego niezadowolenia są działania Admiralicji i Gabinetu Wojennego, które ponoszą odpowiedzialność za norweskie fiasko. Z krytyki wyłączony został Pierwszy Lord Admiralicji Winston Churchill, pod którego adresem padły z ust mówcy liczne wyrazy „sympatii i podziwu” i którego „wybitne zdolności”, jak wyraził się Keyes, z pewnością zostaną „właściwie wykorzystane”.

Wieczorem Król Jerzy VI próbował jeszcze wstawiać się za swoim starym druhem Chamberlainem[2]. Zaproponował, że zadzwoni do Clementa Attlee, przywódcy Partii Pracy, i poprosi o nakłonienie kolegów socjalistów do „połączenia sił” i utworzenia Rządu Narodowego pod kierunkiem Chamberlaina. Premier nie skorzystał z królewskiej propozycji w przekonaniu, że nie potrzebuje jego pomocy. Jednak właśnie kiedy Chamberlain przebywał w Buckingham Palace, w Izbie Gmin głos zabierał Leo Amery, poseł konserwatystów z okręgu Birmingham Sparkbrook, przeciwnik Chamberlaina i zwolennik Churchilla. Wezwał parlament do poparcia Churchilla i zakończył wystąpienie widowiskowym skierowaniem do Chamberlaina cytatu (czy raczej parafrazy) słynnej wypowiedzi Olivera Cromwella sprzed dwustu osiemdziesięciu siedmiu lat:

– Zasiadałeś tu zbyt długo i nie uczyniłeś nic dobrego. Dlatego powiadam: odejdź i daj nam spokój. Na litość boską, odejdź!

Debatę wznowiono nazajutrz po południu. Pierwszy zabrał głos jeden z najbardziej cenionych posłów, Herbert Morrison, członek Partii Pracy z Hackney South. Zaproponował głosowanie, które w rezultacie sprowadzało się do wotum zaufania wobec rządu. Taki obrót sprawy odpowiadał buntownikom z Partii Konserwatywnej pokroju Amery'ego, którzy z przyjemnością przyglądali się bezczynnie, jak inni podrzynają gardło ich przywódcy.

Kulminacją tego zaskakującego posiedzenia parlamentu stało się przemówienie Churchilla. Zdecydowanie bronił rządu (i siebie samego), będąc jednocześnie w pełni świadomym, że jego jedyną szansą na objęcie stanowiska premiera jest upadek tego rządu (i jego własny). W gruncie rzeczy znamienna wymiana zdań nastąpiła już wcześniej, kiedy Churchill przyznał, że gotów jest przyjąć część odpowiedzialności za kampanię norweską.

– Nie może pan zamienić się w schron przeciwlotniczy, żeby bronić kolegów przed odłamkami – stwierdził wówczas były premier David Lloyd George.

Gdyby znaleźli się chętni do obrony Churchilla przed nim samym, rzeczywiście miałby jeszcze szansę, żeby zostać premierem.

Głosowanie w parlamencie zawsze jest swoistym spektaklem. Posłowie przechodzą korytarzem (zwanym lobby) na lewo lub na prawo od Izby, w zależności od tego,

jak głosują. Wieczorem 18 maja obie grupy obrzucały się sztubackimi przezwiskami. Jedni krzyczeli „Szczury!”, drudzy „Potakiwacze”. Wielu konserwatystów, wśród nich także oficerowie w służbie czynnej, przyłączyło się do opozycjonistów głosujących na „nie”. Jeden z rebeliantów, wieloletni zwolennik Chamberlaina, opuszczał lobby we łzach.

Tego dnia nie doszło do rozstrzygnięcia. Rząd zebrał 281 głosów, opozycja 200. Chamberlain sądził, że to wystarczy mu do zachowania stanowiska premiera. Jego nadzieje wzrosły następnego dnia, gdy konserwatywni rebelianci oświadczyli, że poprą go, jeśli do rządu wejdą ministrowie z Partii Pracy i Partii Liberalnej. Wkrótce jednak nadzieja zgasła, ponieważ Partia Pracy postanowiła, że jej ministrowie nie wejdą do rządu. Chamberlain nie miał już wyboru – musiał podać się do dymisji.

Kto miał zatem przejąć władzę? Kandydatów było dwóch: Churchill i minister spraw zagranicznych lord Halifax. Churchill miał wrogów. W szeregach konserwatystów zarzucano i jemu, i jego zwolennikom rzekomy brak przyzwoitości:

– Przepadnie wszystko, co usiłujemy zachować w życiu publicznym – wieszczyła Nancy Dugdale.

Chamberlain wolał Halifaksa, podobnie jak król Jerzy, jednak Halifax się wycofał. Tłumaczył Chamberlainowi i Churchillowi, że objęcie stanowiska premiera uniemożliwia mu tytuł lordowski.

Nie była to jednak tak do końca prawda. W obliczu kryzysu z pewnością nie wahano by się przed takim odstępstwem od prawa. Halifax mógł przestraszyć się zarówno powagi stanowiska, jak i możliwości porażki. Być może wolał pozostawać w tle, żeby powściągać ekscesy Churchilla i ewentualnie zbijać kapitał na jego niepowodzeniach. (I tego prawdopodobnie się spodziewał, na co wskazuje uwaga, którą zamieścił w liście do lady Alexandry Metcalfe z 13 maja: „Nie sądzę, by WSC mógł być dobrym premierem”). Tak czy owak, Halifax postanowił się wycofać.

Dnia 10 maja Niemcy najechały kraje niderlandzkie. Instynkt podpowiadał Chamberlainowi, by w obliczu narastającego kryzysu zachować stanowisko premiera. Innego zdania był jego bliski przyjaciel Kingsley Wood, który przekonywał go, że to Rząd Narodowy powinien stawić czoła nowej sytuacji. Chamberlain dał się przekonać i złożył rezygnację na ręce króla.

Dwa zdarzenia, które miały miejsce w tym dniu, dają wyobrażenie o ówczesnych postawach Brytyjczyków. Wczesnym rankiem 10 maja Jeffrey Quill, zatrudniony w firmie Vickers Supermarine jako główny oblatywacz samolotów typu Spitfire, podczas odwiedzin u wieloletnich przyjaciół rodziców rzucił mimochodem:

– Nie zdziwiłbym się, gdyby stary Churchill przejął władzę.

– Niech Pan Bóg broni! – wykrzyknął pan domu.

Quill przyznaje, że zdał sobie wówczas sprawę, do jakiego stopnia starsze pokolenie Anglików nie ufało Churchillowi, który w ich przekonaniu był politycznym szaleńcem. Kiedy do społeczeństwa brytyjskiego dotarła wiadomość o niemieckiej inwazji, konserwatysta Henry „Chips" Channon, Amerykanin, który mówił po angielsku z chrzęszczącym akcentem, odnotował w swoim kpiarskim dzienniku:

Oto kolejny błyskotliwy przewrót Hitlera. Wykorzystał psychologiczny moment, w którym Anglia jest podzielona politycznie, a kastę rządzącą osłabiają wzajemne pretensje i spory.

Panowało więc powszechne przekonanie o odpowiedzialności Churchilla z jednej strony, z drugiej zaś o nadludzkim geniuszu Hitlera, który niczym czarnoksiężnik trafnie odgadywał na odległość wszystkie słabości Wielkiej Brytanii.

Rezygnacja Chamberlaina otworzyła Churchillowi drogę do stanowiska premiera. Jeszcze tego samego dnia został wezwany do Pałacu Buckingham, gdzie król przywitał go żartobliwie:

– Podejrzewam, że nie wie pan, dlaczego pana wezwałem?

– Nie mam pojęcia, Wasza Wysokość – odparł nowy premier.

Król roześmiał się i oświadczył, że chciałby powierzyć Churchillowi misję utworzenia nowego rządu.

Mniej żartobliwie brzmiała wymiana zdań między Churchillem a jego ochroniarzem, Walterem Thompsonem, w drodze powrotnej z Pałacu:

– Szkoda – zauważył Thompson – że to stanowisko nie przypada panu w udziale w nieco lepszych czasach. Bo dzisiaj ma pan bardzo trudne zadanie.

– Jeden jedyny Bóg wie, jakie to wielkie wyzwanie – odparł Churchill ze łzami w oczach. – Mogę mieć tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, choć niestety obawiam się, że jest. Teraz możemy tylko dokładać wszelkich starań…[3]

W wieku sześćdziesięciu pięciu lat Churchill otrzymał stanowisko, o którym marzył od lat, którego nigdy nie piastował jego ojciec. Thompson miał rację co do trudności zadania, przed jakim Churchill stanął. Trudno sobie jednak wyobrazić, żeby mógł taką propozycję otrzymać w innych okolicznościach.

W każdym razie największa odpowiedzialność spadała na brytyjskich żołnierzy, którzy we Francji przygotowywali się do wymarszu na wyznaczone pozycje w Belgii. W dniu 10 maja podporucznika Jimmy’ego Langleya z Coldstream Guards, stacjonującego nieopodal Lille, jak zwykle obudził o świcie gadatliwy ordynans. Podał herbatę, złożył meldunek na temat stanu pogody oraz powiadomił, że kąpiel gotowa. Przy okazji napomknął, że Niemcy najechały Francję, Belgię i Holandię.

Nieco głębiej na zachód, w Bailleul-lès-Pernes, podporucznik Peter Hadley z Royal Sussex Regiment słyszał

powtarzającą się plotkę, że ponoć Niemcy ruszyli do ataku. Kiedy zorientował się, że to prawda, poczuł zarówno ulgę, jak i niepokój o to, co przyniesie mu przyszłość. Natomiast jego podwładni odzyskali wreszcie poczucie celu i wkrótce cała baza wypełniła się gwarem pełnym napięcia i oczekiwania.

Brytyjskie Siły Ekspedycyjne wyruszyły w kierunku Belgii. Jadąca na czele 12. Dywizja pojazdów opancerzonych Lancers dotarła 11 maja do rzeki Dyle. Tam przystąpiono do okopywania się na nowych pozycjach, które ciągnęły się przez 35 kilometrów między Louvainem a Wavre'em. Utrzymanie tego odcinka miało na celu skrócenie linii frontu, co pozwoliłoby rozmieścić na nim jak najmniejszą liczbę dywizji. II Korpus pod dowództwem generała Alana Brooke'a objął lewą flankę, 3. Dywizja środek, 4. Dywizja pozostawała w odwodzie. Natomiast I Korpus pod wodzą generała Barkera objął prawą flankę z wysuniętą do przodu 1. i 2. Dywizją, a także z 48. Dywizją, która została w odwodzie. Pozycje na lewo od Brytyjczyków zajęli Belgowie, a na prawo Francuzi, którzy bronili odcinka od Wavre'u do Namuru, i dalej wzdłuż rzeki Mozy, włącznie z feralnym miastem Sedanem.

Anthony Rhodes z Royal Engineers dobrze pamięta powitanie, które belgijska ludność cywilna zgotowała żołnierzom Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych. Był dosłownie fetowany jako oficer armii brytyjskiej. W barze otoczył go wiwatujący tłum mieszkańców, częstowano go papierosami i stawiano drinki. Ktoś krzyknął:

– Starzy dobrzy Tommies! Oni wygrają wojnę!

Oficera medycznego z oddziału Rhodesa potraktowano jeszcze bardziej uprzejmie, a mianowicie ucałowała go jakaś dziewczyna na polecenie mężczyzny, który przekonywał, że powinna się cieszyć, mogąc całować jednego z wyzwolicieli swojej ojczyzny. Mężczyzna nalegał, żeby dziewczyna spędziła z medykiem noc, zapewniając go, że nie będzie żałował, a on doskonale wie, co mówi, bo jest mężem dziewczyny. Oficer chętnie przystał na propozycję. Uznał, że odrzucenie tak daleko posuniętej gościnności mogłoby gospodarzy urazić. Jednak Rhodes wyciągnął kolegę z baru. Mieli przecież iść na wojnę.

Niedługo potem ten sam oficer twierdził, że ujął szpiega, członka belgijskiej piątej kolumny, ukrytego sprzymierzeńca Niemców[4]. Do zdarzenia doszło w następujących okolicznościach: sprzedawca gazet, który w jakiś sposób wszedł w posiadanie egzemplarza brytyjskiego dziennika *Daily Mail*, wspomniał, że przez dwa lata mieszkał w Lincoln. Oficer, który akurat pochodził z Lincolnshire, nabrał podejrzeń i zapytał sprzedawcę o pewną ulicę w Lincoln. Kiedy Belg powiedział, że nigdy o niej nie słyszał, oficer uznał, że sprzedawca kłamie i że musi być szpiegiem. Nieszczęsnego Belga przekazano by niechybnie w ręce Żandarmerii Polowej, gdyby nie okazało się, że mówi prawdę. Faktycznie mieszkał w Lincoln, jednak nie w Zjednoczonym Królestwie, lecz w stanie Nebraska w USA.

Psychoza szpiegostwa rzeczywiście szerzyła się w szeregach Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych. Podobne przewrażliwienie miało zagościć niebawem także w Wielkiej Brytanii. Rhodes uczestniczył w kilku prowadzonych przez Wywiad Polowy przesłuchaniach podejrzanych o szpiegostwo. Zajmowali się tym jeden zawodowy oficer i dziesięciu oficerów rezerwy, którzy badali setki podejrzanych. Pierwszym podejrzanym był pewien dezerter z belgijskiej armii. Jego sąsiadka, starsza kobieta, widziała, jak wchodził do domu z pudłem, w którym, jak twierdziła, znajdował się przenośny odbiornik radiowy. Mężczyzna utrzymywał, że w pudle była żywność, którą wcześniej podzielił się zresztą z kobietą. (Niewątpliwie czas sprzyjał załatwianiu sąsiedzkich porachunków). Zamiast uwolnić mężczyznę, funkcjonariusz wywiadu polecił oddać go w ręce lokalnej policji, gdzie mimo jego zapewnień, że nie jest szpiegiem, został rozstrzelany.

Podejrzanymi o szpiegostwo zajmowała się także Żandarmeria Polowa, tak zwane „czerwone berety”. Kiedyś podczas kolacji Rhodes usłyszał rozmowę między jego adiutantem a oficerem żandarmerii, która wprawiła go w pewne zakłopotanie, chociaż jednocześnie uspokoiła.

– Czy wy rzeczywiście rozstrzeliwujecie szpiegów? – zapytał adiutant.

– Oczywiście – odparł żandarm.

– I robicie to sami? To znaczy przesłuchanie i tak dalej?

– Oczywiście.

– Ale upewniacie się, że rzeczywiście są szpiegami, prawda?

– Absolutnie! – odpowiedział żandarm, szczerząc zęby.

Szpiegów aresztowano na podstawie nawet najdrobniejszych podejrzeń. Leon Wilson, który służył we francuskim pułku artylerii ciężkiej, zwrócił uwagę na to, że w pobliżu Armentières pewien rolnik zaorywał pole tylko w jednym kierunku. Na tej podstawie doszedł do wniosku, że mężczyzna wskazywał w ten sposób stukasom kierunek, „żeby wiedziały, gdzie jesteśmy". Rolnika aresztowano i rozstrzelano. Sprawiedliwość bywała też wymierzana w trybie jeszcze bardziej natychmiastowym. Szeregowy Edgar Rabbets z Northamptonshire Regiment przyznaje bez ogródek:

– Jeżeli widziałem, że ktoś orze nie tak, to go zabijałem. Zastrzeliłem w ten sposób dwóch. Wiedzieli, co robią, i ja też wiedziałem, więc nie było żadnej zbędnej gadki.

Oczywiście zdarzały się także pomyłki. Brytyjski oddział strzelców rozstrzelałby dwóch podejrzanych o szpiegostwo przebranych za jezuitów, gdyby nie interwencja pułkowego kapelana, który po zadaniu im kilku pytań po łacinie stwierdził, że są autentycznymi zakonnikami. Ofiarami podejrzeń padali nie tylko miejscowi. Dnia 23 maja żołnierze francuscy ujęli i rozstrzelali pod zarzutem szpiegostwa pilota RAF-u, który uratował się, wyskakując z płonącego samolotu.

Tymczasem Brytyjczycy dotarli sprawnie nad rzekę Dyle. Wprawdzie pozycje przewidziane dla 3. Dywizji zajęte już

były przez Belgów, w związku z czym doszło do słownego starcia między generałem Bernardem Montgomerym i jego belgijskim odpowiednikiem, ale kiedy Niemcy otworzyli ogień, oddziałom Monty'ego ustąpiono miejsca.

Pierwszy kontakt oddziałów brytyjskich z nieprzyjacielem miał miejsce 14 maja przy słonecznej wiosennej pogodzie. Kapitan Humphrey Bredin, dowódca kompanii Royal Ulster Rifles, siedział na brzegu rzeki w sektorze 3. Dywizji i czytał gazetę. Przechodzący obok pułkownik kawalerii pozdrowił go i powiedział, że podobno zbliżają się Niemcy. Bredin podziękował za wiadomość i czytał dalej.

Chwilę później odezwał się ordynans Bredina:

– Zdaje się, że ktoś się zbliża. Widzi pan?

Bredin spojrzał przez lornetkę i dostrzegł jadący drogą niemiecki motocykl z koszem. Odczekał moment, po czym wydał ordynansowi i drugiemu żołnierzowi rozkaz, by otworzyli ogień. Następnie wszyscy trzej wrócili do plutonu na drugi brzeg rzeki i Bredin polecił oficerowi rezerwy wysadzenie zaminowanego mostu.

Niemcy usiłowali przerwać linię frontu przez trzy kolejne dni. Bredin opowiadał, że byli dobrze wyszkoleni, lecz przewidywalni. Około stu metrów na prawo od pozycji Royal Ulster Rifles wznosił się czterokondygnacyjny budynek. Niemcy próbowali dostać się do niego od strony działek zabudowanych drewnianymi szopami. Ludzie Bredina, doskonali strzelcy, zostali niedawno wyposażeni w ręczne karabiny maszynowe typu Bren, więc bez trudu wyłuskiwali Niemców, którzy pojedynczo lub dwójkami

w połyskujących hełmach skradali się w kierunku budynku. Chociaż usiłowali kryć się za szopami, deski nie stanowiły dostatecznej ochrony przed pociskami kaliber 303, więc napastnicy ponieśli dotkliwe straty.

W szeregach kompanii Bredina również odnotowano straty. Niemcy mieli ciężki karabin maszynowy, który wydawał podczas strzelania niepokojący gdaczący odgłos „gdunk, gdunk, gdunk”. Kiedy w końcu udało im się dotrzeć do czteropiętrowego budynku, snajperzy zajęli pozycje na dachu, skąd mieli widok na pozycje Royal Rifles. Kilku brytyjskich strzelców ucierpiało w wyniku niemieckiego ostrzału, w tym także ordynans Bredina, który został trafiony w głowę.

Nazajutrz Niemcy przypuścili atak skoro świt. Został odparty niemal samodzielnie przez kaprala uzbrojonego w brena. Było to jednak tylko preludium, gdyż Niemcy wyraźnie szykowali się do głównego uderzenia, dlatego Bredin połączył się telefonicznie ze sztabem dywizji i oznajmił:

– Proszę o wujka na cel w punkt około stu metrów przed naszą pozycją.

„Cel wujka” oznaczał pilne wezwanie wszystkich dział, jakimi dysponowała dywizja do ostrzelania określonego miejsca przez dwie do trzech minut. Bredin skierował w ten sposób ostrzał artyleryjski na budynek. Wiedział, że niektóre pociski mogą nie dosięgnąć celu.

– Uznaliśmy jednak, że lepiej dać się zabić własnymi pociskami, niż ulec nieprzyjacielowi.

Kilka pocisków rzeczywiście chybiło celu, ale żaden nie spadł na stanowiska Brytyjczyków z Royal Ulster Rifles. Budynek został zrównany z ziemią i przez resztę dnia panował spokój.

Kolejnego dnia Niemcy próbowali przedrzeć się przez pozorną lukę między stanowiskiem Royal Ulster Rifles i rozmieszczonych na prawo od nich Grenadier Guards. Grenadierzy odparli natarcie, jednak niespodziewanie nadszedł rozkaz do wycofania się, mimo że Bredin tak skutecznie odparł wszystkie ataki.

Młodszy oficer Anthony Irwin z Essex Regiment, których zwano „Pompadours”[5], wracał z przepustki, kiedy jego 2. Batalion odpierał niemieckie uderzenie. Przez kilka następnych dni wraz z jednym z sierżantów szli w kierunku Brukseli, żeby dogonić jednostkę. Po drodze spotykali cywilów belgijskich i belgijskich żołnierzy zmierzających w przeciwnym kierunku.

– Coś jest z nimi chyba nie tak! – skomentował sierżant.

Pod Brukselą Irwin zatrzymał się w punkcie kontroli wojskowej. Spodziewał się, że obsługujący punkt oficer będzie dysponował ostatnimi danymi na temat jednostek. I rzeczywiście, uczynny kapitan pokazał na mapie ostatnią pozycję batalionu. Irwin podziękował mu, po czym wyciągnął pistolet, odbezpieczył i mierząc w kapitana, zapytał, co wybiera: dostać kulkę czy sprawdzić jego przepustkę.

– Bardzo mi przykro, kolego – zmieszał się kapitan, przyznając, że „byłoby głupio”, gdyby Irwin okazał się

niemieckim szpiegiem.

W końcu Irwin dotarł do małej wioski, gdzie odnalazł swój oddział. Od dowódcy kompanii dowiedział się, że nowe zadanie będzie polegać na obronie mostów wzdłuż kanału Charleroi na przedmieściach Brukseli w niewielkiej odległości od linii rzeki Dyle. Mosty mają być utrzymane za wszelką cenę i do ostatniego żołnierza.

Tymczasem pluton Irwina raczył się w barze piwem, unikając, jak z ulgą zauważył, dubonnet i anyżówki. Nie unikali natomiast pewnej młodej kobiety, która oświadczyła, że gotowa jest oddać się każdemu z dzielnych brytyjskich „Tommies”, którzy bronią jej ojczyzny. Trzej żołnierze postanowili wziąć ją za słowo i skorzystać z propozycji.

Batalion żegnany przez prawie całą wioskę przeniósł się nocą nad kanał, żeby zapewnić obronę wskazanych przepraw. Po przybyciu na miejsce francuscy saperzy rozpoczęli przygotowania do wysadzenia mostów. Irwin z zainteresowaniem przyglądał się tej operacji. Most powierzony opiece oddziału Irwina nastręczał szczególnych trudności ze względu na potężne rozmiary i biegnące po nim cztery tory kolejowe. Pod głównymi przęsłami trzeba było umieścić aż trzy tony materiałów wybuchowych. Okazało się jednak, że saperzy mieli tylko trzydzieści metrów kabla prowadzącego od detonatora do ładunku wybuchowego. W tej sytuacji Francuz, który miał odpalić ładunek, musiał zdawać sobie sprawę, że nie przeżyje wybuchu. Mimo to posłusznie wcisnął dźwignię detonatora i wysadził się w powietrze razem z mostem.

Irwin, który był w odległości około pięćdziesięciu metrów od tego miejsca, widział, jak zanim zabrzmiała eksplozja, szyny kolejowe powoli i bezgłośnie uniosły się w powietrzu, potem wszystko zasłonił dym, z góry posypał się grad kamieni i żelastwa, budynki zatrzęsły się i zadźwięczały rozbite szyby. Irwin wcisnął się w ziemię najgłębiej, jak mógł.

Potem obserwował wysadzanie drugiego mostu, tym razem przez brytyjskich saperów. Niestety ładunek został odpalony przedwcześnie, gdy mostem przechodzili na stronę francuską belgijscy uciekinierzy. Do dziś Irwin ma przed oczami mężczyznę, który pozbawiony ubrania zdartego przez wybuch, kilkadziesiąt metrów nad ziemią wciąż siedział na rowerze i zawzięcie pedałował.

Wieczorem Irwin prowadził patrol do centrum Brukseli. Zdążył z niego wrócić na stanowisko w samą porę. Wprawdzie nie widział Niemców, ale pod jego nieobecność nadszedł rozkaz do odwrotu.

Rozkaz ten zdziwił Humphreya Bredina, podobnie jak Anthony'ego Irwina. Tak samo zaskoczony był Winston Churchill, kiedy dwa dni wcześniej, 14 maja, otrzymał od premiera Francji Paula Reynauda telefoniczne wyjaśnienie przyczyny odwrotu: Niemcy przerwali linię obrony. Generał Henry Pownall, szef sztabu Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, zamieścił pod tą datą znamienny wpis w swoim dzienniku:

Z niewyjaśnionych przyczyn Niemcy przebili się przez rzekę Mozę.

Określenie „z niewyjaśnionych przyczyn” wydaje się kluczowe. Generał Pownall i naczelny dowódca Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych lord Gort nie byli w stanie wyjaśnić, dlaczego Niemcy przebili się przez linię frontu. Nie mieli też pojęcia o tym, jak starano się temu przeciwdziałać. Była to niepokojąca konsekwencja statusu podporządkowania Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych dowództwu francuskiemu, która uniemożliwiała Brytyjczykom śledzenie działań sojuszników.

Nazajutrz Churchilla obudził o świcie kolejny telefon od Reynauda. Tym razem francuski premier był przerażony: Paryż jest bezbronny, bitwa przegrana, Francja będzie musiała się poddać. Churchill usiłował go uspokoić. Tymczasem jeszcze tego same go dnia złożyła broń Holandia, której armia została zmiażdżona, a podczas zmasowanego nalotu Luftwaffe na Rotterdam w ciągu zaledwie kilku minut zginęło prawie tysiąc osób. W swoim dzienniku Pownall tak to skomentował:

Miała słabe szanse, żeby utrzymać się długo, ale pięć dni to trochę za krótko.

Dnia 16 maja dowódca 1. Grupy Armii Francuskiej generał Gaston Billotte (który teoretycznie odpowiadał za łączność z Brytyjskimi Siłami Ekspedycyjnymi) wydał rozkaz odwrotu wojsk francuskich, brytyjskich i belgijskich, żeby zapobiec oskrzydleniu przez niemieckie dywizje pancerne, które przebiły się pod Sedanem. Właśnie te rozkazy tak bardzo zaskoczyły Irwina i Bredina. Wiadomość niezwykle zaniepokoiła Churchilla, ponieważ nie potrafił

zrozumieć, w jaki sposób setka niemieckich czołgów przełamujących linię obrony pod Sedanem mogła zmusić do odwrotu armię brytyjską. Czuł, że Brytyjskie Siły Ekspedycyjne zostały narażone na poważne niebezpieczeństwo.

Postanowił więc polecieć do Paryża z szefem sztabu generałem Hastingsem Ismayem oraz wiceszefem Generalnego Sztabu Imperium, generałem sir Johnem Dillem. Wylecieli liniami Flamingo z Hendon do Le Bourget, skąd przewieziono ich najpierw do ambasady brytyjskiej, następnie zaś do francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Quai d'Orsay. Tam spotkali się z generałem Maurice'em Gamelinem, naczelnym dowódcą sił alianckich,

Édouardem Daladierem, ministrem obrony, oraz premierem Reynaudem.

Gamelin rozpoczął spotkanie od wyjaśnienia sytuacji. Przed sobą miał rozpostartą na stojaku mapę linii obrony aliantów. Rzucało się na niej w oczy niewielkie, lecz grubo zakreślone wybrzuszenie w miejscu, gdzie doszło do przełamania frontu. Kiedy Gamelin skończył mówić, Churchill zapytał:

– Gdzie znajdują się odwody strategiczne?

Gamelin pokręcił głową, wzruszył ramionami i odparł:

– Nie ma żadnych.

Churchill zaniemówił. Gdzie była reszta potężnej Armii Francuskiej? Jak mogło dojść do przeoczenia przez

dowództwo zabezpieczenia odwodów na terenie szczególnie podatnym na atak? Po wojnie Churchill pisał, że:

Sytuacja była znacznie gorsza, niż nam się wydawało.

Rzeczywiście. Było tak źle, że trzeba było spełnić francuską prośbę o kolejnych sześć dywizjonów myśliwców RAF-u, mimo poważnych obaw, że ich ewentualna utrata może bardzo poważnie osłabić siły obronne Wielkiej Brytanii. Po zakończeniu spotkania Churchill wracał do domu w przekonaniu, że odwrót Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych jest niezbędny dla utrzymania ciągłości linii frontu. (A następnego dnia poprosił jednak Chamberlaina, który pozostawał członkiem Gabinetu Wojennego, o zbadanie możliwości całkowitego wycofania Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych z Francji drogą „przez porty belgijskie oraz przy kanale La Manche”. Tak więc ewentualność ewakuacji brano po uwagę, aczkolwiek nieśmiało, już od 17 maja).

Odwrót rozpoczął się nocą 16 maja i miał się zakończyć w nocy 18 maja na linii rzeki Skaldy. Odbywał się stopniowo, według brygad. Żołnierze, niemal jak jeden mąż, zupełnie nie rozumieli potrzeby odwrotu. Niektórzy zastanawiali się, czy ich jednostka nie zostaje przypadkiem wysłana na tyły za karę za jakieś niestosowne zachowanie. Inni spekulowali, że nieprzyjaciel mógł w niektórych miejscach wysunąć się do przodu, co mogło spowodować konieczność wprowadzenia stosownych zmian w linii obrony. Dopiero kiedy wiadomość o przerwaniu frontu rozeszła się na dobre, do wszystkich dotarło, jak mało

brakowało, by Niemcy oskrzydlili całą brytyjską armię, odcinając drogę zaopatrzenia.

Podczas odwrotu w niektórych jednostkach zapanowało zamieszanie, dając przedsmak tego, co niebawem miało stać się udziałem większości wojsk brytyjskich. Oddział artylerii wycofujący się przez Forêt de Soignes uległ rozproszeniu i pojawił się na stanowiskach 2. Pułku East Yorkshire „w popłochu i z objawami wyraźnego wstrząsu".

Belgowie, którzy jeszcze niedawno witali Brytyjczyków z honorami, teraz z gorzkim rozczarowaniem obserwowali, jak goście wycofują się w pośpiechu.

– Jak można oczekiwać od wojsk francuskich, żeby utrzymały się na południu, skoro Anglicy wciąż się cofają? – pytano Anthony'ego Rhodesa.

Z drugiej strony właścicielka pewnego domu publicznego zapewniała go, że na pewno da sobie radę:

– Niemcy to świetni klienci. Najlepsi ze wszystkich. Wiem, bo tu byłam podczas pierwszej wojny.

Wycofujący się 1. Batalion Pułku South Lancashire został ostrzelany pod Brukselą przez jednostkę belgijską, która wzięła ich za Niemców. Wybuchła ostra strzelanina, w wyniku której zginęło więcej Belgów niż Brytyjczyków. Jeden z nich zauważył:

– Wstyd przyznać, ale byliśmy całkiem zadowoleni. To była dla nas pierwsza okazja do bezpośredniego starcia i wyszliśmy z niego całkiem nieźle.

Niemal wszystkie oddziały brytyjskie napotykały rosnące z dnia na dzień, z godziny na godzinę tłumy Belgów

uciekających znad granicy niemieckiej. Peter Hadley porównał ten widok do tego, co dzieje się na drodze prowadzącej ze stadionu Wembley dziesięć minut po zakończeniu finału pucharu. Uciekinierzy ciągnęli samochodami, wozami zaprzężonymi w konie i na rowerach, chociaż większość szła piechotą obwieszona tobołami i walizami.

Jednym z uciekinierów był trzynastoletni Louis van Leemput. Rano 10 maja spał jeszcze w swoim łóżku w domu pod Antwerpią. Zbudził go ryk przelatującego tuż nad domem samolotu. Wkrótce radio podało, co się dzieje, i ojciec Louisa, który pracował w belgijskim Arsenale Wojskowym, musiał natychmiast stawić się w pracy. Reszta rodziny – Louis, jego matka i siedmioletni brat – spakowała kilka niezbędnych rzeczy i zamknąwszy dom, podobnie jak ich sąsiedzi ruszyła w kierunku Ypres. Wszyscy uciekali przed Niemcami. Skromny dobytek wieźli na wozie, który ciągnął jeden z sąsiadów, podczas gdy reszta pchała.

– Piesza wędrówka do Ypres była dużym wyzwaniem – wspomina Louis. Podróż trwała tydzień. Codziennie trzeba było zdobyć jakieś pożywienie. Najczęściej kupowano je w mijanych gospodarstwach rolnych. Louis pamięta, że wszyscy uciekinierzy byli przerażeni. Oprócz zadawania grzecznościowych pytań, skąd kto idzie, niewiele rozmawiano. Łatwiej byłoby to wytrzymać, gdyby nie obawa, że jeśli ta sytuacja potrwa dłużej, ludzie zaczną bić się o pożywienie i wodę, których wciąż brakowało.

Rodzice Hortense Daman współpracowali z belgijskim ruchem oporu. W roku 1944 ktoś doniósł o tym Niemcom i Hortense trafiła do obozu Ravensbrück, gdzie poddawano ją doświadczeniom medycznym. Zanim to jednak nastąpiło, zapamiętała widok niemieckiego samolotu spadającego z nieba w Louvain 10 maja 1940 roku. Spodziewając się, że spadająca z wizgiem maszyna lada moment roztrzaska się o ziemię, jej towarzysze zaczęli głośno wiwatować. Tymczasem tuż nad ziemią zrzucił bombę, po czym gwałtownie poderwał się w górę. Był to stukas. Na szczęście jakiś mężczyzna chwycił Hortense, drugą ręką złapał jej siostrę i zaczął uciekać. Powstał potworny zamęt, połowa ulicy legła w gruzach.

– Myśleliśmy, że wojna nie potrwa długo, że zaraz ich pokonamy – mówi Hortense. Razem z matką, ojcem, dziadkiem i dwiema ciotkami wyszli tego dnia z domu i ruszyli, podobnie jak rodzina Louisa van Leemputa, jak najdalej od niemieckiej granicy. Po pewnym czasie ktoś zauważył, że niczego nie zabrali – żadnego jedzenia, ubrań ani koców. Ojciec z dziadkiem zawrócili więc do domu po te rzeczy, podczas gdy kobiety miały czekać na nich w polu. Ale nawet po powrocie mężczyzn okazało się, że zapomnieli o pieniądzach. Matka była wściekła.

Hortense wspomina scysje na drodze:

– Panował straszny zamęt. Strach, bójki i krzyki. Coś nie do opisania!

Pamięta stojące na polu i ryczące z bólu krowy, a jej babka zatrzymywała się, żeby je wydoić i w ten sposób im

ulżyć. Widziała też, jak dotkliwie pobito młodego żołnierza w brytyjskim mundurze, kiedy ktoś krzyknął, że to szpieg. Zabrała go policja, ale Hortense wierzy, że był prawdziwym żołnierzem, ofiarą szpiegowskiej histerii.

Louis van Leemput pamięta też naloty. Za każdym razem, kiedy na niebie pojawił się samolot, ludzie wskakiwali do przydrożnego rowu. Pamięta odgłos kul uderzających o bruk. Codziennie wieczorem zatrzymywali się w jakimś gospodarstwie, żeby przespać się na sianie. Którejś nocy zostali przegonieni przez wyczerpanych żołnierzy belgijskich, więc szli dalej aż do świtu.

– Tego dnia – mówi Louis – czułem się tak skonany, że w pewnym momencie upadłem na skraju drogi i nie mogłem się podnieść.

Po kilku dniach razem z innymi uchodźcami zatrzymali się na tydzień w gospodarstwie niedaleko Ypres. Pewnego dnia, siedząc w wychodku, Louis zauważył stado nadlatujących ptaków. Kiedy się zbliżyły, zorientował się, że to stukasy. Poderwał się, podciągnął spodnie i wbiegł do stodoły z okrzykiem:

– Sztukasy!

Ale maszyny już nurkowały.

– Już sam ich dźwięk jest przerażający, a potem świst bomb, ludzki krzyk. Tym razem, mieliśmy szczęście, że nie trafiły w gospodarstwo, tylko tuż obok. Więc najszybciej jak się dało zabraliśmy rzeczy i wróciliśmy z wozem na drogę.

Brytyjska ludność cywilna miała jednak do czynienia z nieco inną wojną. W raporcie instytutu Mass Observation

z datą 14 maja odnotowano zauważalny wszędzie, choć szczególnie w Londynie, „duży wzrost niepokoju”. Zaobserwowano rozmaite postawy, od „Niezłą ten Hitler robi demolkę... Jeśli przetrzymamy go jeszcze przez chwilę, to damy radę. A jak mu się nie uda, to mamy go z głowy”, aż po przekonanie, że „ Wszyscy przygotowani są na najgorsze. Uważam, że to jest najgorsza rzecz, jaka nam się kiedykolwiek przydarzyła w całej naszej historii”.

Rosnący niepokój miał także pewne korzystne konsekwencje. W Wielkiej Brytanii narastały nastroje solidarnościowo-ochotnicze. Ludzie zaczęli poświęcać coraz więcej czasu i energii wspólnym przedsięwzięciom służącym wzmocnieniu gotowości Wielkiej Brytanii do samoobrony i samoorganizacji. Mnóstwo organizacji podjęło działania na rzecz wspólnego dobra. Na przykład Instytut Kobiet wystąpił z inicjatywą produkowania dżemów i zbieraniem owoców dzikiej róży. Ochotnicza Służba Kobiet stworzyła ruchome kantyny na kółkach i pomoc dla ewakuowanych. Powołano także Biuro Porad Obywatelskich, które udzielało porad na temat świadczeń społecznych. Dnia 14 maja minister wojny Anthony Eden ogłosił powołanie ochotniczej organizacji dla mężczyzn w wieku od lat siedemnastu do sześćdziesięciu pięciu pod nazwą Lokalni Ochotnicy Obrony (Local Defence Volunteers, LDV), która miała służyć w przyszłości jako armia cywilna do odparcia ewentualnej inwazji niemieckiej.

Nazwa „Lokalni Ochotnicy Obrony” (Local Defence Volunteers) nie przetrwała zbyt długo. Już w lipcu Churchill

polecił zmienić ją na bardziej sugestywną „Straż Krajowa” (Home Guard). Jednak bez względu na nazwę, organizacja miała do spełnienia szereg ważnych zadań, a jej natychmiastowa popularność – już w pierwszym tygodniu istnienia przystąpiło do niej ćwierć miliona członków – odzwierciedlała silną społeczną potrzebę, by wspólnie odeprzeć nazistowskie zagrożenie.

Sylwetki dwóch ówczesnych ochotników dają pewne wyobrażenie o dość ekscentrycznym składzie tej organizacji we wczesnej fazie istnienia. Jeden z nich, szeregowiec Standish Vereker, był bratem lorda Gorta, naczelnego dowódcy Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych. Drugi, szeregowiec Gebuza Mungu, był synem Umundeli Mungu, zuluskiego dowódcy w słynnej bitwie podczas wojny angielsko-zuluskiej (1879), zwanej bitwą pod Rorke’s Drift. Przez osiem lat Mungu pracował w cyrku jako poskramiacz lwów, zanim przeniósł się do południowej Walii, gdzie został hutnikiem. Mimo że miał sześćdziesiąt dwa lata, ponoć nigdy nie opuścił żadnej parady Lokalnych Ochotników Obrony i Straży Krajowej. (Szczycił się także rzadkim wyróżnieniem, mianowicie został osobiście wybatożony przez ojca południowoafrykańskiego generała Jana Smutsa).

Na tym etapie formacja Lokalni Ochotnicy Obrony (i powstała z nich Straż Krajowa) nie miała istotnego znaczenia militarnego. Ochotnicy nosili opaski zamiast mundurów, nie mieli żadnych gwiazdek ani naszywek, ćwiczyli musztrę z kijami od szczotek i pełnili służbę

wartowniczą z różnym skutkiem. Jeden z oficerów wspomina następującą wymianę zdań z takim wartownikiem:

– *Czym się zajmujecie?*

– *Nie wiem, sir.*

– *Kto jest waszym sierżantem?*

– *Nie wiem, sir.*

– *Kto jest waszym oficerem?*

– *Nie wiem, sir.*

– *Kto jest dowódcą waszej kompanii?*

– *Nie wiem, sir.*

– *A kim ja jestem?*

– *Nie wiem, sir.*

– *Od jak dawna jesteście w wojsku?*

– *Od trzech miesięcy, sir*.

– *Jak często macie musztrę?*

– *Pięć nocy w tygodniu, sir.*

Ostatecznie szeregowca zwolniono z powodu niepełnosprawności umysłowej. Jednak mimo wszystkich niedoskonałości, formacja Lokalni Ochotnicy Obrony, a później Straż Krajowa, spełniała ważne zadanie propagandowe. Nie tylko bowiem pozwalała obywatelom zaangażować się w pożyteczną działalność, ale również łagodziła narastający lęk przed niemiecką inwazją z powietrza. Przemawiając z okazji powołania organizacji, Anthony Eden poświęcił sporo uwagi niemieckim jednostkom spadochronowym oraz roli, jaką Lokalni

Ochotnicy Obrony mogą odegrać w przeciwdziałaniu ich ewentualnym działaniom.

– Chcemy was prosić o pomoc – oświadczył, z typową brytyjską uprzejmością wyprzedzając Johna F. Kennedy’ego o ponad dwadzieścia lat.

Z biegiem czasu Straż Krajowa dojrzewała, stając się formacją profesjonalną, coraz sprawniejszą i coraz lepiej finansowaną. Początkowo była to jednak amatorska organizacja ochotnicza, której projekty nie pochodziły od władzy, lecz zgłaszane były przez członków. Na przykład z ich inicjatywy usuwano z muzeów niektóre antyki, w tym również pewne zabytkowe chińskie działo z brązu, żeby zasilać arsenały, a w lokalnych jednostkach przyrządzano zapasy koktajli Mołotowa. W Bexley zbierano w tym celu stare butelki po whisky i napojach bezalkoholowych (szkło butelek po piwie okazało się za grube), wypełniano je mieszanką smoły i benzyny, ostrożnie podgrzewano i umieszczano w specjalnie przygotowanych pojemnikach z grubego brezentu. Każdy członek organizacji był uzbrojony w dwanaście takich koktajli gotowych do obrony granic hrabstwa Kent.

Jednym z oddziałów, który szczególnie się wyróżniał, był Upper Thames Patrol. Patrol działał na wolnych od przypływów wodach Tamizy, na dwustukilometrowym odcinku między Teddington a Lechlade. Tworzyli go właściciele łodzi motorowych. Zajmowali się ochroną rzeki, jej brzegów, mostów, śluzy i jazów przed sabotażem. W razie inwazji patrol miał wysadzać mosty. Trzy łodzie

patrolu, *Constant Nymph, Surrey* i *Bobell*, miały niebawem odegrać ważną rolę w ewakuacji z Dunkierki.

Kolejnym godnym uwagi oddziałem była powołana na początku czerwca Pierwsza Amerykańska Eskadra Zmotoryzowana (First American Motorised Squadron, FAMS), sformowana przez obywateli amerykańskich zamieszkałych w Wielkiej Brytanii. Byli to głównie biznesmeni i przedstawiciele różnych zawodów. Organizację założył Charles Sweeny, bogaty finansista i osoba z towarzystwa. Sweeny zwrócił się do jeszcze bardziej majętnego ojca, który mieszkał w USA, o sfinansowanie dostawy broni i amunicji do Anglii. W wyniku tej operacji, dostarczono na wyspy sto dział typu Tommy (Tommy guns) i 100 000 jednostek amunicji. Do organizacji należeli inni dobrze ustosunkowani Amerykanie mieszkający w Anglii i jeżdżący modnymi amerykańskimi samochodami, których karoserie pokryto barwami militarnymi. Przewodził im generał brygady, który podczas poprzedniej wojny służył pod generałem Pershingiem. W sumie pod względem wyposażenia i organizacji jednostka ta mogła śmiało iść w zawody z regularnymi oddziałami armii brytyjskiej.

Churchill, któremu bardzo zależało na zaangażowaniu Amerykanów w wojnę, okazywał szczególne zainteresowanie FAMS, chociaż, co znamienne, ambasador USA Joseph Kennedy wcale jej nie pochwalał. Jednak ta formacja może stanowić dowód, że przynajmniej niektórzy

Amerykanie już długo przed grudniem 1941 roku byli gotowi przyłączyć się do wspólnych operacji militarnych.

Warto zauważyć, że rosnąca liczebność Straży Krajowej świadczyła o społecznym zaangażowaniu Brytyjczyków i ich gotowości do służby ochotniczej, co dla każdego rządu jest podstawowym sposobem na zapobieganie zarówno społecznemu niezadowoleniu, jak i samozadowoleniu narodu.

Tymczasem w nocy 19 maja po przeciwnej stronie kanału La Manche zakończono odwrót Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych za linię rzeki Skaldy. Lord Gort, świadom grożącego oskrzydlenia przez Niemców, przystąpił do formowania sił kryzysowych z jednostek, którymi dysponował, oraz do rozlokowywania ich na odcinkach najbardziej narażonych na atak. Tak zwana Macforce – złożona przede wszystkim ze 127. Infantry Brigade (Brygady Piechoty) – wysłana została do zabezpieczenia południowego skrzydła Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych na rzece Scarpe między miejscowościami Râche a St Amand. W rezultacie Macforce posłużyła także jako zabezpieczenie przed ewentualną klęską armii francuskiej pod dowództwem generała Blancharda, co wydawało się niemal nieuchronne. Inna formacja, pod nazwą Petreforce, składała się ze słabo wyszkolonych batalionów kopaczy (jak również z elitarnego batalionu Welch Guards), których wysłano do obrony miasta Arras.

Przez wiele lat po wojnie lord Gort był ostro krytykowany za sposób przeprowadzenia kampanii. Szczególnie wiele

zarzucał mu Montgomery, mimo że potrafił także zdobyć się na skąpe pochwały. Monty opisywał Gorta jako osobę niezwykle sympatyczną i serdecznego przyjaciela, który jednak nie wyróżniał się błyskotliwością, nie dbał o administrację, a przede wszystkim nigdy nie powinien zostać obarczony zadaniem, które mu powierzono. Monty podsumował to takimi słowami:

Wiedział wszystko, co trzeba, o żołnierzach, o ich umundurowaniu i butach, ale to zadanie go przerosło.

Monty uskarżał się zwłaszcza na rozgardiasz, jaki panował w sztabie Gorta. Napisał między innymi:

Trudno było zorientować się, gdzie kto jest.

Trudności wynikały z potrzeby Gorta, żeby zawsze znajdować się blisko akcji, w wyniku czego zwykł był urządzać kwaterę sztabu w trzech miejscach zamiast w dwóch, jak to się zazwyczaj praktykuje. W konsekwencji dochodziło do kryzysów łączności.

– Nawiązywano łączność ze sztabem tylko po to, by dowiedzieć się, że poszukiwany oficer czy potrzebne służby znajdują się w jednym z dwóch pozostałych sztabów – skarżył się jeden z członków obsługi I Korpusu.

Trzeba przyznać, że rola lorda Gorta – nie tylko jako naczelnego dowódcy Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, lecz również jako dowódcy armii brytyjskiej podległej kilku szczeblom władzy francuskiej – była niezwykle ważna i wyjątkowo złożona. Sprawna łączność miała więc zasadnicze znaczenie zarówno dla skuteczności operacyjnej Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, jak i dla efektywnego

śledzenia ruchów i dociekania intencji Francuzów. Fakt, że generał Gort zdołał po zakończeniu operacji odwrotowej stworzyć zaimprowizowane siły, świadczy o tym, że starał się reagować na przebieg wydarzeń. Już wkrótce miało się okazać, jak ważna jest możliwość przemieszczenia wojsk na południe. Tymczasem to 19 maja podczas dyskusji zrodził się pomysł, którego konsekwencje odczuwamy do dnia dzisiejszego.

Z punktu widzenia lorda Gorta Brytyjskie Siły Ekspedycyjne miały trzy możliwości. Mogły wziąć udział w kontrnatarciu przypuszczonym jednocześnie z północy i południa w celu powstrzymania ekspansji Niemców i utrzymania linii defensywy. Mogły spróbować cofnąć się do linii rzeki Sommy, zachowując kanały zaopatrzenia. Mogły też skorzystać z trzeciej opcji, na pozór najbardziej drastycznej, lecz prawdopodobnie najbardziej rozsądnej: ruszyć na północny zachód pod osłoną kanału La Manche i linii rzeki w kierunku Dunkierki, skąd mogłyby ewakuować się do Wielkiej Brytanii.

Tak śmiały manewr wymagałby prawdopodobnie pozostawienia we Francji większości brytyjskiej broni i sprzętu. Mógłby też zostać uznany za zdradę przez francuskich i belgijskich sojuszników. Zapewne napotkałby także opór ze strony rodaków w Anglii, którzy nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji, w jakiej znalazły się Brytyjskie Siły Ekspedycyjne. Nic zatem dziwnego, że kiedy generał Pownall zadzwonił do Ministerstwa Wojny, żeby przedstawić plan dyrektorowi operacji wojskowych,

skwitowano go stwierdzeniem, że jest to plan „głupi i bezużyteczny”.

Lord Gort i członkowie jego sztabu – zdecydowani chronić Wielką Brytanię za wszelką cenę, bez względu na niedociągnięcia administracyjne oraz brak wiary w zdolność Francuzów do powstrzymania niemieckich dywizji pancernych – przystąpili do opracowania planu wycofania armii brytyjskiej do Dunkierki.

ROZDZIAŁ PIĄTY
KONTRATAK

Lord Moran, lekarz Winstona Churchilla, napisał kiedyś, że gdyby jego pacjent „nie miał takiej wrażliwości na słowo, nie zaszedłby w życiu tak daleko”. Być może, lecz oblężone społeczeństwo bardzo potrzebowało, by ktoś natchnął je takim entuzjazmem, jak uczynił to Churchill, gdy po raz pierwszy jako premier wygłosił przez radio orędzie do narodu, co miało miejsce 10 maja 1940:

Narody Wielkiej Brytanii i Francji pospieszyły z pomocą nie tylko Europie, ale również całej ludzkości zagrożonej najbardziej odrażającą i deprawującą tyranią, która plami i zasnuwa mrokiem karty naszej historii. W ślad za nimi – i za nami – za armiami oraz flotami Wielkiej Brytanii i Francji, kroczy grono rozbitych państw i zmiażdżonych narodów: Czechów, Polaków, Norwegów, Duńczyków, Holendrów i Belgów, które ugrzęzną w długiej nocy barbarzyństwa nierozświetlonej żadnym promieniem nadziei, dopóki tyranii tej nie ujarzmimy, a ujarzmimy.

Odzew był pozytywny, na przykład Anthony Eden napisał:

Nigdy nie zrobiłeś w życiu nic równie dobrego i równie wielkiego. Dziękuję Ci i dziękuję Bogu, że nam Cię zesłał.

Kiedy jednak Churchill został sam, nie był w stanie zachować aż takiego optymizmu. Telegram wysłany wieczorem z gabinetu premiera Anglii do prezydenta

Stanów Zjednoczonych Franklina Roosevelta zawierał ukrytą groźbę: jeżeli Ameryka nie zdecyduje się udzielić pomocy, Wielka Brytania będzie zmuszona się poddać, a wówczas brytyjska flota wpadnie w ręce Niemców. Roosevelt musiał sam się domyślić, jakie będą tego konsekwencje, gdyż Churchill zakończył telegram słowami:

Raz jeszcze dziękuję za Pańską dobrą wolę.

Tego samego wieczora jednostka Pompadourów Anthony'ego Irwina dotarła do wioski Belleghem nad rzeką Skaldą. Minione dni upłynęły żołnierzom na forsownym marszu bez chwili snu, przerywanym różnymi niemal odrealnionymi zdarzeniami. Gdzieś na południe od Brukseli oddział został ostrzelany ogniem maszynowym. Na widok ognistych czerwonych smug przelatujących ze świstem koło głowy żołnierze przypadli do ziemi i zaczęli ostrzeliwać się z brenów, ale po chwili usłyszeli komendę:

– Wstrzymać ogień!

Ktoś powiedział, że „nieprzyjaciel" to pluton karabinów maszynowych pułku Middlesex Regiment. Rany odniosło dwóch Pompadourów i starszy sierżant z Middlesex.

Niedługo potem kompanię Irwina rozmieszczono na obrzeżach sadu, gdzie żołnierze obserwowali w wielkim napięciu pojedynek powietrzny między samotnym i w zasadzie bezbronnym lysanderem RAF-u[6] (maksymalna prędkość 350 km/godz.) oraz sześcioma ciężko uzbrojonymi messerschmittami Bf 109 (465 km/godz.). Widzieli, jak messerschmitty jeden po drugim nurkowały w kierunku lysandera, po czym wznosiły się,

żeby zawrócić i ponowić atak. Za każdym razem lysander przyspieszał, robił unik i atak chybiał celu. Po kolejnym nieudanym natarciu messerschmittów jeden z obserwujących pojedynek żołnierzy wybuchnął płaczem. W końcu Niemcy zmienili taktykę i zaatakowali Brytyjczyka z kilku stron jednocześnie. Wtedy lysander wszedł w kontrolowany korkociąg, a w ostatniej chwili wyrównał lot tuż nad linią pozycji kompanii. Messerschmitty nie dawały za wygraną. Nurkując ponownie, puściły się za nim w pogoń. Kiedy znalazły się nad okopami, wszystkie breny powitały ich ogniem.

Jeden samolot zwalił się na ziemię w płomieniach, pozostałe odbiły w górę i odleciały. Wkrótce jednak pojawiły się z powrotem w równym szyku, żeby wziąć odwet, kosząc z karabinów maszynowych. Wtedy jednak nadleciały trzy hurricane’y RAF-u i szybko je przepędziły. Tymczasem lysander z godnością sunął spokojnym lotem wysoko na niebie.

Następnie doszło do nieco bardziej przyziemnego incydentu. Irwin i inny oficer brytyjski, zresztą jego dobry przyjaciel, mierząc do siebie z pistoletów, spierali się o to, który z ich plutonów zajmie przygotowane pozycje. Byli zbyt wyczerpani, żeby szukać innego miejsca. W końcu zgodzili się na rzut monetą. Irwin przegrał i musiał ze swoim oddziałem szukać innego miejsca.

Tuż przed miejscowością Belleghem mijali fabrykę pierników. Ich poprzednicy włamali się do niej wcześniej, więc ludzie Irwina, którzy nic nie jedli od kilku dni, mieli

ułatwione zadanie. Już po chwili wszyscy bez opamiętania objadali się pierniczkami, a godzinę później równie gromadnie kucali przy drodze z powodu rozwolnienia.

Żołnierze spodziewali się, że pod Belleghem nad rzeką Skaldą batalion zatrzyma się na dłużej, ale już 20 maja po południu znowu się cofali. Tym razem wiedzieli dlaczego, bo wreszcie dotarła do nich wiadomość o przerwaniu linii frontu przez niemiecką dywizję pancerną.

Trzydzieści kilometrów dalej, we wsi Froidmont, do wymarszu na linię rzeki Skaldy przygotowywał się 2. Batalion Pułku Royal Norfolk Regiment. W nocy jednostka przesunęła się w pobliże miejscowości Calonne, gdzie zluzowała Royal Berkshires. Kompania A zajęła pozycję centralną na odcinku długości prawie siedmiuset pięćdziesięciu metrów, co uniemożliwiało dogodne rozmieszczenie stanowisk. Mimo to dowódca kompanii, kapitan Peter Barclay, przez całą noc sprawdzał osobiście, czy każdy z jego ludzi zajmuje solidną pozycję obronną.

Rzeka miała w tym miejscu niecałe dwadzieścia metrów szerokości, co stanowiło pewną ochronę. Wzdłuż linii obrony kompanii ciągnęły się zabudowania. Jeden oddział rozlokował się w piwnicy, inny za murem ogrodu, a trzeci na dalej w lewo wysuniętym skrzydle, w starej cementowni. Szeregowy Ernie Leggett i jego towarzysze zajęli tu pozycje na pierwszym piętrze. Sztab, w składzie kapitan Barclay, starszy sierżant George Gristock i kilku innych oficerów, mieścił się z drugiej strony, na skraju prawego skrzydła. Pewnym problemem dla całej kompanii mógł być niewielki,

wąski i rzadki zagajnik, który stwarzał nieprzyjacielowi możliwość częściowego ukrycia się.

Bladym świtem Barclay, który pochodził z rodziny bankierów (tej rodziny!), nie widząc nigdzie choćby śladu nieprzyjaciela, postanowił zrobić sobie wolne. Jego ordynans wypatrzył króliki w pobliżu pobliskiego Château Carbonelle oraz, dziwnym trafem, także psy myśliwskie i fretki zamknięte w pałacowej stajni. Przez półtorej godziny wraz z innymi oficerami bawili się we właścicieli wiejskiej posiadłości. W końcu obrzuciła ich pociskami niemiecka artyleria. Wtedy, jak mówi Barclay, pomyślał, że trzeba „zająć się tą drugą sprawą”.

Przez jakiś czas panowała względna cisza, po czym na przeciwnym brzegu rzeki pojawiło się kilku Niemców. Barclay zakazał ludziom otwierać ogień, dopóki nie zadmie w róg myśliwski, który lubił nosić przy sobie. Niemcy weszli do zagajnika i zaczęli ścinać drzewa. Chcieli zbudować kładkę i oprzeć ją na spoczywających w rzece betonowych blokach. Kompania Norfolk przez cały czas siedziała cicho. Z minuty na minutę Niemców przybywało. Był wśród nich także jakiś SS-man w czarnym hełmie. Nieświadomi, że są pod obserwacją, pracowicie montowali kładkę. Nie mieli powodu do pośpiechu – do chwili, kiedy Barclay zadął w róg. Wówczas żołnierze z Norfolks otworzyli ogień. Wszyscy Niemcy po obu stronach rzeki zginęli.

Ernie Leggett i jego koledzy z pierwszego piętra cementowni mieli widok na cały zagajnik. Dostrzegli stamtąd zbliżające się z odległości około stu pięćdziesięciu

metrów lekkie czołgi nieprzyjaciela. Wywiązała się ostra strzelanina. Leggett tak mocno grzał z maszynowego Brena, że Niemcy musieli odstąpić od rzeki. Po chwili ruszyli znowu, przeskakując przez ciała zabitych towarzyszy. Ataki odpierano jeszcze dwukrotnie, zanim oddział Leggetta dostał się pod ostrzał moździerzy. Zabrzmiały charakterystyczne odgłosy przypominające stęknięcie, a po nich krótkie, przerażające oczekiwanie na wybuch.

Wkrótce także kwatera dowództwa została ostrzelana przez artylerię i moździerze. Kapitan Barclay, ranny w brzuch, w ramię i w plecy, nie mógł skorzystać z noszy, bo wszystkie były w użyciu, więc jego ordynans wyrwał drzwi z zawiasów. Niesiony przez czterech żołnierzy, nadal wydawał rozkazy. Problemy pojawiły się także na prawym skrzydle. Niemcom udało się zająć dogodną pozycję i na przeciwległym brzegu pojawiło się gniazdo karabinu maszynowego. Barclay posłał starszego sierżanta George’a Gristocka wraz z pisarzem kompanii i radiotelegrafistą, którzy akurat byli pod ręką, z poleceniem zdobycia obu tych pozycji. Po chwili Ernie Leggett obserwował z drugiego piętra cementowni, jak niezauważony przez Niemców Gristock podczołguje się do gniazda karabinu maszynowego usadowionego po tej samej stronie rzeki co kompania Norfolk. Nagle z boku zaterkotał niewidoczny dotąd drugi niemiecki karabin maszynowy. Gristock dostał serię, która rozwaliła mu kolana, jednak mimo bardzo poważnych obrażeń posuwał się dalej, aż znalazł się kilkanaście

metrów od pierwszego celu. Wtedy odchylił się do tyłu, rzucił kilka granatów, obrócił się na plecy i otworzył ogień z pistoletu maszynowego Tommy gun. Odczołgał się z powrotem dopiero po sprawdzeniu, że wszyscy Niemcy nie żyją.

Barclay stracił przytomność. Obudził się w pałacu, który zamieniono na punkt sanitarny. Na sąsiednim łóżku leżał Gristock. Leggett nadal pozostał na stanowisku, chociaż z dwudziestu pięciu członków oddziału, z którymi zajął cementownię, pozostało tylko czterech. Nie było rannych, sami zabici. Kiedy wyjrzał przez okno, by sprawdzić, czy na lewym skrzydle nie ma Niemców, przeżył wstrząs:

Zanim się zorientowałem, o co chodzi, wyrżnąłem głową w sufit, potem usłyszałem głośny huk i spadłem na podłogę. Już wiedziałem, że mnie trafili. Dostałem z jednego z tych cholernych trzycalowych moździerzy. Lewa noga całkiem mi zdrętwiała, nie czułem pleców od pasa w dół, nie mogłem poruszać nogami, a na podłodze była kałuża krwi. Podbiegło do mnie dwóch i krzyczą: „Do diabła, Ernie! Dostałeś!”.

Ściągnęli go na dół po schodach i położyli przy nasypie kolejowym, który miał najwyżej dwadzieścia centymetrów wysokości. Leżał tam w samych kalesonach, więc pokonując potworny ból, zaczął się czołgać wzdłuż nasypu, zdzierając do krwi skórę na rękach, osłonięty tylko szynami przed uderzeniami padających gęsto pocisków, które obsypywały go ziemią. Po przebyciu około stu metrów dotarł do kwatery dowództwa, gdzie wreszcie położono go

na noszach. Pamięta, że jechał ciężarówką, że pochylała się nad nim siostra zakonna w białym kornecie, a lekarz wojskowy mówił:

– Tylko jedno małe ukłucie, stary.

Mimo ostrych walk i dwóch odpartych ataków niemiecki batalion utrzymał swoje pozycje, a wieczorem nadszedł rozkaz odwrotu. Najpierw do Bachy, a następnie na odcinek Bethune, gdzie na jednostkę czekało prawdziwe piekło.

Znacznie później, już w szpitalu w Anglii, Ernie Leggett dowiedział się, że mimo odniesionych ran – w tym rana od odłamka, który przeszedł przez udo i szczęśliwie tylko drasnął tętnicę udową, wychodząc pachwiną – będzie z nim wszystko w porządku. W sąsiednim oddziale leżał George Gristock, któremu amputowano obie nogi przy samych biodrach. Leggett codziennie odwiedzał sierżanta, któremu pozwolono pić tyle piwa, ile zechce.

– Cudnie! – zachwycał się Gristock, pociągając piwo z dzbanuszka do herbaty.

Leggett opowiedział mu, że obserwował jego akcję z budynku cementowni.

– Dobrze przynajmniej, że wybiłem tych wszystkich sukinsynów – skwitował Gristock.

Sanitariusze codziennie dowozili Erniego do sierżanta. Wspominali służbę w pułku i pierwsze miesiące wojny.

– I nagle nadszedł ten straszny poranek – wspomina Ernie – kiedy po mnie nie przyszli. Poprosiłem siostrę, żeby mnie zawieźli do George’a, a ona na to, że przykro jej, ale sierżant umarł.

Za swój bohaterski wyczyn George Gristock został odznaczony brytyjskim Krzyżem Zwycięstwa Victoria Cross, który można oglądać w Royal Norfolk Regiment Museum w Norwich.

Sierżant Cyril Roberts z 2/7. Batalionu Queen's Own Royal Regiment był 20 maja w Vauchelles, na południe od Sommy. Jego jednostka przybyła do Francji z zadaniem wykonywania robót ziemnych. Pierwsze dwa tygodnie żołnierze spędzili w Abancourt, między Amiens a Dieppe, pracując pod kierunkiem inżynierów francuskich. Nie przewidywali udziału w walce, ponieważ zimą w Anglii nie otrzymali prawie żadnego przeszkolenia, a we Francji tym bardziej. Batalion był słabo uzbrojony, miał na stanie tylko trzy karabiny maszynowe bren, ani jednego moździerza, ani jednego transportera, czternaście samochodów ciężarowych i jeden samochód osobowy. Brak było sprzętu łącznościowego i wyszkolonych sygnalistów. Byli jednak żołnierzami i w sytuacji kryzysowej, w jakiej znalazły się Brytyjskie Siły Ekspedycyjne, dostali rozkaz włączenia się do walki.

Najpierw, 18 maja, skierowano ich do Abbeville, stamtąd do Lens, gdzie ich pociąg został zbombardowany i zaatakowany ogniem maszynowym z powietrza. W batalionie Robertsa nikt nie ucierpiał, chociaż ośmiu ludzi z sąsiedniego batalionu odniosło rany. Wkrótce okazało się, że doszło do nieporozumienia, a mianowicie oddział Robertsa powinien był pozostać w Abbeville. Dlatego wsiedli do następnego pociągu i ruszyli

z powrotem, a 20 maja znaleźli się w małej wiosce Vauchelles, do której zbliżały się niemieckie dywizje pancerne. Niemieckie wojska jeszcze nie odczuwały skutków wątpliwości gnębiących Hitlera i spuszczone ze smyczy czołgi parły ostro do przodu. Batalion Cyrila znalazł się w oku cyklonu.

Z rozkazu Heinza Guderiana 2. Dywizja Pancerna miała przełamać opór brytyjski i francuski i utrzymać obszar między Abbeville a Flixecourt. Tymczasem 1. Dywizja Pancerna miała zająć teren między Flixecourt a rzeką na wschód od Amiens, natomiast 10. Dywizja Pancerna zabezpieczała terytorium na wschód aż do Peronne.

Po zdobyciu Amiens 20 maja przez 1. Dywizję, Guderian wybrał się na przejażdżkę po mieście. Zachwycił się katedrą i żałował, że nie może zatrzymać się na dłużej. Jadąc dalej na wschód, mijał posuwające się w przeciwnym kierunku kolumny wojsk niemieckich i zauważył kilka pojazdów brytyjskich, które usiłowały przemknąć się wśród pojazdów niemieckich na południe. Generał odnotował w swoim dzienniku:

Schwytałem tam około piętnastu Anglików.

Tego samego dnia rano porucznik Dietz z 2. Dywizji Pancernej wyruszył z wioski Sorrell z grupą uderzeniową w sile brygady czołgów, dwóch batalionów piechoty, opancerzonych wozów do walki z czołgami i pionierów zbrojnych (czyli saperów w pojazdach wojskowych). Zmierzali w kierunku Abbeville i morza, nie napotykając po drodze żadnego znaczącego oporu. Piętnaście kilometrów

przed miastem wijący się wąż zbrojny musiał się nagle zatrzymać z powodu gęstego tłumu uciekinierów, głównie belgijskich, z licznymi wozami i wózkami. Dla Dietza byli to mieszkańcy wypędzeni ze swoich domostw i porzuceni na pastwę losu przez Francuzów. Nie dopuszczał myśli o jakiejkolwiek odpowiedzialności Niemców za ich położenie.

Czołgi stanęły również dlatego, że skończyło się im paliwo. Na podbój zachodniej flanki linii obrony miasta Abbeville pojechała więc piechota. Żołnierze zdobywali dom za domem przy wsparciu pojazdów pancernych i formacji pionierów. Podobnie jak wiele innych przed nim, miasto stanęło w płomieniach i wkrótce przeszło w ręce Niemców. Niewiele brakowało, by wyścig w kierunku wybrzeża dobiegł końca, gdyby nie meldunek, że Luftwaffe zamierza przypuścić atak stukasów na miejskie mosty.

Zdaniem niemieckich sztabowców zakrawało to na szaleństwo, bowiem mosty zostały już zabezpieczone, i to niemałym kosztem, nie było więc potrzeby żadnych dodatkowych działań. Wycofanie wojska z miasta przed nalotem Luftwaffe oznaczałoby jego utratę na rzecz obrońców. Jednak na wiadomość umieszczoną w kolejnym meldunku, że stukasy są w drodze, Niemcy dali sygnał do wycofania ludzi i sprzętu, w dodatku na odległość kilkunastu kilometrów.

Niemieccy kurierzy krążyli po Abbeville, przekazując żołnierzom rozkaz do odwrotu. Ocknęły się czołgi, które dopiero co wjechały do miasta. Echo odbijające się od ścian

budynków potęgowało ryk ich silników w ciasnych uliczkach. Podobnie jak Brytyjczycy nad rzeką Dyle, tak teraz żołnierze niemieccy, którzy od dziesięciu dni robili wszystko, żeby dotrzeć do kanału La Manche, dostali rozkaz powrotu. Jednak nie dotyczył on wszystkich. Zajęte przez Niemców mosty musiały pozostać w ich rękach, sztab dowodzenia też miał zostać na miejscu. Bez względu na ofiary w ludziach nie wolno było oddać już zdobytego miasta.

W kwaterze niemieckiego dowództwa oficerowie usiłowali zasnąć, świadomi tego, co ich czeka. Tymczasem stukasy nie nadleciały. Nalot odwołano bez powiadomienia oddziałów natarcia. Nazajutrz o siódmej rano Niemcy ponownie opanowali większość zajętych wcześniej pozycji. W tym dniu pojmano i odesłano na tyły kilka tysięcy jeńców, głównie Brytyjczyków.

W ten sposób zakończyła się realizacja decydującej fazy planu Mansteina: przekroczenie rzeki Mozy i przedarcie się przez tereny wokół miasta Sedan na północny wschód w kierunku północno-zachodniego wybrzeża. Wszystkie trzy armie: brytyjska, belgijska i francuska, znalazły się w pułapce głębokiej na prawie 200 km i szerokiej na 140 km, bez dostępu do pozostałych jednostek francuskich na południu. W dodatku narażone były odtąd na ataki nieprzyjaciela z każdej strony. Jedynym pocieszeniem dla Brytyjczyków było to, że Niemcy nie zdobyli jeszcze portów wzdłuż kanału La Manche. Dopóki to nie nastąpiło i armia

brytyjska nie została odcięta od morza, wojna nie była jeszcze przegrana.

Rankiem 20 maja pluton Cyrila Robertsa pełnił wartę przy mostach w Abbeville. Kiedy do miasta dotarła fala uciekinierów, oddział przyłączył się do reszty batalionu. Posuwali się na wschód bardzo powoli, zatrzymując się przed tarasującymi ulicę płonącymi rumowiskami, powstałymi podczas niedawnego nalotu. Zawrócili więc, w poszukiwaniu innej drogi.

Kiedy mijali jakieś zabudowania gospodarcze, uciekinierzy zaczęli dawać im znaki. Nim zrozumieli, o co chodzi, rozległ się odgłos serii z karabinu maszynowego. Jedni skryli się w rowie, inni rzucili się na drogę. Ci w rowie, sądząc, że ogień pochodzi z zabudowań gospodarstwa, zaczęli strzelać w tamtym kierunku. Wtedy na drodze pojawiła się niemiecka kolumna pancerna, którą otwierał czołg. Szeregowiec Jakeman, jeden z Anglików ukrytych w rowie, widział, jak Niemcy brali do niewoli jego kolegów. Tymczasem z tyłu nadjechał kolejny pojazd opancerzony. Wyskoczyli z niego Niemcy z pistoletami i karabinami maszynowymi. Jakeman i pozostali ukryci w rowie żołnierze nie mieli wyjścia, musieli się poddać.

Kazano im iść drogą przed siebie pod eskortą motocyklistów. Gęsto rozstawione przy drodze posterunki uniemożliwiały ewentualną ucieczkę. Kiedy po kilku kilometrach droga zbliżyła się do ściany lasu, Jakeman skorzystał z chwilowej nieobecności motocyklistów i posterunków i skoczył między drzewa, przesadził płot

i puścił się w głąb lasu. Biegł przed siebie, aż dotarł do gęstego młodniaka. Przeleżał tam w ukryciu przez cały dzień. Słyszał kanonadę niemieckiej baterii przeciwlotniczej na północy, raz po raz wybuchała wokół niego gęsta strzelanina. Gdy zapadła noc, ruszył ostrożnie na południowy wschód. Dotarł do wzgórz nad Sommą, zszedł w dolinę, przepłynął rzekę, przebrnął przez moczary, przeciął drogę i linię kolejową. W pewnym momencie zaczęto do niego strzelać, więc ruszył biegiem i wpadł na zaparkowane pojazdy niemieckie. Rzucił się do ucieczki. Świtało już, kiedy znów schronił się w lesie, gdzie spędził kolejny ponury i deszczowy dzień.

Wieczorem zastukał do drzwi gospodarstwa w Bettencourt. Gospodarze przenocowali go, informując, że chwilę przedtem Niemcy przejeżdżali przez wioskę, bo od samego rana przeszukiwali domy w poszukiwaniu ukrywających się aliantów. Poradzono mu, by poszedł na południe, bo był to jedyny bezpieczny kierunek. Szedł więc na południe, omijając miasta i wioski, i dotarł do Selincourt. Tam dowiedział się od mieszkańców, że Francuzi utrzymali położone kilka kilometrów dalej Harnoy. Gdy tam dotarł, po sprawdzeniu dokumentów przez francuski posterunek wreszcie dostał się na brytyjski samochód, który zawiózł go do Brytyjskiej Komendy Północnej w Rouen.

Większość towarzyszy broni szeregowego Jakemana – z Cyrilem Robertsem włącznie – miała mniej szczęścia. Nasilały się niemieckie naloty na Abbeville, batalion raz po raz dostawał się pod silny ostrzał nieprzyjaciela. Kiedy

znaleźli się na odkrytym terenie bez karabinów maszynowych i bez broni przeciwczołgowej, dowódca wydał rozkaz wycofania się za rzekę Sommę w kierunku Épagne-Épagnette. Chciał w ten sposób przerzucić swoich ludzi na drugą stronę rzeki, na której nie było niemieckiej 2. Dywizji Pancernej. Rozkaz doręczono do sztabu kompanii i części oddziałów kompanii D. Nie dotarł on jednak do pozostałych kompanii.

Major Adams ze sztabu kompanii zdołał przeprowadzić przez Sommę do miejscowości Blangy niewielki oddział złożony z dwóch oficerów i około sześćdziesięciu żołnierzy. Stamtąd mogli dostać się do sztabu brygady, na koniec zaś do Komendy Północnej w Rouen. Natomiast dowódca batalionu, podpułkownik Girling, przez blisko trzy dni prowadził oddział trasą od rogatki Abbeville przez opuszczoną wieś Hamicourt i przez rzekę Bresle do St Pierre-en-Val. Pod ogniem maszynowym musieli się rozdzielić, lecz w końcu wszyscy dotarli do Rouen.

Reszta batalionu, wraz z Cyrilem Robertsem, pozostała na stanowiskach w Vauchelles. Nie otrzymali żadnych rozkazów, a kiedy nie wróciło dwóch oficerów wysłanych w poszukiwaniu informacji, w szeregach powstało zamieszanie. Wczesnym rankiem 21 maja na nieosłonięte pozycje 2/7. batalionu natarła duża formacja czołgów. W wyniku natarcia do niewoli trafiło kilkuset żołnierzy Queen’s Own Royal Regiment.

Kiedy niemieckie dywizje pancerne wjeżdżały do Abbeville, w kwaterze głównej generała Gorta pojawił się

generał Edmund „Tiny” Ironside, zwany „Malutkim”, Szef Generalnego Sztabu Imperium. Wydał zalecenie, by Brytyjskie Siły Ekspedycyjne przygotowały kontruderzenie w kierunku południowo-zachodnim przez rzekę Sommę w celu połączenia się z wojskami francuskimi na południu. Generał Pownall wściekł się na taką sugestię, wyczuwając w niej rękę Churchilla. Opisał to w swoim dzienniku jako:

Pomysł skandaliczny (czyli typowy dla Winstona) i w gruncie rzeczy zupełnie niemożliwy do przeprowadzenia.

Lord Gort cierpliwie wyjaśnił Edmundowi Ironside’owi, że po pierwsze nie ma dość ludzi, by przeprowadzić taką operację, która wymagałaby odwołania i przemieszczenia siedmiu dywizji walczących o życie na linii rzeki Skaldy, a po drugie, rzeka Somma znajdowała się w rękach niemieckich. Innymi słowy, takie natarcie oznaczałoby wciągnięcie siedmiu brytyjskich dywizji do rozpaczliwych działań na tyłach, podczas gdy właśnie prowadzą one bitwę z silnymi formacjami pancernymi wroga, unikając jednocześnie oskrzydlenia.

Wobec oczywistej niemożności przeprowadzenia operacji, lord Gort zaproponował Ironside’owi rozwiązanie alternatywne. Można mianowicie przeprowadzić atak w kierunku południowym przy pomocy dwóch dywizji, 5. i 50., które stanowią jedyną rezerwę, jaką ma do dyspozycji. Ironside przekazał to ministrowi wojny Anthony’emu Edenowi, który sporządził stosowny raport. Odczytano go w Gabinecie Wojennym w Londynie, jednak nie zdołał

powściągnąć optymizmu Churchilla, który wciąż instynktownie wierzył w możliwość przeprowadzenia przez Brytyjskie Siły Ekspedycyjne zmasowanego ataku w kierunku południowym. (Rzeczywistości nie dało się jednak całkowicie zignorować. Jeszcze podczas tego spotkania Churchill poinformował Gabinet Wojenny, że polecił szefom sztabu przygotowanie studium możliwych operacji „na wypadek gdyby zaszła konieczność wycofania Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych z Francji”).

Ironside i Pownall spotkali się tego dnia z Blanchardem i Billotte’em. Billotte krzyczał roztrzęsiony, że piechota francuska nie jest w stanie wytrzymać żadnego ataku. Ironside „Malutki”, który zawdzięczał swój przydomek ogromnej posturze, nie mógł znieść takiego użalania się nad sobą. Chwycił generała Billotte’a za klapy i mocno nim potrząsnął. Prawdopodobnie to zadziałało, bo Billotte uspokoił się i w końcu dał się Brytyjczykom namówić na uderzenie w kierunku Cambrai. Użyczył im nawet dwóch dywizji dla wzmocnienia natarcia.

Wprawdzie operacja popierana przez Churchilla nie była możliwa, ale dowódcy brytyjscy doskonale rozumieli, że jakieś działanie jest niezbędne. Niemcy – a zwłaszcza Hitler – już od kilku dni obawiali się kontruderzenia aliantów. I słusznie, gdyż im szybciej niemieckie dywizje pancerne parły ku wybrzeżu, tym bardziej rozciągały się na skrzydłach, zwiększając tym samym podatność na atak. Ponieważ piechota niemiecka została daleko w tyle za formacjami zmotoryzowanymi, podsunęło to Churchillowi

pomysł na porównanie niemieckiego uderzenia z żółwiem, którego głowa, jak pisał, wysunęła się daleko przed skorupę. Jeśli alianci nie przeprowadzą szybko poważnego szturmu, głowa zostanie wciągnięta, a skorupa nadal pozostanie nie do przebicia.

Tymczasem dowództwo Armii Francuskiej przejął generał Maxime Weygand, zastępując Gamelina na stanowisku Naczelnego Dowódcy. Weygand zapewniał Ironside'a, że Niemców można powstrzymać jednoczesnym uderzeniem z północy i południa. (Tak zwany plan Weyganda był zresztą zasadniczo identyczny z planem już istniejącym). Ironside czuł się jednak rozczarowany sojusznikiem. W swoim dzienniku napisał:

Niech Bóg ma w opiece Brytyjskie Siły Ekspedycyjne, które doprowadziła do obecnego stanu niekompetencja dowództwa francuskiego.

Jeszcze tego samego dnia to gorzkie rozczarowanie zostało ujawnione publicznie, kiedy zazwyczaj nienagannie uprzejmy lord Gort wyraził wobec francuskiego oficera łącznikowego krytyczną opinię na temat gotowości armii francuskiej do walki.

– Jeśli Francuzi nie będą chcieli walczyć – zagroził Gort – to Brytyjczycy będą się musieli ewakuować.

Mimo zapewnień Billotte'a, nadchodzące natarcie brytyjskie musiało się obejść bez obiecanych dwóch dywizji. Dowódca wojsk francuskich zameldował, że jego ludzie po prostu odmówili udziału w operacji. Ostatecznie siły

brytyjskie wsparła jedna francuska lekka dywizja zmechanizowana.

Natarcie koncentrowało się na tym, co mogło stanowić jedyne źródło nadziei Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, czyli na dalszym utrzymaniu kontroli nad miastem Arras. Plan zakładał wzmocnienie miejskiego garnizonu, utrzymanie rzeki Scarpe i zdobycie obszaru na południe od miasta, by odciąć w ten sposób niemiecką dywizję pancerną od zaplecza. Atak miał nastąpić w dwóch ruchomych kolumnach, z których każda składała się z batalionu piechoty, kompanii motocyklistów, baterii dział przeciwczołgowych, baterii artylerii polowej i batalionu czołgów. Do dyspozycji było osiemdziesiąt osiem czołgów, w tym pięćdziesiąt osiem typu Matilda Mark I (powolne i uzbrojone tylko w karabiny maszynowe), szesnaście czołgów typu Mark II (znacznie szybsze i uzbrojone w działa dwufuntowe), oraz czternaście czołgów lekkich.

Chociaż siły brytyjskie nie były zbyt imponujące, nerwowe oczekiwanie Niemców oznaczało, że przypisywali im większe znaczenie, niż na to zasługiwały. Jeśli jednak Niemcy przeceniali Brytyjczyków, to wydaje się, że Brytyjczycy nie doceniali Niemców, kompletnie nie zdając sobie sprawy z obecności w tym sektorze 7. Dywizji Pancernej generała Erwina Rommla.

Brytyjskie kolumny ruszyły jednocześnie z lewa i z prawa. Po lewej jechali motocykliści z 4. Batalionu Royal Northumberland Fusiliers równolegle z plutonem zwiadu w samochodach pancernych typu Daimler Dingo. Za nimi

szły czołgi 4. Batalionu Royal Tank Regiment. W jednym z lekkich czołgów jechał podporucznik Peter Vaux, oficer zwiadu batalionu. Za nimi szli żołnierze 6. Batalionu piechoty Durham Light Infantry.

Z powodu braku łączności radiowej koordynacja dywizjonu czołgów była niezwykle trudna. Załogom czołgów polecono zachować ciszę. Nie było też kontaktu między czołgami a piechotą, nie wymieniano rozkazów ani informacji. Kiedy więc czołg, w którym jechał Vaux, wspiął się na wzgórze w Dainville na południowych przedmieściach Arras, porucznik ze zdziwieniem skonstatował, że wbił się w skrzydło niemieckiej 7. Dywizji Pancernej generała Rommla i Dywizji Totenkopf SS. Ani Niemcy, ani Anglicy nie zdawali sobie sprawy z obecności nieprzyjaciela, chociaż w tej wymianie Royal Tank Regiment miał jednak lekką przewagę. Gdy czołgi brytyjskie otworzyły ogień w kierunku motocykli, ciężarówek i ciągników dział przeciwczołgowych, pojazdy niemieckie stanęły w płomieniach. Porucznik Vaux widział motocyklistę, który gorączkowo kopał pedał rozrusznika, próbując bezskutecznie uruchomić motocykl:

Mój artylerzysta tak się z niego śmiał, że nie mógł odpalić działa. W końcu Niemiec rzucił motor do rowu i uciekł. Nawet nie zdążyliśmy do niego strzelić!

Przypadkowe powodzenie tego fragmentu natarcia miało ogromne znaczenie. Dowództwo 7. Dywizji Pancernej otrzymywało alarmujące meldunki radiowe:

– Silny atak czołgów od strony Arras. Pomocy, pomocy.

Artylerzyści niemieccy nie byli w stanie przebić pancerza żadnego czołgu Matilda. Odtąd oba modele Matilda I i Matilda II, cała dywizja, a nawet całe Brytyjskie Siły Ekspedycyjne zdobyły wśród Niemców doskonałą reputację.

Czołgi nacierały więc dalej. Peter Vaux znalazł się wkrótce na skrzyżowaniu ulic, gdzie zauważył ciężarówkę z fragmentem wielkiej litery „G” na nadpalonych drzwiach. Ponieważ miał w głowie lekki zamęt, uznał, że litera „G” oznacza „Germany”. I tak bardzo się nie pomylił, bo z szoferki wyskoczył kierowca w nieprzyjacielskim mundurze.

– Strzelaj! – krzyknął Vaux i artylerzysta wypalił do ciężarówki. Przerażony kierowca rzucił się do ucieczki. Artylerzysta ścigał go jeszcze serią pocisków smugowych, ale Niemiec skoczył w bok do ogrodu i zniknął. Kiedy zamieszanie ustało, z domu wyszła spokojnym krokiem kobieta, żeby wyrzucić śmieci do pojemnika.

Po chwili czołg, w którym jechał Vaux, został trafiony „jakimś wrednym małym pociskiem”, który mijając porucznika i jego strzelca zaledwie o kilkanaście centymetrów, przebił na wylot wieżyczkę. Artylerzysta bez słowa wyjął z plecaka skarpety i wetknął po jednej do każdego otworu. „Wydawało mu się, że tak będzie wyglądało lepiej”, wspomina Vaux.

Między Beaurains a Mercatel brytyjski batalion wpadł w krzyżowy ogień kilku baterii artylerii i stracił dwadzieścia maszyn wraz z załogą. Wśród zabitych znalazł się między innymi dowódca batalionu podpułkownik Fitzmaurice oraz

dowódca dywizjonu czterdziestosiedmioletni major Gerald Hedderwick, który dwadzieścia trzy lata wcześniej bił się z Niemcami w tej samej okolicy. Peter Vaux przejeżdżał przez tę dolinę śmierci chwilę później, nie wiedząc nawet, że czołgi uległy zniszczeniu. Dopiero kiedy znalazł się w ich pobliżu, zauważył leżące wokół i zwisające z wieżyczek ciała członków załogi. Podniósłszy się z fotela, wydawał polecenia kierowcy i artylerzyście, nieświadom tego, że jakiś Niemiec mierzy z karabinu prosto w jego głowę. Zawdzięcza życie kapitanowi Robertowi Cracroftowi, który wypatrzył zagrożenie i zastrzelił nieprzyjaciela.

Biorąc po drodze mały odwet na napotkanych bateriach niemieckiej artylerii, czołgi wróciły do Achincourt. Były ku temu słuszne powody: brytyjska piechota nadal znajdowała się daleko w tyle, a na scenie zaczęły pojawiać się pierwsze niemieckie maszyny 5. Dywizji Pancernej. Brytyjczycy wycofali się więc, żeby wraz z motocyklistami i zwiadowcami w samochodach pancernych daimler dingo z Royal Northumberland Fusiliers zabezpieczyć tyły.

John Brown pełnił wartę na skrzyżowaniu ulic w pancernym dingo, kiedy z jednej z ulic wyjechał jakiś czołg. Kilku kolegów Johna otworzyło ogień z brenów, ale inni zaczęli krzyczeć, że to brytyjski czołg, więc przestali strzelać, zanim zdążyli go uszkodzić. Kiedy pojawił się następny czołg, znowu zaczęli strzelać. Znowu rozległy się okrzyki i ogień przerwano. Tym razem był to jednak czołg niemiecki. Zatrzymał się na skrzyżowaniu i otworzył ogień.

„Pierwszym pociskiem dostał kolega obok. Zginął na miejscu”, wspomina John Brown.

Na innym pobliskim skrzyżowaniu zatrzymali się Peter Vaux, Robert Cracroft i wszyscy pozostali członkowie batalionu. Usłyszeli odgłos uszkodzonego silnika czołgu Matilda Mark II, który po chwili wyłonił się z mroku. Cracroft podszedł bliżej i zamachał mapą przed osłoną kierowcy. Na to otworzył się właz i ukazały się w nim głowy niemieckich żołnierzy. Był to bowiem kolejny czołg niemiecki. Cracroft wydał ostrzegawczy okrzyk i pomknął z powrotem w kierunku swojego czołgu oddalonego o ponad dwieście metrów. Tymczasem na ulicy ustawiły się dalsze czołgi niemieckie i otworzyły ogień. Po blisko dziesięciu minutach ostrej, lecz bezskutecznej wymiany strzałów w zapadającej ciemności, Niemcy wycofali się.

Podczas tej wymiany ognia Vaux zużył resztki amunicji. Musiał więc także wycofać się z walki. Byli z nim kierowca czołgu, kapral Burroughs, oraz major Stuart Fernie – dowódca batalionu i następca poległego podpułkownika Fitzmaurice’a – który zastępował także artylerzystę czołgu. Po drodze natknęli się na dość niezwykłe zamieszanie: brytyjskie transportery opancerzone bren carrier i niemieccy motocykliści przejeżdżali ulicą obok siebie, raczej nie zdając sobie sprawy, dokąd zmierzają i po co. Peter Vaux skręcił w nieznaną ulicę i po chwili on także znalazł się w gęstej kolumnie niemieckich pojazdów, z których żaden go nie rozpoznał.

Paliwo skończyło się w małej wiosce kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Arras. Znaleźli opuszczone domostwo, gdzie spędzili noc i cały następny dzień.

Mimo dość chaotycznego przebiegu kontrnatarcia 4. Batalionu, wprowadziło ono wyraźny niepokój w szeregach niemieckich, które miały niewielkie doświadczenie w walce zbrojnej. Czołgi 7. Batalionu Royal Tank Regiment na prawym skrzydle wywołały podobny efekt, chociaż ich szarża była jeszcze bardziej bezładna. Kilkakrotnie błądzili, ponieważ najpierw posunęli się zbyt daleko na zachód, a potem zbyt daleko na wschód, omijając Warlus, jeden z celów natarcia, gdzie napotkaliby niemiecki 25. Pułk Pancerny, jedną z jednostek Rommla[7]. Zamiast tego rozjechali się w trzech różnych kierunkach.

Dwie grupy, złożone głównie z czołgów Matilda Mark I, zbliżały się do wioski Wailly od północy i od zachodu. Wieś znajdowała się w rękach niemieckiej 25. Dywizji Pancernej. Jednak wszystkie czołgi wykonywały zadanie na innym odcinku, dlatego w Wailly zostało kilka plutonów piechoty oraz kilka dział przeciwczołgowych i przeciwlotniczych. Podczas szarży czołg Matilda Mark II, w którym znajdował się Tom Craig, został trafiony pociskiem z niemieckiego transportera opancerzonego. Pocisk nie wyrządził mu żadnej szkody. Tom odpowiedział ogniem i transporter stanął w płomieniach. Widząc, że czołgi brytyjskie zagrażają jego pozycjom (i jego reputacji), Rommel przejął osobistą kontrolę nad obroną wioski z pobliskiego wzgórza. Rzucił do walki wszystkie działa przeciwczołgowe

i przeciwlotnicze, wskazując każdemu z nich cel i rozkazując otwarcie ognia tak szybko, jak to tylko możliwe. Odrzucił argumenty dowódców obsługi dział, którzy twierdzili, że dystans jest zbyt krótki. Ściągnął też z dowództwa dywizji ciężkie działa, z których stworzył drugą linię uderzenia artyleryjskiego. Uratował w ten sposób swoją pozycję, chociaż omal nie przypłacił tego życiem. Najpierw zginął bowiem stojący obok niego asystent, porucznik Most, a następnie został wraz z telegrafistą zaskoczony przez czołg brytyjski, którego załoga, na szczęście dla niego, wolała poddać się niż zastrzelić czy wziąć do niewoli generała.

Ciekawe, co mogłoby się stać, gdyby Rommel jednak nie uratował niemieckiej pozycji. Jest wielce prawdopodobne, że przebicie się czołgów brytyjskich pod Arras w połączeniu z podobnym przebiciem pod Sedanem stworzyłoby bliźniacze punkty zwrotne kampanii. Gdyby alianci wdarli się klinem w niemiecką linię natarcia, armia Guderiana znalazłaby się w pułapce przyparta do morza, gdzie mogłaby jedynie modlić się o ewakuację. Trudno sobie wyobrazić, skąd miałaby przybyć na ratunek niemiecka flota.

Do takiej sytuacji jednak nie doszło, mimo dalszych bohaterskich akcji brytyjskich żołnierzy, takich jak wyczyn pod Mercatel w wykonaniu dwóch czołgów Matilda Mark II pod wodzą majora Johna Kinga i sierżanta Bena Doyle’a. Przeprowadzili oni samotną szarżę na terytorium wroga, strzelając do wszystkiego, co się rusza, a kiedy trafili pod

ostrzał trzech lub czterech dział przeciwczołgowych, zamiast odpowiedzieć ogniem, po prostu je staranowali. Przez następnych dziesięć minut bezskutecznie ścigani byli przez serie z karabinów maszynowych. Dosięgły ich wprawdzie pociski dział dwóch czołgów niemieckich, ale odbiły się tylko od pancerza Matilda Mark II. Za karę czołgi niemieckie zostały kompletnie zniszczone.

Przedzierając się dalej w głąb rubieży nieprzyjaciela i przełamując blokady dróg, brytyjscy czołgiści natknęli się na konwój niemieckich czołgów. Unieszkodliwili co najmniej pięć z nich (chociaż, jak twierdzą, stracili już rachubę). Nawet kiedy czołg majora Kinga zaczął płonąć, jechał nadal jeszcze przez dobrą godzinę. „Jechaliśmy dalej, żeby wiedzieli”, podsumowuje sierżant Doyle. Zatrzymały ich dopiero niemieckie przeciwlotnicze działa 88 mm. Podobnie jak wielu innych członków batalionu czołgów, Doyle i King dostali się do niewoli. Reszta 7. Batalionu Royal Tank Regiment oraz 4. Batalion otrzymały rozkaz odwrotu. Oba bataliony straciły wiele czołgów Matilda Mark I, ale tylko dwa czołgi Matilda Mark II.

Krótko mówiąc, kontratak pod Arras zakończył się porażką Brytyjczyków. Z pewnością była to, zważywszy na fakt, że mieli przeciw sobie pięciokrotnie większe siły piechoty i dziesięć razy więcej czołgów nieprzyjaciela, wprawdzie okraszona bohaterstwem, lecz jednak porażka. Nie osiągnięto żadnego z zamierzonych celów. Natarcie zakończyło się w tym samym dniu, w którym się zaczęło. Niemcy nie zostali odcięci. Niemiecka 7. Dywizja Pancerna

poniosła dotkliwe straty, lecz Brytyjskie Siły Ekspedycyjne również je poniosły, przy czym niemieckiej machinie wojennej znacznie łatwiej było je nadrobić, natomiast straty brytyjskie położyły kres wszelkim marzeniom o kolejnym poważnym kontrnatarciu.

O dziwo Niemcy, którzy zazwyczaj ochoczo ogłaszają każde zwycięstwo, nie uznali jednak operacji pod Arras za klęskę Brytyjczyków. Lektura niemieckich raportów wojennych z dnia 21 maja prowadzi do interesujących wniosków. Na przykład 6. Dywizja Pancerna odnotowuje „poważne siły nieprzyjaciela", które dokonały „zbrojnego wyłomu między Arras a Doullens". Z kolei XIX Korpus Guderiana donosi o „licznie napływających indywidualnych meldunkach o przedarciu się angielskich czołgów, co wprowadza wyraźny niepokój na całym obszarze zajętym przez Grupę Kleista".

Kleist zaniepokoił się do tego stopnia, że nakazał 6. i 8. Dywizji Pancernej przemieszczenie się na wschód, żeby zapobiec groźbie dalszego brytyjskiego naporu, zresztą długo po tym, jak niebezpieczeństwo minęło. Natomiast 22 maja, dzień po kontrataku, Rundstedt obiecał, że zanim zezwoli dywizjom Guderiana na dalszy marsz w kierunku portów nad kanałem La Manche, rozprawi się z „sytuacją pod Arras". Zeznając na powojennym procesie w Norymberdze, Rundstedt przyznał się do obaw, „że nasze dywizje pancerne zostaną odcięte, zanim dotrze do nich wsparcie dywizji piechoty". Tak więc nawet po zakończeniu

brytyjskiego kontrataku dowództwo niemieckie obawiało się, że może on spowodować załamanie Blitzkriegu.

Nie ulega wątpliwości, że kontratak po raz pierwszy naprawdę przestraszył Niemców. Gdyby został lepiej zorganizowany, gdyby uczestniczyło w nim więcej dywizji piechoty i więcej czołgów, mógłby doprowadzić do przełamania niemieckiej ekspansji. Dywizja Rommla straciła ponad czterystu żołnierzy, a setki członków elitarnych oddziałów SS Totenkopf wzięto do niewoli. Nie był to jednak sukces tak wielki, jak przypuszczali niemieccy generałowie. Dlaczego zatem ich reakcje były aż tak skrajne?

Zapewne dlatego, że niemieckie uderzenie stworzyło wysunięty do przodu i odsłonięty klin, który alianci powinni byli przeciąć. Im dłuższy był ten klin, tym bardziej stawał się podatny na atak, którego tym bardziej obawiali się generałowie oraz Führer. A Hitler, jak zauważył Halder, był coraz bardziej wystraszony własnym sukcesem.

Istniała też inna przyczyna. W meldunkach na temat toczących się walk generał Rommel podawał zawyżone dane na temat brytyjskich sił i możliwości. Twierdził, że w natarciu brało udział pięć dywizji i tysiąc czołgów. Tak więc wzmacniając swoją reputację, utwierdzał jednocześnie najwyższe dowództwo niemieckie w przekonaniu o zagrożeniu Blitzkriegu. Nic zatem dziwnego, że w tej sytuacji atak niemiecki na porty nad kanałem La Manche ulegał opóźnieniu, że 10. Dywizji Pancernej Guderiana nie zezwolono na atak na Dunkierkę (błędny osąd

o kardynalnym znaczeniu), a także że obszar wokół Arras obsadzono siłami, które z większym pożytkiem można było wykorzystać gdzie indziej.

Sposób, w jaki formacje Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych przegrały w ostatecznym rozrachunku, okazał się dla nich błogosławieństwem. Dowódcy Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych już dawno utracili zaufanie do sojuszników francuskich. Teraz stało się dla nich oczywiste, że nie zdołają sobie wywalczyć wyjścia z trudnego położenia, w jakim się znaleźli. Nie mieli dość sił, by przebić się na południe. Jedyną realistyczną alternatywą dla poddania armii stała się ewakuacja. Ewakuacja wymagała czasu. Kontrnatarcie pod Arras pozwoliło Brytyjczykom zyskać na czasie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY
HALT! DLA PANCERNYCH

Dnia 21 maja 1940 roku brytyjskie Ministerstwo Wojny wydało memorandum na temat możliwości przeprowadzenia nagłej ewakuacji przez kanał La Manche „bardzo pokaźnych sił wojskowych”. Sporządzono listę dostępnych promów i statków transportowych, które niezwłocznie mogą wyruszyć w rejs. Uwzględniono także mniejsze jednostki, barki kursujące Tamizą oraz statki i łodzie przybrzeżne, których rejestrem zajmowało się Ministerstwo Żeglugi.

W memorandum przyjęto, że w ciągu dwudziestu czterech godzin z trzech francuskich portów, prawdopodobnie z Calais, Boulogne i Dunkierki, będzie można ewakuować około trzydziestu tysięcy żołnierzy. Nie wspomniano o możliwości ewakuacji z plaż, chociaż pojawiła się sugestia, by mniejsze jednostki wykorzystać do transportu żołnierzy na większe statki zakotwiczone poza portami.

Zaznaczono przy tym:

Należy pamiętać, że niniejsze uwagi opracowano na wypadek za istnienia nagłej potrzeby w określonych okolicznościach.

Nawet tak powściągliwa forma świadczy o znacznej zmianie tonu w porównaniu z notatką sporządzoną

poprzedniego dnia, w której ewakuację na dużą skalę uznano za „mało prawdopodobną”. Tak więc w głowach wszystkich zainteresowanych zaczynało świtać, że ewakuacja rzeczywiście może okazać się konieczna.

Tego samego dnia generał Weygand zwołał w ratuszu w Ypres odprawę dowódców sił alianckich, na której poddał pod dyskusję swój plan zmasowanego natarcia wszystkich sił brytyjskich i francuskich w kierunku na południe, przy czym wojska francuskie zgrupowane na południu miałyby jednocześnie przypuścić atak na północ. Niestety lord Gort – jak zwykle z powodu komplikacji organizacyjnych – spóźnił się na odprawę, odbyła się więc bez udziału najważniejszego uczestnika. W końcu lord Gort się pojawił, lecz już po wyjściu Weyganda.

Podczas spotkania uzgodniono, że Brytyjczycy wycofają się z pozycji wzdłuż rzeki Skaldy i przeniosą się dokładnie tam, gdzie byli 10 maja, czyli na linię granicy francusko-belgijskiej. Taka zresztą była konieczność. Dowódcy wszystkich trzech korpusów brytyjskich zgodzili się, że krótsza linia frontu umożliwi w razie potrzeby ewentualne wykorzystanie dodatkowych dywizji, które przynajmniej teoretycznie mogły wesprzeć natarcie Weyganda. Lord Gort nie podzielił się z uczestnikami spotkania swoim głębokim przekonaniem, że plan nie może się powieść. Oświadczył jedynie, że Brytyjskie Siły Ekspedycyjne nie są w stanie oddać do dyspozycji swych najbardziej skutecznych formacji bojowych. Wiedział bowiem, że gdyby stanowczo sprzeciwił się natarciu już w tym momencie, ewakuacja

Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych musiałaby rozpocząć się wcześniej.

Churchill ponownie przybył do Francji, by spotkać się z Weygandem. Generał zapewnił go, że natarcie w sile ośmiu dywizji nastąpi nazajutrz. Churchill wrócił więc do Londynu w dobrym nastroju i podzielił się tą wiadomością z Gabinetem Wojennym. Skoro ma nastąpić atak, to znaczy, że możliwe jest także zwycięstwo. W przeciwnym razie, jak twierdził, klęska jest pewna.

Tymczasem w kwaterze Gorta panował nastrój daleki od optymizmu. Generał Pownall tak pisał w swoim dzienniku:

Znowu te plany Winstona... Jak mamy zebrać tych osiem dywizji, żeby ruszyć do ataku, który proponuje? Czyż nie powinniśmy utrzymywać linii frontu, której przerwanie grozi zalaniem nas przez Niemców? On nie ma pojęcia, w jakiej jesteśmy sytuacji i w jakim stanie... To szaleniec.

Już 22 maja było wiadomo, że Niemcy przerwali brytyjską linię zaopatrzenia. Oznaczało to, że od tej chwili zaopatrzenie mogło docierać wyłącznie z portów nad kanałem La Manche. Lord Gort przegrupował swoje siły, zakładając, że Niemcy będą nacierać wzdłuż wybrzeża. Nowej linii frontu wzdłuż granicy francusko-belgijskiej broniły teraz cztery dywizje (42., 1., 3. i 4.). Kolejne dwie (2. i 48.) strzegły rubieży na północ od Arras, wzdłuż linii kanałów aż do La Bassée. Obszar na północ, aż do morza, pozostawał pod opieką niejednorodnej formacji złożonej z mniejszych i różnorodnych jednostek, przeważnie słabo wyszkolonych. Wynikały z tego istotne konsekwencje

dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, najsłabsze dywizje brytyjskie miały zmierzyć się z niemieckimi dywizjami pancernymi, podczas gdy dywizje najsilniejsze miały się bić tylko z piechotą. Po drugie, od lorda Gorta oczekiwano wsparcia uderzenia, którego był zagorzałym przeciwnikiem.

Tymczasem dziewięć niemieckich dywizji pancernych zbliżało się niebezpiecznie do linii kanałów La Bassée. Anthony Irwin z Essex Regiment znajdował się w małej wiosce Pont à Vendin po przeciwnej stronie kanałów na południe od La Bassée. Oddział Anthony'ego otrzymał zadanie obrony odcinka długości ponad dwóch kilometrów, na którym znajdowały się trzy mosty. Podczas gdy jego ludzie okopywali się, Anthony zapytał stojącego na drugim brzegu żołnierza francuskiego, skąd jest. W odpowiedzi Francuz splunął z pogardą, wrzucił do kanału swój karabin wraz z ładownicami i zaczął wykrzykiwać obraźliwe epitety. Irwin polecił sierżantowi, żeby go zastrzelił.

Batalion wyczerpał już całą aprowizację. Jak opowiada podporucznik Patrick Barrass, kwatermistrz jeździł po śmietnikach i lokalach NAAFI (brytyjskiego zrzeszenia zaopatrującego wojskowe kantyny), żeby nakarmić czymś ludzi. Irwin pamięta, że dwóch chorążych złapało kilka kurczaków, a inny podoficer ściągnął z pobliskiego baru siedemdziesięciolitrową beczkę piwa. Chociaż, jak widać, brytyjskim żołnierzom nie było łatwo, to belgijscy uciekinierzy, którzy masowo przekraczali granicę, znaleźli się w znacznie gorszej sytuacji. Dorośli rzucili się na niego

i próbowali wyrwać garść słodyczy, którymi chciał poczęstować belgijskie dziecko.

Nadszedł rozkaz zniszczenia zacumowanych po przeciwnej stronie kanału barek, żeby nieprzyjaciel nie mógł ich wykorzystać. Tymczasem korzystali z nich uciekinierzy. Kilka barek spalono, kilka innych zatopiono, otwierając zawory zaburtowe, a pozostałe rozbito pociskami z haubicy. Wieczorem na przeciwnym brzegu pojawiły się trzy nieoznakowane pojazdy pancerne. Wyskoczyli z nich dwaj oficerowie, wołając:

– Hej tam, sukinsyny! Chodźcie no tu i pomóżcie nam, bo mamy problem!

Dowódca jednego z oddziałów ruszył na pomoc, ale wtedy ktoś zauważył czarny krzyż z boku jednego z pojazdów. Był to bowiem patrol niemiecki, który udając Brytyjczyków, chciał wciągnąć Irwina i jego ludzi w pułapkę. Z obu stron kanału posypały się strzały. Jeden z Niemców został zabity i niemieckie pojazdy odjechały w popłochu.

Zanim jednak zniknęły, z jednego z pojazdów wypadł człowiek, poderwał się i pobiegł z powrotem w kierunku kanału. Gdy jeden z ludzi Irwina strzelił w jego kierunku, mężczyzna upadł, ale podniósł się i podbiegł jeszcze bliżej. Okazało się, że był to Cameron Highlander, od trzech dni więziony przez Niemców w transporterze. Nie odniósł poważnych ran i został odesłany na tyły. Zdążył opowiedzieć, jak Niemcy mieli zwyczaj parkować na noc przy lokalnych posesjach i sypiać w domach, najchętniej z młodymi Francuzkami.

Następnego dnia wysadzono mosty. Irwin odetchnął z ulgą, ponieważ obawiał się, że mosty mogą ściągnąć całą niemiecką armię pancerną prosto na jego ludzi. Wysadzono je zresztą w samą porę, bo niebawem Niemcy wrócili. Najpierw pojawiło się kilka załóg motocyklowych. Jedną z nich wyeliminowano, zabijając wszystkich trzech motocyklistów, druga także została wykluczona z walki, jednak członkowie trzeciej zdążyli ustawić ognisko karabinu maszynowego i po ścianie tuż nad głową Irwina przeszła długa seria. Chwilę później pocisk brytyjskiego działa przeciwczołgowego urwał niemieckiemu strzelcowi głowę.

Irwin ogłosił wśród swoich Pompadourów nabór ochotników. Zgłosiło się dwóch żołnierzy, którzy, zdaniem Irwina, mieli lwie serca i niezbyt czyste kartoteki. Razem z Irwinem przepłynęli kanał, zabrali karabin maszynowy, a Irwin przeszukał motocykl, w którym znalazł dwie niemieckie mapy. Ścigani ogniem nieprzyjaciela zdążyli wróć na swój brzeg, zanim wtoczył się za nimi czołg, pchając przed sobą działo przeciwczołgowe razem z obsługą. Z obu stron posypały się strzały i pociski, z których jeden przeleciał między Irwinem a kapralem Pompadurów i rozbił ścianę za nimi. Następnie brytyjski pocisk wpadł do wnętrza czołgu, zabijając strzelca czołgowego, a ogień maszynowy przedostał się przez wąski wizjer kierowcy czołgu i roztrzaskał mu twarz. Kiedy czołg zatrzymał się, ludzie Irwina dokładnie go ostrzelali. Bilans potyczki wypadł zdecydowanie korzystnie dla Brytyjczyków.

Nie odnieśli żadnych strat w ludziach, podczas gdy Niemcy stracili czołg, ciężkie działo, dwa motocykle oraz mieli kilkunastu zabitych lub rannych. Za udział w tej akcji Irwin został odznaczony Military Cross.

Nie była to jednak jeszcze prawdziwa niemiecka przeprawa przez kanał, lecz jedynie patrol skrzydłowy, który wyprzedzał marsz dywizji pancernych w kierunku wybrzeża. Niemcy w zasadzie nie planowali zmasowanego uderzenia na linię kanału, mimo że próba podjęta wspólnie przez kilka dywizji w tym właśnie momencie mogłaby niemal całkowicie odciąć Brytyjskie Siły Ekspedycyjne od wybrzeża.

Heinz Guderian, którego korpus pancerny znajdował się na czele niemieckiego natarcia, nie był jednak zbytnio zainteresowany taką operacją. W swoim dzienniku odnotował pod datą 23 maja:

Obecnie najważniejsze wydaje się, by Korpus nacierał w kierunku Dunkierki, ostatniego większego portu, którego zdobycie zamknie okrążenie.

Generałom niemieckich dywizji pancernych Dunkierka jawiła się jako cel migoczący w oddali. Była w ich zasięgu, niemal na odległość wyciągniętej ręki od najbardziej wysuniętych do przodu jednostek niemieckich. Zajęcie i utrzymanie miasta oznaczałoby skuteczne zakończenie wojny. Wojska armii brytyjskiej zostałyby wzięte do niewoli lub wybite, gdyby próbowały oporu. Następnie Niemcy mogliby przystąpić do ataku na zdemotywowane oddziały francuskie na południe od Sommy.

Dowódcy Armii i Grupy Armii Niemieckiej, Kluge i Rundstedt, spotkali się 23 maja w celu omówienia możliwości podjęcia przez aliantów ataku na linii Sommy. Niemcy pozostawali pod dużym wrażeniem kontrataku pod Arras, który rzekomo zakończył się porażką Grupy Pancernej Kleista. Obawiali się więc ponownego natarcia w sytuacji, w której dywizje pancerne są niekorzystnie rozciągnięte na dłuższym odcinku. Sądzono, że chwilowe zatrzymanie szturmu pozwoli zmniejszyć dystans między poszczególnymi dywizjami pancernymi oraz ciągnącą się z tyłu piechotą, co umożliwiłoby koncentrację formacji i wzmocnienie skrzydeł natarcia. W końcu to właśnie z powodu zbyt szybkiego przemieszczenia się nad rzeką Marną Niemcy stracili w roku 1914 szansę na odniesienie szybkiego zwycięstwa.

Z punktu widzenia Rundstedta zatrzymanie natarcia wydawało się uzasadnione również z innych powodów. Kleist meldował, że ponad połowa czołgów grupy pancernej jest unieruchomiona i przerwa w akcji pozwoliłaby mu zebrać siły przed zbliżającą się konfrontacją z wciąż pokaźnymi siłami Francuzów na południe od Sommy. Uważał też, że walka na podmokłym i pociętym kanałami terenie, a następnie w obrębie miasta Dunkierki, może okazać się dla dywizji pancernych zbyt ryzykowna i narazić je na starcie z budzącymi respekt brytyjskimi czołgami Matilda Mark II. W tych okolicznościach szkoda wystawiać dywizje pancerne na zagrożenie ze strony pokonanego już

wroga, mając w perspektywie znacznie pilniejsze wyzwanie na południu. A do zdobycia był także Paryż!

Z kolei Franz Halder, szef Sztabu Najwyższego Dowództwa Armii Niemiec, był zdania, że taka decyzja nie ma sensu. Czołgi Grupy Armii A znajdowały się przecież już o krok od okrążenia Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, i to przy stosunkowo niewielkim oporze. Tymczasem próbuje się je powstrzymać, oczekując, że to piechota Grupy Armii B, zmagająca się ze znacznie silniejszym oporem bezpośrednim, będzie w stanie zmusić Brytyjczyków do poddania się.

Hitler potwierdził rozkaz wydany przez Rundstedta 24 maja, chociaż z nieco innym uzasadnieniem. Kiedy Hermann Goering, dowódca Luftwaffe, dowiedział się, że tak niewiele brakuje do okrążenia sił brytyjskich, zwietrzył dogodną okazję do okrycia chwałą sił powietrznych i siebie samego. Zadzwonił do Hitlera i namawiał go, by pozwolił Luftwaffe wykończyć Brytyjskie Siły Ekspedycyjne. Goering jako stary towarzysz Hitlera z wczesnego okresu nazistowskiej partii NSDAP, utrzymywał z nim bliskie stosunki. Wiedział, że Hitler nie ufa większości swoich generałów, którzy byli konserwatystami, a nie lojalnymi nazistami. Ostrzegał Hitlera, że jeśli generałowie odniosą ostateczne zwycięstwo nad Brytyjczykami, to zdobędą powszechne uznanie, które może zagrozić pozycji Hitlera w narodzie. Natomiast zwycięstwo będące zasługą lojalnego lotnictwa Luftwaffe pod wodzą Goeringa oznaczać będzie triumf Hitlera i narodowego socjalizmu.

Hitler był skłonny uznać tę argumentację, zwłaszcza po tym, jak podczas wizyty w kwaterze Rundstedta następnego dnia rano dowiedział się, że Najwyższe Dowództwo Armii (złożone z generałów, którym nie ufał) postanowiło właśnie odebrać Rundstedtowi kontrolę nad dywizjami pancernymi. Führer wpadł w szał, odwołał decyzję generałów i potwierdził rozkaz Rundstedta o zatrzymaniu natarcia. Nie mógł pozwolić na to, by grupa zazdrosnych generałów o wątpliwej lojalności podważała autorytet wodza i jego zaufanego generała Rundstedta. Czyż mimo ich oporu nie zezwolił na Blitzkrieg? Zatrzyma ich więc na smyczy również teraz, kiedy tak rwą się do przodu.

Na tym jednak nie poprzestał. Zgodził się także na to, by dywizje pancerne Rundstedta zwarły szyki oraz żeby przeprowadzono konserwację czołgów przed nadchodzącą bitwą z Francuzami. Jak pisał wcześniej Franz Halder, Führer bał się własnego sukcesu. Jednocześnie dał generałom nauczkę, którą był rozkaz powstrzymania natarcia.

Przez wiele lat utrzymywano, że główną motywacją Hitlera do wstrzymania marszu dywizji pancernych było stworzenie „złotego mostu”, po którym brytyjskie wojska mogły bezpiecznie wrócić do kraju. Innymi słowy, że zależało mu na ucieczce Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych. Nikt mocniej nie podtrzymywał tej argumentacji niż sam Hitler, zwłaszcza wtedy, kiedy większość wojsk brytyjskich została już ewakuowana. Po wojnie twierdził podobnie szef sztabu Rundstedta. Obaj mieli swoje powody: Hitler w ten

sposób uzasadniał swój błąd w ocenie sytuacji, a doradca Rundstedta próbował chronić siebie i swego przełożonego.

Nie było żadnego „złotego mostu”. Teoria jest nie tylko fałszywa, jest także obelgą dla żołnierzy, którzy zdołali uratować życie, oraz dla tych, którzy pomogli im dotrzeć do domu. Często słyszy się, że Hitler żywił wielki szacunek dla Brytyjczyków, że traktował ich jak równych sobie w świecie pełnym rasy niższej i że nie miał żadnych zakusów wobec imperium. Że walczył z Wielką Brytanią nie po to, żeby ją pokonać, lecz tylko po to, by podpisać układ pokojowy. Jeśli nawet to prawda, to absolutnie z niej nie wynika, że gotów był puścić wolno Brytyjskie Siły Ekspedycyjne.

Z jednej strony Dyrektywa Führera nr 13, wydana 24 maja, głosiła:

Kolejnym celem naszych działań jest zniszczenie sił Francuzów, Brytyjczyków i Belgów.

Z drugiej zaś niektórym dywizjom pancernym zezwolono na zignorowanie rozkazu zatrzymania natarcia, wskutek czego czołgi 1. oraz 2. Dywizji Pancernej kontynuowały marsz w kierunku Boulogne i Calais w celu odcięcia brytyjskiego zaopatrzenia. Spośród około dziewięciuset statków i łodzi uczestniczących w ewakuacji, ponad jedna trzecia uległa zatopieniu lub poważnemu uszkodzeniu w wyniku nalotów, wybuchów min, torped lub pocisków artyleryjskich. W dniach między 26 maja a 4 czerwca na plażach i na morzu zginęło około trzy i pół tysiąca brytyjskich żołnierzy, marynarzy i cywilów. Wielu poległo

w obronie przyczółka Dunkierki, odpierając zaciekłe ataki wojsk niemieckich.

Czy był lepszy sposób na zmuszenie Wielkiej Brytanii do rozmów pokojowych niż zniszczenie jej armii? Żaden z przytoczonych faktów nie wskazuje na istnienie „złotego mostu”.

Ostatecznie 26 maja po południu Hitler zezwolił dywizjom pancernym na kontynuowanie uderzenia, lecz mimo to ruszyły one dopiero następnego dnia rano. O tej porze na wielkie niemieckie zwycięstwo było już zdecydowanie za późno. Brytyjskie Siły Ekspedycyjne przeniosły się na północ, umacniał się przyczółek wokół Dunkierki, formowała się flota ratunkowa i rozpoczęła się ewakuacja.

Można zatem powiedzieć, że możliwość przetrwania Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych pojawiła się w wyniku splotu sprzyjających okoliczności w postaci strachu i dumy Hitlera, bojaźni Rundstedta i ambicji Goeringa.

Jednak ta możliwość wciąż była niewielka. Tymczasem gdy niemiecka 2. Dywizja Pancerna przedzierała się do Boulogne, dwa bataliony Irish Guards i Welsh Guards przygotowywały się do obrony blisko dziesięciokilometrowego pasa obronnego wokół miasta. Z zapisu w dzienniku wojennym XIX Korpusu wynika, że atak na miasto i cytadelę spotkał się z zaciętym oporem ze strony brytyjskiej, przy czym wsparcie Luftwaffe uznano za niewystarczające, w związku z czym efekt natarcia okazał się niewielki. Ostatecznie zdobycie Boulogne zajęło Niemcom trzy dni. W tym czasie przeważająca część

żołnierzy Irish Guards i Welsh Guards wróciła do domu, spędziwszy wyjątkowo długi i trudny weekend we Francji.

23 maja po południu kadra i żołnierze Rifle Brigade oraz King’s Royal Rifles wkroczyli do portu w Calais, przyłączając się do Royal Tank Regiment i Queen Victoria’s Rifles, które dotarły tam wcześniej. Razem stworzyli Garnizon Calais pod wodzą generała Claude’a Nicholsona. Ich zadaniem była obrona miasta przed 10. Dywizją Pancerną pod dowództwem generała Ferdinanda Schaala.

Według majora Billa Reevesa z Royal Tank Regiment, Calais przedstawiało widok pełen upiornej grozy. Zburzone domy, zawalone gruzem ulice, po których snuli się jak zjawy nieliczni mieszkańcy odurzeni zrabowanym winem.

Uznając, że miasto będzie trudne do obrony, Nicholson wysłał w kierunku Dunkierki patrol czterech czołgów pod dowództwem majora Reevesa w czołgu pościgowym w celu zbadania, czy trasa jest wolna.

Patrol minął zaporę i niemiecką jednostkę pancerną, która zatrzymała się na nocleg przy drodze. Jeden z podoficerów, sądząc, że to Francuzi, wychylił się z wieżyczki, zwracając się do Niemców po francusku. Reeves natychmiast zrównał się z nim, i szybko go uciszył.

– Zjeżdżaj stąd natychmiast, do jasnej cholery! – rozkazał.

Patrol przejechał półtora kilometra dalej, wyprzedzając i pozdrawiając raz po raz, żeby nie budzić podejrzeń, sunące po obu stronach drogi kolumny Niemców. Za czołgiem Reevesa pojawił się nagle oficer łącznikowy na motorze, oświetlił latarką numer rejestracyjny czołgu, po

czym zawrócił. W tej sytuacji Brytyjczycy byli przekonani, że zostaną zaatakowani od tyłu, jednak atak nie nastąpił, więc jechali dalej.

Dotarli do miasta Marck, ale Reeves zauważył, że most na kanale jest zaminowany. Patrol się zatrzymał. Jeden z sierżantów zaproponował, że rzuci na miny czołgową linę holowniczą, żeby przeciągnąć je ostrożnie na krawędź drogi. Dzięki temu odważnemu zabiegowi czołgi przejechały przez most, zaraz jednak natknęły się na zaporę przeciwczołgową z drutu kolczastego, której demontaż trwał około pół godziny. Na koniec dotarli do Gravelines na skraju Dunkierki.

Tam oficer dowodzący obroną poprosił Reevesa o udzielenie wsparcia w spodziewanej bitwie ze zbliżającymi się niemieckimi jednostkami pancernymi. Reeves zgodził się i zajął pozycję przy głównym moście na rzece Aa, podczas gdy pozostałe jego czołgi przydzielono do obrony dalszych mostów. Kiedy po drugiej stronie rzeki, około trzysta metrów przed nim, pokazał się pierwszy niemiecki transporter opancerzony, Reeves otworzył ogień z działa dwufuntowego i wysadził pojazd w powietrze. Widząc, że załoga transportera schroniła się w pobliskim bunkrze, wypalił z działa ponownie i bunkier również wyleciał w powietrze. Po chwili pojawiły się kolejne dwa pojazdy bojowe, które Reeves zniszczył w podobny sposób. Wkrótce jednak pod naporem ognia z moździerzy i dział musiał się wycofać w głąb miasta, skąd nadal dobrze widział most, chociaż pod pewnym kątem. Zdążył stamtąd

zniszczyć dwa dalsze transportery opancerzone, które próbowały przeprawić się przez rzekę.

Do południa żaden niemiecki czołg nie zdołał sforsować mostu, natomiast czołg Reevesa padł ofiarą brytyjskiego działa przeciwczołgowego. Wieczorem zapanował spokój. Niemców zaczął obowiązywać nakaz wstrzymania natarcia. Przez trzy dni nie ruszali się z miejsca. Dalsze doświadczenia bojowe Reevesa świadczą jednak o tym, jak blisko Dunkierki zdążyli podejść Niemcy i jak ogromne znaczenie miał rozkaz zatrzymania. Tak naprawdę można śmiało powiedzieć, że gdyby nie patrol Reevesa wysłany z Calais, Niemcy mogli wkroczyć do Dunkierki jeszcze przed wydaniem rozkazu o zatrzymaniu natarcia.

Tymczasem w Calais generał brygady Nicholson otrzymał telegram z brytyjskiego Gabinetu Wojennego z informacją, że miasto ma być ewakuowane. Generał przyjął wiadomość z uczuciem ulgi, ponieważ zdawał sobie sprawę, że napierają na niego przeważające siły nieprzyjaciela i że broni bardzo rozległej rubieży, mając do dyspozycji bardzo ograniczone siły i środki. Po kilku godzinach nadszedł kolejny telegram z informacją, że ewakuacja musi zostać opóźniona co najmniej o jeden dzień, dlatego generał Nicholson skoncentrował się na doraźnej obronie miasta. Jednak plany pokrzyżował mu dowódca obrony francuskiej, który poskarżył się swoim przełożonym, że Brytyjczycy zamierzają się ewakuować. Już w nocy nadszedł więc jeszcze jeden telegram z brytyjskiego Ministerstwa Wojny, że ewakuacja zostaje odwołana. Miał to być gest, jak

wyjaśniono generałowi, na rzecz solidarności aliantów. Polecono mu zająć dogodne pozycje i kontynuować obronę Calais. Kiedy następnego ranka generał Schaal wysłał mera Calais – zresztą z pochodzenia Żyda – do Nicholsona z zapytaniem, czy zamierza się poddać, Nicholson odparł, że nie ma takiego zamiaru.

– Powiedzcie Niemcom, że jeśli chcą mieć Calais, muszą o nie walczyć – powiedział.

Stało się jednak tak, że dokładnie wtedy, gdy Nicholson wypowiadał te słowa, marynarka francuska złożyła broń i ewakuowała się na własnych statkach. Nicholson nie otrzymał zbyt wielkiego wsparcia moralnego z Londynu. Winston Churchill nie doceniał możliwości militarnych wojsk niemieckich oblegających Calais, więc słał do szefa sztabu pytania, dlaczego garnizon nie atakuje, argumentując przy tym:

Jeśli jedna strona walczy, a druga nie, wojna staje się nierówno rzędna.

Tymczasem po stoczeniu zażartej całodziennej bitwy z przeważającymi siłami nieprzyjaciela garnizon brytyjski nie przestawał walczyć, odpierając kolejne wściekłe ataki wspierane ostrzałem artyleryjskim i nalotami stukasów. Niemiecki dowódca ponownie wezwał do kapitulacji, jednak Nicholson ponownie odmówił, odpisując generałowi Schaalowi:

Obowiązkiem armii brytyjskiej jest walczyć. Podobnie jak obowiązkiem Niemców.

Tymczasem w mieście podporucznik Philip Pardoe z King’s Royal Rifles również ani myślał o poddawaniu się.

– Były dwie możliwości – relacjonuje dzisiaj Pardoe. – Albo nadejdą posiłki i przebijemy się przez niemieckie linie, albo w najgorszym razie zostaniemy ewakuowani.

Starszy kapral Edward Doe z tego samego pułku pamięta, że wciąż spychany był przez Niemców w stronę kanału. Po raz pierwszy miał okazję wypalić ze swojego karabinu przeciwczołgowego typu Boys z odległości około pięćdziesięciu metrów do czołgu przejeżdżającego mostem nad kanałem. Pocisk trafił w czołg, ale spowodował zaledwie odprysk farby z pancerza.

– Po prostu odbił się od pancerza i wydał taki dźwięk, jak piłeczka pingpongowa.

Z kolei strzelec William Harding, ten sam, który zakochał się we Francuzce z Nantes w czasie dziwnej wojny, był świadkiem sceny, której, jak twierdzi, nie zapomni do końca życia: jakiś żołnierz czołgał się z płaczem na łokciach, zostawiając za sobą dwa krwawe ślady, ponieważ pocisk oberwał mu obie stopy.

Edward Watson, trębacz Queen Victoria’s Rifles, widział, jak starszy sierżant wrzeszczał na żołnierza z ogromną dziurą w plecach. Żołnierz leżał na ziemi i płakał, a sierżant krzyczał na niego, żeby wstał. I ku zdziwieniu Watsona, żołnierz rzeczywiście się podniósł.

– Sądziłem, że sierżant był wrednym sukinsynem, ale dzięki niemu ten chłopak faktycznie wstał.

Philip Pardoe z niewielkim oddziałem strzelców znalazł się na miejskim skwerze, na którym nagle pojawiła się spora grupa Niemców w pojazdach bojowych. Oba oddziały dostrzegły się w tej samej chwili. Strzelcy brytyjscy pobiegli w głąb ulicy, a Niemcy wskoczyli do pojazdów. Pardoe i jego ludzie zaszyli się w piwnicy, zamiast jednak tam zostać, weszli na pierwsze piętro i położyli się spać w sypialni.

– Nie pytaj dlaczego – mówi Pardoe. – Po prostu poszliśmy spać… i już.

Po chwili usłyszał odgłos zbliżającego się ulicą niemieckiego wozu bojowego.

Pojazd zatrzymywał się przy każdym domu i strzelał w okna z karabinu maszynowego. W domu, gdzie skrył się Pardoe, najpierw ostrzelał piwnice, następnie parter. Pardoe czekał na swoją kolej, ale nie nadeszła, bo pojazd ruszył do następnego budynku.

W piwnicy innego domu znajdował się Edward Watson. Miał tam okazję po raz pierwszy skosztować wina. Nie smakowało mu, było zbyt gorzkie, więc nie przejął się, kiedy oficer go ostrzegł:

– Możesz pić, ile chcesz, ale jeśli się upijesz, to cię zastrzelę.

Sprawy przybrały inny obrót, kiedy Watson poczuł, że musi skorzystać z toalety, co wymagało wyjścia na zewnątrz, gdzie trwał właśnie ostrzał z moździerzy. Próbował się więc powstrzymać, lecz kiedy potrzeba fizjologiczna wzięła górę nad rozsądkiem, pognał do toalety w podwórzu, otworzył drzwi… i zastał na klozecie

martwego Francuza. Watson wrócił do piwnicy i załatwił potrzebę w rogu pomieszczenia.

Po pewnym czasie grupa Watsona zauważyła w odległości około stu metrów idący ulicą oddział Niemców. Zbliżali się do skrzyżowania, ciągnąc ze sobą działo przeciwczołgowe. Watson obserwował z ukrycia, jak je rozstawiają.

– Co robimy? – zapytał.

– To twoja sprawa – odparł oficer. – Musisz ich zabić i nie możesz spudłować, bo wtedy zorientują się, skąd padły strzały.

Watson oparł karabin na parapecie okna i namierzył cel. Z początku był przerażony i spięty, ale uspokoił się, a nawet pomyślał, „że to bardzo dobry pomysł, żeby ich zabić". Trzech, czterech, pięciu Niemców padło. Pamięta dokładnie wyraz twarzy tych, którzy przeżyli, ale nie wiedzieli, skąd padają strzały, i obawiali się, że ich też dosięgną. W końcu wynieśli się za róg poza zasięgiem wzroku Watsona.

Na ulicy pojawiało się jednak coraz więcej Niemców i oficer powiedział, że w tej sytuacji żołnierze muszą się ratować, każdy na własną rękę, oprócz Watsona, który ma mu towarzyszyć. Watson zaprotestował, wolał po swojemu zadbać o własne bezpieczeństwo.

– Idziesz ze mną – powtórzył oficer.

Wybiegli tylnym wyjściem, kryjąc się przed pociskami snajperów. Wpadli do sąsiedniego budynku, gdzie zastali snajpera odwróconego do nich plecami. Oficer go zastrzelił.

– Nigdy nie widziałem tego z bliska – przyznał Watson. – Nie było żadnych pytań, żadnego „Co tu robisz ?". Po

prostu bang! i już.

Nocą 25 maja odbyło się w Londynie spotkanie Komitetu Obrony Gabinetu Wojennego. Rozpatrywano dwie opcje: podjęcie próby ewakuacji z Calais w ostatniej chwili lub też nakazanie, by oddziały brytyjskie wytrwały na swoich pozycjach za wszelką cenę, mimo przeświadczenia, że skończy się to śmiercią całego garnizonu. Ostatecznie przyjęto rozwiązanie drugie. Garnizon miał bronić Calais do upadłego.

W raporcie ze spotkania odnotowano:

Gdybyśmy spróbowali wycofać nasz garnizon z Calais, przebywające w mieście jednostki niemieckie natychmiast wyruszyłyby na Dunkierkę.

Churchill poparł tę decyzję, mimo że wcześniej jeszcze tego samego dnia z wściekłością zareagował na telegram wysłany przez Gabinet Wojenny do Nicholsona, w którym informowano generała o mającej niebawem nastąpić ewakuacji. Wzburzony Churchill tak napisał do Anthony'ego Edena:

Jak można w ten sposób zachęcać ludzi, żeby walczyli do końca!?

I dodał:

Czy jest Pan aby pewien, że w Sztabie Generalnym nie dochodzi do przejawów defetyzmu?

Kiedy więc nazajutrz garnizon brytyjski nadal bronił miasta, poirytowany dowódca XIX Korpusu Pancernego Guderian pytał dowódcę 10. Dywizji generała Schaala, czy to oznacza, że Calais należy teraz zostawić Luftwaffe.

Schaal stwierdził, że nie jest to wskazane, ponieważ bomby nie poradzą sobie z grubymi murami i ziemnymi umocnieniami średniowiecznych fortyfikacji. Poza tym uderzenie z powietrza powodowałoby konieczność wycofania oddziałów niemieckich z wysuniętych pozycji, które potem trzeba będzie ponownie odzyskiwać. Guderian przyjął tę argumentację. Wieczorem garnizon ostatecznie się poddał. Prawie cztery tysiące Brytyjczyków trafiło do niewoli.

Wśród jeńców znalazł się podporucznik Philip Pardoe. Razem ze swoimi żołnierzami odczekał w sypialni pół godziny, aż zapadnie zmrok. Nie zdążyli się jednak ruszyć, kiedy dobiegły ich krzyki Niemców przeszukujących sąsiedni dom.

– Była to dla mnie najtrudniejsza decyzja w życiu – mówi Pardoe. Mógł zastrzelić niemieckiego dowódcę. Ale co by to dało? Czy warto było poświęcać życie trzech swoich ludzi, zresztą gotowych wykonać każdy rozkaz, tylko po to, żeby zabić jednego czy dwóch Niemców? Dlatego w końcu kazał ludziom odłożyć broń i kiedy Niemcy otworzyli drzwi frontowe, zszedł na dół z podniesionymi rękami. Jego żołnierze szli za nim.

– W życiu nie czułem większego wstydu.

Edward Watson także trafił do niewoli. Niemcy stali przed domem, w którym się ukrywał, rzucali do środka granaty i krzyczeli:

– *Tommy, for you the war is over!*[8]

Watson pomyślał, że ktoś zadał sobie trudu, by ich nauczyć tego zdania po angielsku.

Ciekawe, czy poświęcenie Philipa Pardoe, Edwarda Watsona i wielu innych na coś się przydało. Winston Churchill był przekonany, że miało sens. Tak o tym pisał:

Calais stanowiło sedno sprawy. Wiele różnych wydarzeń mogło stanąć na przeszkodzie ocaleniu pod Dunkierką. Jednak nie ulega wątpliwości, że te trzy dni, które zyskaliśmy, broniąc Calais, umożliwiły utrzymanie linii brzegowej w Gravelines. Gdyby nie te trzy dni, to mimo niezdecydowania Hitlera i mimo rozkazów Rundstedta, zostalibyśmy odcięci i wszystko by przepadło.

Być może to historyczny sentymentalizm skłaniał Churchilla do tego, by przywiązywać do Calais większą wagę, niż na to faktycznie zasługiwało. Miasto było w końcu ostatnią i szczególnie drogą sercu królowej Marii I Tudor posiadłością brytyjską we Francji, utraconą w roku 1558.

Nie jest do końca jasne, dlaczego trzeba było poświęcić brygadę generała Nicholsona, żeby powstrzymać niemiecką 10. Dywizję Pancerną. Gdyby brygada została ewakuowana w nocy z 25 na 26 maja, jej wpływ na dalszy przebieg wydarzeń wcale nie byłby mniejszy. Z pewnością Heinz Guderian nie zgadzał się z diagnozą Churchilla, skoro pisał, że chociaż docenia bohaterstwo obrońców Calais, uważa, że nie wpłynęło ono na przebieg wydarzeń związanych z Dunkierką.

Wydaje się to całkiem logiczne. Guderian miał w końcu zamiar zaatakować Dunkierkę przy pomocy innej dywizji

niż ta, której użył do ataku na Calais. Gdyby jednak 10. Dywizja Pancerna odniosła szybki sukces w Calais, mogłaby z pewnością przemieścić się wzdłuż wybrzeża, by wesprzeć 1. Dywizję Pancerną, co wywarłoby istotny wpływ na przebieg wydarzeń „związanych z Dunkierką”.

Trzeba przyznać, że gdyby dywizje pancerne Guderiana stały już u wrót Dunkierki w momencie ich zatrzymania przez Rundstedta i Hitlera, rozkaz zatrzymania miałby znacznie większy wpływ na uratowanie Armii Brytyjskiej, niż miała obrona Calais. Tak czy owak, Guderian nie miał jednak racji, pisząc, że obrona Calais była bez znaczenia dla dalszego biegu wydarzeń.

Życie dopisało tragiczne postscriptum do wątku obrony Calais.

Dnia 26 czerwca 1943 roku generał brygady Claude Nicholson popełnił samobójstwo w obozie jenieckim w Rotenbergu. Prawdopodobnie od dawna cierpiał na depresję, którą pogłębiło poczucie odpowiedzialności za utratę Calais. Bez względu na najczarniejsze myśli generała, nie ulega wątpliwości, że godność i odwaga, jaką wykazał podczas obrony miasta, zasługuje na najwyższe uznanie, co czyni go jednym z bohaterów naszej opowieści.

Tymczasem, jak wynika z badań Mass Observation z 25 maja, nastroje społeczne w Wielkiej Brytanii zdominowały dezorientacja i rosnący pesymizm. Nawet najwięksi optymiści (głównie mężczyźni reprezentujący klasę robotniczą) zaczynali wątpić w pomyślną przyszłość. Zagubienie wynikało przeważnie z braku zrozumienia,

dlaczego Niemcy nieustannie idą do przodu, a Brytyjczycy się cofają. Niektórzy pocieszali się nadzieją, że jest to część przyjętej z góry brytyjskiej strategii.

Pesymizm przejawiał się przede wszystkim w postawach fatalistycznych. Wyglądało na to, że społeczeństwo brytyjskie jest przygotowane na coraz gorsze wieści. W raporcie Mass Observation odnotowano:

Wydaje się, że pewnemu zachwianiu uległa cała struktura ufności narodowej.

Nie wszyscy jednak podzielali te uczucia. Mniej ponure nastroje panowały w środowiskach wiejskich. Pewien ogrodnik z East Sussex, weteran poprzedniej wojny, stwierdził:

Był tu tydzień temu jeden gość z Londynu i pytał mnie, czy się nie boimy, że nas napadną. Powiedziałem mu, że takie gadanie to obelga dla Marynarki Brytyjskiej!

Omawiano też przemówienie wygłoszone tego dnia przez króla Jerzego VI z okazji Dnia Imperium.

– Stoimy w obliczu decydującej bitwy – oświadczył król swoim poddanym, po czym dodał: – Wróg zamierza całkowicie i ostatecznie pozbawić nasze imperium wszystkich jego wartości, a następnie podbić cały świat.

Król ćwiczył to przemówienie pod kierunkiem swojego terapeuty Lionela Logue’a przez wiele dni i był z niego zadowolony. Podobało się również Brytyjczykom, którzy zauważyli, że wymowa króla Jerzego uległa znacznej poprawie. Natomiast treść przemówienia nie wywarła na nich zbyt wielkiego wrażenia. Niektórzy twierdzili, że

przypominało kazanie kościelne. Inni zarzucali mu, że nie wniosło nic nowego, że król nie powiedział niczego, czego by już nie wiedzieli.

Ciekawy punkt widzenia wyraził fotograf i projektant mody Cecil Beaton. Miał wypłynąć 22 maja z Wielkiej Brytanii do Stanów, by realizować tam nowy kontrakt. Wahał się jednak, myśląc o tym, że ojczyzny w potrzebie nie wypada porzucać dla beztroskiego Nowego Świata. Na wszelki wypadek zasięgnął rady przyjaciela, wicehrabiego Cranborne'a.

– Wieści rzeczywiście są potworne – potwierdził Cranborne – na twoim miejscu ja bym jednak jechał, bo kiedy wrócisz, wcale nie będą mniej potworne.

Więc Cecil pojechał. W Nowym Jorku irytował go dysonans między nonszalanckim przepychem Piątej Alei a alarmującymi doniesieniami z Wielkiej Brytanii. Ujął to tak:

Czułem przygnębienie i w niczym nie mogłem znaleźć pociechy. Doniesienia z kraju potwierdzały moje najgorsze obawy.

Kiedy nadszedł czas powrotu, jego amerykańscy przyjaciele próbowali go zatrzymać.

– Do czego chcesz wracać? – pytali.

Ale Cecil Beaton już się nie mógł doczekać powrotu do kraju.

Kiedy okręt brytyjskich linii oceanicznych, na pokładzie którego wypływał z Nowego Jorku, mijał statek spacerowy z niemiecką załogą, Niemcy śmiali się głośno

z Brytyjczyków, pokazując znak „kciuk w dół”. Beaton przyznaje, że powrót do rodzinnego Wiltshire bardzo podniósł go na duchu:

Przyszłość mogła malować się ponuro, ale będąc w środku tej zawieruchy, człowiek cierpiał mniej, niż kiedy tylko o niej słyszał.

I oto w samym środku zawieruchy, 25 maja, los uśmiechnął się nagle do Anglików.

W pewnej małej francuskiej wiosce nad rzeką Lys pewien sierżant z Middlesex Regiment ostrzelał samochód, którym jechali dwaj niemieccy oficerowie. Jeden z oficerów, Eberhard Kinzel, zdołał uciec, zostawiając teczkę, w której znaleziono dwa dokumenty oraz przyrząd do zdejmowania butów, tzw. piesek. Po zbadaniu dokumentów przez wyższych funkcjonariuszy wywiadu II Korpusu okazało się, że zawierają szczegóły niemieckich rozkazów bitewnych, jak też planów mającego wkrótce nastąpić ataku na linii frontu Ypres-Comines.

Początkowo generał Alan Brooke obawiał się, że dokumenty mogą być prowokacją, próbą oszukania Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, żeby spodziewano się ataku, który w rzeczywistości miał nigdy nie nastąpić. Wkrótce jednak generał uznał, że plany są autentyczne. (Wydaje się, że przekonała go niestosowność przyrządu do zdejmowania butów).

Na nieszczęście tylko jedna brygada brytyjska broniła kanału Ypres-Comines. W dodatku na lewym skrzydle obrony Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych pogłębiała się luka

z powodu pewnego rozluźnienia, które zapanowało wśród Belgów. W tej sytuacji, gdyby Niemcy przypuścili udany atak, Brytyjskie Siły Ekspedycyjne zostałyby odcięte od morza.

Fakty te, zdaniem lorda Gorta, ostatecznie wykluczały plan Weyganda jako opcję racjonalną. (Mimo to Weygand nie dawał za wygraną i dwa dni później nadal nalegał na potwierdzenie znaczącego udziału wojsk brytyjskich w przygotowywanym przez niego natarciu). Oznaczało to, że 5. Dywizja, którą lord Gort niechętnie wyznaczył wcześniej do wsparcia uderzenia Weyganda, mogła wyruszyć na pomoc walczącym na froncie Ypres-Comines, natomiast 50. Dywizja mogła bronić obszaru wokół Ypres. Następnego dnia rano lord Gort odwiedził kwaterę generała Georges'a Blancharda, który po śmierci generała Billotte'a w wypadku samochodowym objął dowództwo francuskiej Pierwszej Armii. Gort z Blanchardem uzgodnili, że uderzenie na kierunku południowym jest niemożliwe, natomiast konieczna jest kontynuacja odwrotu.

Mogłoby się wydawać, że generałowie zgadzali się ze sobą, jednak w rzeczywistości myśleli zupełnie inaczej. Dla Blancharda odwrót oznaczał przemieszczenie na bezpieczniejsze pozycje. Dla Gorta odwrót oznaczał początek ewakuacji. Nie czekając więc na aprobatę polityków w Londynie ani na francuskich i belgijskich sojuszników, Gort postanowił wycofać się do Dunkierki – jedynego portu pozostającego nadal w rękach aliantów – z nadzieją na wysłanie do domu drogą morską przez kanał

La Manche maksymalnej liczby wojsk brytyjskich. Może styl dowodzenia generała wymagał lepszej organizacji. Może ewakuacja powinna rozpocząć się wcześniej. I może to za sprawą zderzenia nieznanych ciał niebieskich droga ucieczki nadal stała otworem. Tak czy owak, 25 maja 1940 roku lord Gort podjął niezwykle odważną decyzję, której konsekwencje trwają do dziś.

Kiedy 1. Batalion Oxfordshire i Buckinghamshire Light Infantry wyruszył w kierunku linii obrony Ypres-Comines, natknął się na „potężny zator na drodze”, który utrudnił dotarcie do celu. Starszy kapral John Linton, który w ciągu tygodnia przebył pieszo prawie sto kilometrów i był mocno wyczerpany, zajmował ostatnio stanowisko obronne przy wyschniętym kanale, który, jak się zdawało, był łatwy do przebycia. Leżał na brzegu torowiska, mając po obu stronach kolegów z oddziału, i czekał na atak nieprzyjaciela. Podobnie jak major Bill Reeves ze swymi żołnierzami powstrzymywał marsz niemieckich jednostek Armii Grupy A w kierunku Dunkierki z zachodu, tak teraz kapral Linton ze swymi towarzyszami próbował zatrzymać wojska Armii Grupy B, które nacierały na Ypres, żeby również dostać się do Dunkierki.

Linton, wyczerpany, nieogolony i głodny, zjadł tego dnia tylko kilka kawałków suszonych owoców. Zadanie jego oddziału polegało na utrzymywaniu linii obrony, podczas gdy za ich plecami płynął w kierunku wybrzeża nieprzerwany strumień dziesiątków tysięcy wycofujących się żołnierzy brytyjskich.

Obrońcom Ypres brakowało amunicji. Linton miał przy sobie tylko sześć naboi. Ciekawe, pomyślał, co zrobimy, jak przyjdą Niemcy. Chyba będziemy ich gryźć.

Chociaż na niektórych odcinkach frontu Niemcy zdobywali przewagę, nadchodziła już 50. Dywizja, żeby zająć pozycje wzdłuż północnej granicy miasta.

O brzasku Linton słyszał odgłosy pobliskiej bitwy. W ciągu dnia odgłosy ucichły, a na dnie doliny wśród wysokich traw przedzierał się w kierunku obrońców niemiecki patrol. Linton wiedział, że mają rozkaz walczyć do ostatniego żołnierza. Nie mógł sobie pozwolić na marnowanie amunicji, dlatego czekał na pewny strzał. Nagle rozpoczął się ostrzał artyleryjski pozycji obrony. Z początku pociski wybuchały z tyłu, ale w pewnym momencie Linton poczuł silny wstrząs. Okazało się został trafiony odłamkiem.

Kiedy się ocknął, dwóch szeregowych niosło go do punktu sanitarnego, jednak po drodze jakiś oficer nakazał im, by go odłożyli i wrócili na pozycje. Ponieważ brygadzie groziło okrążenie przez nieprzyjaciela, ranni zeszli na plan dalszy.

Generał Brooke złożył wizytę generałowi Alexandrowi, który przyprowadził na pomoc trzy bataliony, pułk kawalerii i pewną liczbę czołgów. Jednostki te skierowano do wzmocnienia obrony na linii kanału i do odzyskania terytorium odbitego przez wroga.

Jednym z batalionów przyprowadzonych przez generała Alexandra była rodzima jednostka grenadierów lorda Gorta, Grenadier Guards. Przez cały dzień i całą noc grenadierzy próbowali odzyskać utracone rubieże. Późnym wieczorem

27 maja ruszyli do ataku. Przez około pół godziny opór był stosunkowo słaby, ale narastał w miarę, jak grenadierzy zbliżali się do celu, czyli do kanału. Niemcy odpowiedzieli zaciekłym kontruderzeniem. Zaczynali już spychać Brytyjczyków, kiedy dowódca kompanii, kapitan Stanton Starkey, wpadł na pewien pomysł. Otóż gdy otworzył jedną z ostatnich skrzyń z amunicją, znalazł w niej tylko ładunki do rakietnicy. Zamiast jednak oburzać się, kapitan Starkey spojrzał kreatywnie na tę sytuację. Już wcześniej zauważył, że nieprzyjaciel przekazywał sobie wezwanie do otwarcia ostrzału z moździerzy zestawem sygnałów flara czerwona-biała-czerwona, natomiast wezwanie do zaprzestania ognia i sygnał do natarcia piechoty zestawem flar biała-czerwona-biała.

Starkey postanowił więc wykorzystać obfity zapas barwnych flar. Mianowicie po kolejnym ataku niemieckiej piechoty odpalił nad głowami Niemców flary czerwoną-białą-czerwoną. Niemcy posłusznie rozpoczęli ostrzał z moździerzy, które spadły na ich własną piechotę. Widząc to, niezwłocznie sprostowali komunikat sygnałem biały-czerwony-biały, co uciszyło moździerze. Jednak pozostałe przy życiu resztki piechoty znowu ruszyły przed siebie. Kapitan Starkey odczekał chwilę, po czym znowu wysłał sygnał czerwony-biały-czerwony, wzywający moździerze. Również i tym razem piechota niemiecka została zdziesiątkowana. Zamieszanie wzrastało do chwili, gdy moździerze całkiem zaprzestały ognia, a piechota zaniechała ataków.

Tymczasem boje toczyły się na całej długości frontu. Mimo że z dwóch brygad 5. Dywizji została zaledwie garstka zdolna do walki, do wieczora 28 maja linia obronna Ypres-Comines nadal była w rękach aliantów, skutecznie osłaniając dalszy przemarsz tysięcy żołnierzy brytyjskich wycofujących się na północ ku Dunkierce.

Wkrótce także nieliczni żołnierze 5. Dywizji mieli cofnąć się za linię rzeki Yser, na zachód od granicy francusko-belgijskiej. Zanim to nastąpiło, generał Brooke wydał 3. Dywizji Montgomery'ego rozkaz przeprowadzenia wyjątkowo trudnej próby przemieszczenia się na północ pod osłoną ciemności w celu uzupełnienia powstałej tam wyrwy w umocnieniach obronnych wzdłuż kanału. Oddziały dywizji ruszyły spod Roubaix, przeprawiły się przez rzekę Lys, niedaleko Armentières, i posuwając się przez Ploegsteert, jeszcze przed świtem zajęły upatrzone pozycje na północ od Ypres. Chociaż manewr tak pokaźnej formacji odbywał się zaledwie kilometr od frontu, Niemcy niczego nie zauważyli. Dumny ze swoich żołnierzy Monty napisał:

Dywizja zachowywała się jak kawał stali.

Gdyby taką operację zasugerował student szkoły sztabowej, uznano by go za szaleńca. Jak widać, odwrót zachęcał do różnych improwizacji.

Powodem relokacji 3. Dywizji była trudna sytuacja, w jakiej znalazły się wojska belgijskie, która w końcu doprowadziła Belgię do poddania się w nocy z 27 na 28 maja (lub „kapitulacji", jak pejoratywnie określiła ją Wielka Brytania). Dzisiaj mało kto poza Belgami jeszcze o tym

pamięta, ale ta kwestia pojawia się czasem jako przedmiot sporu, zwłaszcza ze strony tych, którzy uważają, że król Belgów Leopold III padł ofiarą „wielkiego i skandalicznego oszustwa” ze strony Winstona Churchilla. Warto prześledzić ten dziwny wątek jako przykład współzależności polityki i wojny, a także jako studium tworzenia powszechnie uznawanej wersji przebiegu wydarzeń historycznych.

Belgia to kraj niejednorodny o krótkiej, lecz burzliwej historii. Państwo zostało utworzone w roku 1830 z dwóch odległych od siebie kulturowo i wzajemnie nieufnych społeczności – francuskojęzycznych Walonów i mówiących po holendersku Flamandów. Podczas pierwszej wojny światowej państwa sąsiednie wykorzystały Belgię jako pole bitwy.

– Wiele wycierpieliśmy – mówi Louis van Leemput. – Niemcy postępowali z nami okrutnie. To była katastrofa, cały kraj leżał w gruzach.

Mając w świeżej pamięci te bolesne doświadczenia, Belgowie jednoczyli się w dążeniu do tego, by taka sytuacja już nigdy się nie powtórzyła. Musieli jednak zdawać sobie sprawę z realiów.

To dlatego król Leopold i jego rząd przyjęli postawę „zbrojnej neutralności”. Churchill zarzucał Belgii, że karmi niemieckiego krokodyla w nadziei, że zostanie pożarta jako ostatnia. Jednak Belgowie stanęli przed prawdziwym dylematem: zawarcie sojuszu z Francją i Wielką Brytanią w obliczu spodziewanej ponad wszelką wątpliwość inwazji niemieckiej tak naprawdę stanowiło zaproszenie do

uderzenia; natomiast zachowując neutralność, pozostawiali sobie przynajmniej cień szansy na to, że zdołają uchronić kraj przed powtórnym spustoszeniem. Zgodzili się więc dzielić z aliantami informacjami militarnymi, powstrzymując ich od wkroczenia do Belgii aż do rozpoczęcia inwazji niemieckiej.

Tak więc Belgia została sojusznikiem Wielkiej Brytanii i Francji w dniu 10 maja. Churchill tak to skomentował:

Król Leopold wezwał nas na pomoc w ostatniej chwili, kiedy Belgia padła ofiarą inwazji niemieckiej.

Stosunki między królem Leopoldem a sojusznikami nigdy nie były łatwe, natomiast gwałtownemu ochłodzeniu uległy relacje między królem a jego rządem. W miarę jak Niemcy wkraczali w głąb kraju, alianci zaś się wycofywali, premier Belgii, Hubert Pierlot, nakłaniał króla do opuszczenia kraju zarówno po to, żeby uniknąć niewoli, jak również po to, żeby móc kierować z zagranicy belgijskim ruchem oporu. Król Leopold nie zamierzał jednak opuszczać kraju. Chciał, jak twierdził, pozostać w Belgii i dzielić los swojej armii.

Podczas spotkania z członkami rządu król stwierdził, że sytuacja militarna jest tak beznadziejna, że Belgia musi się poddać. Rada Ministrów, oburzona rzekomym brakiem szacunku króla do konstytucji, stwierdziła, że król nie ma prawa podejmować samodzielnie decyzji o poddaniu się. Kiedy proszono go ponownie o opuszczenie kraju, król Leopold ponownie odmówił.

Miał ku temu liczne powody. Po pierwsze, był nie tylko monarchą, lecz także naczelnym dowódcą belgijskich sił

zbrojnych i uważał, że honor nie pozwala dowódcy porzucać żołnierzy. Po drugie, wierzył w nadrzędność interesu narodowego Belgii oraz w to, że gdyby alianci przegrali, nie będzie ich wiązała żadna obligacja moralna, ponieważ przybyli jedynie na pomoc Belgii. Jednak, co najważniejsze, król Leopold po prostu czuł, że postąpi słusznie, po zostając w kraju wraz ze swoimi rodakami. Bardziej ufał własnemu poczuciu przyzwoitości niż przepisom prawa.

Tak więc Leopold III zakomunikował rządowi swoją decyzję o pozostaniu w Belgii. Oznajmił także, że nie będzie powoływał nowego rządu w celu negocjowania z Niemcami korzystnych warunków kapitulacji. Nie miał ochoty zachowywać się jak nazistowska marionetka. Tego właśnie obawiali się premier Belgii Pierlot i jego ministrowie, którzy dali królowi do zrozumienia, że ubolewają nad jego decyzją. Zresztą nie tylko Rada Ministrów usiłowała odwieść króla od jego zamiarów. Również stary przyjaciel Leopolda, admirał sir Roger Keyes – który z powodzeniem popierał wcześniej Churchilla podczas debaty norweskiej, a teraz był oficerem łącznikowym między królem a Wielką Brytanią – sugerował, by monarcha ukrył się w Anglii. Leopold odrzucił jednak także i tę propozycję.

W dniu 25 maja rząd belgijski wyjechał do Francji, natomiast Leopold III wystosował pismo do króla Jerzego VI, w którym potwierdzał nieuchronność złożenia broni przez Belgię oraz swój zamiar pozostania w kraju wraz

z narodem. Dodał także, że cała armia belgijska jest mu w pełni oddana, stwierdził też, że:

Jakiejkolwiek próbie miałaby Belgia zostać poddana w przyszłości, jestem głęboko przekonany, że będę w stanie lepiej przysłużyć się memu narodowi, towarzysząc mu na miejscu, niż gdybym usiłował działać z zewnątrz, zwłaszcza w warunkach obcej okupacji, pod groźbą pracy przymusowej czy deportacji oraz trudności z wyżywieniem.

W odpowiedzi król Jerzy VI nie zgodził się z Leopoldem III, wyrażając pogląd, że żaden monarcha nie powinien oddawać się w ręce nazistów:

Podejmując tę decyzję, Wasza Wysokość pozwala sobie nie dostrzegać, jak ogromne znaczenie ma powołanie zjednoczonego i posiadającego pełnię władzy Rządu Belgijskiego poza terytorium okupowanym przez wroga... Mam wrażenie, że Wasza Wysokość powinien uwzględnić możliwość, a nawet prawdopodobieństwo uwięzienia, być może nawet przewiezienia do Niemiec i zapewne także pozbawienia wszelkiej łączności ze światem zewnętrznym.

Między 24 a 27 maja armia belgijska nadal prowadziła rozpaczliwe walki na linii rzeki Lys, jednak gdy Niemcy ostatecznie przełamali linię obrony i przekroczyli rzekę, tysiące żołnierzy belgijskich trafiło do niemieckiej niewoli. Na drogach między belgijskimi miastami błąkało się ponad pół miliona uchodźców. Sir Roger Keyes, który towarzyszył królowi Leopoldowi, nadał 27 maja o godzinie 12.30 telegram do lorda Gorta, informując go, że nadchodzi chwila, w której wyczerpana bezustanną czterodniową

walką armia belgijska nie będzie już w stanie bronić się dłużej, oraz że król „pragnie, by zdał Pan sobie sprawę, że będzie zmuszony ją poddać”. Dwie godziny później w podobny sposób zawiadomiono Francuzów, że dalszy opór Belgów nie jest już możliwy. Około godziny 17.00 król Leopold wysłał do Niemców emisariusza w celu uzgodnienia warunków zawieszenia broni.

Godzinę później podpułkownik George Davy, przedstawiciel brytyjskiego Ministerstwa Wojny w kwaterze armii belgijskiej, zawiadomił lorda Gorta o propozycji zawieszenia broni – chociaż meldunek ten nie dotarł do rąk generała. Churchill z pewnością orientował się w sytuacji, ponieważ o godzinie 19.00 przekazał członkom Gabinetu Wojennego „niepokojącą wiadomość”, że Belgowie poprosili o rozejm. Niemcy przyjęli emisariusza belgijskiego pół godziny później. Nocą tego samego dnia weszła w życie bezwarunkowa kapitulacja Belgii.

Tymczasem trzynastoletni Louis van Leemput ukrywał się wraz z matką i bratem w obcym domu w pobliżu Ypres. Pamięta, że rano obudziły go dochodzące z ulicy głośne okrzyki:

– Niemcy idą!

Louis jest wdzięczny królowi za to, że zakończył wojnę.

– Uratował mi życie, życie mojej matki i mojego brata.

Tego samego dnia sir Roger Keyes przybył do Gabinetu Wojennego w Londynie. W ostrych słowach bronił decyzji króla Leopolda, twierdząc, że „armia belgijska trzymała się razem przez ostatnie cztery dni wyłącznie dzięki osobistej

postawie króla”. Po wyjeździe Keyesa stosunek Churchilla do króla Leopolda znacznie złagodniał. Mimo że, jak twierdził, historia będzie miała mu za złe to, że uczynił Wielką Brytanię i Francję współodpowiedzialnymi za dewastację Belgii, to jednak „nie do nas należy wydawanie sądów w jego sprawie”. Wkrótce po tym oświadczeniu podpułkownik Davy zdał zgromadzonym relację z bohaterskiej postawy wojsk belgijskich.

W ciągu dnia, w miarę upływu czasu, międzynarodowe reakcje na zachowanie Leopolda III przybierały coraz mniej przychylne tony. W powszechnej opinii coraz częściej uznawano go za defetystę, który zdradził aliantów. Premier Francji Paul Reynaud w wystąpieniu radiowym nazwał kapitulację Belgii działaniem skrytym i zdradzieckim. Oświadczył także, że „Król Belgii Leopold III złożył broń w trakcie bitwy, nie troszcząc się o swych sojuszników brytyjskich i francuskich oraz bez ich powiadomienia”. W ślad za Reynaudem, przebywający już na wygnaniu premier Belgii Pierlot również w radiu powiedział, że decyzja podjęta przez Króla „nie miała podstaw prawnych”. Jednocześnie zarzucił Leopoldowi III „prowadzenie samodzielnych negocjacji z nieprzyjacielem”.

Zajadłość tych wypowiedzi znajduje uzasadnienie w depeszy wysłanej 29 maja do Winstona Churchilla przez brytyjskiego ambasadora we Francji sir Ronalda Campbella. Ambasador ostrzegał, że francuski minister informacji zwrócił się do niego z pilnym apelem o to, by „uczynił wszystko, co możliwe, by uniknąć nagłaśniania

wypowiedzi admirała Keyesa... zalecających brytyjskiej prasie i radiu powściągliwość w osądzaniu króla Leopolda, a zwłaszcza unikanie wszelkich wzmianek na ten temat w serwisach BBC transmitowanych do Francji". Powody stają się jasne w dalszej części dokumentu. Akceptacja decyzji króla Leopolda o złożeniu broni mogłaby obudzić nastroje defetystyczne wśród Francuzów „w momencie, gdy francuska opinia publiczna została skutecznie pobudzona i reaguje oburzeniem (z wyraźną korzyścią dla morale) na ewidentną zdradę".

Podobny przekaz dotarł tego dnia do Churchilla od generała Edwarda Spearsa, oficera łącznikowego między brytyjskimi a francuskimi ministerstwami wojny. Spears pisał:

Fakt, że w Londynie ocenia się bardzo łagodnie postępek króla Belgii, staje się tutaj przyczyną poważnego niepokoju... ponieważ przedstawienie go jako nikczemnika, jakim w rzeczy samej się oka zał, wpływa korzystnie na nastroje publiczne.

Inaczej mówiąc, powstrzymanie dalszego spadku francuskiego morale i odwrócenie uwagi od zarzutów stawianych francuskim dowódcom i francuskiej armii wymagało kozła ofiarnego. Król Leopold pojawił się w samą (chociaż złą!) porę, gdyż doskonale się do tego nadawał[9].

Oto jak powstaje historia. Dnia 4 czerwca Churchill stwierdził w Izbie Gmin:

– Nagle, bez wcześniejszych konsultacji i niemal bez uprzedzenia oraz wbrew radom swoich ministrów, czyli na

podstawie własnej osobistej decyzji [Leopold] wysłał emisariusza do dowództwa niemieckiego i poddał swoją armię, narażając na niebezpieczeństwo jedno ze skrzydeł naszej armii i pozbawiając je możliwości odwrotu.

Na usprawiedliwienie Churchilla należy przyznać, że robił wszystko, by utrzymać Francję w stanie wojny. W tym kontekście reputacja króla Belgów Leopolda III stanowiła stosunkowo niewielką ofiarę. Być może większym powodem do wstydu jest fakt, że bohaterskie starania armii belgijskiej o odparcie inwazji niemieckiej ulegały zapomnieniu – a czasem nawet wyparciu – pod wpływem działań politycznych, do których dochodziło w samej Belgii na przełomie maja i czerwca 1940, a także kilkanaście lat później, kiedy król Leopold na krótko powrócił na tron, zanim zmuszono go do abdykacji. Ewakuacja wojsk brytyjskich stała się zatem możliwa za sprawą wielu czynników, poczynając od niemieckiego rozkazu o zatrzymaniu inwazji, przez kontrnatarcie pod Arras, aż po decyzję Gorta z 25 maja. Pojawią się też dalsze okoliczności. Jednak niezmiernie istotne znaczenie dla tej operacji, czego nie powinno się już nigdy pomijać, miał wkład militarny armii belgijskiej.

Można oczywiście utrzymywać, że polityka zbrojnej neutralności Leopolda III utrudniała przygotowania aliantów do działań wojennych. Można krytykować króla za wygórowane mniemanie o sobie, za niekonstytucyjną interpretację prerogatyw królewskich czy brak okazania wdzięczności aliantom. Kapitulacja Belgii była nieuchronna

pod względem militarnym. Król Leopold ani jej nie wymusił, ani nie spowodował. Jest rzeczą oczywistą, że dokładał wszelkich starań, by na bieżąco informować Anglików i Francuzów o rzeczywistej sytuacji wojsk belgijskich i o ich nieuniknionym losie. W gruncie rzeczy jedyne, co uległo zatajeniu 27 maja, to decyzja Brytyjczyków o rozpoczęciu ewakuacji Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, o czym nie poinformowali sojuszników.

W marcu 2017 roku Archiwum Narodowe w Kijowie udostępniło Ministerstwu Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii teczkę dotyczącą kapitulacji Belgów. Teczka spoczywała tam nieujawniona od ponad siedmiu dziesięcioleci. Wśród niezliczonych dokumentów na temat samych okoliczności poddania się oraz konsekwencji, jakie z niego wynikały dla Belgii po zakończeniu wojny, znajdowała się tam także krótka notatka sporządzona w roku 1949 przez niższego rangą dyplomatę Johna Russella (późniejszy sir John Russell, brytyjski ambasador w Brazylii i Hiszpanii):

Zapoznając się przez 18 miesięcy z niezbyt przyjemną zawartością tej teczki, odniosłem wrażenie, że z militarnego punktu widzenia poddanie się było nieuchronne i nie stanowiło dla nas zaskoczenia. Obecnie nie widzę jednak potrzeby, by wdawać się w rozważania, co w tej burzliwej historii było słuszne, a co nie. Zgadzam się w pełni z opinią [innego dyplomaty], że w żadnym wypadku nie powinniśmy angażować się w publiczną debatę na ten temat.

W taki oto subtelny sposób notatka trafnie ujmuje sens tej przykrej opowieści. Kapitulacja była nieuchronna. Brytyjczycy wiedzieli, że nadchodzi. Ale do żadnej z tych rzeczy nie można się było przyznać bez naruszania istotnych obszarów wrażliwości.

ROZDZIAŁ SIÓDMY
UCIECZKA DO DUNKIERKI

Dla tych, którzy 28 maja nadal walczyli z Niemcami, Belgowie stanowili już historię przebrzmiałą. Główną konsekwencją belgijskiej kapitulacji stał się wyłom długości blisko trzydziestu kilometrów między lewym skrzydłem 3. Dywizji Montgomery'ego z jednej strony a nadmorskim miastem Nieuwpoort z drugiej, w odległości zaledwie trzydziestu kilometrów od Dunkierki. Monty zareagował na to wezwaniem 12. Pułku Royal Lancers, wyposażonego w pojazdy opancerzone Morris CS9, polecając zniszczenie wszystkich mostów na kanale rzeki Yser, poczynając od lewego skrzydła 3. Dywizji aż do samej Dunkierki.

Interwencja nastąpiła w samą porę. Zaledwie dziesięć minut po zniszczeniu ważnej przeprawy drogowej na trasie Dixmude-Furnes pojawiły się pierwsze oddziały motocyklistów nieprzyjaciela, a za nimi piechota w ciężarówkach. Niemcy zdziwili się na widok wysadzonego mostu, a jeszcze bardziej na widok czekających na nich po przeciwnej stronie transporterów opancerzonych 12. Pułku Royal Lancers. Wszyscy niemieccy motocykliści piechoty zostali zabici, wielu innych żołnierzy zabito lub raniono. Gdyby Royal Lancers pojawili się później, Niemcy zdołaliby się przeprawić przez linię kanałów w kierunku Dunkierki.

Tymczasem w Nieuwpoort udało się zniszczyć tylko jeden z dwóch mostów. Szwadron 12. Pułku Royal Lancers przez cały dzień bronił dostępu do miasta, lecz nie znaleziono ani jednego sapera, który mógłby wysadzić drugi most. Po zmroku dwaj sierżanci pod wodzą oficera podczołgali się do mostu, podejmując próbę jego wysadzenia przy pomocy granatów ręcznych, jednak w chwili, gdy mieli zacząć rzucać granaty, Niemcy wystrzelili flarę i trzej śmiałkowie stali się widoczni jak na dłoni. Zdążyli cisnąć kilka granatów, z których żaden nawet nie uszkodził mostu. Jeden z sierżantów zginął od kul nieprzyjaciela, pozostali dwaj ratowali się ucieczką. Wkrótce miasto stanęło w ogniu i 12. Pułk musiał się wycofać. Droga do Dunkierki wzdłuż wybrzeża niebezpiecznie stanęła dla Niemców otworem.

Natychmiast wysłano do Nieuwpoort 12. Brygadę Piechoty z zadaniem powstrzymania nieprzyjaciela, jednak z powodu nieporozumienia przy organizacji transportu oddział dotarł na miejsce dopiero po kilku godzinach. Na szczęście dwie kompanie polowe saperów z Royal Engineers, posłane pośpiesznie do zniszczenia mostu, zdołały powstrzymać Niemców do momentu, kiedy pojawiła się piechota. To dzięki nim Niemcy nie przerwali linii obrony na wschód od Dunkierki.

Na południowym zachodzie 2. Dywizja Piechoty broniła dostępu do dwudziestopięciokilometrowego odcinka kanału La Bassée. Było to zadanie ważne i trudne. Główne siły brytyjskie wycofywały się bezpośrednio na tyłach tego kanału, toteż wciąż usiłowały się tam przebić różne

formacje niemieckie, od 3. przez 4. aż po 7. Dywizję Pancerną oraz Dywizję SS Totenkopf, które po zniesieniu rozkazu o wstrzymaniu natarcia zawzięcie próbowały nadrobić stracony czas.

Rano 27 maja niemieckie czołgi i oddziały piechoty przypuściły atak na miasteczko St Venant, którego broniły brytyjskie jednostki Royal Welch Fusiliers oraz Durham Light Infantry. Brytyjczycy utrzymali pozycje przez większą część dnia, ponosząc dotkliwe straty. Do wieczora większość z żołnierzy zginęła, a pozostali trafili do niewoli. Batalion karabinów maszynowych Argyll and Sutherland Highlanders[10] nie zdołał dotrzeć do Merville. Dalej na południe, w kierunku Bethune, 2. Batalion Royal Norfolk Regiment (w którym nieco wcześniej Peter Barclay, Ernie Leggett i George Gristock walczyli tak dzielnie na rzece Skaldzie) nadal bronił swoich pozycji mimo intensywnych nalotów i ataków pancernych.

Robert Brown z 2. Batalionu Royal Norfolks, pełniąc rano 27 maja wartę w pobliżu zabudowań gospodarczych, dostrzegł zbliżający się z tyłu niemiecki motocykl z karabinem maszynowym. Brown pobiegł do kwatery sztabu batalionu z meldunkiem, że nieprzyjaciel przedarł się na tyły. Następnie spędził cały dzień, wybijając, wraz z kilkoma innymi żołnierzami, otwory strzelnicze w mieszczącym się na tyłach zabudowań murowanym wychodku.

Pozostali żołnierze z tego samego batalionu w mocno uszczuplonym składzie robili to samo w stajniach, oborach

i w stodole. Stworzyli w ten sposób solidny mur obronny, dzięki któremu mogli nadal walczyć o utrzymanie pozycji.

Pod wieczór dowódca zbierał wśród nich opinie: kontynuować obronę czy się poddać? Kilku było za poddaniem się, jednak Brown uważał, że nadal należy się bronić.

– Panowało tak wysokie morale – mówi Brown – że przez myśl mi nie przeszło, żeby oddać się do niewoli, dać się zabić czy ranić. Po prostu ostrzeliwaliśmy się jak gdyby nigdy nic.

W końcu oficer nakazał wstrzymanie ognia i powiedział, że każdy może próbować ucieczki na własną rękę. Brown wraz z kolegami ruszył w kierunku unoszących się nad drogą kłębów dymu, z nadzieją, że łatwiej będzie uciekać pod osłoną dymu. Wkrótce jednak żołnierze musieli ukryć się w rowie, gdzie dopadli ich Niemcy i krzycząc, kazali wyjść z rękami do góry.

Brown wyszedł z rowu z podniesionymi rękami. Kiedy Niemcy się zbliżyli, jego uwagę zwrócił ich nietypowy mundur: błyskawice SS, naszywki z trupią czaszką i karabiny automatyczne.

– Potraktowali nas normalnie – wspomina – tak jak traktuje się nieprzyjaciela. Zwykłe poszturchiwanie, popychanie i krzyki.

Pozostali żołnierze batalionu Browna także dostali się do niewoli, lecz potraktowano ich zupełnie inaczej.

Pod koniec walk wzdłuż Kanału La Bassée liczebność dywizji spadła do 10% pierwotnego stanu, mimo to

żołnierze zdołali skutecznie osłonić odwrót Armii Brytyjskiej. W wyniku czego nocą z 27 na 28 maja większość wojsk Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych znalazła się po bezpiecznej, północnej stronie rzeki Lys.

Interesującą lekturę stanowią niemieckie raporty z walk prowadzonych w tym okresie. W dzienniku wojennym XXXXI. Korpusu Pancernego zapisano, że nieprzyjaciel „walczy wytrwale i utrzymuje swoje stanowiska do ostatniego żołnierza", i to do tego stopnia, że „Korpus nie był w stanie zdobyć żadnej znaczącej przewagi na kierunku wschodnim ani na północno-wschodnim".

Natomiast dziennik XXXIX. Korpusu odnotowuje dwa istotne szczegóły. Po pierwsze, że „Niemcy odnieśli poważne straty podczas ataku na broniony z uporem kanał Bassée" oraz że „nie da się już na czas skutecznie zatrzymać strumienia wojsk angielsko-francuskich", który posuwa się „w kierunku kanału La Manche".

Tego typu raportów można byłoby się spodziewać, gdyby Niemcy ponieśli klęskę, a nie po tym, gdy tak naprawdę rozbili całą dywizję brytyjską. Gdyby Niemcy przeprowadzili skoncentrowane uderzenie oskrzydlające, mogliby przebić linię obrony i zakończyć wojnę. Mimo że do takiego uderzenia nie doszło, to większa część Pierwszej Armii Francuskiej nie tylko dała się złapać w pułapkę na południu i nie była w stanie dotrzeć do rzeki Lys, ale musiała też odpierać nękające ją jednoczesne ataki ze wschodu i z zachodu.

Skromne resztki 2. Dywizji brytyjskiej, które wykazawszy się bohaterską postawą, nadal były zdolne do działania, walczyły jeszcze przez jeden dzień, po czym przyłączyły się do brytyjskiego odwrotu na północ oraz do ewakuacji. Ci, których wzięto do niewoli, byli eskortowani na tyły. Dla ocalałych towarzyszy broni Roberta Browna, których schwytała niemiecka Dywizja SS Totenkopf, dzień skończył się szybko i okrutnie. W wiosce pod nazwą, jak na ironię, Le Paradis, wszystkich rozebrano do pasa, ustawiono na łące pod ścianą stodoły i rozstrzelano z broni automatycznej. Tylko dwóch spośród dziewięćdziesięciu dziewięciu żołnierzy zdołało się uratować. Byli to sygnaliści Bill O'Callaghan i Albert Pooley. O'Callaghan został postrzelony w ramię, a Pooley w nogę. Obydwaj upadli i leżeli jak skamieniali pod ciałami zabitych towarzyszy, podczas gdy esesmani dobijali każdego, kto się ruszał lub jęczał.

O'Callaghan i Pooley przeżyli wojnę i w roku 1948 powołani zostali na świadków podczas procesu wojennego Fritza Knoechleina, dowódcy kompanii odpowiedzialnej za tę zbrodnię. Postępek podwładnych Knoechleina próbowano uzasadniać na różne sposoby, od rzekomego przekonania oprawców, że Brytyjczycy używali podczas walki zakazanych pocisków dum-dum, aż po gniew wywołany dotkliwymi stratami poniesionymi podczas starcia z batalionem Royal Scots. Wyjaśnienia te zdały się jednak na nic. Było jasne, że ludzie Knoechleina z zimną krwią zamordowali jeńców. Tylko jeden z obecnych tam oficerów SS protestował przeciw morderstwu. Odprawiono

i udzielono reprymendy za tchórzostwo. Knoechlein został uznany za winnego i stracony w styczniu 1949 roku.

Nie był to wcale przypadek odosobniony. Nazajutrz w miejscowości Wormhoudt, Niemcy z formacji Leibstandarte SS Adolf Hitler wymordowali jeńców z pułków Royal Warwickshire Regiment i Cheshire Regiment oraz wielu artylerzystów i żołnierzy francuskich. Dowódca esesmanów, Wilhelm Mohnke, nigdy nie stanął za to przed sądem. Zmarł w roku 2001 w wieku dziewięćdziesięciu lat.

I chociaż za te okrucieństwa nie można winić całej armii niemieckiej (jednostki SS reprezentowały nazistowską organizację partyjną), również formacje Wehrmachtu miały na sumieniu co najmniej jedną podobną masakrę. W Vinkt niedaleko Ghent, między 26 a 28 maja 1940, 337. Pułk Piechoty niemieckiej rozstrzelał prawie stu cywilów. Niektórych, jak na przykład prawie dziewięćdziesięcioletniego mężczyznę, rozstrzelano na oczach rodziny i przyjaciół. Innych, zanim zostali rozstrzelani, wykorzystano jako żywe tarcze przy zdobywaniu jednego z mostów. Rozstrzeliwani byli także żołnierze belgijscy po kapitulacji Belgii, którym najpierw kazano kopać własne groby.

Dla Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych był to okres szczególnie ponury. Armia brytyjska wycofywała się pod silnym, z godziny na godzinę coraz trudniejszym do odparcia naciskiem, podczas gdy jej sojusznicy albo poddawali się, albo szli w rozsypkę. Popularna wojskowa

piosenka *We’re Going to Hang Out the Washing on the Siegfried Line* (Powiesimy pranie na Linii Zygfryda) śpiewana była niegdyś z radosną nadzieją. Teraz wyrażała gorzką ironię. Na szczęście w miarę upływu czasu dzięki utrzymaniu pewnych kluczowych przyczółków, takich jak La Bassée, korytarz utworzony przez aliantów był na tyle silny, że wojska brytyjskie mogły bez większych trudności przemieszczać się przez terytorium zajęte przez nieprzyjaciela niczym Izraelici przez Morze Czerwone. Niektóre bastiony chroniące korytarz potrafiły się nawet umocnić. Na przykład Gravelines, miasto, które nie ustąpiło Niemcom 24 maja dzięki Billowi Reevesowi z Royal Tank Regiment, teraz, dzięki staraniom 68. Dywizji francuskiej, opierało się nieprzyjacielowi jeszcze bardziej skutecznie.

Podobny punkt oporu stanowiło miasto Cassel położone na strategicznym wzniesieniu w drodze do Dunkierki. Zadanie jego obrony przed zakusami niemieckiej 6. Dywizji Pancernej powierzono członkom 2. Batalionu Gloucestershire Regiment i 4. Batalionowi Oxford shire and Buckinghamshire Regiment. Poszczególnymi kompaniami obu batalionów obsadzono kluczowe pozycje rozrzucone po całym mieście, a liczne plutony rozmieszczono poza murami.

I tak 27 maja 8. Pluton Glosters’ Kompanii A pod dowództwem podporucznika Roya Cresswella zajął niewykończony jeszcze betonowy bunkier na północ od murów miasta. W bunkrze schronili się wcześniej uciekinierzy francuscy i belgijscy. Brytyjczycy podzielili się

swoimi zapasami żywności: sucharami, prawie całą puszką pasty mięsnej i kilkoma jajami. Resztę dnia żołnierze spędzili na umacnianiu bunkra, tarasując wejścia workami z piaskiem i wybijając otwory strzelnicze dla brenów i karabinów przeciwczołgowych.

Wieczorem kilkaset metrów przed nimi pojawili się pierwsi Niemcy. Pluton przywitał ich ogniem i kilku Niemców upadło. Nieco później w nocy nieprzyjaciel ponowił natarcie, tym razem w silniejszym składzie. Do wnętrza bunkra wpadł pocisk, raniąc starszego szeregowego w głowę i szyję. Jeden z atakujących Niemców zaczął dobijać się do drzwi bunkra. Uciszono go granatem ręcznym. Natarcie zostało odparte. Okolicznością korzystną dla obrońców okazał się fakt, że od niemieckich pocisków zapalających zajął się stóg siana. Płonąc przez całą noc, skutecznie oświetlał Anglikom przedpole.

Rankiem 28 maja Niemcy ponowili szturm. Także i tym razem został odparty, chociaż kosztem kilku kolejnych rannych. Większość z nich ucierpiała od uderzeń metalowych i betonowych odłamków ścian odłupywanych przez rykoszetujące pociski. Na domiar złego skończyła się żywność, a na dostawy nowej nie można było liczyć. Pluton posilał się więc rumem z wodą (z wyjątkiem rannych, którym odmawiano rumu).

Następnego dnia rano Niemcy wysłali w kierunku bunkra brytyjskiego jeńca w mundurze Royal Artillery, który miał nakłonić obrońców do złożenia broni. Jeńcem okazał się kapitan Derick Lorraine. Dwa dni wcześniej został ranny

podczas potyczki i wraz z trzema innymi poszkodowanymi wysłany karetką do punktu medycznego. Po drodze ambulans wpadł w ręce Niemców, kierowcę zabrano, a rannych pozostawiono w środku. Przez dwie doby leżeli w ambulansie bez opieki medycznej i bez jedzenia.

Trzeciego dnia kapitana Lorraine wypuszczono z ambulansu i doprowadzono pod bunkier Glostersów. Niemcy kazali mu krążyć wokół bunkra i namawiać przebywających tam żołnierzy do poddania się. Lorraine protestował, twierdząc, że nie może chodzić, ponieważ jest ranny w nogę. Wymachując bronią, Niemcy dali mu jednoznacznie do zrozumienia, co go czeka, jeśli odmówi. Tak więc ranny i głodny Derick Lorraine kuśtykał wokół bunkra, podpierając się kijem i wołając:

– Tu ranny oficer brytyjski! – Gdy Cresswell chciał mu odpowiedzieć, Lorraine ostrzegł go półgłosem: – Nic nie mów! – Po czym spuszczając wzrok na leżące obok zwłoki żołnierza niemieckiego, dodał: – Pełno ich tutaj, Anglików i Niemców... – W połowie zdania podniósł wzrok i spojrzał znacząco na dach.

Cresswell domyślił się, że Lorraine daje mu do zrozumienia, że Niemcy weszli na dach bunkra. Kiedy Lorraine odkuśtykał na bok, nastąpił gwałtowny wybuch i wnętrze bunkra wypełnił gryzący dym. To Niemcy spróbowali zmusić obrońców do opuszczenia bunkra, wrzucając do wnętrza przez betonowy otwór obserwacyjny nasączone benzyną pakuły ze słomy i śmieci i podpalając je granatami. Cresswell i jego ludzie założyli maski

przeciwgazowe i zatkali otwór mokrym kocem. Ogień płonął przez całą noc, ale dym udało się stłumić.

Widząc, że obrońcy łatwo się nie poddadzą, Niemcy zwielokrotnili ataki. Kiedy ostrzał nasilił się do tego stopnia, że pociski wpadały do środka przez otwory strzelnicze, Cresswell zapowiedział ludziom, że nocą podejmą próbę przedarcia się do Dunkierki. Jednak już o 17.30 okazało się, że bunkier otoczony jest zbyt ciasno, żeby można go było opuścić niepostrzeżenie. Nie mając w ustach nic do jedzenia od trzech dni, pozbawieni pomocy medycznej i wody, mając do dyspozycji tylko resztkę rumu, zamknięci w zadymionym wnętrzu bunkra, żołnierze ostatecznie postanowili złożyć broń.

Garnizon broniący miasta Cassel opierał się skutecznie do chwili, gdy otrzymał rozkaz dołączenia do oddziałów wycofujących się do Dunkierki. Rannych oraz jednego z noszowych, który został z nimi na ochotnika, pozostawiono w miejscowych domostwach z niewielkim zapasem żywności i nadzieją, że Niemcy potraktują ich dobrze. Podporucznik Julian Fane znalazł się w gronie kilkuset żołnierzy Glosters, którzy dołączyli do wycofujących się oddziałów. W pewnej chwili jego kompania znalazła się w zasięgu wzroku Niemców, którzy zaczęli do nich wołać:

– Hitler wygrywa wojnę, zostaliście pobici! Chodźcie do nas albo zaczniemy do was strzelać!

Fane, który słyszał już o masakrach dokonywanych przez oddziały SS, ostrzegał ludzi przed tym, co może im grozić.

Nic więc dziwnego, że żołnierze nie zamierzali się poddawać. Odczekali chwilę, po czym rzucili się biegiem przez otwartą przestrzeń w kierunku pobliskiego lasu. Niemcy zaczęli strzelać z karabinów maszynowych. Wielu brytyjskich żołnierzy zginęło, wielu odniosło rany.

Po czterech nocach marszu Fane wraz ze swoim oddziałem, z którego zostało zaledwie dziewięciu ludzi, dotarł do Dunkierki. Po drodze widział rannego oficera, który udusił się własną krwią, widział rezerwistę, który wyleciał w powietrze, kiedy pas z nabojami, który niósł na plecach, eksplodował trafiony pociskiem smugowym. Był wygłodzony, ranny w ramię i miał boleśnie poobcierane stopy. Natknął się też na niemieckiego żołnierza i biorąc go za Francuza, zapytał o drogę. Mimo to przeżył.

Tymczasem korytarz prowadzący do Dunkierki trzymał się nadal mocno i wciąż płynął nim wielobarwny strumień wojsk różnych formacji. Sierżant Leonard Howard z Royal Engineers pamięta, że wycofując się, szli lub biegli bezładną grupą bez prze rwy przez szesnaście godzin. Zatrzymywali się tylko pod nalotem stukasów i pod ostrzałem artylerii, karabinów maszynowych czy lekkiej broni strzeleckiej.

– Każdy miał w głowie jedno: przetrwanie – dodaje Howard.

Pamięta też spotkanego po drodze starszego podoficera, który płakał rzewnymi łzami, mówiąc:

– Nigdy nie sądziłem, że będę oglądał Armię Brytyjską w takim stanie.

Szeregowiec Fred Clapham z Durham Light Infantry opisuje pewien nieco bardziej prozaiczny problem. Maszerując całymi dniami w narastającym upale wczesnego lata, Clapham boleśnie czuł, jak długie wełniane kalesony obcierają mu genitalia. Dlatego wszyscy szli na szeroko rozstawionych nogach. Fred przyznaje, że „musiało to wyglądać dość zabawnie”.

Niemcy rozrzucali wśród wycofujących się oddziałów alianckich ulotki propagandowe nawołujące do poddania się. Najczęściej przedstawiały dokładną mapę okrążenia sił brytyjskich, opatrzoną komentarzem w języku angielskim i francuskim:

Żołnierze brytyjscy! Spójrzcie na tę mapę: ilustruje waszą rzeczywistą sytuację. Wasze oddziały zostały całkowicie otoczone. Zaprzestańcie walki! Złóżcie broń!

Ulotki rozpowszechniano w dużych ilościach i większość żołnierzy brytyjskich dobrze je zapamiętała. Zrzucano je w potężnych cylindrycznych pojemnikach. Każdy pojemnik zawierał nakład 12 500 sztuk związanych długimi stalowymi taśmami. Załogi samolotów Luftwaffe ładowały cylindry do luków bombowych w taki sam sposób jak bomby. Samolot zrzucał pojemniki z ustalonego pułapu. W pojemnikach montowano zapalniki rozrywające stalowe taśmy na odpowiedniej wysokości nad ziemią. Ulotki rozsypywały się, spadając w odległości kilkunastu metrów jedna od drugiej – czasem nawet gęściej – na obszarze od pięciu do ośmiu kilometrów kwadratowych. Brytyjczycy wykorzystywali ulotki jako papier toaletowy lub korzystali

z mapy, która – wobec prawie całkowitego braku oficjalnych planów – wskazywała im drogę do Dunkierki.

Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że Brytyjczycy próbują im się wymknąć. Już 26 maja, zaledwie dzień po podjęciu przez lorda Gorta odważnej decyzji o ewakuacji, w dzienniku wojennym niemieckiego XIX Korpusu odnotowano „ewakuację wojsk angielskich", z uzupełnieniem, że zamierzają one podjąć „próbę ucieczki w kierunku Dunkierki, czemu należy zapobiec". Co ciekawe, okazuje się, że Francuzi wiedzieli o planowanej ewakuacji znacznie mniej niż Niemcy. Generał Blanchard, dowódca francuskiej Pierwszej Armii, aż do 28 maja nie został oficjalnie powiadomiony o brytyjskim zamiarze ewakuacji[11].

Z drugiej strony bardzo często to żołnierze brytyjscy dowiadywali się o ewakuacji jako ostatni. Niektórzy nie mieli pojęcia, dlaczego się wycofywano, i na przykład sądzili, że jest to kara za jakieś nieregulaminowe zachowanie lub nagroda i zasłużony przez jednostkę odpoczynek. Nawet kiedy już było wiadomo, że zmierzają do Dunkierki, wielu nie miało pojęcia, co to znaczy. Sporo było też i takich, którzy bardzo się dziwili, sądząc, że Dunkierka znajduje się w Szkocji.

Na przykład Anthony Rhodes z Royal Engineers bardzo się zdumiał, gdy 27 maja usłyszał od dowódcy pułku, że jego jednostka będzie ewakuować się z Dunkierki.

– Spróbujemy zrobić coś naprawdę brytyjskiego – powiedział pułkownik. – Bo tylko Brytyjczykom mógł wpaść

do głowy tak szalony pomysł.

Wyjaśnienie, że wprawdzie nie ma jeszcze planów ewakuacji, ale mimo to trzeba zaryzykować, nie wzbudziło wśród ludzi Rhodesa wielkiego entuzjazmu.

Z niepokojem tudzież niechęcią odbierano rozkaz niszczenia i porzucania pojazdów oraz wyposażenia. Osiem kilometrów przed Dunkierką Fredowi Carterowi i jego ludziom z Royal Engineers kazano opuścić pojazdy i zniszczyć je granatami. Z kolei Peter Hadley z Royal Sussex Regiment, który wycofywał się z Poperinghe, mijał po drodze długą kolumnę zniszczonych pojazdów wojskowych. Mimo że rozumiał, dlaczego zostały zniszczone (nie można było pozwolić, by wykorzystali je Niemcy), był wstrząśnięty marnotrawstwem wartego miliony funtów i praktycznie nieużywanego sprzętu.

Jednocześnie zaczynało brakować sprawnych pojazdów. Zdarzyło się na przykład, że grupa żołnierzy zatrzymywała transporter opancerzony z prośbą o podwiezienie, a kiedy oficer dowodzący odmówił i transporter odjechał, jeden z żołnierzy postrzelił kierowcę, który został kaleką do końca życia. Panował tak wielki i powszechny chaos, że w ogólnym zamieszaniu pojmanym przez Niemców jeńcom udawało się czasem uciec. Jeden z nich przez trzy dni pracował w niemieckiej kuchni, skąd zdołał się wymknąć. Ci, którzy zachowali wolność, na ogół musieli obejść się bez snu. Pewien żołnierz odkrył, że potrafi odpędzić senność, nacierając sobie oczy ziarnami kawy. I tak mógł mówić o szczęściu, skoro miał dostęp do ziaren kawy. Żołnierzy

ostrzegano, by nie zabierali w drogę rannych, jednak ludzie nie chcieli zostawiać przyjaciół. Ponieważ nie mieli dość siły, by nieść ich przez całą drogę, często transportowano rannych na taczkach.

Im bliżej Dunkierki, tym większym utrudnieniem stawał się tłok na drogach. Dniami i nocami sunęła nimi gęsta masa ludzi, koni i pojazdów. Peter Hadley zorientował się, że jedyny sposób, żeby jego ludzie trzymali się razem, to trzymać się idącego na czele. Trzeba było przy tym wykrzykiwać raz po raz nazwę pułku, przywołując tych, którzy się zgubili. Potworzyło się wiele mniejszych grup złożonych z żołnierzy, którzy pogubili swoje oddziały. Pewien żołnierz sądził, że idzie z czterema kolegami, a kiedy się odwrócił, zobaczył wokół same obce twarze. W tych warunkach przywódcą stawał się każdy, kto przejawiał takie cechy, a stopnie wojskowe przestawały mieć znaczenie.

Dnia 27 maja Anthony Irwin z Sussex Regiment stanął na szczycie wzgórza nad miastem Dunkierka. W dole widział prawie kompletnie zniszczony nalotami Luftwaffe port. Schodząc w dół w promieniach słońca, słyszał serię następujących jedna po drugiej eksplozji. Ich źródłem okazał się rozrzucony w nieładzie wzdłuż drogi konwój oznaczonych czerwonymi krzyżami płonących ambulansów, zniszczonych podczas niedawnego nalotu. Z karetek dochodziły jęki i krzyki, wokół pełno było porozrzucanych ciał. Udzielano im już pomocy, więc Irwin ruszył dalej.

Tego samego dnia mostem nad kanałem Bergues dotarł do Dunkierki Anthony Rhodes. Po drodze rozmawiał z cywilami francuskimi. Z rozmowy wynikało, że doskonale zdają sobie sprawę z tego, że Brytyjczycy się ewakuują. Większość cywilów opuszczała miasto w obawie, że wkrótce zostanie kompletnie zniszczone przez Luftwaffe wraz z mieszkańcami. I rzeczywiście, po chwili dał się słyszeć narastający warkot i słońce przesłoniła eskadra niemieckich bombowców. Rhodes opowiada, jak „wszystko wokół zadrżało pod wpływem następujących po sobie małych trzęsień ziemi”. Jedna z bomb trafiła w most i w jednej chwili zmiotła bez śladu dwie stojące na nim wielkie ciężarówki.

Peter Hadley znalazł się w tym czasie w wiosce położonej kilka kilometrów na wschód od Dunkierki. W oddali przed sobą widział niebieski skrawek morza. Zatrzymał swoich ludzi, nakazał zewrzeć szyk i w doskonałym porządku poprowadził ich kilkaset metrów dalej. Widok plaży Bray Dunes był zaskakujący: ciągnęła się daleko w obie strony, na prawo i na lewo. Na wprost było morze, po przeciwnej stronie porośnięte trawą wydmy, a na plaży, jak okiem sięgnąć, wojska Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych.

Kilka kilometrów dalej na wschód leżało nadmorskie miasteczko De Panne, gdzie nową (i ostatnią już) kwaterę urządzał lord Gort. Frederic Wake-Walker, oficer marynarki na statku HMS Hebe zakotwiczonym w głębi morza, oglądał tę samą scenę 30 maja. Opisał ją w ten sposób:

Był to jeden z najbardziej zadziwiających i żałosnych widoków, jakie widziałem w życiu. Niemal cała kilkunastokilometrowa plaża od wydm po linię morza zapełniona była dziesiątkami tysięcy żołnierzy. Niektórzy stali w wodzie po kolana lub po pas, czekając na miejsce w małych łódeczkach. Wydawało się absolutnie niemożliwe, żeby udało nam się kiedykolwiek wywieźć stąd choćby ułamek tej potwornej masy ludzi.

Niezbędnym warunkiem powodzenia ewakuacji była obrona przyczółka wokół Dunkierki i wokół plaż, by w ten sposób uniemożliwić Niemcom próbę zniszczenia żołnierzy brytyjskich, którzy znaleźli się w głębi korytarza ewakuacyjnego. Tak więc bitwa wcale się nie zakończyła. Obronę przyczółka lord Gort powierzył dowódcy III. Korpusu generałowi sir Robertowi Adamowi.

Przyczółek musiał być odpowiednio szeroki, żeby mógł chronić Dunkierkę i plażę ze wszystkimi zgromadzonymi na niej ludźmi. Musiał też być wystarczająco rozległy, żeby Niemcy mogli ostrzeliwać plażę najwyżej z najcięższych dział. Jednocześnie jednak powinien być na tyle wąski, żeby mogła go bronić niewielka liczba żołnierzy. Musiał także wykorzystać linie kanałów stanowiących naturalne przeszkody obronne.

W tym celu przyczółek miał mieć około czterdziestu kilometrów długości na trzynaście kilometrów szerokości. Uzgodniono, że wojska francuskie obsadzą odcinek od portu Dunkierki na zachód, a Brytyjczycy będą bronić obszaru od Dunkierki do Nieuwpoort na wschodzie. Ważne

zadanie, polegające po pierwsze na zebraniu sił wojskowych do jego wykonania, a po drugie na organizacji obrony, otrzymał brygadier Edward Lawson, który w cywilu był dyrektorem generalnym dziennika *Daily Telegraph*. W relacjach na temat Dunkierki często zapomina się, jak szybko stworzono oddziały do obrony przyczółka i z jakim oddaniem żołnierze bronili wyznaczonych pozycji, mając przy tym pełną świadomość, jak wysoką cenę być może przyjdzie im za to zapłacić.

Oto co podporucznik Jimmy Langley z Coldstream Guards, który wycofywał się do Dunkierki przez Poperinghe, usłyszał od swojego dowódcy brygady:

– Mam dla ciebie doskonałą wiadomość, Jimmy, trudno o lepszą!

Langley zachodził w głowę, co – oprócz kapitulacji Niemiec – może być tą doskonałą wiadomością. Tymczasem, jak się okazało, jego batalion miał obsadzić odcinek przyczółka wzdłuż kanału Bergues-Hondschoote.

Po zajęciu wskazanych pozycji 29 maja, 3. Kompania Langleya okopała się wzdłuż kanału w pobliżu dużego budynku mieszkalnego, w którym urządzono kwaterę dowództwa. Na skutek stoczonych wcześniej walk oddział skurczył się do trzydziestu siedmiu żołnierzy, ale korzystając z zawartości stojących na poboczu ciężarówek ze sprzętem, znacznie uzupełnił swój arsenał, zaopatrując się w dwanaście karabinów maszynowych typu Bren, trzy karabiny maszynowe typu Lewis, karabin przeciwczołgowy oraz trzydzieści tysięcy sztuk amunicji. Langley znalazł

także nowe mundury polowe, kompas, radio oraz, ku powszechnemu zadowoleniu, pięćset sztuk papierosów.

Przez kolejne dwa dni Langley i jego ludzie obserwowali nieprzerwany przemarsz różnych oddziałów brytyjskich i francuskich, które zmierzały przez kanał Bergues-Hondschoote do Dunkierki. Szli wśród nich schludni Welsh Guardsmen, którzy walczyli pod Arras, rozczarowani Francuzi oraz obdarci Brytyjczycy różnych rodzajów broni. Duże wrażenie wywarł na Langleyu pewien kapral, który niósł dwa karabiny typu Bren, mimo że pasy wrzynały mu się głęboko w obojczyk. Langley próbował mu pomóc, lecz kapral stanowczo odmówił rozstania się z nimi. Powiedział, że major przykazał mu zabrać je z powrotem do Anglii, gdzie wkrótce z pewnością będą potrzebne. Langley poczęstował kaprala herbatą ze sporą domieszką whisky, podłożył mu opatrunki pod pasy karabinów i życzył szczęścia.

Obok nich wciąż płynął nieprzerwany strumień żołnierzy. Kiedy nad głową Langleya pojawił się samotny samolot, zaczął zawzięcie go ostrzeliwać. Na szczęście maszyna pozostała niewzruszona i spokojnie leciała dalej. Był to bowiem brytyjski lysander, który przeprowadzał lot patrolowy nad linią przyczółka z lordem Gortem na pokładzie.

Kiedy samolot lorda Gorta odleciał, a strumień oddziałów pozostających w odwrocie skurczył się do pojedynczego szeregu, w oddali dostrzeżono Niemców. Kilku ludzi Langleya zajęło pozycje na strychu domu, gdzie po

usunięciu z dachu kilku dachówek ustawili gniazda karabinów Bren. Niemcy stali na odkrytym terenie w odległości kilkuset metrów i stanowili łatwy cel. Doszło do prawdziwej masakry, jak określił ją Langley, która przyprawiła go o mdłości.

Jednak wieczorem czekała ich prawdziwa bitwa. Niemcy natarli na prawą stronę budynku, którego broniła 1. Kompania wraz z kompanią Border Regiment. Sąsiednie kompanie wspierały ogniem ciągłym ostrzał prowadzony z karabinów Langleya. Niemcy przyciągnęli ciężkie działo przeciwczołgowe i wymierzyli je w budynek zajęty przez obrońców. Przez chwilę nie działo się nic, aż wreszcie rozległ się głośny huk, po czym na strych budynku wpadł i zaczął gwałtownie krążyć, odbijając się od dachu, jaskrawy kolorowy przedmiot, który zatrzymał się obok komina. Był to przeciwczołgowy pocisk zapalający. Zanim pod dach wpadły kolejne cztery, ludzie Langleya zabrali broń i zbiegli po schodach na dół.

Natarcie niemieckie przybierało na sile. Kiedy Langley odbierał rozkazy od majora Angusa McCorquodale’a, podszedł do nich kapitan dowodzący na prawym skrzydle kompanią Border Regiment i powiadomił, że Niemcy szykują kolejny szturm, w związku z czym jego zdaniem należy się wycofać.

Major McCorquodale rozkazał mu pozostać na pozycji i podjąć walkę. Jednak kapitan oświadczył, że jest to sprzeczne z poleceniem, by w miarę możności wycofywać się, które wydał mu pułkownik, jego bezpośredni

zwierzchnik. Na co McCorquodale, wskazując wysoką topolę na skraju drogi, oznajmił:

– Jeżeli pan lub którykolwiek z pańskich ludzi przekroczy linię wyznaczoną przez to drzewo, natychmiast zostanie zastrzelony.

Kapitan próbował polemizować, lecz McCorquodale mu przerwał:

– Proszę wracać na pozycje albo od razu pana zastrzelę i przekażę dowództwo któremuś z moich oficerów.

Kapitan wrócił w milczeniu do swoich żołnierzy. McCorquodale wziął do ręki karabin i polecił Langleyowi zrobić to samo.

– Celownik dwa-pięćdziesiąt – rozkazał. – Proszę strzelać, żeby zabić, jeśli tylko minie to drzewo. Jasne?

Kapitan pojawił się wkrótce pod drzewem w towarzystwie dwóch mężczyzn. Stali przez chwilę, i Langley z majorem wzięli ich na cel. Następnie kapitan ruszył i minął drzewo. Major i Langley strzelili jednocześnie. Kapitan upadł, a jego kompani pobiegli w przeciwnym kierunku. Batalion Border Regiment pozostał na swoim miejscu.

Wkrótce na całej linii pozycji zajętych przez Coldstream Guards rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Zaraz potem nastąpił niemiecki szturm. Został zatrzymany. Kiedy na chwilę nastał spokój, oficerowie 2. Kompanii broniący lewego skrzydła złożyli wizytę majorowi McCorquodale’owi. Polecił on ordynansowi przynieść stół, otworzyć butelkę i podać kieliszki. I oto już po chwili w samym środku pola bitwy czterej brytyjscy oficerowie – z których trzej zginą

w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin – wznosili na stojąco toast za „dzielnego i kompetentnego nieprzyjaciela”. Kiedy ponownie wybuchła strzelanina, wszyscy wrócili na swoje pozycje, by kontynuować walkę.

Wieczorem podczas próby odzyskania karabinu maszynowego Bren zginął oficer dowodzący 1. Kompanią. Na prawym skrzydle obrony został już więc tylko jeden oficer. Był nim podporucznik Ronald Speed, który dołączył do batalionu zaledwie kilka tygodni wcześniej. Langley poinformował McCorquodale’a, że Ronald Speed chciałby cofnąć swoją kompanię na pozycje zajmowane przez 3. Kompanię.

McCorquodale wręczył Langleyowi butelkę i kazał mu zmusić Speeda do wypicia wszystkiego do dna.

– Jeżeli odmówi lub nadal będzie mówił o wycofaniu się, zastrzel go i przejmij dowództwo nad kompanią – polecił McCorquodale. – Mają się nie wycofywać.

Langley poszedł na stanowisko Speeda, wręczył mu butelkę i poradził, żeby wypił wszystko. Na szczęście Speed wypił. Langley poradził mu, żeby się nie wycofywał. Speed kiwnął głową.

Pół godziny później nie żył.

Kilka następnych godzin Langley pamięta dość mgliście. Przypomina sobie, że jadł potrawkę z kury przyrządzoną przez starszą kobietę, której pozwolono ukryć się w budynku, że wygłaszał wściekłą tyradę pod adresem Niemców za to, że najeżdżają inne kraje, że udało mu się

podpalić trzy czołgi ogniem z brena oraz że pochylał się nad umierającym majorem McCorquodale'em.

– Jestem już zmęczony, bardzo zmęczony – powiedział major z uśmiechem, odprawił Langleya do budynku, po czym skonał.

Podczas odpierania ostatniego szturmu Langley został ranny w ramię, i zwisająca bezużytecznie ręka obficie plamiła krwią mundur polowy. Sprowadzono go na parter i wsadzono na taczkę. Gdy wwieziono go do ambulansu, potem na plażę, a na koniec przeniesiono na noszach nad samą wodę, nie czuł bólu, chciało mu się tylko pić. Ponieważ jednak nie mógł stać na własnych nogach, nie został wpuszczony do łódki. Powiedziano mu, że nosze zajmują tyle miejsca co czterech zdrowych żołnierzy, dlatego ewakuuje się wyłącznie tych rannych, którzy mogą ustać na nogach. Został więc przeniesiony do punktu sanitarnego na obrzeżach Dunkierki. Stamtąd, po wkroczeniu Niemców, trafił do niewoli[12].

Niezależnie od wytrwałości i odwagi oddziałów Coldstream Guards oraz starań pozostałych formacji broniących przyczółka, istniało niebezpieczeństwo, że w wyniku prowadzonych w Londynie rozmów politycznych znajdą się oni w sytuacji beznadziejnej. W dniu 28 maja Winston Churchill w rozmowie z sir Rogerem Keyesem stwierdził, że jego zdaniem lord Gort „nie ocenia zbyt wysoko" szans przetrwania Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, a następnie wystąpił w parlamencie, gdzie oświadczył, że sytuacja jest „w najwyższym stopniu poważna", lecz Wielka

Brytania powinna pozostać wierna przekonaniu, że jest w stanie przezwyciężyć „rozpacz i smutek, żeby zadać ostateczny cios swoim wrogom”. Prosto z Izby Gmin Churchill udał się na kolejne spotkania, najpierw z Gabinetem Wojennym, a następnie z całą Radą Ministrów. Nie będzie żadnej przesady w określeniu tych spotkań mianem najważniejszych rozmów politycznych, jakie miały miejsce w Wielkiej Brytanii w ciągu minionego stulecia.

Churchill omawiał z Gabinetem Wojennym zgłoszoną przez Włochy chęć pośredniczenia w negocjacjach pokojowych między Wielką Brytanią a Niemcami. Minister Spraw Zagranicznych lord Halifax, niedawny przeciwnik Churchilla w rywalizacji o stanowisko premiera, był zdania, że Wielka Brytania powinna rozważyć możliwość pewnych ustępstw, które nie wpłyną na jej niepodległość. Minister był przekonany, że zdrowy rozsądek nakazuje takie postępowanie. Wielka Brytania może obecnie liczyć na lepsze warunki negocjacyjne niż za trzy miesiące, kiedy jej sytuacja może się jeszcze pogorszyć. Churchill stanowczo się temu sprzeciwił, twierdząc, że bez względu na to, kiedy miałaby zostać złożona propozycja zawarcia pokoju, warunki jego zawarcia zaproponowane przez Hitlera sprawią, że Wielka Brytania znajdzie się całkowicie na jego łasce.

Neville Chamberlain stwierdził, że nie widzi nic złego w jasnym postawieniu sprawy: skoro Wielka Brytania walczy do końca o zachowanie niepodległości, może

rozważać przyzwoite warunki rozejmu, jeśli zostanie on zaproponowany.

Churchill odpowiedział na to natychmiast w sposób jemu tylko właściwy:

– Narody, które upadły w walce, podnoszą się. Te, które pokornie się poddają, zostają unicestwione.

Nieco bardziej praktyczny pogląd zaprezentował wicepremier Clement Attlee, który powiedział, że po rozpoczęciu negocjacji jakakolwiek poprawa morale społeczeństwa stanie się niemożliwa.

Oratorski styl Churchilla, którego źródła tkwiły gdzieś między Edwardem Gibbonem a szekspirowskim Henrykiem V, raz porażał niezrównanym mistrzostwem, a innym razem pobrzmiewał pustosłowiem. Nigdzie jednak Churchill nie wykorzystał swego talentu z lepszym skutkiem niż podczas spotkania z Gabinetem w pełnym dwudziestopięcioosobowym składzie. Podczas pokoju wielu członków Gabinetu nie podzielało poglądów Churchilla. Niektórzy z nich, jak zagorzali socjaliści Herbert Morrison i Ernest Bevin, nie wyobrażali sobie, że mogliby kiedykolwiek pracować pod jego kierownictwem. Teraz jednak wszyscy słuchali w pełnym skupieniu, kiedy Churchill kreślił sytuację we Francji i prawdopodobieństwo podjęcia przez Niemców próby inwazji na Wielką Brytanię. Słuchali, kiedy przyznawał, że rozważał możliwość podjęcia negocjacji z Hitlerem, o którym mówił „ten człowiek”. Słuchali także, kiedy ostrzegał, że każdy pokój, bez względu na warunki, uczyni z Wielkiej Brytanii państwo podległe.

– Jestem przekonany – mówił Churchill do zasłuchanego audytorium – że każdy z was, panowie, jak tu siedzicie, byłby natychmiast gotów pozbawić mnie mojego stanowiska, gdybym miał chociaż przez chwilę rozważać jakieś rokowania lub kapitulację. Jeśli ma nastąpić kres długiej historii naszej wyspy, to niech stanie się to dopiero wtedy, gdy każdy z nas padnie na ziemię, dławiąc się własną krwią.

Przekonania ministrów członków ekskluzywnego Gabinetu Wojennego to jedno. Natomiast reakcje Rady Ministrów w pełnym składzie, prawdziwego mikrokosmosu narodu, pozwalały ocenić, jaki wpływ będą miały słowa premiera w brytyjskich domach i pubach. Ministrowie byli zachwyceni. Hugh Dalton, Minister Gospodarki Wojennej, napisał:

Zewsząd rozlegały się głośne okrzyki aprobaty.

I dodał:

Nikt nawet w najmniejszym stopniu nie wyraził zdania odrębnego.

Churchill mógł więc wrócić wieczorem do Gabinetu Wojennego z wiadomością, że nie będzie żadnej kapitulacji. Walka ma trwać. Wojna jeszcze się nie skończyła.

Gdyby opisane spotkania skończyły się inaczej, gdyby Wielka Brytania postanowiła jednak rozmawiać z „tym człowiekiem”, to wyrzeczenia i ofiary poniesione przez żołnierzy armii brytyjskiej, francuskiej i belgijskiej okazałyby się daremne. Wojna z pewnością wkrótce dobiegłaby końca. Dzisiaj często zapominamy, jak niewiele

brakowało, by Wielka Brytania zawarła pokój z Hitlerem, by stała się rządem marionetkowym, jak niewiele brakowało do łapanek Żydów i przeciwników reżimu, tłumienia odmiennych poglądów i wprowadzenia regulacji opisanych w poprzednim rozdziale.

Dla lorda Halifaksa Wielka Brytania stanowiła geograficzną jedność. Były to góry i doliny, wrzosowiska i skaliste wzgórza, był to świat Herberta Ernesta Batesa, którego twórczość ukazywała uroki życia na prowincji i piękno angielskiego krajobrazu. A przy tym świat na tyle trwały, by przetrwać każdy, nawet najbardziej brutalny reżim, który dojdzie do władzy. Lecz dla Churchilla Wielka Brytania znaczyła o wiele więcej. Była dla niego niepowtarzalnym wzorem swobód obywatelskich, krajem, w którym życie polega na wolności i rządach prawa. Gdyby ich miało zabraknąć, przetrwanie nie miałoby sensu. I chociaż każda z tych wizji była – oczywiście każda na swój sposób – ujmująca i sentymentalna, druga bliższa była prawdy – i znacznie bardziej ludzka.

ROZDZIAŁ ÓSMY
ANI ŚLADU CUDU

W pierwszej scenie filmu Chrisa Nolana *Dunkierka* Tommy przedostaje się do Dunkierki przez przyczółek znajdujący się w rękach oddziałów francuskich. Czuje się tak, jakby znalazł się pod kloszem, w którym panuje kompletny zamęt, a cała ta przestrzeń zapełniona jest mężczyznami (czasem też kobietami), których już spotkaliśmy na kartach tej książki. Ich pierwotnym zamiarem było dotarcie do Dunkierki, jednak kiedy już się tam znaleźli, desperacko usiłują się z niej wydostać. Na plaży Tommy widzi sięgające do morza kolejki, w których żołnierze stoją w nadziei, że jakaś łódka podwiezie ich do większej jednostki, by ta zabrała ich do Anglii. Tommy zostaje przepędzony z końca jednej z kolejek, pomaga więc jakiemuś żołnierzowi nieść nosze, ad hoc stając się noszowym. Ma już za sobą liczne przeżycia: przysypanie wrogimi ulotkami propagandowymi, pomoc w grzebaniu zwłok, atak stukasa oraz kilka prób zaspokojenia pilnej potrzeby fizjologicznej[13]. Podobne doświadczenia były podczas ewakuacji udziałem setek tysięcy uciekinierów.

Żołnierze zachowywali się różnie. Pewnego szeregowca z Royal Warwickshire Regiment odprawiono, podobnie jak Tommy'ego, z kilku kolejek, krzycząc:

– Nie tu, kolego. Szukaj swojego oddziału!

Niektórym udawało się stanąć w pierwszej napotkanej kolejce. Inni, przerażeni ich długością, z rezygnacją rozkładali się na plaży. Byli i tacy, którzy całkowicie lekceważyli kolejki.

Niektórzy weterani potrafili schować dumę do kieszeni i opowiadać, jak chodzili do toalety. Jeden z nich zarzekał się, że ludzie całymi dniami głodowali, żeby nie musieć chodzić za potrzebą. Kapitan Humphrey Bredin z Royal Ulster Rifles, uczestnik zaciętych walk nad rzeką Dyle, wspomina brytyjskich żołnierzy, którzy siedzieli w grupkach na plaży i grali w karty, jakby byli na wakacjach. Rozgrywano także mecze krykieta, żołnierze Royal Engineers organizowali spontaniczne pokazy kaskaderki motocyklowej na piasku, a szczególny aplauz wywołał pokaz woltyżerki w wykonaniu pewnego ekscyrkowca.

Porucznik marynarki John Crosby wyszedł na ląd w De Panne w środę 29 maja. Jego parowiec łopatkowy HMS Clyde stał przez większą część dnia unieruchomiony przez odpływ, więc porucznik udał się do hotelu Splendide, gdzie siedział nad butelką wina w towarzystwie dwóch brytyjskich żołnierzy, którzy pili lemoniadę, gdyż, jak stwierdzili z żalem, w mieście nie ma już piwa. Były natomiast burdele. Ustawiały się przed nimi kolejki – na swój sposób podobne do tych na plaży – w których mężczyźni cierpliwie czekali na swoje ostatnie kontynentalne doznania.

To właśnie tutaj Fred Carter z Royal Engineers w wygrzebanej przez siebie na plaży jamie poznał smak

szampana. Fred wraz z przyjaciółmi wybrał się do pobliskiego bistro. Najadłszy się do syta, Fred kupił za ostatnie pieniądze butelkę szampana, żeby sprawdzić, o co tyle szumu. Po degustacji orzekł, że szampan jest wspaniały.

Przybywali też do Dunkierki żołnierze tak bardzo poturbowani, zakrwawieni i rozbici, że propozycja szybkiego numerka przed powrotem do ojczyzny w żadnym razie nie brzmiała dla nich atrakcyjnie. Jeden z nich opowiadał, że jego podarty i brudny mundur całkowicie stracił kolor, a stopy w wełnianych skarpetach zamieniły się w krwawą masę. Pewien oficer skacząc z molo na pokład statku, tak bardzo połamał sobie nogę, że po zdjęciu butów ze stóp wystawały gołe kości.

Vic Viner, dowódca odcinka desantowania odpowiedzialny za porządek i dyscyplinę na plaży, cytuje starszego podoficera, który wyznał z płaczem:

– Trudno opisać, jakie to było potworne.

Pluton żołnierzy dzielił się znalezioną puszką fasoli. Wypadło po trzy fasole na głowę. Gdzie indziej żołnierze otępiali na skutek wielodniowego głodu siedzieli w kręgu na piasku i udawali, że jedzą. Posługując się nożami i widelcami, przeżuwali wyimaginowany posiłek.

Widziano desperata, który próbował zjeść skórzany pasek hełmu. W poszukiwaniu żywności Robert Halliday z Royal Engineers przeczesał całą Dunkierkę dom po domu, ale nic nie znalazł. Jego poszukiwania przerwał wybuch bomby,

który wyrzucił go kilkadziesiąt metrów w górę i rozerwał bębenki w uszach.

Halliday wraz z pięćdziesięcioma kompanami z Royal Engineers na plaży Bray Dunes budował potem tratwę. Żołnierze powiązali wyrzuconymi przez morze fragmentami liny deski odzyskane ze skrzyń ciężarówek i puste beczki po benzynie. Jeden z członków grupy miał dopłynąć do zakotwiczonego na morzu statku, żeby nawiązać z nim kontakt, podczas gdy ci, którzy nie umieli pływać, mieli być holowani w kierunku statku przez pozostałych pływaków. Budowali tratwę przez dwa dni, po czym oficer polecił im, żeby natychmiast przerwali pracę.

– Wypchnąć ją jak najdalej w morze i tam zostawić! – rozkazał.

Podczas gdy Halliday z przyjaciółmi trudzili się na próżno przy budowie tratwy, dziesiątki innych żołnierzy wylegiwały się bezczynnie na plaży albo w wygrzebanych w naprędce grajdołach. Jakiś żartowniś, widząc porzucony na piasku hełm, skomentował:

– O, ten to się nieźle okopał.

Oto kilka przykładów zagmatwanego paradoksu Dunkierki. Życie jest zawsze skomplikowane, pełne niuansów i sprzeczności. Po prostu o tym wiemy. Zbyt często jednak współcześni politycy i media próbują nam wmówić, że jest proste i monochromatyczne. Na temat Dunkierki warto zapamiętać jedno: nie ma jednej historii. W filmie Chrisa Nolana ten właśnie fakt zostaje wyeksponowany szczególnie wyraźnie. Akcja filmu

rozgrywa się w trzech żywiołach: na lądzie, morzu i w powietrzu. W każdym z nich ludzie mieli inne przeżycia. I wszystkie są jednakowo ważne[14].

Jak wiemy, ewentualność ewakuacji rozważano wstępnie już od 17 maja. Dwa dni później rozpoczęto wysyłkę do domu „useless mouths” (darmozjadów) – w ten niepochlebny sposób określano jednostki uznane za mało istotne dla najważniejszych celów stojących przed Brytyjskimi Siłami Ekspedycyjnymi. Z końcem 26 maja wysłano z Dunkierki do Anglii prawie dwadzieścia osiem tysięcy przedstawicieli zawodów wszelkiej maści. Teraz miała rozpocząć się prawdziwa ewakuacja jak największej liczby żołnierzy.

Dnia 26 maja lord Gort odebrał dwa telegramy: jeden od Anthony’ego Edena, drugi z Ministerstwa Wojny. Pierwszy ostrzegał przed koniecznością ewakuacji, drugi tę konieczność potwierdzał. Głównodowodzącym ewakuacją miał zostać siedemdziesięciopięcioletni wiceadmirał Bertram Ramsay, człowiek skrupulatny i niecierpliwy, przyjaciel Winstona Churchilla. To Churchill niedługo przedtem nakłonił go do powrotu do Marynarki Królewskiej.

Sztab Ramsaya urządzono na zamku Dover w tak zwanym Dynamo Room, gdzie przedtem mieścił się zamkowy generator prądotwórczy. Teraz użyczył swej nazwy niewdzięcznemu przedsięwzięciu, które wymagało wysiłku organizacyjnego, improwizacji i silnej woli. Ewakuację Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych rozpoczęto w niedzielę, 26

maja, kilka minut przed godzina dziewiętnastą na sygnał wysłany z Admiralicji, który brzmiał:

Rozpocząć operację Dynamo.

Pierwszym okrętem, który na ten znak wyruszył z The Isle of Man, był parowiec *Mona's Isle* z 1 420 żołnierzami na pokładzie. Dwudziestu trzech zginęło w wyniku ostrzału artyleryjskiego z wybrzeży Gravelines i od ostrzału maszynowego z powietrza. I tak już miało być przez cały czas trwania operacji. *Mona's Isle*, który w końcu dotarł do Dover w południe następnego dnia, nie był jedynym, który tego dnia wyruszył w kierunku Dunkierki. Jeszcze przed nadaniem sygnału zrobiło to kilka innych statków pasażerskich, w tym statki, których nazwy miały wkrótce okryć się sławą, takie jak *Mona's Queen, King Orry* i *Maid of Orleans*. Każdy z nich w ciągu kolejnych dziewięciu dni uratował życie tysiącom żołnierzy.

Z początku Anglicy nie spodziewali się po operacji Dynamo zbyt wiele. Zamknięci w pułapce alianci byli zmuszeni do walki o życie z przeważającymi siłami wroga. Zaledwie kilkanaście kilometrów dzieliło Niemców od Dunkierki i od zwycięstwa. Winston Churchill liczył na to, że uda się uratować trzydzieści tysięcy, a Ramsey czterdzieści pięć tysięcy żołnierzy. Zależało to od wielu czynników. Ile oddziałów zdoła dotrzeć do Dunkierki? Jak długo uda się jednostkom francuskim i brytyjskim utrzymać przyczółek? Jak wielkie straty w ludziach, okrętach i wyposażeniu na przyczółku, a być może także w angielskich portach docelowych, zdoła zadać Luftwaffe?

Czy uda się uruchomić takie środki ewakuacji, które rzeczywiście umożliwią skuteczny codzienny przerzut dużych ilości ludzi? Czy pogoda będzie sprzyjać ewakuowanym, czy ich wrogom? Wieczorem 26 maja nikt nie znał odpowiedzi na te pytania.

W poniedziałek 27 maja o godzinie 13.00 przybył do Dunkierki major Philip Newman, chirurg 12. Casualty Clearing Station (czyli szpitala polowego), przywożąc ze sobą w trzech ciężarówkach czterdziestu sanitariuszy z zadaniem zorganizowania wraz z francuskim szpitalem polowym frontowego punktu medycznego w jednym z pobliskich zamków. Newman, do niedawna chirurg w Middlesex Hospital w Londynie, pogodził się z tym, że wraz z kolegami muszą zostać na miejscu, podczas gdy wszyscy inni wracają do domu.

– Mieliśmy takie straszne i zniewalające uczucie – wspomina Newman – że tylko my tu zostajemy, żeby zmierzyć się z tym wyzwaniem.

Pierwsze wrażenie, jakie odniósł, kiedy wjeżdżał do miasta, to płonące wszędzie domy i wybuchające bomby. Luftwaffe już od dłuższego czasu bombardowało port i miasto, ale akurat tego dnia nastąpiły szczególnie silne i zmasowane naloty. Newman zatrzymał się na noc w uroczym i nadal pięknie umeblowanym domu z tarasem. O świcie przeniósł się do zamku. Tam, w pomieszczeniu na parterze z wysokimi oknami, silnym sztucznym oświetleniem oraz z przyległym parkingiem dla wozu rentgenowskiego, zajął się organizacją oddziału

operacyjnego. Nie minęło kilka minut, jak do zamku zaczęły zjeżdżać ambulanse z rannymi.

Również tego dnia, około godziny szóstej rano, przybył do Dunkierki Anthony Rhodes. Był tu kiedyś w czasie pokoju. Zapamiętał ją jako przyjemne miasto pełne przytulnych restauracji i sklepików z atrakcyjnymi upominkami. Tym razem przede wszystkim rzuciły mu się w oczy kłęby dymu wydobywające się z płonących zbiorników ropy, tak charakterystyczne dla ewakuacji i adekwatnie odtworzone na filmie. Podobnie jak wielu innych, którzy znaleźli się w Dunkierce w pierwszych dniach Operacji Dynamo, Rhodes schronił się przed bombardowaniem w piwnicy budynku w pobliżu portu, który z oczywistych powodów był głównym ośrodkiem ewakuacji. Rhodes zakładał, że piwnica stanowi nie tylko najlepsze, ale całkowicie bezpieczne schronienie przed nalotami Luftwaffe, pozostanie bowiem nietknięta, gdy bomby będą eksplodować na wyższych kondygnacjach. Jego przekonanie znacznie osłabło, kiedy wychodząc na zewnątrz po pierwszym nalocie, zobaczył, że identyczny budynek stojący po przeciwnej stronie ulicy zamienił się w stertę gruzów, grzebiąc żywcem wszystkich, którzy skryli się w piwnicach.

Norman Priori z oddziału Lancashire Fusiliers tuż po przybyciu do Dunkierki również zaszył się w piwnicy. Tam po raz pierwszy od dwóch tygodni zdjął buty i położył się na ziemi. Nagle usłyszał szmer. Podniósł głowę i zobaczył jakiegoś Francuza, który sięga po jego buty.

– Posłałem mu ostrą wiązankę – mówi Norman – i na jego szczęście obeszło się bez walki wręcz.

Ale od tego czasu już nigdy nie zdejmował butów.

Wielu innych, którzy dotarli do Dunkierki, zanim władze brytyjskie przejęły pełną kontrolę nad miastem, zetknęło się z przejawami anarchii wywołanej strachem i ogólnym poczuciem rozprzężenia. Na przykład Ernest Holdsworth, od urodzenia zagorzały abstynent, znalazł się w piwnicach pewnego hotelu, gdzie uczestniczył w spontanicznej degustacji rumu, whisky i brandy. Widok był dość odrażający. Gromada żołnierzy brytyjskich, francuskich i senegalskich śpiewała i wymiotowała, uczestnicy libacji jeden po drugim tracili przytomność pod wpływem upojenia alkoholowego.

W tym samym dniu pojawił się w Dunkierce główny oficer sztabowy Lorda Admirała, kapitan William Tennant mianowany na stanowisko Senior Naval Officer Dunkirk, czyli starszego oficera morskiego Dunkierki. Tennant specjalizował się w nawigacji. Z natury był człowiekiem nieśmiałym. Obarczono go odpowiedzialnością za alokację okrętów i organizację załadunku wojska. Już pierwszego dnia natknął się na gromadę wzburzonych żołnierzy brytyjskich, gotowych podważyć jego autorytet. Był wśród nich żołnierz wymalowany szminką i pijany sierżant owinięty szalem boa z piór.

W Bastionie 32[15], w którym była siedziba admirała Abriala (komendanta wojsk francuskich w Dunkierce), Tennant spotkał dwóch wyższych oficerów armii brytyjskiej

i dowódcę okrętu. Wyrazili zgodnie pogląd, że port nie nadaje się do Operacji Dynamo, ponieważ jest poważnie zniszczony i narażony na ataki z powietrza. Dlatego zaokrętowanie musi odbywać się od strony plaży. Dowiedział się także, że Niemców należy spodziewać się w Dunkierce w ciągu najbliższych dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin. Ponieważ duże okręty nie mogły podpłynąć bliżej brzegu, a mniejszych łodzi, którymi można by transportować wojsko na te okręty, prawie w ogóle nie było, Tennant stanął przed zadaniem niemal niemożliwym do wykonania. W tych okolicznościach plan Churchilla, zakładający uratowanie trzydziestu tysięcy żołnierzy, wydawał się beznadziejnie ambitny.

Tennant zaczął od tego, że wysłał do Ramsaya w Dover Castle meldunki radiowe, w których domagał się natychmiastowego wysłania wszystkich dostępnych okrętów w kierunku plaży. W efekcie wszystkie okręty zmierzające do portu w Dunkierce zostały przez Dynamo Room odpowiednio przekierowane. Natomiast służby Tennanta zajęły się wypraszaniem żołnierzy z piwnic wokół portu i kierowaniem ich na plażę.

Jednym z wyproszonych był właśnie Anthony Rhodes. Ponieważ naloty niemieckie następowały co pół godziny, spędził w piwnicy cały dzień, jeśli nie liczyć krótkiego i nieudanego wypadu w nadziei na znalezienie innego, lepszego schronu bliżej centrum miasta. Przekonał się jednak, że przebywanie na zewnątrz jest zbyt niebezpieczne. Pod wieczór dobiegło go z ulicy wołanie:

– Oficerowie!

Wyszedł z ukrycia, żeby sprawdzić, o co chodzi. Powiedziano mu, że ewakuacja nie będzie odbywać się z portu i polecono uprzejmie, by zebrał jak najwięcej ludzi i zaprowadził ich na plażę. Tak oto Anthony Rhodes, podobnie jak większość żołnierzy przebywających w mieście Dunkierka, ruszył na wschód.

Na uformowaną w ten sposób długą kolumnę Niemcy przypuścili wkrótce atak z powietrza. Podczas bombardowania Rhodes przypadł twarzą do ziemi. Zrobił to samo, kiedy samolot zawrócił, żeby ogniem maszynowym skosić tych, którzy przeżyli bombardowanie. Kątem oka widział dwóch śmiałków, którzy podnieśli się i strzelali z brenów do nadlatującego samolotu. Obaj padli trupem podziurawieni kulami jak sito.

Po zakończeniu nalotu Rhodes szedł dalej w kierunku plaży. Zaskoczyła go zebrana tam wielotysięczna rzesza żołnierzy. Jedni patrzyli w dal, inni się pożywiali, jeszcze inni spali, a wszyscy czekali na kolejny okręt albo kolejny nalot. Chociaż Rhodes był oficerem, jego mundur polowy był tak zniszczony, że upodobnił się do innych. Oficerom marynarki, którzy chodzili w niebieskich mundurach, znacznie łatwiej było egzekwować posłuch należny oficerom. Po kilku kilometrach wędrówki plażą Rhodes przysiadł na skraju wydmy. Czekał tam, jak wszyscy, na okręt, który zakotwiczy w pobliżu brzegu, i na mniejszą jednostkę, która dowiezie go na pokład.

Niedostatek mniejszych statków od początku ewakuacji stanowił poważny problem. Małe statki zaczęły pojawiać się w większej ilości dopiero po 30 maja, a do tego czasu korzystano z będących na wyposażeniu okrętów łodzi ratunkowych lub wielorybniczych. Jednak nawet wtedy, gdy było ich więcej, wiele ulegało uszkodzeniu. Przy wzburzonym morzu żołnierze nadal mieli trudności z dostaniem się na ich pokład. Intensywna eksploatacja zwiększała podatność łodzi na awarie oraz wyczerpanie załóg. Wiele zarekwirowanych łodzi obsadzono załogami, które nie potrafiły ich obsługiwać. W dodatku często zdarzało się, że łódź wiosłowa, która przybiła do burty większej jednostki, zamiast zawrócić po kolejną partię żołnierzy, była porzucana i dryfowała samotnie w głąb morza.

Nocą 27 maja kapitan Tennant zauważył, że Luftwaffe, zajęte bombardowaniem głównego portu Dunkierki, przeoczyło port zewnętrzny. W efekcie dwa potężne falochrony – molo wschodnie i zachodnie – pozostały nienaruszone. Nie były to zwykłe falochrony czy proste pomosty, lecz potężne betonowe ramiona osłaniające port i zapobiegające jego zamulaniu. Tennant szybko docenił szczególny potencjał mola wschodniego, które sięgało prawie kilometr w głąb morza i posiadało drewniany pomost szerokości czterech stojących obok siebie ludzi. Można tam było stosunkowo łatwo doprowadzić czekających na plaży żołnierzy. Z drugiej strony, molo narażone było na zdradliwe prądy, wysoki, blisko

pięciometrowy skok pływu, a cumowanie przy nim nie było czymś prostym. Tak czy owak, Tennant postanowił, że nie ma wiele do stracenia. W ten sposób wdrożona została pierwsza kluczowa improwizacja Operacji Dynamo.

Niezwłocznie zawrócono statek pasażerski *Queen of the Channel* z plaży przy Malo-les-Bains do molo, na którym zebrano żołnierzy. Wspinali się na pokład na wszystkie możliwe sposoby. Już po czwartej rano 28 maja statek *Queen of the Channel* wypłynął w kierunku Dover z 950 żołnierzami brytyjskimi na pokładzie. Ponieważ pomysł Tennanta sprawdził się, inne okręty również zostały skierowane ku nabrzeżu. Gdyby obrona przyczółka zdołała trzymać Niemców na dystans nieco dłużej, gdyby pogoda nie uległa pogorszeniu, gdyby można było użyć znacznie większej floty okrętów i łodzi oraz gdyby udało się zapobiec bombardowaniu okrętów, łodzi i molo przez Luftwaffe – może wówczas udałoby się zrealizować ambitny plan Churchilla. Do końca 27 maja przewieziono na wyspy brytyjskie 7 669 żołnierzy. Nadal istniała nadzieja, że kolejnego dnia przypłyną następni.

Tymczasem przez cały czas od strony lądu napływały przez przyczółek Dunkierki nowe grupy żołnierzy wycofującej się armii. Niektóre, jak batalion Guards, wkraczały na molo w idealnym szyku jako kompletna jednostka, jednak większość szła w niezorganizowanych, bezładnych grupach. Mimo tak trudnych warunków oraz wielu przykrych, czasem dramatycznych przeżyć, żołnierze starali się przywieźć do domu jakieś pamiątki z zagranicy,

na przykład setki papierosów poupychane w plecaku w nadziei, że unikną kontroli celnej, aż po model samolotu wodnego pokaźnych rozmiarów w prezencie dla syna. Był też żołnierz, który próbował wejść na pokład z motocyklem.

– Mogę to zabrać? – pytał jednego z członków załogi statku, dodając, jakby to był przekonujący argument, że motor ma na liczniku tylko 450 km. Zważywszy na fakt, że celem Operacji Dynamo było wyekspediowanie do domu jak największej liczby żołnierzy gotowych do obrony Wysp Brytyjskich, trudno się dziwić, że marynarz odpowiedział:

– Nie!

Przykry był los psów, kotów i innych zwierząt, z którymi żołnierze zaprzyjaźnili się podczas odwrotu. Marynarz Ian Nethercott, celowniczy na okręcie HMS Keith, był zaskoczony ilością psów, które usiłowano wprowadzić na pokład, oraz przerażony tym, co się z nimi działo.

– Żandarmeria strzelała do psów, z którymi przychodzili żołnierze, i wrzucała je do wody – wspomina Nethercott.

Za każdym razem, kiedy do tego doszło, wojsko i marynarze wydawali głośny okrzyk dezaprobaty, ale serc żandarmów nie był w stanie zmiękczyć nawet wystający z chlebaka łepek jamniczka. Na szczęście niektóre psy zdołały się uratować. Na pokład HMS Windsor dostał się, ku zadowoleniu załogi, kundel imieniem Kirk (zapewne od portu, w którym został znaleziony). Choć początkowo reagował jedynie na polecenia wydawane w języku francuskim, pozostał na statku i dopłynął do Anglii, gdzie po odbyciu kwarantanny znalazł nowy dom u wiejskiego

proboszcza, którym był ojciec służącego na statku porucznika.

Widziano także kanarka w klatce, którą niósł na głowie żołnierz, po kolana w wodzie czekając w kolejce na okręt, a także czarno-białego królika, którego niósł w koszyku inny żołnierz w mundurze tak porwanym, że ledwo okrywał jego nagość. W plecakach były też zegarki na sprzedaż w Anglii czy maszynki do strzyżenia, ponieważ ich nowy właściciel zamierzał po powrocie otworzyć zakład fryzjerski. Wielu miało ze sobą pocztówki i zdjęcia z Francji. Była też makabryczna pamiątka, a mianowicie osiem pocisków wyciągniętych z ciała żołnierza rozstrzelanego za szpiegostwo. Widok szczególnie przygnębiający stanowiły drobne dziecięce ubranka, sukienki dla córeczki, które wysypały się spod kurtki żołnierza zabitego podczas nalotu na plażę Bray Dunes.

Na rogatkach Dunkierki wycofujący się żołnierze mijali obrońców miasta, takich jak Jimmy Langley. Niemcy próbowali zakłócać ewakuację na różne inne sposoby. Żołnierzom przebywającym w strefie ewakuacyjnej bezustannie zagrażał niemiecki ostrzał artyleryjski, który wzmagał się w miarę stopniowego zbliżania się oddziałów wroga. Ostrzał zagrażał także okrętom płynącym przez kanał La Manche. Najkrótszy szlak z Dover do Dunkierki, znany pod nazwą „Route Z”, obejmował odcinek od Calais do Dunkierki. Pokonując go, należało trzymać się blisko wybrzeża francuskiego. Ze względu na rozmieszczone wzdłuż wybrzeża baterie niemieckie, taki rejs stawał się

w ciągu dnia zbyt niebezpieczny. Dlatego wprowadzono nowy kurs pod nazwą „Route Y”, który był przesunięty znacznie dalej na północ . Początkowo był bezpieczniejszy, lecz wydłużał rejs ze 128 kilometrów do 275 kilometrów. Po zdobyciu przez Niemców miasta Nieuwpoort również ta trasa znalazła się w zasięgu ognia artylerii niemieckiej. Wkrótce jedynym bezpiecznym sposobem przemierzenia Kanału w ciągu dnia stał się szlak pod nazwą „Route X”. Był stosunkowo niedługi – 172 kilometry w obie strony – i stosunkowo bezpieczny, jeżeli udało się uniknąć wystawiania okrętów na widok artylerii nadbrzeżnej.

Jednostkom przepływającym kanał zagrażały również ścigacze torpedowe i okręty podwodne. Na przykład HMS *Grafton* został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną U-Boot. Oczywiście groziły także naloty Luftwaffe, które gnębiły żołnierzy na brzegu i statki na morzu.

Okręty starały się jak mogły unikać ataków. Przestrzegano kompletnego zaciemnienia, co znaczy, że statki musiały płynąć bez świateł nawigacyjnych. Na lądzie dysponowano niewielkimi siłami obrony przeciwlotniczej, z wyjątkiem kilku dział typu Bofors ustawionych przy samym molo i na plaży. Taki stan rzeczy wynikał ze zniszczenia ciężkich dział przeciwlotniczych podczas obrony Dunkierki, i to przez ich obsługę. Zniszczenie wynikało z nieporozumienia, jakie zaszło między dwoma oficerami. Jeden wydał polecenie, by rannych (*wounded men*) przenoszono na plażę w celu ewakuacji. Drugi zrozumiał, że na plażę należy kierować wszystkich

mężczyzn (*all men*). W przekonaniu, że wszyscy jego podwładni wracają do Anglii, oficer rozkazał zniszczyć działa. Po wykonaniu zadania z dumą zameldował generałowi Adamowi, że wszystkie ciężkie działa przeciwlotnicze Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych zostały zniszczone. Generał Adam zaniemówił na dłuższą chwilę, aż wreszcie wydusił:

– Zejdź mi z oczu, głupcze!

Jednym z najważniejszych, chociaż stosunkowo mało znanych zadań Luftwaffe, było zaminowywanie. Poczynając od nocy 28 maja Niemcy zaczęli systematycznie zrzucać do morza miny na spadochronach. Mogły to być pływające miny kontaktowe, których detonacja następowała na skutek uderzenia przez statek w jeden z wystających rogów miny, lub bardziej podstępne miny magnetyczne, które nie potrzebowały bezpośredniego kontaktu ze statkiem, żeby go zniszczyć. Zanurzone głęboko w wodzie posiadały mechanizm magnetyczny, który wyzwalał detonację w przypadku przesunięcia się nad miną stalowego kadłuba statku.

To niszczycielskie urządzenie było w stanie unicestwić dziesiątki tysięcy żołnierzy uczestniczących w Operacji Dynamo, tak naprawdę mogło radykalnie odmienić całą historię ewakuacji. A jednak, mimo że rozmieszczono je dość gęsto na dnie kanału La Manche, miny magnetyczne zatopiły tylko dwa okręty[16]. Jak to się stało? Otóż jedną z bardziej niezwykłych – i najmniej znanych – opowieści spod Dunkierki jest historia neutralizacji min

magnetycznych, dzieło kanadyjskiego naukowca mieszkającego w Londynie.

W roku 1939 Charles Goodeve objął w Admiralicji stanowisko zastępcy dyrektora Department of Miscellaneous Weapon Development (Departamentu Rozwoju Broni Różnych Rodzajów). Była to swoista enklawa naukowców i wynalazców, powszechnie znana pod nazwą *Wheezers and Dodgers* (Magicy i Spryciarze). Goodeve podzielał pogląd Winstona Churchilla, ówczesnego Pierwszego Lorda Admiralicji, że wykorzystanie badań naukowych może mieć ogromny wpływ na przebieg wojny. Nie wszyscy byli podobnego zdania. Arthur Harris, przyszły szef RAF Bomber Command, któremu podlegały dywizjony bombowe RAF-u, pogardzał reprezentowaną przez Churchilla wiarą w naukę i pytał z wściekłością:

– Czy to jest wojna na broń, czy na suwaki logarytmiczne?

Churchill zaciągał się cygarem i odpowiadał spokojnie:

– To niezły pomysł. Posuwakujmy trochę dla odmiany.

Przy poparciu Churchilla Goodeve zajął się poszukiwaniem skutecznych metod przeciwdziałania minom magnetycznym. Najpierw zaproponował udoskonalenie sposobu ich usuwania. Metoda polegała na tym, że dwa statki płynęły równolegle obok siebie, ciągnąc za sobą długie kable elektryczne. Prąd przepuszczony przez kable tworzył pole magnetyczne między statkami, które wywoływało wybuch znajdujących się między nimi min. Przypadkowe i skuteczne rozbrojenie jednej z min magnetycznych w Shoeburyness umożliwiło Goodeve’owi

zbadanie jej mechanizmu, dzięki czemu mógł przeprowadzić pewien skomplikowany eksperyment w słonym jeziorze nieopodal Portsmouth. Podczas gdy grupa marynarzy przeciągała modele statków po powierzchni jeziora, skupiając na sobie uwagę licznie zebranych gapiów, Goodeve wraz z zespołem asystentów przeprowadzał prawdziwy eksperyment w łodzi wiosłowej. Siedząc w niej, obserwował mechanizm rozbrojonej miny. Prąd przepływający przez przewody elektryczne umieszczone na dnie jeziora tworzył pole magnetyczne i wywoływał migotanie umieszczonego w mechanizmie miny wyświetlacza. Oznaczało to, że gdyby mina była aktywna, nastąpiłaby jej eksplozja. Eksperyment uwieńczony został powodzeniem.

Opracowana przez Goodeve'a metoda unieszkodliwiania min magnetycznych zwana Double L Sweep, czyli metodą podwójnego przecierania, weszła do użycia już w lutym 1940 roku, w wyniku czego w ciągu trzech miesięcy rozbrojono blisko trzysta niemieckich min. Już samo to byłoby nie lada osiągnięciem, ponieważ dzięki temu oczyszczono z min szlaki wodne Route X, Y i Z na cały czas trwania ewakuacji Dunkierki.

Na tym jednak nie koniec. Łącząc wiedzę fachową z twórczym myśleniem, Goodeve opracował nową metodę, która uodporniała okręty na miny magnetyczne. Takie statki mogły przez cały dzień przepływać nad minami bez obawy, że stanie się im krzywda.

Dotychczas stosowano w praktyce tak zwany *coiling*, czyli owijanie statków. Metoda polegała na owijaniu kadłuba statku miedzianymi zwojami pod napięciem, co neutralizowało pole magnetyczne. Operacja była jednak czasochłonna i kosztowna, nie mówiąc o dużym zapotrzebowaniu na deficytowy drut miedziany oraz na sprzęt niezbędny do zabezpieczenia wszystkich jednostek, które tego wymagały. Goodeve zaproponował znacznie lepsze rozwiązanie. Taki sam efekt jak owijanie można było osiągnąć, przeciągając dwukrotnie, w górę i w dół, wzdłuż obu burt statku gruby kabel o natężeniu dwustu amperów. Było to znacznie tańsze i możliwe do wykonania przez załogę statku.

Goodeve zgłosił swój projekt Admiralicji, jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi, więc postanowił przeprowadzić doświadczenia samodzielnie. Zaczął od mniejszych łodzi, potem przeszedł do większych jednostek i eksperyment powiódł się. Okazało się przy tym, że neutralizacja pola magnetycznego ulega stopniowemu osłabieniu pod wpływem wibracji wywoływanej pracą silników napędzających statek oraz pod wpływem kołysania morza. Oznaczało to, że takie „ przecieranie „ statku kablem pod napięciem należało powtarzać co sześć miesięcy.

Goodeve nazwał ten nowy zabieg mianem *degaussing* (degasing). Nazwa przyszła mu do głowy podczas nocnej pijatyki na cześć Carla Friedricha Gaussa, pierwszego kalibratora siły magnetycznej. W dodatku rymowała się

stosownie z angielskim terminem delousing [czyt.: di’lausing], oznaczającym odwszawianie. Operacja Dynamo nabrała nagłego rozpędu od chwili, gdy w ciągu zaledwie trzech dni trzy pracujące bez przerwy zespoły poddały degasingowi czterysta jednostek morskich różnych rozmiarów i kształtów. W ciągu kilku następnych dni przetarto kolejnych tysiąc statków. W ten sposób, w połączeniu z metodą *Double L Sweep*, chroniono flotę brytyjską przed minami przez cały okres trwania ewakuacji. Tak więc cud w Dunkierce wiele zawdzięcza Charlesowi Goodeve’owi i korzystnej zbieżności czasu jego badań z Operacją Dynamo. Po wojnie Goodeve zwrócił uwagę, że:

Bitwa na miny magnetyczne była pierwszą bitwą technologiczną tej wojny i Wielka Brytania odniosła w niej zdecydowane, zupełnie nieoczekiwane przez Niemców zwycięstwo.

Jednocześnie zapoczątkowała nowy kierunek wojny. Nie była to już wojna na różne rodzaje broni i ludzką odwagę, lecz na ampery, wolty i ulubione suwaki Arthura Harrisa.

Degasing chronił okręty przed groźnymi minami magnetycznymi. Potrzebne im było jeszcze dogodne miejsce do okrętowania wojska. Mogło to być molo, dopóki było dostępne, ponieważ podczas przypływu było w stanie obsłużyć nawet szesnaście okrętów pokaźnej wielkości. Kolejki do nich ciągnęły się aż do samego miasta. Admirał Frederic Wake-Walker (przysłany do Dunkierki w środę, 29 maja na stanowisko Starszego Oficera Operacji na Morzu, odpowiednik funkcji kapitana Tennanta na lądzie),

wspomina długą, niekończącą się kolumnę wyczerpanych mężczyzn, która powoli zmierzała ku morzu w świetle miejskiej pożogi. Niekiedy żołnierze podrywali się z trudem do biegu, ale przeważnie „sunęli ślepo w kierunku ocalenia”. Towarzyszył im stłumiony odgłos kroków i szczęk broni.

Zaokrętowanie wojska z molo było trudne ze względu na przypływy i odpływy. Przy odpływie niszczyciele leżały tak nisko, że niektóre większe statki pasażerskie unosiły się między nimi a nabrzeżem niczym pływające platformy. Kiedy indziej znów ludzie musieli schodzić na pokład po drabinach, balansować na przerzuconych z nabrzeża deskach albo nawet – narażając się na utopienie, połamanie lub zgniecenie między burtą statku a belkami molo – przeskakiwać z nabrzeża na pokład. Jednak nawet przy sprzyjającym poziomie przypływu każdy, z noszowymi włącznie, musiał pokonać barierę ochronną wzdłuż drewnianego pomostu[17].

W środę o godzinie ósmej rano do molo przybił parowiec Manx man z Isle of Man, ale nie zastał na molo żywej duszy.

– Był to upiorny widok – wspomina jeden z marynarzy. – Nie było nawet komu rzucić cumy.

Gdy statek podpłynął bliżej, pojawili się pierwsi żołnierze. Okazało się, że chowali się pod molo przed nalotem, obejmując słupy konstrukcji rękami i nogami, niektórzy zanurzeni w morzu po szyję. Po zakończeniu nalotu wgramolili się z powrotem na molo. W filmie Chrisa Nolana nawiązuje do tego zdarzenia scena, w której Tommy

i Gibson kryją się przed nalotem pod drewnianą konstrukcją nabrzeża.

Do środy rano ewakuowano nieco ponad dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Do planowanych przez Churchilla trzydziestu tysięcy nieco jeszcze brakowało. Trwające nadal okrętowanie z nabrzeża na statki pasażerskie i niszczyciele pozwalało jednak nie tracić nadziei. Mimo różnych utrudnień, molo umożliwiało przyjęcie na pokład niszczyciela sześciuset żołnierzy w ciągu pół godziny. Jak na ewakuację było to tempo wyjątkowe.

Do tego czasu większość ataków na molo przypuszczała niemiecka ciężka artyleria z pozycji oddalonych kilkanaście kilometrów na zachód od brzegu. Ale właśnie w środę północny wiatr przegonił dymy zasnuwające miasto, sprowadzając na molo serię nalotów stukasów i innych bombowców, a także ogień maszynowy messerschmittów.

Po południu do molo przybił statek *Crested Eagle*, parowiec łopatkowy kursujący po Tamizie, który posiadał komin teleskopowy umożliwiający przepłynięcie pod London Bridge. W czasie pokoju *Crested Eagle* woził turystów z Londynu do kurortu Southend i dalej wzdłuż wybrzeża do Clacton w Felixstowe. Parowiec został uzbrojony w dwa działka przeciwlotnicze i przeznaczony do służby na Tamizie. We wtorek otrzymał rozkaz dołączenia do Operacji Dynamo.

Crested Eagle zdążył przycumować do molo od strony morza, gdy nastąpił wściekły atak stukasów, już trzeci z kolei tego dnia. Przy nabrzeżu było też wiele innych

statków pasażerskich, niszczycieli i trałowców. *Crested Eagle* znajdował się tuż za parowcem *Fenella*, prostopadle do dwóch niszczycieli – HMS *Grenade* i HMS *Jaguar* – oraz vis-à-vis sześciu cumujących wspólnie i połączonych ze sobą trawlerów. Za trawlerami stał jeszcze jeden wielki transportowiec oraz francuski niszczyciel.

Zazwyczaj molo trudno było zauważyć z samolotu. Podczas odpływu górowało nad statkami i wydawało się ogromne, widziane z boku wyglądało imponująco, jednak oglądane z góry stawało się ledwo widoczną srebrną kreseczką. Ale tego popołudnia przy bezchmurnym niebie i rozwianych dymach pożarów, otoczone ze wszystkich stron i na całej długości przycumowanymi statkami, stanowiło bardzo wyraźny i kuszący cel dla bombowców. Podczas nalotu bomby, które spadły w pobliżu niszczyciela HMS Jaguar, wykluczyły statek z operacji. Jego załogę relokowano na inną jednostkę. HMS *Grenade* został trafiony kilka razy. Kiedy stanął w ogniu, podejmowano rozpaczliwe próby odholowania go od nabrzeża, żeby zapobiec zatonięciu przy molo i zablokowaniu miejsca do cumowania. Ostatecznie HMS *Grenade* oddryfował do kanału portowego, skąd został odholowany przez jeden z trawlerów na otwarte morze, gdzie zatonął.

Jednym z obserwatorów tej operacji był Vic Viner, dowódca strefy ewakuacyjnej przy Bray Dunes. Jego brat Albert był głównym telegrafistą na *Grenade*, a Viner dostał przepustkę do portu, żeby przywitać brata. Kiedy dochodził do molo, nastąpił atak stukasów i Vic zawrócił na plażę

Bray Dunes. Nie mógł więc wiedzieć, co stało się z bratem. Tymczasem Albert przeżył i podobnie jak wielu innych marynarzy z HMS *Grenade* został przeniesiony na *Crested Eagle*.

Podczas ataku jedna z bomb trafiła w sam środek molo i zrobiła wielką wyrwę w pomoście. Tuż potem pojawił się drugi samolot, który, schodząc bardzo nisko, kosił ogniem maszynowym żołnierzy zeskakujących na molo z pokładu HMS *Grenade*. Bomba spadła także na pokład spacerowy stojącego po drugiej stronie molo, bliźniaczo podobnego do *Crested Eagle* parowca *Fenella*, głównie drewnianej konstrukcji, po czym kadłub statku został przebity odpryskiem betonu z molo. Kiedy trzecia bomba wysadziła w powietrze maszynownię, parowiec poszedł na dno tam, gdzie stał.

Mimo zamieszania, starano się utrzymać dynamikę Operacji Dynamo, zwłaszcza że przy nabrzeżu nadal stały nienaruszone statki gotowe przyjąć na pokład kolejne partie wojska. Wielu żołnierzy rzuciło się do ucieczki przed nalotem, biegnąc wzdłuż molo. Zagrodzili im drogę w swoich niebieskich mundurach porucznicy James Clouston, odpowiedzialny za porządek na molo, oraz Robin Bill, odpowiedzialny za poławiacze min, czyli trałowce. Udało im się zaprowadzić porządek, chociaż nie obyło się bez groźby użycia broni.

– Przypłynęliśmy tu po to, żeby zabrać was do Zjednoczonego Królestwa – zwrócił się Clouston spokojnym tonem do wzburzonej gromady w poszarpanych mundurach

i wyciągnął rewolwer. – Mam tutaj sześć nabojów, a strzelam całkiem nieźle. Stojący tu ze mną porucznik strzela jeszcze lepiej. To daje razem dwunastu z was. – Po czym, podnosząc głos, zawołał: – A teraz marsz z powrotem na te cholerne statki![18]

Interwencja Cloustona uspokoiła żołnierzy. Wielu zawróciło na pokład parowca *Crested Eagle*, który wyszedł z nalotu obronną ręką.

Trawler HMS *Pangbourne* został zaatakowany przez gromadę stukasów, kiedy zbliżał się do plaży. Porucznik był akurat na pokładzie. Najpierw usłyszał komendę:

– Kryć się!

Po czym zorientował się, że sam ją wydał. Uznawszy, że była słuszna, rzucił się na deski pokładu . Świst bomb zlał się z rykiem silników nurkującego samolotu. Świat oszalał:

Podnoszę się i widzę przed sobą obraz wzbudzający grozę. Wszędzie krew. Zakrwawione ludzkie szczątki, które jeszcze kilka sekund temu należały do ludzi, których znałem osobiście, leżą porozrzucane wokół w groteskowych pozach… Z trudem docieram na stanowisko celowniczego, który ma rozerwaną szyję, rozpruty brzuch i urwaną rękę. Nadal oddycha, jęcząc cicho.

Powiedziano mu, że obok statku eksplodowało kolejno pięć bomb, ale żadna nie trafiła w statek, który prawie nie ucierpiał. Wycierając twarz, porucznik zauważył, że ma zakrwawioną rękę. Spoglądając w dół, zobaczył, że lewa nogawka jego spodni jest jeszcze bardziej zakrwawiona. Zwrócono mu uwagę, że nie ma tylnej części kurtki

mundurowej. Kiedy zrzucił z ramion resztki munduru, okazało się, że ma także zerwany duży płat skóry, a po opuszczeniu spodni okazało się, że w nodze utkwiły odłamki szrapnela. Wtedy ponownie usłyszał odgłos nadlatującego stukasa. Przez moment rozbawiło go, że dał się złapać bez spodni, ale zaraz się zawstydził. Był w kabinie... ktoś zaszywał mu ranę... niezbyt wyraźnie widział... wokół było mnóstwo ludzi, mówili wszyscy naraz...

Tymczasem *Crested Eagle* odbijała od falochronu. Gęsto stłoczeni na górnym pokładzie żołnierze, z których wielu przeszło tam z *Grenade, Fenelli* i z uszkodzonych trałowców, zaczęli głośno wiwatować. Płynęli wreszcie do domu. Pod pokładami leżeli ranni w różnym stanie. Jeden z marynarzy tak to wspomina:

– Łoskot maszyn i warkot łopat wzbudził w nas nową nadzieję. Cieszyliśmy się świeżą bryzą, że odbijamy od brzegu w drogę powrotną do Dover.

Ponieważ jednak zbliżała się pora odpływu, *Crested Eagle* nie mógł płynąć prosto do Dover. Musiał najpierw skierować się na wschód, wzdłuż wybrzeża. Przez jakiś czas płynął spokojnie wzdłuż plaży pełnej żołnierzy. Kiedy dotarł do Malo-les-Bains, nadleciało stado stukasów. Widok nurkujących bombowców był przygnębiający. Trudno im się jednak dziwić, skoro wszelkie okoliczności sprzyjały zamiarom Luftwaffe, a parowiec za sprawą ogromnych drewnianych łopat zostawiał za sobą ślad dwa razy szerszy niż inne statki. Samoloty zanurkowały, działka przeciwlotnicze *Crested Eagle* się zacięły, spadły bomby.

Nawet w krótkich przerwach między kolejnymi atakami, nawet wzbijając się w górę, stukasy nadal pluły ogniem maszynowym z tylnych wieżyczek.

Nieopodal przepływał HMS *Pangbourne*. Ranny porucznik stracił przytomność, ale jeden z marynarzy obserwował z przerażeniem, jak na *Crested Eagle* spadał grad bomb, miażdżąc statek, który wkrótce stanął w ogniu. Widział żołnierzy w polowych mundurach, którzy skakali za burtę prosto w grubą warstwę paliwa wyciekającego ze statku. Niektórzy tonęli od razu, inni zginęli w płomieniach, kiedy paliwo zajęło się ogniem.

Jeden z członków załogi *Crested Eagle* opowiada, że domyślił się, że kolejna bomba uderzyła w statek, kiedy poczuł „nagły wstrząs, jakby podniósł nas jakiś olbrzym". Kiedy na statku wybuchł pożar, po pokładzie zaczęli biegać ludzie, którzy stracili całe płaty skóry. Minął go porucznik, którego rozpoznał tylko po dystynkcjach na hełmie, bo jego twarz była nie do rozpoznania.

Bernard Booth, kapitan *Crested Eagle*, zdołał osadzić statek na płyciźnie przy plaży Bray Dunes. Zanim do tego doszło, do morza wskoczył kolejny marynarz, nie zapominając przedtem zdjąć butów. Przepłynął wpław na pobliską plażę i dopiero kiedy wyszedł z wody, zobaczył, że z rąk zwisają mu strzępy spalonej skóry. Zebrani na plaży żołnierze patrzyli zdumieni na rozżarzony do czerwoności kadłub statku, który zatrzymał się obok nich, płonąc jeszcze przez wiele godzin. Jego szkielet do dziś wyłania się z morza podczas odpływu. Kiedy piszę te słowa, wyłoniło się

właśnie jedno z działek przeciwlotniczych, które czeka na uwolnienie przez jakiegoś kolekcjonera lub przez rząd francuski. Statek odwiedzają zbieracze małż oraz ci, którzy pragną złożyć hołd około trzystu poległym na nim żołnierzom. Jednym z nich był Albert, brat Vica Vinera.

W środę 29 maja odnotowano poważne straty w ludziach i statkach. Zniszczeniu uległy trzy niszczyciele i dwanaście innych dużych pływających jednostek. Mimo to zdołano uratować ponad 47 000 żołnierzy. Rankiem w czwartek, 30 maja, liczba wszystkich ewakuowanych wynosiła już 72 783, czyli znacznie więcej, niż przewidywała Admiralicja. Tej nocy jednak doszło do pewnego nieporozumienia, które mogło wywołać fatalne konsekwencje dla całej Operacji Dynamo.

Około godziny 19.00 do Dynamo Room w Dover Castle dotarła wiadomość telefoniczna wysłana przez przebywającego w sztabie lorda Gorta w De Panne oficera marynarki. Oficer ten, podobnie jak Charles Goodeve pracujący w departamencie *Wheezers and Dodgers* Admiralicji, nawiązał połączenie telefoniczne bez upoważnienia i przekazał informację, że port w Dunkierce został całkowicie zablokowany wrakami statków, w związku z czym ewakuacja może odbywać się wyłącznie od strony plaży.

Była to nieprawda i do dziś nie wiadomo, dlaczego oficer przesłał taki meldunek. Być może wpadł w nieuzasadnioną panikę w wyniku nalotu na molo. Nieco wcześniej, w trakcie nalotu, w Dynamo Room odebrano niewyraźny

meldunek radiowy z pokładu jednego z niszczycieli, z którego wynikało, że dalsze okrętowanie wojska z molo jest niemożliwe – co akurat było prawdą w chwili, gdy nadawano meldunek.

Zestawiając ze sobą te dwa meldunki, Ramsay doszedł do wniosku, że molo zostało wyłączone z akcji, jednak przed podjęciem jakichkolwiek dalszych decyzji potrzebował potwierdzenia. Tuż przed godziną 21.00 wysłał telegram do Tennanta z pytaniem, czy molo rzeczywiście jest zablokowane. Tennant odpowiedział, że nie jest. Jego meldunek nigdy jednak nie dotarł do Ramsaya, który wysłał następującą wiadomość do admirała Abriala w Bastionie 32:

Nie mogę nawiązać kontaktu z kapitanem Tennantem. Proszę o informację, czy transporty mogą nadal wchodzić do portu i cumować przy molo.

Również i tym razem pytanie Ramseya pozostało bez odpowiedzi. By uniknąć ryzyka, skierował wszystkie statki na plażę. Nocą, przy sprzyjającej pogodzie i rzadko pojawiających się samolotach Luftwaffe, do molo przybiły tylko cztery zbłąkane łodzie i jeden jacht. W ten sposób zmarnowano szansę zaokrętowania piętnastu tysięcy gotowych do drogi żołnierzy.

Następnego ranka ewakuacja przebiegała tak jak poprzednio, czyli statki powróciły do molo. Z tych mylnych meldunków (oraz im podobnych) wynika jednak, że jednym z głównych problemów Operacji Dynamo była komunikacja. Trudno się temu dziwić, zważywszy na warunki pospiesznej

improwizacji, w jakich operacja się rodziła. Tennant urządził swój sztab w wykopie przy końcu molo. Miał ze sobą drużynę sygnalistów złożoną z jednego oficera, podoficera i dwudziestu czterech sygnalistów. Niestety mieli bardzo skromny sprzęt, to znaczy kilka ręcznych flag sygnałowych i jeden reflektor morski, który nadawał się tylko do łączności z okrętami znajdującymi się w pobliżu wybrzeża.

Początkowo Tennant musiał wysyłać meldunki z francuskiej stacji radiowej w Bastionie 32 albo z cumujących przy falochronie niszczycieli, przekazując je radiotelegrafistom ręcznie. Dopiero 30 maja zdobył nadawczo-odbiorczy aparat radiowy typu Marconi TV5, za pomocą którego mógł, przynajmniej teoretycznie, komunikować się alfabetem Morse’a lub głosem. Jednak przez kilka pierwszych godzin aparat nie był w stanie nadawać, a po kilku dalszych godzinach całkiem odmówił posłuszeństwa z powodu zapiaszczenia generatora.

Tennant podjął więc kolejną próbę naprawienia sytuacji, instalując radiową stację Royal Corps of Signals na ciężarówce zaparkowanej w pobliżu Bastionu 32. Rozwiązanie okazało się znacznie skuteczniejsze, ponieważ nie trzeba już było polegać na cumujących w pobliżu statkach ani na dobrej woli Francuzów. Jednocześnie zmniejszyło się zagrożenie powstania kolejnych nieporozumień, podobnych do tego z 29 maja.

Warto dodać, że podczas gdy Tennant walczył o udoskonalenie kanałów komunikacji, sztab lorda Gorta,

który mieścił się w willi w De Panne, dysponował doskonałym kablowym połączeniem telefonicznym z Dynamo Room w Dover Castle[19]. Niestety dla Tennanta nie miało to znaczenia, ponieważ on sam mógł porozumiewać się z De Panne (podobnie jak z odcinkami plaży) wyłącznie za pośrednictwem łącznika motocyklisty. Trudności w porozumiewaniu się z poszczególnymi odcinkami plaży rzutowały na łączność między plażą a statkami stojącymi na morzu. Komunikowano się wyłącznie za pośrednictwem flag semaforowych albo reflektorów samochodowych, których używano jako morskich reflektorów sygnałowych.

Dopiero 30 maja Tennant otrzymał dwa telefony polowe, dzięki którym mógł nawiązać bezpośrednie połączenie z posterunkiem komendanta molo porucznika Cloustona. Chociaż ich stanowisk nie dzieliła duża odległość, z punktu widzenia Tennanta molo stanowiło najważniejsze ogniwo Operacji Dynamo. Clouston miał także megafon, przez który mógł wydawać polecenia i instrukcje. Megafon okazał się szczególnie użyteczny podczas zatoru w ewakuacji, kiedy porucznik Guy Maund, asystent Tennanta, pobudzał żołnierzy do działania, krzycząc:

– Chłopaki, nie zapominajcie o kolegach! Im szybciej wejdziecie na pokład, tym więcej ich się uratuje!

Wywołało to natychmiastową reakcję. Żołnierze zerwali się do biegu i w ciągu zaledwie dwóch godzin osiem niszczycieli przyjęło na pokład 8 528 pasażerów, a cztery statki pasażerskie dalszych 5 649.

Ogólny system komunikacyjny dowodzi, że Operacja Dynamo rzeczywiście opierała się na improwizacji i daleko jej było od doskonałości. Nie jest to jednak uwaga krytyczna, chodzi bowiem o niespodziewane okoliczności. W miarę upływu czasu Brytyjczycy coraz lepiej radzili sobie z przeciwnościami. Podobnie jak ci, którzy ponosili odpowiedzialność na znacznie większą skalę – za przyszłość kraju.

Ponieważ zaś Operacja Dynamo była improwizacją, do głosu dochodziły również sprzeczności interesów. Admiralicja zaniepokojona stratą tak wielu niszczycieli tylko w ciągu jednego dnia, 29 maja, nakazała wycofanie z operacji ośmiu najbardziej nowoczesnych jednostek. Utraty najsilniejszych okrętów obawiano się tam w równym stopniu, jak w dowództwie RAF-u niepokojono się o losy spitfire’ów i hurricane’ów.

Dla Ramsaya była to jednak decyzja tragiczna. Pozostawiała mu do dyspozycji zaledwie piętnaście niszczycieli, które miały stanowić podstawę całej Operacji Dynamo. I rzeczywiście, do końca ewakuacji przewiozły prawie 30% wszystkich uratowanych, znacznie więcej niż jednostki innych typów. Na szczęście już następnego dnia decyzję wycofania niszczycieli odwołano.

Niszczyciele, które powstały pod koniec dziewiętnastego wieku, były szybkie i dobrze uzbrojone. Doskonale nadawały się do Operacji Dynamo, chociaż ich prędkość i rozmiary stanowiły pewien problem dla mniejszych jednostek poruszających się zatłoczonym kanałem La

Manche. Na przykład holownik portowy z Dover *Lady Brassey* omal nie został staranowany przez jeden z niszczycieli pędzących w kierunku brytyjskiego wybrzeża z prędkością trzydziestu węzłów. Jeden z członków załogi holownika opowiadał, że widział setki przemoczonych mężczyzn stojących bezradnie na zalewanym przez fale przednim pokładzie okrętu, który parł przed siebie, nie zważając na to, co dzieje się wokół niego.

Niszczyciel zabierał jednorazowo na pokład od sześciuset do siedmiuset ludzi. Istnieją jednak relacje o kursach, podczas których zabrało się ponad tysiąc pasażerów. Niektórzy dowódcy niszczycieli kazali wyrzucać za burtę torpedy i bomby głębinowe, żeby zmieścić na pokładzie więcej ludzi. Według bosmana Ernesta Eldreda z HMS *Harvester*, żołnierze zajmowali każdy centymetr powierzchni okrętu. Stali na pokładzie górnym i w kasynie, w maszynowni i w korytarzu.

– Nie wolno było wchodzić tylko na stanowiska dział. W końcu okręt musiał się bronić albo ostrzeliwać pozycje artyleryjskie wroga na brzegu.

W efekcie niszczyciele były tak przeciążone, że miały problem z poruszaniem się podczas odpływu, szczególnie kiedy zawiodła sonda, jak na HMS Sabre. Kapitan statku polecił marynarzom, by sondowali głębokość po obu stronach statku za pomocą liny z przywiązanym na końcu ciężarkiem. Marynarze wykrzykiwali śpiewnie wyniki pomiarów „Mark 5!”, zupełnie jak dziewiętnastowieczni żeglarze na Missisipi[20].

Chociaż wielu żołnierzy wróciło do domu na pokładzie okrętów wojennych (niszczycieli lub jednostek saperskich), niewiele mniejsze zasługi – ponad dwadzieścia pięć procent uratowanych – wniosły statki pasażerskie. Były między nimi promy pasażerskie, promy samochodowe, duże statki spacerowe (jak na przykład *Crested Eagle*), holenderski *schuity* (płaskodenne łodzie dostosowane do żeglugi śródlądowej w Holandii), oraz wiele innych rodzajów łodzi i jednostek do przewozu pasażerów i towarów. Z dwudziestu kursujących kanałem La Manche parowców i statków towarowych w ramach usług linii kolejowej Southern Railway, pięć zostało zatopionych podczas ewakuacji. Przewoziły one wyjątkowo duże ilości żołnierzy. Prom *Tynwald* z Isle of Man potrafił pod koniec ewakuacji zabrać z molo jednym kursem trzy tysiące pasażerów.

Anthony Irwin wracał do domu na pokładzie innego promu z Isle of Man. Kiedy statek znalazł się pod ostrzałem artyleryjskim od strony wybrzeża, jeden z oficerów zaczął wołać, żeby wszyscy przenieśli się na przeciwległą burtę. Wybuchła panika. Irvin zanotował:

Niektórzy zaczęli się moczyć. Po prostu tracili nad sobą kontrolę.

Kilku rozsądnych członków jednostki Royal Tank Regiment zdołało zaprowadzić porządek, a kapelan wojskowy zdzielił rozhisteryzowanego oficera ołowianym prętem po głowie. Zaraz potem nadleciało sześć myśliwców messerschmitt 110, które otworzyły ogień maszynowy do pasażerów promu. Na pokładzie doszło do przerażających

scen. Przy schodni wyrosła ponad dwumetrowa sterta ciał. Irwin wraz z innymi żołnierzami odciągali zabitych na bok, żeby pomóc rannym. Porucznik czołgista, który dostał szesnaście pocisków w klatkę piersiową i brzuch, odmawiał przyjęcia morfiny, twierdząc, że ma jeszcze sporo do powiedzenia. Trzy godziny później zmarł.

Na większych okrętach panował jeszcze większy zamęt, czasem wynikający z całkiem prozaicznych powodów. Kucharz *Medway Queen* pamięta, jak skłębiony tłum wpadł nagle do messy i żołnierze podsuwali puste menażki oraz inne naczynia w nadziei, że dostaną coś do jedzenia.

– To nie byli głodni ludzie – mówił kucharz. – To były wygłodniałe zwierzęta, w większości zbyt wygłodniałe, żeby je było stać na kulturalne zachowanie.

Zdarzały się także przejawy zaskakującej delikatności i uprzejmości. Kapitan Humphrey Bredin znalazł się na pokładzie cumującego przy nabrzeżu promu z Isle of Man. Żeby wejść na pokład wśród spadających wokół bomb, musiał oprzeć stopę na zwłokach żołnierza, który zginął podczas nalotu. Po tym incydencie Bredin zaszył się w kącie statku. Po chwili pochylił się nad nim mężczyzna w eleganckiej białej kurtce.

– Czy jest pan stewardem? – zapytał Bredin.

– Tak, sir – odparł mężczyzna. – Czy mogę panu w czymś pomóc?

– Poproszę o szklankę piwa.

– Ależ oczywiście. Zapewne zna pan jednak regulamin, sir? Wolno mi podawać alkohol dopiero trzy mile od brzegu.

Kiedy statek minął granicę celną – nie mówiąc o stukasach – steward przyniósł piwo.

– Jak moglibyśmy przegrać wojnę, mając takich ludzi jak pan? – skomentował Bredin.

Trzeba dodać, że nie wszyscy stewardzi byli płci męskiej. Na promie *Dinard* linii Southern Railway, który zamieniono w szpital, służyła pięćdziesięciodziewięcioletnia Amy Goodrich, a na promie kolejowym Paris pracowała jako sprzątaczka wagonów pani Lee z Brighton. Dnia 2 czerwca Paris został zbombardowany i zatopiony, a pani Lee została zmieciona do morza przez ogień maszynowy. Wciągnięto ją na łódź ratunkową, ale szybko ponownie wpadła do morza, kiedy w pobliżu wybuchła kolejna bomba. Spędziła w wodzie półtorej godziny, zanim wyłowił ją holownik, na którym w końcu dopłynęła do Dover. Razem z nią ewakuowano pielęgniarkę Gladys Seeley, ciężko ranną w wyniku wybuchu pocisku w innej łodzi ratunkowej.

Na każdym ze statków szpitalnych służyło pięć lub sześć sióstr QUAIMNS[21]. John White, oficer służby medycznej na *Isle of Guernsey*, napisał:

Pracowały ciężko jak Trojanie.

I dodał, że znacznie ułatwiały mu zadanie, bo dobrze wiedziały, co mają robić. Szczególnie ciężko było podczas nalotów Luftwaffe. Statki szpitalne były pomalowane na biało i oznaczone dużymi czerwonymi krzyżami, to jednak nie tylko nie hamowało Niemców, lecz wydawało się zachęcać ich do ataków. White narzekał, że czerwone

krzyże sprawiają, że można do nich strzelać jak do kaczek. Rozżalony napisał:

Lepiej byłoby pomalować je na szaro i wyposażyć w działa.

Prom Isle of Guernsey padł ofiarą ataku z powietrza, kiedy stał przycumowany przy molo. Wokół statku, na którym przebywało tysiąc pacjentów, w tym czterystu dziewięćdziesięciu rannych na noszach, gęsto padały bomby. White widział wielu zdrowych żołnierzy, którzy korzystając z zamieszania, wspinali się na pokład, postanowił jednak nie interweniować. Statek Isle of Guernsey wyszedł w morze. Wszystkie łóżka były zajęte, a na podłodze, w korytarzach, w messie i w kabinach leżały nosze. Oprócz fizycznie rannych wielu cierpiało na traumę wojenną:

Ich mózg nie wytrzymywał tylu nocy i dni pełnych napięcia, nie dostatku i przerażenia.

Umieszczano ich w osobnej strzeżonej kabinie i aplikowano zastrzyki uspokajające.

Podczas bombardowania niektóre statki szpitalne nie mogły podpłynąć do molo, pielęgniarka na pokładzie statku St Julien, odbyła sześć kursów do Dunkierki. Jej statek dobił do molo tylko dwa razy:

Każdy pusty kurs powrotny wywoływał w nas bezradność i przy gnębienie, ale kiedy każdy skrawek pokładu zajmowali ciężko ranni żołnierze, czuliśmy uniesienie.

Ta wypowiedź Josephine Kenny, w której egzaltacja miesza się z rozpaczą, ilustruje skalę i głębię skrajnych

uczuć towarzyszących Operacji Dynamo.

Isle of Guernsey uratował lotnika RAF-u Kena Newtona, który musiał opuścić samolot, skacząc do morza po przegranej potyczce powietrznej. Podobnie jak Collins w filmie Chrisa Nolana, został wyciągnięty z wody przez marynarzy, którzy wychylając się za burtę, żeby wciągnąć go na pokład, zginęli od serii posłanej przez niemiecki samolot. Relacja z ataku niemieckiego myśliwca na statek szpitalny, który ratuje tonącego lotnika, to wystarczający powód do odrzucenia wszelkich spekulacji, jakoby Hitler dał przyzwolenie na ucieczkę Brytyjczyków. W żadnej relacji z wydarzeń z maja i czerwca 1940 nie ma dowodów na istnienie jakiegoś „złotego mostu".

Kilku żołnierzom udało się zrealizować pomysł, na który wpadają w filmie Tommy i Gibson, mianowicie wnieśli na pokład nosze z rannym i zostali na statku, żeby wrócić do domu. Kapral Charles Nash z Royal Army Service Corps, który przenosił na molo nosze z rannymi, został przywołany przez żandarma:

– Dawaj je tutaj! Mamy jeszcze trochę miejsca! Kto chce jeszcze wejść na pokład?

Nash wdrapał się na kuter i po kilku godzinach był w domu. Dźwiganie noszy nie było łatwe zwłaszcza na zniszczonym molo. Żołnierzom z formacji Duke of Cornwall's Light Infantry przypadło w udziale zadanie przeniesienia po molo setki pacjentów na noszach na pokład korwety HMS *Kingfisher*. Podobnie jak Tommy i Gibson, nawet podczas bombardowania musieli

przechodzić z noszami po wąskiej desce przerzuconej nad wyrwą po bombie.

W czwartek, 30 maja wieczorem, admirał Frederic Wake-Walker i kapitan William Tennant jedli proszoną kolację w siedzibie sztabu lorda Gorta w willi w De Panne, którą Wake-Walker opisał jako pretensjonalny domek z widokiem na morze[22]. Na deser oficerowie spożyli sałatkę owocową z puszki, po czym raczyli się ostatnią butelką szampana z zasobów lorda Gorta. Wake-Walker był poirytowany uwagą Gorta, który stwierdził, że podczas gdy armia w stanie praktycznie nienaruszonym zdołała przeprowadzić z powodzeniem akcję odwrotową, marynarka królewska nie stara się zbytnio pomagać w ewakuacji. Wake-Walker próbował wskazać rozmaite utrudnienia, lecz obecny przy stole generał Oliver Leese przerwał mu, narzekając na „nieudolność marynarki". Wake-Walker mógł tylko powściągnąć wzburzenie. Po kilku dniach ewakuacji nie zdarzył się żaden cud.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
CUD

W czwartek, 30 maja, pod koniec dnia liczba ewakuowanych żołnierzy wynosiła 126 606, niemal trzykrotnie więcej niż przewidywała Admiralicja. Według najświeższych raportów dochodzących z przyczółka obronnego wokół Dunkierki, który pozostawał w rękach aliantów dzięki wysiłkom kilku tysięcy żołnierzy z tylnej straży, mógł on utrzymać się jeszcze przez dwie doby. Zła widoczność pozwalała chwilowo odpocząć od Luftwaffe. 30 maja po raz pierwszy ewakuowano z plaży więcej ludzi (29 512) niż z molo (24 311).

Warunki panujące na plaży były pod pewnymi względami bardziej sprzyjające niż na molo. Na przykład inaczej zachowywały się bomby spadające na piasek. Bomba, która uderza w twardą powierzchnię, na przykład w molo, rozrzuca odłamki w dużym promieniu i powoduje poważne obrażenia wśród ludzi.

– Bomba, która uderza w piasek – tłumaczy John Wells, który obsługiwał działo przeciwlotnicze na statku *Princessa* – najpierw wydaje głuchy odgłos, potem rozsypuje wokół grudy piachu. I na tym koniec.

Arthur Lobb z Royal Army Service Corps przypomina sobie, że kiedy bomba wybucha w piasku, to człowiek czuje, że ziemia pod nim dziwnie się unosi.

Co wcale nie znaczy, że na plażach było bezpiecznie. Od bomb wybuchających na piasku zginęło wielu mężczyzn. Poza tym, jak przypomina Robert Halliday z Royal Engineers, nie było gdzie i jak ukryć się przed ogniem lotniczych karabinów maszynowych. Równie trudno było wydostać się z plaży, ponieważ czasem nie przypływały żadne łodzie.

30 maja, w czwartek, sierżant Leonard Howard z tej samej formacji Royal Engineers ruszył w morze piechotą, licząc na to, że w końcu trafi się jakaś łódź, która go podwiezie. Wkrótce jednak zrezygnował, bo łodzie nie nadpływały. Jeśli łódź pojawiała się, to żołnierze toczyli między sobą walki o miejsce na pokładzie. Arthur Joscelyne, który tego samego dnia przyprowadził prawie pod sam brzeg swoją barkę, która zazwyczaj kursowała po Tamizie, opowiada, że natychmiast rzuciła się do niej gromada żołnierzy.

– W każdej chwili mogliśmy się wywrócić – mówi John. Jeden z oficerów marynarki stanął na dziobie, wyciągnął rewolwer i zagroził, że zastrzeli każdego, kto wejdzie do łodzi bez jego zezwolenia. Żołnierze uspokoili się i wchodzili na barkę zgodnie z narzuconym porządkiem, grzecznie, jak skarcone dzieci. – Byli w takim stanie, że od razu kładli się gdzie popadnie i natychmiast zasypiali.

Leonard Howard był świadkiem podobnego zdarzenia. Do brzegu podpłynęła mała łódź i żołnierze zaczęli się bezładnie przepychać, co groziło, że rozchybotana łódź zaraz się wywróci. Jeden z nich uczepił się rufy. Dowodzący

łodzią marynarz kazał mu się odczepić, ale żołnierz nadal się trzymał, więc marynarz strzelił mu prosto w głowę.

Howard twierdzi, że postąpił właściwie, ale widok był okropny:

– Na plaży panował chaos nie do opanowania – komentuje na koniec.

Podobnych relacji jest wiele, a większość z nich dotyczy zachowań ekstremalnych, spowodowanych wyjątkową sytuacją, w jakiej znaleźli się ludzie. Żołnierze mieli za sobą tragiczne przejścia i wiedzieli, że o ich losie mogą zadecydować nawet drobne zdarzenia i przypadki. W ten sam czwartek Colin Ashford z Highland Light Infantry widział dziesiątki ciał młodych żołnierzy wyrzuconych na brzeg.

– Leżeli porozrzucani w różnych pozach, niektórzy nadal kurczowo ściskali w rękach karabiny. Były ich setki, jak okiem sięgnąć. – Jego zdaniem żołnierze zginęli na zatopionym nieopodal parowcu[23].

Inny uczestnik ewakuacji twierdzi, że najbardziej wstrząsnął nim widok martwych ciał, które unosiły się na fali przypływu. Odtworzono to na filmie w scenie, w której jedna z postaci obojętnym ruchem odpycha pływające zwłoki.

Zdarzały się także szokujące przypadki rozmyślnej złośliwości i przemocy. Pewien oficer wszedł w posiadanie łodzi wiosłowej i pilnował jej, stojąc w wodzie i czekając na swoich ludzi. Zanim się pojawili, został zaatakowany przez grupę innych żołnierzy, którzy grożąc bronią, odebrali mu

łódź, a potem szyderczo śmiali się z niego. Trzeba pamiętać również takie relacje. Na plaży znaleźli się przecież różni, dobrzy i źli ludzie, i niczego nie powinno się pomijać milczeniem.

Natomiast kapitan George Ledger z Durham Light Infantry stał pierwszego czerwca na plaży w kolejce do łodzi i miał zupełnie inne odczucia.

– Można by pomyśleć, że nie ma żadnej wojny – wspomina. – Wszędzie panował wzorowy porządek. Żołnierze stali w kolejkach i tylko na widok samolotu opuszczali je, szukając schronienia wśród wydm.

Nie ulega wątpliwości, że sprawna organizacja sprzyjała właściwemu postępowaniu i obdarzaniu się wzajemnym zaufaniem. Dwudziestotrzyletni Vic Viner, który nadzorował desant na plaży Bray Dunes, miał za zadanie „zaprowadzić porządek w chaosie”. Wspomagali go inni oficerowie, pilnując porządku w kolejkach, które formowały się na dystansie wielu kilometrów na dalszych odcinkach plaży. Viner miał rozkaz użyć rewolweru i w uzasadnionych przypadkach „strzelać, żeby zabić”. Viner znalazł się w poważnym kłopocie, kiedy pewien oficer usiłował wyłamać się z kolejki, krzycząc:

– Jestem kapitanem! Mam prawo wejść pierwszy!

– Proszę pozostać na swoim miejscu! – polecił Viner.

– Do jasnej cholery, ty chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia!? – wrzasnął oficer.

Widząc, że Vic wyciągnął już rewolwer, jakiś zwalisty sierżant grzecznie poradził oficerowi:

– Lepiej niech go pan posłucha, sir, bo straci pan życie!

Oficer spojrzał na Vica, Vic odwzajemnił spojrzenie. Obserwowała ich cała kolejka. W końcu oficer wycofał się na swoje miejsce.

Vic wyciągał broń jeszcze dwa razy, ale, jak mówi:

– Oni wszyscy byli w szoku i bardzo chcieli wrócić do domu.

Vic wspomina, że pod jego nadzorem nikt nie czekał w kolejce na plaży dłużej niż trzy dni, chociaż zdarzało się, że trzeba było stać dziesięć godzin w wodzie po pachy. Bywało, że przy wzburzonym morzu łodzie nie mogły zabrać nikogo na pokład. Tymczasem co najmniej dwa, trzy razy dziennie, a czasem nawet częściej atakowały stukasy. Mimo wszystko Viner przyznaje, że miał więcej szczęścia niż koledzy na innych odcinkach, ponieważ plaża Bray Dunes znajdowała się poza zasięgiem niemieckiego ostrzału artyleryjskiego.

Do dziś prześladuje go jedno tragiczne wspomnienie:

Tylu popełniało samobójstwo. Wchodzili do wody. „Hej, stary! Dokąd idziesz? Chodź z nami!”. „Nie, ja idę”. „Ale dokąd idziesz?”. „Do domu. Tam jest Anglia”. Mówię mu: „Wiem, ale jak wejdziesz dalej do wody, to utoniesz”. A oni szli dalej... Byli wyczerpani, rozbici i zdezorientowani. Ten obraz został mi przed oczami na zawsze.

Ta relacja Vica wywarła tak wielkie wrażenie na Chrisie Nolanie, że umieścił ją w filmie bez żadnych zmian. Scena została potwierdzona przez wielu innych uczestników

ewakuacji. Leonard Howard twierdzi, że żołnierze wbiegali do morza, nie wytrzymując napięcia panującego na plaży.

– Byli pod wpływem ogromnego stresu i nie było sposobu, żeby im pomóc.

Także na pełnym morzu spotykano żołnierzy, którzy próbowali dopłynąć wpław do Anglii. Jedna z łodzi ratunkowych natknęła się na desperata, który płynął w ten sposób niemal w pełnym oporządzeniu. Na widok łodzi zaczął wołać o pomoc. Pasażerowie błagali dowódcę, żeby go zabrał, ten jednak odmówił, twierdząc, że nie może ryzykować życia ludzi na pokładzie. Żołnierz został z tyłu zdany na pastwę losu.

Stojący w kolejce na plaży mieli większą szansę dostać się na pokład łodzi, jednak niektórym nie odpowiadało czekanie w kolejce. Tak więc nie tylko Robert Halliday zajmował się budowaniem tratwy ze zdemontowanej skrzyni ciężarówki. Na plażach prowadzono wiele innych przedsięwzięć. George Wagner, młody żołnierz z Royal Engineers, prywatnie miłośnik tańca, mówi, że podczas gdy większość leżała bezczynnie na piasku, on znalazł motocykl i jeździł nim po plaży w tę i z powrotem. Z kolei Colin Ashford, zapalony artysta, zamiast stać w kolejce, szkicował jeden ze stojących w morzu niszczycieli[24].

– Uznałem, że to strata czasu – wyjaśnia.

Norman Prior pomagał spychać z mielizn do morza mniejsze łódki wyładowane pasażerami. Jednym z bardziej produktywnych zajęć, jakiemu mógł poświęcić się żołnierz przebywający na plaży, była pomoc przy budowie pomostu

z ciężarówek. To jeden z doskonałych przykładów przymusowej improwizacji. Nie wiadomo, kto wpadł na ten pomysł. Nie ulega wątpliwości, że pierwszy pomost powstał 30 maja na plaży Bray Dunes. Podjeżdżano do linii odpływu porzuconymi wozami ciężarowymi, samochody wypełniano workami z piaskiem, przestrzeliwano opony, wiązano samochody razem, a na dachach układano deski, tworzące pomost. Podczas przypływu taki sznur pojazdów sięgał daleko w głąb morza. Skonstruowano co najmniej dziesięć takich pomostów. Niektóre były nawet wyposażone w barierki. W efekcie wydajność akcji ratunkowej gwałtownie wzrosła[25].

Na plaży dochodziło też do zaskakująco wzruszających zachowań, na przykład kiedy starsi żołnierze udzielali rad młodszym towarzyszom broni. Jeden z podoficerów tak to opisał:

Zdawaliśmy sobie sprawę, że ci młodzi i trochę słabsi psychicznie chłopcy przechodzili ciężką próbę. Dlatego pomagaliśmy im, jak kto potrafił.

Widziano pewnego siwego sierżanta, który pocieszał młodziutkiego żołnierza, trzymając jego głowę na kolanach.

Przede wszystkim jednak dominowały lęk, niepokój, a nawet czyste szaleństwo. Jeden z oficerów był tak przerażony, że na widok samolotu wkładał do ust korek od szampana, tłumacząc, że zmniejsza w ten sposób ciśnienie w razie wybuchu bomby. Lęk często kojono modlitwą. Żołnierze modlili się w samotności, jak George Purton

z Royal Army Service Corps, który mimo że wcale nie był religijny, prosił:

– Boże, pomóż!

Inni uczestniczyli w mszach odprawianych na plaży. Norman Prior zaintonował hymn kościelny, kiedy samolot myśliwski zaczął ostrzeliwać zgromadzenie wiernych ogniem maszynowym.

– Nie mam pojęcia, gdzie się podział ksiądz – opowiada – ale wszyscy się rozbiegli, a kto nie zdążył, zginął lub został ranny.

Byli też tacy, którzy przestali liczyć na ratunek. Nazywano ich „mieszkańcami wydm". Budowali sobie domy w jamach wygrzebanych w piasku i przykrytych blachą falistą, wykorzystując wszystko, co wyrzuciło morze. Po prostu ludzie próbowali na różne sposoby unikać konfrontacji z rzeczywistością, budując domy na wydmach, popadając w obłęd czy popełniając samobójstwo. Patrick Barrass z Essex Regiment po przybyciu na plażę wymyślił czwarty sposób, a mianowicie zamknął się w porzuconym ambulansie i zasnął.

– Zostawiłem na zewnątrz cały jazgot tej wojny.

Plaże otworzyły więc przed wojskiem drogę ucieczki nawet jeśli nie do Anglii, to dokąd się da.

Jednym z ciekawych i godnych odnotowania zjawisk towarzyszących odwrotowi i ewakuacji armii było formowanie się merytokracji, czyli przywództwa ludzi obdarzonych kompetencjami. Działo się tak z rosnącej przewagi naturalnego przywództwa i siły osobowości nad

podległością służbową i hierarchią. W zaistniałych warunkach wszyscy zostali sprowadzeni do podobnego stanu, to znaczy nosili podobne mundury polowe, podobnie się wyrażali i mieli podobne szanse na przetrwanie. Trudno o bardziej jednoznaczną ilustrację tego faktu niż spotkanie pewnego szeregowca z generałem Haroldem Alexandrem, dowódcą 1. Dywizji Piechoty.

– Wyglądasz mi na ważniaka. Wiesz może, jak złapać stąd jakiś statek do Anglii? – zwrócił się szeregowiec do generała.

Po chwili namysłu generał wskazał dłonią kierunek i powiedział:

– Idź za nimi, synu!

– Dzięki, stary – odparł szeregowiec. – Dobry z ciebie kumpel, najlepszy, jakiego spotkałem od kilkudziesięciu kilometrów.

Tylko w krainie takiej anarchii, jaka panowała pod Dunkierką, szeregowy mógł odważyć się na to, by rozmawiać z generałem Alexandrem jak równy z równym. Ponieważ zaś generał miał dość pewności siebie oraz cieszył się naturalnym autorytetem, mógł bez obawy w taki sposób odpowiedzieć zwykłemu szeregowemu.

Nie wszyscy zasługiwali na taki szacunek. Powszechne pod Dunkierką lekceważenie regulaminowych zasad postępowania ob nażyło prawdziwą rangę wielu oficerów. George Purton przyznaje, że pod Dunkierką odmówił oficerowi wykonania rozkazu.

– W normalnych warunkach – mówi – postawiono by mnie przed sądem wojennym, ale nie tam.

Taki stan nie trwał zbyt długo, lecz przez pewien czas, na tym szczególnym obszarze normalne reguły po prostu nie miały zastosowania.

Powstaje pytanie, czy zważywszy na wszystkie przeciwności i w obliczu zagrożenia życia żołnierze Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych byli przerażeni?

George Wagner twierdzi, że się nie bał.

– Zawsze wiedziałem, że wrócę do domu.

Ted Oates wspomina, że na plaży nachodziły go refleksje natury nieco filozoficznej.

– Jeśli dostanę się do niewoli, to przynajmniej będę miał okazję nauczyć się niemieckiego.

Arthura Lobba gnębił niepokój, że może nie przeżyć. Podobnie George Purton martwił się, czy ucieczka mu się powiedzie. Vic Viner, który spędził na plażach więcej czasu niż ktokolwiek, przyznaje, że na widok nadlatujących stukasów ogarniało go śmiertelne przerażenie. Dwadzieścia lat później wróciło do niego w postaci załamania nerwowego. Marynarz Stanley Allen, który służył na HMS Windsor i obserwował z bliska ewakuowanych żołnierzy, obawiał się, że Dunkierka oznacza koniec brytyjskiego stylu życia.

Biorąc pod uwagę tak liczne niepokoje oraz ciężkie warunki, w jakich znaleźli się żołnierze, można przypuszczać, że zachowali oni elementarne podstawy dyscypliny jedynie dzięki optymizmowi, gotowości do walki

i wielkiej odwadze. Wszystko to zdałoby się jednak na nic, gdyby zabrakło łodzi i okrętów, którymi mogli wrócić do kraju.

W piątek 31 maja – szóstego dnia Operacji Dynamo – społeczeństwo Wielkiej Brytanii po raz pierwszy usłyszało o ewakuacji. Nagłówki gazet z niesłabnącym entuzjazmem donosiły, że, cytując *Daily Express*:

Dziesiątki tysięcy żołnierzy wróciły już bezpiecznie do domu. Co dziennie nocą i dniem przypływają następni.

W artykule wstępnym Daily Mail czytamy:

Dzisiaj spadł nam kamień z serca. Duma, jaką napawa nas brytyjska odwaga, łączy się w naszych sercach z głęboką radością. Jesteśmy dumni z tego, że nasi rodacy wytrwali w wielkiej bitwie, która toczyła się na kanale La Manche. Cieszymy się, że ogromna część Armii Brytyjskiej zdołała uniknąć nieuchronnej zagłady.

Czy jednak rzeczywiście Brytyjczykom spadł kamień z serca?

Z analizy danych brytyjskiego ośrodka badawczego Mass Observation wyłania się obraz bardziej skomplikowany i znacznie ciekawszy. Raport na temat nastrojów społecznych z 1 czerwca stwierdza, że wiadomość o ewakuacji wcale nie dodała otuchy przeważającej większości Brytyjczyków:

Ludzie nie bardzo wiedzą, co oznacza aktualna sytuacja militarna. Sądzą jednak, że należy uznać swoją porażkę. Niemniej pojawiają się również opinie, że to może nas

zmobilizować do tego, by w końcu pokazać Niemcom, jaki naprawdę jest Naród Brytyjski.

Mamy więc do czynienia ze spontanicznym przejawem Ducha Dunkierki, który sprawił, że społeczeństwo poczuło pewną ulgę. Nie było potrzeby narzucania go z góry, co podkreślono w piśmie wysłanym nazajutrz z Mass Observation do poszczególnych ministerstw. Zaznaczono w nim, że większość Brytyjczyków całkowicie podziela przekonanie o konieczności prowadzenia wojny i jest gotowa w nim trwać.

W tym przekonaniu można społeczeństwo utwierdzić tylko od ważnym przywództwem oraz intensywnym, twórczym wykorzysta niem propagandy.

Innymi słowy, społeczeństwo brytyjskie samodzielnie wzbudzało w sobie ducha walki. Zadanie rządu miało polegać na tym, by tego ducha pobudzać, wspierać i rozpowszechniać. Na tak podatny grunt miały paść wkrótce pamiętne słowa orędzia Churchilla do narodu oraz radiowego przemówienia J. B. Priestleya.

Co nie znaczy, że wszyscy odczuwali to samo i postępowali w taki sam sposób. Według wspomnianego raportu na temat nastrojów społecznych z 1 czerwca, chociaż doniesienia o ewakuacji dodawały społeczeństwu otuchy, relacje na temat jej przebiegu wzbudzały także pewien niepokój. Trzydziestojednoletnia pracownica instytutu Mass Observation z Birmingham pisze we wspomnieniach, że nie była w stanie myśleć ani mówić o niczym innym, jak tylko o ewakuacji. Brat jej przyjaciółki,

który właśnie wrócił z Francji, przysłał pocztówkę, obiecując, że opowie, „jak przeklęty Hitler rozpieprzył Brytyjskie Siły Ekspedycyjne”. Autorka pamiętnika pisze, że chociaż zazwyczaj nie była skora do płaczu, odkąd dowiedziała się, co spotkało żołnierzy, nie mogła przestać płakać. Dodaje też jednak, że:

Panuje pogodny nastrój, nikt nie jest przygnębiony. Zdarzają się chwile zwątpienia, ale nie wywołują smutku.

Bardzo obawiała się natomiast niemieckiej inwazji. Jej zdaniem większość ludzi ma niewielkie pojęcie o tym, jak by to mogło wyglądać – ile spowodowałoby ofiar, jak wielki wywołałoby zamęt i przerażenie. Przeżyła jakoś ten dzień, ale wiedziała, że zdarzy się coś strasznego.

Targające nią sprzeczne uczucia i zagubienie między lękiem, przez konieczność okazania odwagi, aż do banału – dają wyraziste pojęcie o panujących wówczas nastrojach społecznych. Każdy z nas zachowywałby się zapewne podobnie w takiej sytuacji w swojej ojczyźnie. Kilka dni później kobieta zaszyła się w „zajęczej norze”, podobnie jak żołnierze na plaży, ponieważ:

Niepokój i udręka zwiększały tylko mój rozstrój nerwowy, stworzyłam więc sobie w głowie pewien rodzaj pustki, która pozwalała mi nie myśleć o tej bitwie.

Tak jak wielu innych Brytyjczyków, ta kobieta starała się jednak zagłuszyć swoje lęki w sposób produktywny. Pisze, że angażowała się „w obronę lokalną”. Takie zachowanie potwierdza odnotowane w raporcie z 1 czerwca dążenie do samodzielnego działania „na rzecz wsparcia tej wojny”.

Wezbrała więc fala pracy ochotniczej jako spontaniczny przejaw jedności, która miała wkrótce zespolić kraj i zmienić na zawsze jego charakter.

Podczas gdy wojsko cierpiało we Francji i Belgii, w kraju można było obserwować, jak w reakcji na lęki oraz jako alternatywa ucieczki rodził się Duch Dunkierki. Przetrwanie wymagało jednak równoważenia lęku wciąż podsycaną nadzieją.

Tymczasem we Francji 31 maja lord Gort przekazał dowództwo generałowi Alexandrowi i powrócił do Anglii[26]. Lord wolałby zostać do końca operacji. Jednak Churchill nie zamierzał stwarzać machinie goebbelsowskiej propagandy szansy, jaką stworzyłoby pojmanie w niewolę lorda Gorta. Z pewnością ustawiano by dowódcę Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych przed nazistowskimi kamerami i fotografowano by go w bezradnej pozie u boku Hitlera. Taka perspektywa była nie do zniesienia.

31 maja sytuacja pod Dunkierką nie była łatwa. Na morzu chłodny wiatr powodował wysoką falę, jednak co gorsza brakowało łodzi. Wprawdzie poprzedniego dnia, w czwartek, musiało przybyć ich dużo, skoro zdołano ewakuować niemal trzydzieści tysięcy żołnierzy, ale potrzeby wciąż były większe.

W piątek o świcie wojsko mogło tylko przyglądać się stojącym na redzie pustym okrętom marynarki wojennej i statkom cywilnym. Na domiar złego ogień artyleryjski skierowany na molo zmuszał coraz więcej statków

pasażerskich do przeniesienia się w kierunku plaży. Wkrótce miało się to zmienić.

Tego dnia, w piątek 31 maja, zrodziła się prawdziwa legenda Dunkierki. Bowiem właśnie w tym dniu na kanale La Manche pojawiła się prawdziwa armada. Z Ramsgate wypłynęła w kierunku Dunkierki długa procesja statków żeglugi przybrzeżnej, różnego rodzaju barek portowych, kutrów, trałowców, holowników, łodzi ratunkowych i motorowych, statków pożarniczych, szalup, bączków, czółen, pinek, jachtów i Bóg wie czego jeszcze. Ciągnęła się prawie osiem kilometrów. Frederick Eldred, który oglądał ją z pokładu HMS *Harvester*, mówi, że był to fantastyczny widok:

– Wszystkie rodzaje łodzi wypłynęły w morze jak podczas wakacji.

Porucznik Frank Howell z 609. Dywizjonu RAF-u po wykonaniu niskiego przelotu[27] nad kanałem tak pisał w liście do brata:

Warto było widzieć tę flotę morską rozciągniętą między Anglią a Dunkierką. Chyba już nigdy nie zobaczę tylu statków różnych rozmiarów i kształtów na takim kawałku morza.

Łodzie i statki nie pojawiły się jednak za sprawą czarów. Już od dwóch tygodni pod kierunkiem admirała sir Lionela Prestona, szefa tajemniczego wydziału Admiralicji zwanego Bazą Małych Jednostek (Small Vessels Pool), przewidywano, że mogą się one do czegoś przydać. Dnia 14 maja admirał Preston opublikował w wiadomościach radia BBC (oraz

w periodyku żeglarskim) ogłoszenie nakazujące właścicielom łódek o określonych wymiarach i z napędem własnym przesłanie pod adresem Admiralicji swoich danych w terminie do czternastu dni. Był to początek rekwizycji prywatnych jachtów i łodzi motorowych, ale nie miało to nic wspólnego z ewakuacją z Dunkierki. Preston potrzebował wówczas łodzi do różnych celów obronnych, włącznie z trałowaniem min magnetycznych.

Ewakuacja, która – jak pamiętamy – początkowo uznawana była za raczej niewykonalną, z biegiem czasu wydawała się coraz bardziej możliwa, a potem całkiem prawdopodobna. Kiedy więc szansa ocalenia okazała się realna, admirał Ramsay ogłosił, że potrzebne będą łodzie do ewakuacji wojsk z plaż Dunkierki. Już 27 maja, dzień po rozpoczęciu Operacji Dynamo, potrzeba stała się pilna. Z uwagi na czasochłonność porządkowania danych, które nadeszły w odpowiedzi na radiowy apel BBC, postanowiono pobierać jednostki bezpośrednio z przystani wzdłuż Tamizy i przy ujściach rzek. Douglas Tough z przystani Tough Brothers Boat yard w Teddington, został upoważniony przez admirała Prestona do zajęcia każdej łodzi, którą uzna za odpowiednią. Kilka z nich już znajdowało się w jego przystani. Pozostałe znalazł podczas penetrowania rzeki w górę i w dół. Jedni właściciele chętnie oddawali swoje łodzie, inni protestowali, jednak na próżno. Pewien mężczyzna, sądząc, że jego łódź padła łupem złodziei, tropił ją do samego ujścia Tamizy, po czym wezwał policję.

W końcu Tough zgromadził w przystani ponad setkę łodzi, podobnie uczyniło wielu jemu podobnych właścicieli przystani i szkutników. W tym samym czasie ludzie admirała Ramsaya badali inne źródła jednostek pływających, od statków desantowych, po łodzie ratunkowe okrętów linii oceanicznych. Po usunięciu mniej przydatnych elementów wyposażenia wszystkie jednostki holowano do Sheerness, gdzie oddawano je pod tymczasową opiekę załogi złożonej przeważnie z członków Royal Navy[28]. Z tego powodu wielu właścicieli, którzy dobrze znali swoje łodzie, nie mogło uczestniczyć w rejsie do Francji, natomiast załogom złożonym często z emerytowanych marynarzy lub rezerwistów brakowało doświadczenia w nawigowaniu małymi łodziami. Rezultat łatwo było przewidzieć. Wiele jednostek ulegało awarii, inne osiadały na mieliznach lub tonęły. Wieczorem 28 maja radio BBC nadało kolejny komunikat, tym razem wzywający do zgłoszenia się osoby cywilne posiadające umiejętności żeglarskie. Czyli Admiralicja w milczeniu przyznała się do błędu. Potrzebne były nie tylko łodzie, lecz także ludzie, którzy potrafili je skutecznie obsługiwać. Ze wszystkich improwizacji towarzyszących Operacji Dynamo żadna nie była tak bardzo amatorska jak historia Małych Statków.

W dzienniku pokładowym holownika *Sun IV*, kursującego zazwyczaj po Tamizie, można znaleźć dobrą ilustrację tego, w jaki sposób działał ten system. Dnia 1 maja holownik wypłynął z doków Tilbury do Ramsgate, gdzie przybył przed południem. Wczesnym południem został wyposażony

w działa, obsadzony załogą w składzie dwóch oficerów marynarki oraz kilkunastu marynarzy i wyruszył do Dunkierki, ciągnąc na holu kilka mniejszych łodzi.

Kilka godzin później, w drodze do Francji, holownik dostał się w kilwater niszczyciela. Lewa burta statku wciśnięta została pod wodę, trzech marynarzy wpadło do morza. Jednego wyłowił przepływający obok statek, drugi dryfował, wołając, że nie umie pływać. *Sun IV* szybko odzyskał równowagę, odczepił holowane łodzie i zwolnił, żeby zająć się poszukiwaniem zaginionych marynarzy. Odnaleziono jednego z nich i wciągnięto na pokład. Drugi zniknął. Po dziesięciu minutach bezowocnych poszukiwań Sun IV zebrał holowane łodzie i dołączył do konwoju. W ten sposób odnotował pierwszą stratę na długo przed dotarciem do wybrzeża Francji.

O godzinie 22.30 holownik zakotwiczył na redzie naprzeciw plaży i rozpoczął wysyłanie łodzi na brzeg. Zabrały na pokład holownika łącznie osiemdziesięciu dwóch żołnierzy. Sun IV zawiózł ich do Ramsgate i zaraz zawrócił po następnych.

Również tego dnia z Leigh-on-Sea wypłynęła flota sześciu małych kutrów z cywilną załogą. Po drodze lotnictwo niemieckie zrzuciło na statki sześć bomb. Kuter *Leona* omal nie został trafiony jedną z nich.

– Spadły tak blisko – mówi jeden z członków załogi, Alf Leggett – że widziałem na nich żółte napisy.

Ani Leggett, ani żaden z jego towarzyszy rybaków nigdy przedtem nie widział bomby. Byli tak wstrząśnięci, że

wszyscy, jak jeden mąż, poczuli nagle pilną potrzebę fizjologiczną i rzucili się do burty, żeby oddać mocz.

Inny kuter, *Renown*, miał rankiem następnego dnia awarię silnika. Po południu został odholowany z powrotem do domu przez kuter *Letitia*, który z kolei był holowany przez statek żeglugi przybrzeżnej. Kiedy korowód zbliżał się po ciemku do Ramsgate, kuter *Letitia* natknął się na minę kontaktową z opóźnionym zapłonem. Niczego nieświadom przepłynął obok niej, po czym mina wybuchła kilkanaście metrów za nim, pod dnem *Renown*. Na pokład kutra *Letitia* posypał się grad drzazg, zerwała się lina holownicza. Z kutra Renown i jego załogi nie pozostało nic.

Trzeci kuter, *Endeavour*, również był holowany z powodu uszkodzenia steru. Wcześniej z powodzeniem przewoził żołnierzy z plaży na molo. Wrócił bezpiecznie do Ramsgate z kompletem pasażerów na pokładzie. Pływa do dziś. I występuje w filmie Chrisa Nolana.

W filmie występuje zresztą wiele prawdziwych Małych Statków spod Dunkierki. Trudno o lepsze świadectwo rzetelności filmu niż wykorzystanie jak największej liczby oryginalnych rekwizytów. Uznanie należy się także właścicielom statków i łodzi, licznym miłośnikom historii oraz Stowarzyszeniu Małych Statków Dunkierki, dzięki którym jednostki te utrzymane są nadal w doskonałym stanie. Kuter *Endeavour* stanowi tego doskonały przykład. Mimo że zatonął w roku 1987, został odbudowany staraniem członków Nautilus Diving Club. Przy

sprzyjającym szczęściu i dobrych wiatrach ma przed sobą jeszcze długą przyszłość.

Obok kutra *Endeavour* w filmie pojawiają się także jachty motorowe: *Elvin, Hilfranor, Mary Jane, Mimosa, Nyula, White Feather* i *Papillon*, żaglówka pomocnicza typu kecz *Caronia*, parowiec łopatkowy *Princess Elizabeth*, łódź motorowa *New Britannic* oraz Motor Torpedo Boat 102. Historia każdej z nich warta jest odrębnej opowieści.

Tymczasem we wtorek wieczorem 28 maja, słuchając wiadomości radia BBC, emerytowany porucznik Archie Buchanan zwrócił uwagę na apel Admiralicji skierowany do osób posiadających doświadczenie w dziedzinie silników okrętowych i nawigacji przybrzeżnej. Nazajutrz zameldował się na przystani Suffolk, gdzie powierzono mu dowództwo jachtu motorowego *Elvin* z załogą w składzie: emerytowany rybak oraz autor opowiadań morskich.

Trzej żeglarze płynęli bez mapy wzdłuż wybrzeża. Rybak prowadził *Elvina* na pamięć. Dotarli do Ramsgate w piątek po południu i od razu zawrócono ich do Suffolk. Ledwie tam dotarli, Buchanan dostał telefoniczne wezwanie do natychmiastowego powrotu do Ramsgate. W Ramsgate nie dostali zezwolenia na rejs do Dunkierki. Władze stwierdziły, że *Elvin* jest na taki rejs zbyt wolny, a jego załoga za mało doświadczona. Buchanan i jego towarzysze byli tak rozgoryczeni sposobem, w jaki ich potraktowano, że mimo to wypłynęli.

– Nie mieliśmy zielonego pojęcia – mówi Buchanan – na czym polega ta operacja ani co mamy robić. Włączyliśmy

się naszą obrażoną łodzią do ruchu, biorąc kurs prosto na pożary Dunkierki.

Mimo drobnej usterki silnika w trakcie podróży, Elvin dobił do molo w poniedziałek rano. O tej porze na plaży Dunkierki pozostali głównie żołnierze francuscy. Jeden z nich zawołał:

– *Combien de soldats?*

Buchanan zrozumiał, że pyta, ilu żołnierzy może wejść na pokład. Ponieważ nie wiedział, jak powiedzieć po francusku „dwadzieścia pięć” , ale wiedział, jak jest trzydzieści, krzyknął:

– *Trente!*

W ten sposób na pokładzie *Elvina* znalazło się o pięciu Francuzów za dużo.

Buchanan miał nadzieję, że przekaże ich po drodze na jakiś inny statek, ale *Elvin* poruszał się tak wolno, że wszystkie statki zdążyły go wyprzedzić.

– Nie wiedzieliśmy, gdzie jest rozminowany korytarz, ale wydawało nam się, że przy zanurzeniu około dwóch metrów i przy dość wysokim przypływie prawdopodobieństwo natknięcia się na minę było niewielkie.

Można śmiało powiedzieć, że *Elvin* wykonał swoje zadanie, bezpiecznie przybijając do Ramsgate z dwudziestoma pięcioma Francuzami i pięcioma Anglikami na pokładzie. I jeśli jakaś wybrana opowieść ma uosabiać Ducha Dunkierki, to jest nią właśnie historia kutra *Elvin* i jego niezwykłej załogi.

Statek *Hilfranor* (którego dziwaczna nazwa jest akronimem od imion Hilda, Frances i Nora, trzech córek pierwszego właściciela) znalazł się wśród jednostek zapełniających przystań Teddington, gdzie zgromadził je Douglas Tough.

Douglas usunął na statku ścianki między kabinami, żeby zmieściło się więcej żołnierzy. *Hilfranor* dotarł do Dunkierki, lecz został porzucony nieopodal plaży z powodu uszkodzenia szkieletu statku podczas bombardowania. Mimo to zdesperowani żołnierze francuscy zepchnęli statek do morza, odbili od brzegu i przez cały czas wybierając wodę, dopłynęli aż do Goodwin Sands, gdzie statek byłby w końcu niechybnie zatonął, jednak szczęśliwie wziął go na hol i przyciągnął do Ramsgate napotkany po drodze brytyjski trałowiec.

New Britannic to zbudowana w 1930 roku łódź motorowa o długości 16,5 m z otwartym pokładem, wyposażona w potężny napęd, zarejestrowana do przewozu 117 pasażerów. Wyruszyła do Dunkierki z Ramsgate we wtorek 28 maja po południu i przybyła na miejsce w środę rano. Natychmiast przystąpiono do załadunku żołnierzy z plaży De Panne, żeby dostarczyć ich na pokład oczekujących w głębi morza na redzie niszczycieli i statków pasażerskich. *New Britannic* świetnie nadawała się do tego celu. Prawdopodobnie przez cały okres ewakuacji przewieziono przy jej pomocy na większe jednostki ponad trzy tysiące żołnierzy. Podobne dokonania miało wiele innych mniejszych łodzi, prawdziwych koni pociągowych Operacji

Dynamo. Ich znaczenia nie da się przecenić. Łódź *New Britannic* wróciła do Ramsgate z osiemdziesięcioma trzema pasażerami na pokładzie.

Łódź *White Heather* przewiozła wprawdzie mniej żołnierzy niż *New Britannic*, ale miała podobne przygody. Wypłynęła z Dunkierki 1 czerwca, przewożąc wojsko z plaży na większe statki czekające dalej od brzegu, po czym odbyła jeszcze trzy kursy do Anglii i z powrotem z żołnierzami na pokładzie. Po wojnie właścicielem *White Heather* został komandor Stowarzyszenia Małych Statków Dunkierki.

Pierwsze zadanie *Princess Elizabeth*, przedwojennego promu pasażerskiego z Isle of Wight, w ramach Operacji Dynamo polegało na czterokrotnym przeczesywaniu kanału wokół plaż Dunkierki w celu wykrycia i niszczenia min. Było to zadanie wyjątkowo niebezpieczne, w trakcie którego zniszczeniu uległy trzy inne statki. Następnie, 29 maja, *Princess Elizabeth* wraz z sześcioma trałowcami, podwoziła żołnierzy z plaży De Panne na duże okręty. Wracała jeszcze do Dunkierki dwukrotnie, zabierając 4 czerwca, pod sam koniec ewakuacji, w swoim ostatnim kursie do Anglii 329 żołnierzy francuskich. Podczas wszystkich czterech kursów uratowała życie 1 673 żołnierzy.

Niewykluczone, że wiele Małych Statków uczestniczących w Operacji Dynamo nie doczeka się już nigdy należnego im uznania, ponieważ ich dzienniki albo zaginęły, albo nigdy nie istniały. Na przykład wkład jachtu motorowego *Papillon* w ewakuację odnotowany został jedynie w zachowanych

szczęśliwym zbiegiem okoliczności prywatnych zapiskach komendanta portu w Dover. *Papillon* został zarekwirowany i popłynął do Dunkierki 2 czerwca z czteroosobową załogą cywilnych ochotników, mimo oficjalnego stwierdzenia defektu silnika. Dzień później jacht wrócił do Dover.

Zarekwirowany dla potrzeb marynarki wojennej statek rybacki z roku 1927 *Caronia*, którego pierwszy tamtego lata połów sardynek miał pokryć koszty budowy, należy właśnie do grona Małych Statków, których historia podczas Operacji Dynamo pozostanie nieznana. Znacznie lepiej udokumentowano jego rolę w latach sześćdziesiątych, kiedy zaopatrywał słynną piracką stację Radio Caroline.

Mimosa, Mary Jane i *Nyula* to kolejne trzy łodzie, weteranki Dunkierki, których dokonania są stosunkowo mało znane. Wiadomo, że *Mimosa* odbyła trzy rejsy do Dunkierki i z powrotem pod dowództwem porucznika Dixona. *Mary Jane* była, jak na tamte czasy, jachtem komfortowym i doskonale wyposażonym. Uffa Fox, ceniony brytyjski projektant jachtów, nazwał łódź „najbardziej przytulnym jachtem, na jakim spałem”. Ciekawe, czy żołnierze Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych mieli okazję docenić zalety zainstalowanego na łodzi nowoczesnego centralnego ogrzewania. Z kolei *Nyula* pojawiła się po raz pierwszy na Motor Boat Exhibition w Olympii w roku 1933, gdzie opisywano ją jako „bardzo zgrabną 40-stopową łódź wycieczkową, jedną z najciekawszych łodzi nadających się do żeglugi morskiej”. Podczas misji do Dunkierki

wyposażono ją w niemieckie działko z pierwszej wojny światowej.

Jednym z ocalonych i godnych szczególnej uwagi członków floty Małych Statków jest torpedowa łódź motorowa *MTB 102.* Jej rola w historii Operacji Dynamo przypomina postać w powieści, która pojawia się zawsze w kluczowych momentach fabuły. *MTB 102* miała na pokładzie jeden z pierwszych modeli radaru. Polecono jej zgłosić się w Dover w pierwszym dniu ewakuacji. Następnego dnia admirał Ramsey polecił załodze „podskoczyć do Dunkierki i zameldować się u kapitana Williama Tennanta, który powie, jak można pomóc". 31 maja *MTB 102* miała ewakuować do Anglii lorda Gorta i jego sztab, jednak z powodu powtarzających się, jak wiemy, przekłamań w komunikacji, nadal przyjmowała na pokład żołnierzy z plaży De Panne z zamiarem ich ewakuacji do Dover. Dzień później bezpiecznie przywiozła admirała Wake-Walkera z HMS *Keith* do Dunkierki, żeby następnie zabrać go z powrotem do Dover. Na maszt wciągnięto pospiesznie wymalowaną na obrusie flagę brytyjską. Po wykonaniu zadania *MTB 102* wróciła do Dunkierki, żeby tym razem, w ramach ostatniej misji, zabrać do Dover kapitana Tennanta i generała Alexandra. Jakby tego było mało, 5 czerwca wróciła raz jeszcze do Dunkierki z admirałem Wake-Walkerem, tym razem jednak tylko po to, żeby uczynić port niezdatnym do użytku przez Niemców.

Wszystkie wymienione statki uczestniczyły zarówno w wielkim wydarzeniu historycznym, jak i w jego fabularnym filmowym odtworzeniu, w którym grają same siebie. W filmie występuje też wiele jednostek, które odtworzono na podstawie źródeł historycznych. W jednej ze scen filmu porucznik Bolton pyta jednego z szyprów, czy pochodzi z Deal, widząc kadłub łodzi o poszyciu zakładkowym, typowym dla łodzi plażowych z Deal. Taka właśnie łódź z Deal pod nazwą *Dumpling* brała udział w ewakuacji. Wykonała siedem kursów w obie strony między plażami i statkami, zanim zatonęła wciągnięta w kilwater przepływającego w pobliżu niszczyciela. To przykry koniec dla tak pięknej łodzi zbudowanej jeszcze w czasach Napoleona. Jej szyper liczył sobie ponad siedemdziesiąt lat. Inna obecna pod Dunkierką łódź tego typu z Deal nazywa się *Lady Haig* i z powodzeniem pływa do dziś.

Oczywiście nie tylko występujące w filmie łodzie mają swoje rzeczywiste pierwowzory. W filmowych postaciach Tennanta, Wake-Walkera, Cloustona i Ramsaya widzowie mogą rozpoznać prawdziwe postaci historyczne. Szczególnie ciekawym ucieleśnieniem kilku postaci historycznych w jednej osobie jest George, chłopiec, który przemierza kanał La Manche na pokładzie *Moonstone*.

Inny interesujący przykład to osiemnastoletni Harold Porter, członek załogi Renown, małego kutra do połowu małż, który natknął się na minę kontaktową i wyleciał

w powietrze wraz z całą załogą. O Haroldzie tak pisano w Daily Mirror z 7 czerwca 1940:

Osiemnastolatek, jeden z bohaterów spod Dunkierki, nie odnosił sukcesów w szkole. Z powodu wątłego zdrowia nie miał osiągnięć ani przy tablicy, ani na boisku. Pewnego dnia zwrócił się do ojca: „Żałuję, że nie najlepiej idzie mi w szkole, ale pewnego dnia wpiszą mnie na listę zasłużonych”.

Pewne podobieństwa zachodzą także między postacią George’a i Joem Reedem, piętnastoletnim członkiem załogi łodzi motorowej New Britannic, która również pojawia się w filmie. Podobno podczas nalotów niemieckich Joe wielokrotnie wskakiwał do morza, żeby wyławiać i wciągać na pokład rannych. W wywiadzie udzielonym *Daily Mail* 5 czerwca 1940 roku jego ojciec tak o nim mówił:

– To dzielny chłopak. Ale mój dziadek, mój ojciec i ja sam nieraz przepływaliśmy przez kanał, dlatego powinien dać sobie radę.

Inny piętnastolatek, Reg Vine, członek Sea Cadets, charytatywnej organizacji kadetów morskich, został sierotą – stracił matkę i został porzucony przez ojca. Pewnego dnia, w maju 1940, dowiedział się od oficera, że „wychodzi w morze” na łodzi motorowej *Rummy II*. Już nazajutrz płynął w dół Tamizy do Ramsgate, gdzie wydano mu karabin. Łódź została wyprowadzona w morze przez holownik. Dopiero wtedy powiedziano mu, że *Rummy II* będzie ratować żołnierzy brytyjskich, a jego rola ma polegać na wiosłowaniu w łodzi ratunkowej.

Kiedy *Rummy II* zbliżała się do brzegu, rozległ się potężny huk, jakiego Reg nigdy w życiu nie słyszał. Potem zobaczył pływające w wodze części ludzkich ciał i dostał torsji. Próbował uspokoić żołądek, wyobrażając sobie, że jest w rzeźni u swojego wujka i że widzi fragmenty ciał zwierząt. Po przybiciu do Dunkierki *Rummy II* odesłano na plażę De Panne. Reg i jego koledzy, również kadeci morscy, najpierw transportowali żołnierzy łodzią ratunkową z plaży na pokład *Rummy II*, która następnie płynęła z nimi do większych okrętów stojących dalej od brzegu. Wykonywali więc cały łańcuch czynności, zaczynający się od łodzi wiosłowej Rega na jednym końcu, aż do niszczyciela Royal Navy na drugim.

Reg sypiał na pokładzie *Rummy II*, która przywiązana była do burty niszczyciela. Pamięta, że widział żołnierzy francuskich, którzy rozbierali zwłoki żołnierzy brytyjskich, żeby ubrać się w ich mundury. Scena ta odtworzona jest w filmie.

Z kolei Gerald Ashcroft, harcerz o specjalności żeglarskiej, był członkiem załogi na 62-stopowym żaglowcu morskim typu pinasa pod nazwą *Sundowner*. Skipperem żaglowca był Charles Lightoller, najwyższy stopniem oficer, który przeżył katastrofę Titanica w roku 1912. Początkowo *Sundowner* miał płynąć pod komendą oficera marynarki, ale Lightoller przekonał stosowne władze, że jako kapitan niszczyciela podczas drugiej wojny światowej posiada wystarczające doświadczenie, żeby doprowadzić żaglowiec do Dunkierki.

– Nie będzie to rejs dla przyjemności – ostrzegał Geralda. – Ale jeśli chcesz się z nami zabrać, z przyjemnością weźmiemy cię na pokład.

Sundowner uratował ostatecznie 130 żołnierzy płynących niszczycielem uszkodzonym podczas nalotu. Ashcroft opowiada, że wchodząc na pokład statku, żołnierze byli bardzo przygnębieni i wciąż powtarzali, że zawiedli swoją ojczyznę.

– Próbowaliśmy im jednak uświadomić, że to nieprawda – zapewnia.

Wreszcie postacią historyczną, którą może przypominać filmowy George, jest czternastoletni Albert Barnes, prawdopodobnie najmłodszy cywilny uczestnik Operacji Dynamo. Albert pracował jako pomocnik kucharza na kursującym po Tamizie holowniku *Sun XII*. Ponieważ nie uprzedzono go, że statek wyrusza do Dunkierki, nie zdążył poinformować o tym rodziców. Po powrocie z rejsu do domu wziął kąpiel, po czym przespał całą dobę.

– A rano do pracy, jak co dzień – wspomina Barnes. – I znowu to szorowanie, zmywanie i parzenie herbaty.

Jednak George, podobnie jak większość postaci występujących w filmie, nie jest wzorowany dokładnie na żadnej konkretnej osobie. Uosabia pewien typ chłopca, który istniał w roku 1940.

Jednym z takich chłopców był siedemnastolatek Jim Thorpe. Kiedy to piszę, Jim jest prawie na pewno ostatnim żyjącym uczestnikiem operacji, który przypłynął do Dunkierki na jednym z Małych Statków. Urodził się

w listopadzie 1922 i mieszka teraz w Marylandzie w USA. Widziałem się z nim pod koniec marca w roku 2017. Powiedział mi wtedy, że jego brat Arthur mieszkał nad Tamizą i był zapalonym wodniakiem. W maju 1940 Arthur poprosił Jima o pomoc.

– W czym mam ci pomóc? – zapytał Jim.

– Potrzebny mi jest ktoś taki jak ty na cały weekend – odparł brat.

Kiedy nadszedł czas wyjazdu, Jim wciąż nie wiedział, dokąd się wybierają i po co. Albert powiedział tylko:

– Jedziemy z pomocą.

Pogoda im sprzyjała, więc dopłynęli szczęśliwie do francuskiego wybrzeża w otoczeniu wielu innych łodzi. Jim był zaskoczony ogromną ilością żołnierzy zgromadzonych na plaży i tym, że stali w kolejkach zanurzeni po pas w wodzie.

Podprowadzili łódź jak najbliżej brzegu i wyłączyli silnik. Żołnierze natychmiast rzucili się tłumnie na pokład.

– Robili to bezładnie i nerwowo – opowiada Jim. – Wszyscy próbowali wejść do łodzi jednocześnie. Zawołałem „Zaczekajcie!”. Kiedy znaleźli się na pokładzie, powiedziałem, gdzie mają stać, spychając ich z rufy na dziób, żeby można było uruchomić napęd.

Jim mówi, że przepływał kanał wiele razy. Niemieckie samoloty wiele razy ostrzeliwały łódź, a żołnierze strzelali do nich z karabinów. Czy wiedział, jak ważne wypełnia zadanie?

– Nie, o tym się w ogóle nie myśli. Myślisz tylko o tym, żeby tych ludzi zabrać. Oni próbowali coś zrobić dla nas. Więc myślisz sobie, że trzeba ich stąd zabrać!

Mówiliśmy tu o różnych rodzajach Małych Statków i ich załogach. Ale w zamieszaniu i improwizacji, które towarzyszyły działaniom wokół Dunkierki, zdarzały się także bardzo dziwne jednostki pływające obsługiwane przez załogi złożone z niezwykłych ludzi. Robert Newborough, płynąc z Dunkierki do Anglii na pokładzie statku Fleet Air Arm, napotkał kajak zmierzający w kierunku przeciwnym.

– Chłopie, co ty robisz, do cholery? – zawołał Newborough.

– Mam jeszcze jedno wolne miejsce! – wyjaśnił kajakarz.

Kapitan jachtu parowego SY *Killarney* był świadkiem bodaj najbardziej ryzykownej próby przepłynięcia kanału La Manche. Mijał grupę złożoną z oficera armii francuskiej i dwóch żołnierzy belgijskich, którzy usiłowali dostać się na wyspy brytyjskie na drzwiach. Między pasażerami jednostki stały, chwiejąc się na fali, trzy wielkie butle wina.

Wśród floty Małych Statków znalazła się także łódź motorowa *Advance* obsługiwana przez trzech brodatych cywilów, którzy wyglądali na piratów.

– Brakuje im tylko pirackiej flagi – zauważył ktoś z obserwatorów i nie był pewnie zbyt daleki od prawdy, ponieważ już po dwóch dobach po przybyciu do wybrzeży Anglii dwaj załoganci Advance wylądowali w areszcie pod zarzutem złamania Regulation 18B. Byli bowiem członkami Brytyjskiego Związku Faszystów.

Ciekawe, że przy tak dużej różnorodności typów ludzkich, na pokładach Małych Statków nie spotykało się kobiet. Z pewnością nie ma kobiety wśród członków Stowarzyszenia Małych Statków Dunkierki, co nie przeszkodziło dziennikowi *The Times* z 6 czerwca 1940 w opublikowaniu artykułu pod tytułem „Kobiety wśród ochotniczych załóg”. Autor twierdził, że co najmniej jedna kobieta otrzymała zezwolenie na przeprowadzenie Małego Statku do Dunkierki. Dokonała tego, przeprowadzając rozmowę z Admiralicją głosem tak niskim, że wzięto ją za mężczyznę. Niestety nie ma żadnych dowodów na potwierdzenie tej historii. Tuż po zakończeniu Operacji Dynamo krążyła tak wielka ilość pogłosek i plotek, że nawet *The Times*, mógł się nabrać na jedną z nich.

Ważne wydarzenia historyczne są podatne zarówno na plotkę, jak i na tak zwane powszechne przekonanie. Jeszcze do niedawna panowało powszechne przekonanie, że cud Operacji Dynamo dokonał się wyłącznie za sprawą legendarnych Małych Statków. Załogi statków miały się składać z nieustraszonych Anglików w rodzaju Clema Minivera, którzy pewnego ciepłego wieczoru wychodzą z pubu, wskakują na swoje łodzie i dwa dni później wracają zmęczeni i milczący, żeby nigdy nie puścić pary na temat tego, co im się przydarzyło. Oczywiście jest to fałszywa konfabulacja i żałosne przerysowanie, które nie ma absolutnie żadnego oparcia w faktach. Nie mniej fałszywy jest pogląd odwrotny, według którego tylko nieliczni żołnierze zawdzięczają życie Małym Statkom i że stanowiły

one nieistotny przerywnik w ewakuacji przeprowadzonej przede wszystkim przez Royal Navy.

Prawda zaś jest taka, że Małe Statki, wśród których zaskakująco wiele miało załogi złożone z cywilów, odegrały w Operacji Dynamo bardzo ważną rolę. Po pierwsze, wraz z przybyciem tej małej floty ewakuacja nabrała wyraźnego przyspieszenia. Po drugie, Małe Statki przywiozły do domu więcej żołnierzy, niż się powszechnie sądzi. A stało się tak, ponieważ wiele łodzi wypełnionych po brzegi żołnierzami przemierzało kanał na holu za większymi jednostkami. Kiedy konwój docierał do Anglii, mniejsze statki cumowały przy większych, żołnierze przechodzili na pokłady dużych jednostek i dopiero stamtąd schodzili na ląd. W związku z tym mniejszym jednostkom nie przypisywano żadnych zasług, a bywało, że niektóre w ogóle nie figurowały w rejestrach uczestników Operacji Dynamo.

Gdyby jednak Małe Statki nie uczyniły nic więcej poza transportowaniem żołnierzy z plaż na większe jednostki, to i tak zasługują na pełne uznanie za ratowanie życia każdego przewiezionego żołnierza. Bo gdyby nie one, ów żołnierz pozostałby na plaży i wpadł w ręce wroga. Dlatego udział Małych Statków w Operacji Dynamo należy uznać za bardzo istotny, bez roztrząsania teoretycznej kwestii ich wpływu na Ducha Dunkierki.

Tymczasem w miarę jak statków przybywało, zwłaszcza po 31 maja, i ewakuacja przybierała na sile, kurczył się stopniowo przyczółek obronny wokół Dunkierki. Bezpośrednim tego skutkiem była konieczność relokacji

sześciu tysięcy żołnierzy z plaży De Panne na plażę w Bray Dunes. Pułkownik Stephen Hollway z Royal Engineers opowiada, że kiedy dotarł na plażę De Panne, powiedziano mu, że nie przypłyną już żadne łodzie. Wkrótce stracił przytomność, nie wiadomo, czy z powodu wybuchu pocisku, czy z powodu wyczerpania. Kiedy ją odzyskał, była sobota rano i wokół niego nie było żywej duszy. Wszystkie plaże wschodnie opustoszały.

W filmie jest to moment znamienny. Tommy, Gibson, Alex i Highlanderzy, znalazłszy się na opustoszałej ziemi niczyjej, urządzają się we wraku zatopionego holenderskiego trawlera. Wojska alianckie zniknęły, lada moment pojawią się Niemcy.

W Operacji Dynamo nie odnotowano znaczącego udziału statków holenderskich, jeśli nie liczyć wszędobylskich łodzi przybrzeżnych typu schuits. Istnieje natomiast wzmianka o pewnej holenderskiej łodzi do połowu węgorza pod nazwą *Johanna*, która znalazła się w Dunkierce pod koniec maja.

W piątek 31 maja Winston Churchill poleciał swoim ulubionym flamingiem do Paryża na spotkanie najwyższej alianckiej rady wojennej – Allied Supreme War Council. Delegacje francuska i angielska zasiadły przy stole naprzeciw siebie. Churchill przywoził pomyślne wieści. Do południa ewakuowano 165 000 żołnierzy, a więc znacznie więcej, niż się spodziewano.

– Ilu Francuzów? – zapytał Weygand.

– Jak dotąd, jedynie piętnaście tysięcy – odparł Churchill. Ta wiadomość akurat nie była zbyt dobra.

Weygand zastanawiał się, jak zakomunikować francuskiej opinii publicznej tę rażącą dysproporcję. Po prostu należy ewakuować więcej Francuzów. Churchill przyznał mu rację. Ponieważ zależało mu bardzo na udziale Francji w tej wojnie, postanowił zadbać o poprawę relacji brytyjsko-francuskich. Zaproponował więc, by od tej chwili ewakuowano taką samą liczbę żołnierzy francuskich i brytyjskich.

Przygotowano projekt telegramu do admirała Abriala w Bastionie 32. W telegramie znalazła się uwaga, że po upadku przyczółka wojska brytyjskie mają podczas ewakuacji pierwszeństwo przed francuskimi. Churchill uniósł się słusznym oburzeniem:

– *Non! Partage – bras dessus, bras dessous!* – Czyli: „Nie! Wymiana – ramię w ramię, ramię w ramię!”.

Wyjaśnił, co ma na myśli, pokazując na migi dwie osoby obejmujące się przy pożegnaniu. Posunął się nawet jeszcze dalej. Pod wpływem nagłego uniesienia zobowiązał się, że Brytyjczycy będą bronić przyczółka do upadłego, żeby umożliwić ucieczkę Francuzom.

W zasadzie było to rozwiązanie mało realistyczne. Należało się raczej spodziewać, że Francuzi będą bronić swojej ojczyzny, a Anglicy uciekać do swojej. Dlatego Francuzi zapamiętają obietnicę Churchilla jako klasyczny przykład angielskiej perfidii, równie poważnej jak zatajenie planów ewakuacji[29].

Stosunki między żołnierzami francuskimi i brytyjskimi zależały od okoliczności oraz indywidualnych preferencji

lub uprzedzeń. Obie strony odczuwały rozgoryczenie, przy czym Francuzi skupiali się na rzekomej zdradzie Brytyjczyków, Brytyjczycy zaś na rzekomo słabym wyszkoleniu armii francuskiej. Dysonans ten często dawał o sobie znać podczas ewakuacji. Na filmie pokazano, jak niechętnie wpuszczano żołnierzy francuskich do kolejek i do łodzi. Robert Newborough mówi, że starał się w pierwszej kolejności zabierać Brytyjczyków. Uważał to za swój obowiązek.

– Czasem człowiek zachowywał się trochę bezlitośnie i wołał: Tylko Anglicy!

Wydaje się jednak, że po rozkazie Churchilla o jednoczesnej ewakuacji Francuzów i Brytyjczyków rzeczywiście dokładano starań, by zachować równowagę. I mimo że przyczółek obronny się kurczył, to w piątek 31 maja odnotowano rekordowy sukces ewakuacji: ogółem zabrano 68 014 ludzi, w tym 22 942 z plaż i 45 072 z molo. Łączna liczba uratowanych żołnierzy wzrosła do 194 620.

W sobotę rano pierwszy wyruszył z Dunkierki *Whippingham*, parowy prom łopatkowy z Isle of Wight z 2 700 żołnierzami na pokładzie. Tak duża liczba ewakuowanych świadczy o tym, że działano pod silną presją czasu. *Whippingham* omal się nie wywrócił, kiedy podczas nalotu wszyscy pasażerowie próbowali schronić się pod osłoniętą stroną pokładu.

Około godziny ósmej rano admirał Wake-Walker, stojąc na mostku niszczyciela HMS *Keith* na wysokości Bray Dunes, dostrzegł w oddali zbliżającą się formację stukasów. Trzy

samoloty odłączyły się i zanurkowały w kierunku statku. Tak zaczął się pierwszy z pięciu kolejnych nalotów bombowych na *Keith*. Pierwszy atak był niecelny, chociaż najbliższa bomba spadła niecałe dziesięć metrów od statku. Podczas następnego ataku jedna z bomb wpadła do głównego komina i wysadziła podpokładzie. Widząc, co się dzieje, zakotwiczona nieopodal łódź motorowa *MTB 102* podpłynęła z pomocą. Korzystając z okazji, admirał Wake-Walker przesiadł się na nią. Ataki trzeci i czwarty osłabiły *Keith* jeszcze bardziej. O godzinie 9.15 podczas ostatniego ataku statek został za topiony. Pozostała po nim tylko rozległa plama oleju pośród której kilku żołnierzy bezskutecznie walczyło o życie.

Pod wieczór podjęto decyzję o zaprzestaniu ewakuacji za dnia z molo i z plaży. Baterie artylerii niemieckiej opanowały już niektóre odcinki kanału i niezbędny załadunek mógł odbywać się stosunkowo bezpiecznie tylko pod osłoną nocy.

Niedziela okazała się dla aliantów dniem zmiennego szczęścia. Poniesiono najwyższe straty w statkach, lecz liczba zaokrętowanych osiągnęła poziom niemal tak wysoki jak poprzedniego dnia. Ewakuowano 64 429 żołnierzy, w tym 47 081 z molo. Łączna liczba wszystkich uratowanych żołnierzy wynosiła już 259 049.

Koniec operacji był w zasięgu wzroku. Zanim do niego doszło, warto jednak przez chwilę spojrzeć na Operację Dynamo z pewnej perspektywy, żeby wyobrazić sobie warunki, jakie panowały na tym obszarze. Pierwsze, co

uderzało nowo przybyłych, to potworny hałas. Dunkierka była bardzo głośna. Rozlegały się strzały z różnego rodzaju broni, nad głową fruwały i eksplodowały pociski, ryczały stukasy (zwłaszcza te, które nadal były wyposażone w syreny). Hałas był niejednorodny, lecz na tyle głośny, że niemal wszyscy musieli krzyczeć, toteż cierpieli na bezustanną chrypę, stąd tak zwane gardło Dunkierki.

W rzadkich chwilach względnego spokoju i ciszy rozlegały się westchnienia przypominające odgłos wiatru między drutami telegraficznymi. Były to jęki rannych. Słyszano także śpiewy. Repertuar popularnych przebojów spod Dunkierki obejmował między innymi takie ulubione utwory ironiczne, jak „Oh I Do Like to Be Beside the Seaside", „We're Going to Hang out the Washing on the Siegfried Line" i „Three Hundred Men Went to Walk, Walk along the Sand Dunes" (na melodię „One Man Went to Mow"). Chętnie śpiewana była pieśń patriotyczna „There'll Always be an England", szczególnym powodzeniem cieszyła się „Home on the Range". A Francuzi często śpiewali „Marsyliankę".

Żołnierze używali takich wyrażeń, jak *„It's a Blighty move"*, co miało znaczyć „wracam do Anglii" (*Blighty* – pieszczotliwa nazwa Anglii) albo *„Make for the black smoke"*, czyli „ iść/jechać do Dunkierki". Podczas rozmów nie szczędzono mocnych słów i ordynarnych przekleństw, nieodzownych w wyrażaniu zdecydowanych męskich opinii. Jednym z najbardziej zaskakujących dźwięków była cisza, jaka zapadała po każdym nalocie.

– Było ją słychać bardziej niż panujący przed nią bezustanny hałas – zauważyła pewna pielęgniarka QUAIMNS.

Drugiego czerwca, w niedzielę, brytyjskie działania osiągnęły punkt kulminacyjny. Generał Alexander otrzymał rozkaz utrzymania przyczółka możliwie jak najdłużej w celu zmaksymalizowania liczby ewakuowanych. Kapitan Tennant szacował, że do ewakuacji pozostało pięć tysięcy Brytyjczyków plus wycofujące się oddziały obrony przyczółka w sile czterech tysięcy. Ramsay uważał, że w mieście ukrywa się jeszcze około dwóch tysięcy ludzi (niektórzy mogli pozostawać tam co najmniej od tygodnia, czyli od chwili, kiedy miasto opuścił Anthony Rhodes). Wszystkich można było ewakuować w ciągu następnych dwunastu godzin[30]. Mając to na względzie, Tennant wysłał godny lorda Nelsona meldunek do niszczycieli i trałowców:

Dzisiejszej nocy odbędzie się ostatni etap ewakuacji. Naród Brytyjski oczekuje od Marynarki Jego Królewskiej Mości właściwego przeprowadzenia tej operacji. Wszystkie statki niezwłocznie złożą raport o gotowości przyjęcia wezwania, wykazując się wytrwałością i odwagą.

O godzinie piątej po południu wyruszyła z Dover potężna flotylla, by zabrać wszystkich pozostałych żołnierzy Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych i tylu żołnierzy francuskich, ilu się da. Pierwsze jednostki dotarły do Dunkierki o 18.45 i rozpoczęły okrętowanie żołnierzy. Parowiec linii Clyde *King George V* cumujący przy molo przywiózł do domu 1 460 żołnierzy, niszczyciel *Venomous* 1 500. Ariergarda

armii brytyjskiej złożona z 2 000 żołnierzy dotarła do Anglii na pokładzie kursującego zazwyczaj między wyspami kanału parowca St *Helier*. Parowiec wypłynął z Dunkierki o 23.30. Kapitan William Tennant niezwłocznie nadał sygnał „B.E.F. Evacuated” (Korpus ewakuowany) i wsiadł na pokład *MTB 102*, biorąc kurs na Dover.

Nie znaczy to bynajmniej, że ewakuacja rzeczywiście dobiegła końca. Trwała nadal w celu uratowania jak największej liczby żołnierzy armii francuskiej. Ostatni statek odbił od molo 4 czerwca o godzinie 3.05. Był to prom parowy *Cynwaldyt* z Isle of Man z cennym ładunkiem 3 000 pasażerów. Tej nocy zabrano z plaży także 20 000 Francuzów. O godzinie 3.40 wypłynął z Dunkierki ostatni statek. Niemców dzieliło od portu niespełna pięć kilometrów. Do niewoli dostało się około 12 000 żołnierzy francuskich.

Operację Dynamo zakończono w czwartek, 4 czerwca, o godzinie 14.23.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
GDZIE TEN CHOLERNY RAF?

Jak widać, wiele elementów złożyło się na cud oswobodzenia. Miały różną wagę, lecz wszystkie odegrały swoją rolę. Kontratak w Arras, kilkakrotne rozkazy wstrzymania niemieckiego szturmu, decyzja lorda Gorta o ewakuacji, obrona newralgicznych pozycji wzdłuż korytarza odwrotu oraz obrona przyczółka wokół Dunkierki, spokojne morze, chmury i dym osłaniające port, skuteczna obrona przed minami, pomysł kapitana Tennanta, żeby wykorzystać molo do załadunku wojska, brak zgody Churchilla na rozmowy pokojowe, udział Royal Navy i Marynarki Handlowej, cenne wsparcie udzielone przez flotę Małych Statków – wszystkie te fakty razem wzięte budują naszą opowieść. Do omówienia pozostaje jeszcze jeden istotny czynnik: ciągła obecność Królewskich Sił Powietrznych (Royal Air Force – RAF).

Żołnierze nękani ostrzałem i bombardowani przez Luftwaffe na plażach i na molo często pytali:

– Gdzie jest ten cholerny RAF?

Pytali o to także po powrocie do Anglii. A jednak RAF był obecny we Francji. Samoloty RAF-u stały na lotniskach francuskich znacznie wcześniej, nim pojawiło się to pytanie. Lekkie bombowce i dywizjony myśliwskie wysłano tam jako część Advanced Air Striking Force (Korpusu

Wyprzedzającego Uderzenia Powietrznego), wspólnej organizacji francusko-brytyjskiej powołanej w obliczu spodziewanej wojny.

– Wylecieliśmy najwcześniej, jak się dało, jeszcze we wrześniu – mówi Billy Drake z 1. Dywizjonu RAF-u. – My przelecieliśmy na pokładach naszych samolotów, a cały transport naziemny drogą morską.

Billy Drake, jako pilot RAF-u, miał za zadanie zapewnić bezpieczeństwo wojskom brytyjskim wkraczającym do Francji.

Z początku było całkiem spokojnie. Drake stacjonował na lotnisku, które jego Dywizjon dzielił z klasztorem żeńskim. Messa mieściła się w Le Havre, gdzie panował klimat nieco bardziej pikantny.

– Zajęliśmy dom publiczny – mówi Drake. – Zostały z nami dwie dziewczyny do obsługi kelnerskiej.

Podobnie jak żołnierze jednostek Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, którzy po okopaniu się mieli wolne i mogli korzystać z dziwnych wakacji, RAF również nie miał zbyt wiele do roboty. Lotnicy zajmowali się głównie spontanicznym rekonesansem.

– Nie było żadnego wczesnego ostrzegania – mówi Drake. – Większość lotów operacyjnych odbywała się w odpowiedzi na odgłos nadlatujących samolotów nieprzyjaciela.

– Bez przerwy lataliśmy na patrole – opowiada Roland Beamont z 87. Dywizjonu. – I nie mieliśmy do pomocy żadnego radaru. Byliśmy zdani tylko na własne oczy.

Tymczasem w Londynie nie było zgodności co do zamiarów Niemców. Czy Luftwaffe zaatakuje stolicę Wielkiej Brytanii? A jeśli tak, to czy uda się przetrwać naloty? Nie było to pewne. Stanley Baldwin przepowiadał w Izbie Gmin w roku 1932:

– Myślę, że również szary obywatel powinien zdawać sobie sprawę z tego, że nie ma takiej siły na ziemi, która mogłaby uchronić go przed bombardowaniem. Niech ludzie mówią, co chcą, ale bombowiec zawsze go dopadnie.

Baldwin uważał również, że skończy się to zmieceniem z powierzchni ziemi całej cywilizacji europejskiej. Pokolenie przedwojenne, jak wyjaśniał w roku 1956 Harold Macmillan:

– Postrzegało wojnę powietrzną prawie tak samo, jak dzisiaj ludzie postrzegają wojnę nuklearną.

Tak więc, nastawiając się psychicznie na masowe bombardowania, Brytyjczycy zastanawiali się także, dlaczego RAF nie udaremnia zamiarów Hitlera, bombardując najpierw Niemcy.

Komentator lotnictwa J. M. Spaight napisał:

Powołaliśmy przecież w Anglii RAF Bomber Command (Dowództwo Bombowe), którego racją bytu miało być bombardowanie Niemców. Tymczasem wcale ich nie bombardowaliśmy. Jaki więc był pożytek z Dowództwa Bombowego? Jego rola była co najmniej godna pożałowania.

Odzywały się też głosy zalecające ostrożność, głoszące, że nie ma powodu do inicjowania zbędnej walki. Dlaczego

jednak, pytał Winston Churchill w styczniu, Niemcy nie atakują? Może boją się rozpoczynać wojnę, nie mając absolutnej pewności, że mogą ją wygrać? Albo może „zbierają siły do straszliwej orgii przemocy, która ma nastąpić niebawem”.

Orgia nadeszła rankiem 10 maja, kiedy siły Luftwaffe pojawiły się nad Francją. Wieczorem poprzedniego dnia Joe Pengelly, stacjonujący w Reims rezerwista z RAF Forward Air Ammunition Park, relaksował się na koncercie ENSA[31]. Wrócił do kwatery późno i zasnął w ubraniu. O świcie obudziły go odgłosy eksplozji. Wyjrzał przez drzwi.

– Zobaczyłem na niebie niemiecki samolot – opowiada – więc podszedłem do karabinu maszynowego lewis i zacząłem do niego walić.

Lotnisko Rolanda Beamonta stało się tego dnia celem ataku lotniczego z niskiego pułapu. Tymczasem tego samego dnia Billy Drake miał przeżyć – bez uprzedzenia – jeszcze bardziej dramatyczną przygodę.

– W dowództwie powiedzieli nam tylko, że mamy wylecieć i patrolować taki a taki obszar. Cholernie się przeraziłem – przyznaje Drake, po czym poprawia się: – To znaczy miałem złe przeczucie.

Właśnie od tamtej chwili przez dziesięć kolejnych dni lotnisko Beamonta było areną nieustannej walki.

– Nasz Dywizjon 87. był w samym środku tego wszystkiego – mówi. – I odwołali nas dopiero 20 maja, bo brakowało maszyn i pilotów, żeby to dalej ciągnąć.

Królewskie Siły Powietrzne RAF nadal latały na nieco archaicznych maszynach, jak na przykład typu Hawker Hector, wycofywany stopniowo z użycia dwupłatowy dwumiejscowy samolot obserwacyjny przeznaczony „do współpracy z armią lądową”. (Wszystkie egzemplarze, które przetrwały Dunkierkę, bez względu na stan zużycia sprzedano neutralnej Irlandii). Wprowadzony do wyposażenia w roku 1937 lekki bombowiec o uwodzicielskiej nazwie „Fairey Battle” został zdeklasowany już trzy lata później. Posiadał silnik Rolls-Royce Merlin, podobnie jak samoloty typu Spitfire i Hurricane, a także komorę bombową i trzyosobową załogę. W starciu z maszynami Luftwaffe okazał się powolny i delikatny. Vivien Snell, pilot latający w 103. Dywizjonie na fairey battle, który na próżno próbując zatrzymać niemiecką inwazję, bombardował mosty na rzece Mozie, nie przepadał za tym modelem:

– Był trudny w manewrowaniu i miał tylko jeden karabin maszynowy kaliber 303, który strzelał do tyłu. To było kamikaze. Ponosiliśmy ogromne straty.

Z tego powodu samolot do końca roku 1940 został całkowicie wycofany z armii.

Luftwaffe, dzięki zaskoczeniu i przewadze technologicznej, było w stanie w ciągu tych kilku pierwszych dni uzyskać przewagę nad RAF-em w powietrzu oraz na ziemi, gdzie celem nalotów stały się maszyny zgromadzone na lotniskach. Piloci znaleźli się pod ogromną presją. Beamont mówi, że wszystkie hurricane’y z jego

dywizjonu wykonywały bez przerwy loty zwiadowcze. Do tego stopnia, że „ludzie nie byli już w stanie pisać raportów, bo wciąż byli w akcji”. Jednostka odniosła bardzo duże straty, a raporty zaginęły podczas przenoszenia się z jednej bazy do drugiej.

– Trudno było się połapać, co się dzieje – mówi Vivien Snell.

Tymczasem lotnicy brytyjscy coraz częściej przekonywali się, że piloci Luftwaffe nie przestrzegają żadnych reguł. Na przykład Beamont był świadkiem rozmyślnych niemieckich ataków na ludność cywilną.

– A kiedy drogi są zablokowane przez uciekinierów, poprzewracane pojazdy i zabite konie – tłumaczy – to zaopatrzenie frontu zajmuje więcej czasu.

Uciekający przed inwazją Belgowie dobrze pamiętają naloty. Louis van Leemput, wówczas trzynastolatek, który znalazł się wśród uciekinierów wraz z całą rodziną, mówi, że często do nich strzelano, raz nawet wtedy, gdy Belgia ogłosiła już kapitulację.

– Wojna się skończyła – dziwi się Louis, mimo że od tamtej pory upłynęło prawie osiemdziesiąt lat – a my wciąż musieliśmy chować się w przydrożnym rowie. Wszędzie wokół latały pociski i odbijały się od bruku z głośnym tak-tak-tak. Nawet wtedy można było jeszcze zginąć.

Do uszu lotników docierały także inne niepokojące wieści. Po przybyciu do Lille, Harold Bird-Wilson z Dywizjonu 17. RAF dokonał ponurego odkrycia, mianowicie Niemcy

strzelali także do pilotów wyskakujących na spadochronach.

– To oznaczało, że odtąd będzie panować inny *esprit de corps*, duch koleżeństwa, i że będą obowiązywać całkiem inne reguły wojenne niż podczas walk pierwszej wojny – zauważa Bird-Wilson. Piloci byli tym wstrząśnięci i oburzeni. Postanowił ostrzegać kolegów, którzy ratowali się, skacząc na spadochronach.

Do połowy maja RAF stracił 250 samolotów. Sir Hugh Dowding, główny komendant Fighter Command (Dowództwa Myśliwców) stracił cierpliwość i powiadomił Winstona Churchilla, że nie będzie już wysyłał na francuskie lotniska żadnych hurricane'ów. Obawiał się, że jeśli straty będą nadal następować w tym tempie, to Fighter Command nie będzie w stanie bronić Wielkiej Brytanii, jednak Churchill nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Tak bardzo zależało mu na tym, żeby utrzymać Francuzów w boju, że odwołał decyzję Dowdinga i nalegał, by wysłać do Francji cztery kolejne jednostki. Przeprowadzono więc chaotyczną reorganizację polegającą na tym, że nowe dywizjony uformowano z ośmiu starych. W rezultacie do wspólnych akcji rzucano pilotów o różnym stopniu wyszkolenia i ograniczonej umiejętności wzajemnego porozumiewania się. Dopiero nieco później sir Cyril Newall, szef sztabu lotnictwa, zdołał powstrzymać wysyłkę kolejnych jednostek do Francji, kierując je zamiast tego na lotniska na południu Anglii, skąd mogły wykonywać loty nad Francją.

Ani Churchill, ani przywódcy francuscy nie byli zadowoleni z tego rozwiązania. Do Rolanda Melville'a, sekretarza sir Cyrila Newalla, zwrócił się francuski oficer łącznikowy z informacją od generała Gamelina, że jeśli we Francji nie pojawią się natychmiast kolejne cztery dywizjony brytyjskiego lotnictwa, bitwa zostanie przegrana. Melville oświadczył, że żadne nowe dywizjony nie zostaną już skierowane do Francji. Oficer francuski był zrozpaczony, więc Melville zadzwonił do asystenta Newalla, prosząc o ponowne rozważenie decyzji. Również i tym razem odpowiedź brzmiała „nie".

– Przekazałem to Francuzowi, a on wybuchnął płaczem – opowiada Melville. – I przez całą noc krążył po korytarzach biura, łkając.

Odrzucając żądanie premiera Wielkiej Brytanii, by wysłać więcej myśliwców do Francji, sir Hugh Dowding udowodnił, że jest człowiekiem odważnym i zdecydowanym. Nie bez powodu podwładni nazywali go „Sztywniakiem" (Stuffy), co dobitnie świadczy o tym, że była to postać całkowicie odmienna od żywiołowego Hermanna Goeringa. Stuffy był wdowcem często popełniającym niezręczności towarzyskie[32], ale przede wszystkim niezwykle dbał o swoich ludzi, za co cieszył się powszechnym szacunkiem. Do lotników, włącznie ze swoim synem Derekiem, zwracał się często per chicks (kurczątka). Co prawda Goering potrafił imponować energią, a nawet inspirować, lecz był zdecydowanie mniej ojcowski. Przekonując Hitlera, by wbrew radom wyższych dowódców pozwolił Luftwaffe

wykończyć Brytyjskie Siły Ekspedycyjne[33], kierował się bardziej własną ambicją niż interesem swoich ludzi. Przeciwni byli temu zarówno Wolfram Freiherr von Richthofen, komendant Fliegerkorps VIII, jak też Albert Kesselring, komendant Luftflotte 2. Kesselring skarżył się, że wiele oddziałów z jego grupy uległo znacznemu osłabieniu oraz że wciąż startując z Niemiec, jego bombowce mogą wykonywać tylko po jednym locie dziennie. Jednak Goering nie dopuszczał żadnego sprzeciwu, nawet jeśli był to sprzeciw uzasadniony. Zależało mu wyłącznie na prestiżu.

To właśnie Dowding i Goering, dwaj ludzie o tak odmiennych charakterach, prowadzili wojnę powietrzną nad Dunkierką. A czym dysponowali? Kolejny myśliwski jednomiejscowy samolot brytyjski w układzie dwupłata to Gloster Gladiator. Ktoś napisał, że „nie jest to samolot, z którym można iść na wojnę”, chociaż wielu pilotów to właśnie zrobiło. James Sanders z 615. Dywizjonu RAF latał wcześniej na hurricane’ach, jednak w wyniku sprzeczki z dowódcą został przeniesiony za karę na gladiatory. Honorowym dowódcą jego nowej jednostki był sam Winston Churchill. Pewnego dnia premier odwiedził lotnisko wraz z małżonką. Kiedy pani Churchill zapytała Sandersa, czy może usiąść w jego samolocie, Sanders poczuł się zaszczycony i oczywiście uprzejmie się zgodził. Clementine Churchill wśliznęła się na fotel pilota i, jak mają to w zwyczaju ciekawscy dyletanci, zaczęła pstrykać przełącznikami na tablicy rozdzielczej. Tymczasem

Churchill stał przed maszyną, patrząc prosto w wylot lufy karabinu maszynowego. Dopiero później Sanders zdał sobie sprawę, że karabin maszynowy był odbezpieczony i gotów do strzału. Gdyby pani Churchill wykazała się nieco większym entuzjazmem, mogłaby odstrzelić mężowi głowę.

Nieco później, 23 maja, Sanders, już jako weteran gladiatorów, dowodził oddziałem tych samolotów stacjonującym na lotnisku Manston w hrabstwie Kent. We wczesnej fazie ewakuacji oddział „G”-Flight wykonał osiem lotów rozpoznawczych nad kanałem, chroniąc przed nalotami różne, duże i małe statki. Przeszedł trudną próbę, a kiedy niebawem, już 30 maja, oddział rozwiązano, dostał ponownie przydział do hurricane’ów. Gladiatory nadal były wykorzystywane, między innymi podczas bitwy o Wielką Brytanię broniły portu Royal Navy Dockyard w pobliżu Plymouth. W latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny Dowding sprawował nadzór nad wprowadzeniem do wojsk lotniczych dwóch typów samolotów, do dziś owianych legendą i uznanych za bohaterów brytyjskiej awiacji myśliwskiej: Supermarine Spitfire i Hawker Hurricane. Spitfire (ang. złośnik, choleryk) wszedł do użytku w roku 1938. Był to jednomiejscowy monopłat myśliwski z silnikiem Rolls-Royce Merlin, uwielbiany przez pilotów ze względu na sterowność i osiągi, a przez społeczeństwo angielskie za charakterystyczny odgłos silnika, eliptyczne krągłości kadłuba oraz zaufanie, jakie powszechnie wzbudzał. Al Deere, oficer pilot 34. Dywizjonu RAF-u, który

zdobywał szlify na gladiatorach, doskonale pamięta swoje szkolenie na spitfirze:

– Człowiek uczył się procedur kokpitu, czytało się podręcznik pilota i wiadomo było, o co chodzi. To była zadziwiająco twarda maszyna.

Mogła być twarda, ale była także wrażliwa. George Unwin, sierżant pilot z 19. Dywizjonu twierdził, że spitfire jest tak czuły, że nigdy nie trzeba było szarpać ani mocować się z przyrządami.

– Wystarczyło na nie chuchnąć – powiada. – A żeby zrobić zwrot, wystarczyło powoli przechylić dłonie i maszyna szła sama.

Dla Amerykanina Jamesa Goodsona, który pod koniec roku 1940 latał w 43. Dywizjonie RAF-u, pilotowanie spitfire'a było jak „chodzenie w obcisłych dżinsach". Wbrew regulaminowi Goodson palił cygara w kokpicie. Kiedy upadła mu zapalniczka, delikatnie przesuwał ster o kilka milimetrów, obracał samolot do góry nogami i spadającą z podłogi zapalniczkę chwytał w locie.

W filmie Chrisa Nolana fragment dotyczący wojny powietrznej jest „w całości poświęcony spitfire'om":

To doskonały samolot, jeden z najlepiej zaprojektowanych pojazdów w historii. Pilotowałem spitfire'a i to poczucie prędkości i mocy jest niepowtarzalne. Człowiek czuje bliskość z wszystkimi jego częściami, jak na latawcu z mocnym silnikiem. Czujesz powietrze pędzące pod skrzydłami, a kiedy dotykasz drążka, wykonujesz zwrot albo obrót. Ta jego wrażliwość i ten związek z przestrzenią –

wszystko to jest naprawdę niewiarygodne. Tyle że jesteś zamknięty w ciasnej kabinie i przywiązany pasami. Masz poczucie mocy i kontroli, ale także kompletnej izolacji.

Jedyny problem sprawiało wyskakiwanie z samolotu. James Leat hart z 54. Dywizjonu (z powodu wykształcenia akademickiego zwany „Prof") widział 25 maja podczas lotu rozpoznawczego nad Gravelines i Calais, jak lecący obok spitfire, pilotowany przez Johnny'ego Allena, został trafiony przez pocisk przeciwlotniczy.

– O do diabła! – usłyszał Leathart w radio okrzyk Allena. – Dostałem w silnik!

Po chwili maszyna Allena stanęła w płomieniach.

– Huraa! Na dole jest niszczyciel – ucieszył się Allen. – Skaczę! Ale jak?

W końcu obrócił samolot wokół osi i wyskoczył, kiedy maszyna leciała do góry nogami. Leathart twierdzi, że kiedy trzy dni później spotkał go w messie 54. Dywizjonu, Allen miał na sobie części munduru marynarskiego.

Chociaż spitfire jest ikoną myślistwa brytyjskiego drugiej wojny światowej, w pierwszych latach wojny równie ważny był hawker hurricane. Była to maszyna bardziej kanciasta, mniej innowacyjna konstrukcyjnie niż spitfire (który miał kadłub metalowy, podczas gdy hawker hurricane miał kadłub płócienny na drewnianej ramie), ale mimo to niezwykle zwrotna i imponująca.

Geoffrey Page z 56. Dywizjonu twierdzi, że:

– Hurricane'a można porównać do buldoga, a spitfire'a do charta. Jeden był silnym zwierzęciem roboczym, a drugi

zwierzęciem szybkim i zwinnym.

Jego zdaniem hurricane’em lata się łatwiej, ale brakuje mu prędkości i siły wznoszenia spitfire’a.

– Oba są na swój sposób urocze. Najlepiej będzie, jeśli powiem, że ci, którzy latali na spitfire’ach, woleli spitfire’y, a ci, którzy latali na hurricane’ach – hurricane’y.

Innym myśliwskim samolotem jednosilnikowym, który odznaczył się podczas ewakuacji w Dunkierce, był Boulton Paul Defiant. Posiadał umieszczoną za plecami pilota częściowo obrotową wieżę z czterema sprzężonymi karabinami maszynowymi, która nawiązywała częściowo do Bristol Fightera, jednego z najbardziej skutecznych samolotów podczas pierwszej wojny światowej. Z tą różnicą, że fighter miał również karabin maszynowy skierowany do przodu. Defiant nie miał żadnego karabinu z przodu, ponieważ jego zadanie polegało na tym, żeby ustawić się wzdłuż nieprzyjacielskiego bombowca i razić go ogniem od spodu. Nie był przeznaczony do zażartych pojedynków z messerschmittami. Niebawem dowiemy się, jak sobie radził.

Najskuteczniejszym myśliwcem niemieckim podczas bitwy o Francję i pod Dunkierką był Messerschmitt Bf 109. Był to samo lot jednomiejscowy, nieco mniej zwrotny niż spitfire i hurricane. Miał nad nimi jedną wyraźną przewagę. Chodzi o system wtrysku paliwa. Dzięki temu był znacznie szybszy od wszystkich myśliwców brytyjskich.

Messerschmitty Bf 109 służyły jako eskorta powolnych i topornych bombowców, takich jak Heinkel He 111

z charakterystycznym szklanym nosem, oraz Dornier Do 17 zwany „latającym ołówkiem” ze względu na smukłą linię. Obie maszyny powstały jako samoloty komercyjne, ponieważ zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego Niemcy nie miały wówczas zezwolenia na lotnictwo wojskowe. Heinkel, w odróżnieniu od Dorniera, miał jednak możliwość szybkiej i łatwej zamiany na samolot wojskowy. Najgroźniejszym bombowcem niemieckim w tym okresie – a jednocześnie najbardziej podatnym na ataki – był, jak wiemy, Junkers Ju 87 (stukas)[34]. Jego „trąby jerychońskie „ i możliwość naprowadzania na cel całym samolotem sprawiały, że stukasy wywoływały trwogę zarówno wśród cywilów, jak i żołnierzy, ale w przeciwieństwie do pilotów myśliwców alianckich, dla których stanowiły łatwy łup.

Po rozpoczęciu ewakuacji 26 maja, dowództwo 11. Grupy Myśliwców miało za zadanie zwalczanie jednostek niemieckich atakujących port, zaopatrzenie armii oraz przyczółek obronny wokół Dunkierki. Wicemarszałek Lotnictwa Keith Park miał w tym celu do dyspozycji zaledwie szesnaście dywizjonów dziennie. Do pierwszego spotkania spitfire’ów z messerschmittami doszło już 23 maja. Francis White, dowódca 74. Dywizjonu, który wyleciał na patrol wczesnym rankiem, zestrzelił niemiecki samolot obserwacyjny Henschel Hs 126. Zanim to się stało, henschel zdążył przebić chłodnice maszyny White’a, zmuszając go do lądowania na lotnisku w Calais Marck, które znajdowało się w rękach aliantów.

W związku z tym, że Niemcy przygotowywali się do zdobycia Calais, RAF rozpoczął misję ratunkową: White’a ewakuowano dwumiejscowym myśliwcem miles master pilotowanym przez „Profa” Leatharta pod eskortą dwóch spitfire’ów. Trzy maszyny przeleciały nad kanałem, master wylądował na lotnisku Marck, skąd miał zabrać White’a, podczas gdy spitfire’y krążyły w powietrzu. Jeden z nich, pilotowany przez Nowozelandczyka Ala Deere’a, patrolował lotnisko, a drugi, którym leciał Johnny Allen, podniósł się wyżej, żeby sprawdzić, czy nie ma w pobliżu samolotów nieprzyjaciela. Niemal natychmiast zauważył grupę messerschmittów, o czym zameldował przez radio. Zestrzelił jednego z nich, uszkodził dwa inne, które zaczęły dymić. Deere próbował ostrzec pilotów na ziemi, jednak miles master nie miał na wyposażeniu radia, Deere’owi pozostało więc jedynie zasygnalizowanie zagrożenia przez machanie skrzydłami. Co czyniąc, dostrzegł messerschmitta zmierzającego w kierunku miles mastera. Na widok niemieckiego myśliwca Leathart i White rzucili się do ucieczki.

Allen otoczony na wyższym pułapie przez kilka messerschmittów 109, wzywał Deere’go na pomoc przez radio. Deere najpierw zestrzelił dwóch Niemców, którzy lecieli tuż przed nim, po czym wzbił się wyżej i pospieszył na pomoc koledze. Po drodze otworzył ogień do jednego messerschmitta 109, a drugiego przegonił. Ostatecznie miles master wzbił się w powietrze z Whitem na pokładzie i wszystkie trzy maszyny poleciały z powrotem do domu.

Wspominając tę akcję, Deere nie przypomina sobie, żeby się bał.

– Czułem prawdziwy dreszcz emocji. Na tym etapie nie było czego się bać.

Był tak podekscytowany, że ścigał messerschmitta 109 nawet wtedy, kiedy zużył całą amunicję.

– Co świadczy o tym, jakim byłem żółtodziobem – przyznaje. Ale walka dawała mu, jak twierdzi, siłę i wiarę, że nie ma powodu obawiać się messerschmittów. Nauczył się też pilnować poziomu paliwa, co stanowi ważny wątek w filmie Chrisa Nolana.

26 maja przez cały dzień dochodziło do potyczek powietrznych. Wiele brytyjskich lotów zwiadowczych odwołano z powodu złej pogody. Dochodziło też, niestety, do strat wywołanych „ogniem przyjacielskim” (friendly fire) [35]. John Nicholas wspomina przyjaciela „lotnika Johnny’ego Welforda, który został zestrzelony przez brytyjski niszczyciel i zginął 26 maja nad Goodwin Sands. Próbował się ratować, ale spadochron nie otworzył się i John zginął. Zanim się zorientowali, co się stało, było już za późno.

Tego samego dnia Peter Parrott ze 145. Dywizjonu dostrzegł nad Dunkierką samotny myśliwiec typu Heinkel 111 i żeby go dopaść, wyłamał się z szyku. Zaczął strzelać, ale Niemiec „bezczelnie odpowiedział ogniem”. Kiedy cały kokpit wypełnił się nagle parą, Parrott zorientował się, że pocisk heinkla uszkodził mu chłodnicę. Zawrócił do bazy

i w połowie drogi nad kanałem zrównał się ze swoim dywizjonem.

– Wszyscy dopytywali się przez radio, co mi się stało. Kiedy byliśmy już nad Deal, zgasł mi silnik.

Samolot opadł i ślizgał się na wysokości kilometra z hakiem, a Parrott rozglądał się za miejscem do awaryjnego lądowania. Wszędzie pod sobą widział nierówny teren i ludzi, którzy właśnie wyszli na wieczorny niedzielny spacer. Ostatecznie pchnął drążek, żeby wylądować na polu. Zanim samolot usiadł na twardym gruncie, zamienił kilka owiec w baraninę. Ludzie otoczyli samolot, pojawił się też policjant. Parrott poprosił go o usunięcie gapiów, ponieważ samolot jest uzbrojony, po czym zapytał o najbliższy telefon. Przyjechał też farmer konną dwukółką.

– Kto mi zapłaci za owce?! – zwrócił się do pilota.

– Proszę pytać w Ministerstwie Lotnictwa – poradził Parrott.

Farmer odjechał, lecz Parrott doszedł do wniosku, że najbliższy telefon będzie zapewne w jego obejściu, więc ruszył za nim. Kiedy dotarł do gospodarstwa, farmer z żoną pili herbatę. Na stole leżała wielka soczysta szynka. Parrott połączył się z lotniskiem Manston i poprosił o transport. Farmer nie zaprosił go do stołu. Kazał mu czekać samotnie w korytarzu.

Prowadząc tak nieprzewidywalny tryb życia, lotnicy robili, co mogli, żeby zachować wysokie morale. Dowódca 610. Dywizjonu pamięta oficera, który w cywilu był pracownikiem Harrodsa i który codziennie rano zamawiał

tam jedzenie i picie. Żołnierze jadali więc na obiad steki, homara thermidora na kolację, a między posiłkami wykonywali loty z narażeniem życia. Mimo pewnych braków w wyszkoleniu i mimo niewielkiego doświadczenia, piloci rwali się do akcji. Kiedy ciągnięto z kapelusza losy z nazwiskami tych, którzy dostąpią zaszczytu uczestniczenia w pierwszym locie zwiadowczym 19. Dywizjonu nad Dunkierką, Brian Lane odnotował charakterystyczną reakcję George'a Unwina, który odpadł z losowania:

Patrzył na nas z pretensją jak pies, któremu odmówiono wyjścia na spacer.

Od tego dnia aż do śmierci w roku 2006 Unwin znany był jako „Gburek".

W niedzielę 27 maja ewakuacja ruszyła pełną parą, ale Dunkierkę opuściło tylko 7 669 żołnierzy brytyjskich. Tymczasem, wbrew pesymistycznym przewidywaniom generałów z otoczenia Goeringa, kampania Luftwaffe zaczęła się obiecująco, mianowicie niemal kompletnemu zniszczeniu uległ wewnętrzny port Dunkierki[36]. Nadal jednak, mimo nieustającego entuzjazmu, niewielu pilotów Fighter Command miało okazję widzieć na własne oczy samolot nieprzyjaciela.

Kiedy George „Gburek" Unwin zobaczył wreszcie wroga, zachował się tak, jak większość jego kolegów, czyli zamarł.

– Po prostu zatrzymałem się w półobrocie jak skamieniały – przyznaje. – Nie z przerażenia, ale z osłupienia. Trwało to dobre 10-15 sekund.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy usłyszał uderzenia nieprzyjacielskich pocisków w kadłub samolotu. Odtąd nic takiego nigdy mu się nie przytrafiło.

– Zawsze wiedziałem, że najgorszy jest pierwszy raz. Nikt, niezależnie od tego, czym się zajmuje, nie jest przyzwyczajony do tego, żeby do niego strzelano.

Pewien pilot w stopniu sierżanta z 222. Dywizjonu złapał się na tym, że podczas pierwszego spotkania z messerschmittem 109 podziwiał nieprzyjacielską maszynę.

– Wyglądały przepięknie! – zachwyca się do dziś. Tyle że zanim się ocknął, piękne maszyny siadły mu na ogonie i wkrótce ostro zadymił silnik jego samolotu.

Piloci uczyli się ignorować oficjalne regulaminy i instrukcje. Na przykład przestali latać w starym szyku vic z czasów pierwszej wojny światowej, z liderem na przodzie i dwoma skrzydłowymi. Zamiast tego zaczęli kopiować formacje, których nauczyli się Niemcy podczas wojny domowej w Hiszpanii i podczas kampanii wrześniowej w Polsce. Pod względem doświadczenia, a także – co z tego wynika – taktyki, Niemcy znacznie przewyższali Brytyjczyków.

Okazało się również, że opłaca się lekceważyć instrukcję dotyczącą wysokości. Początkowo zalecano pilotom utrzymywanie wysokości 6 000 metrów (20 000 stóp) i nieschodzenie poniżej 4 500 metrów (15 000 stóp), żeby nie dostać się w ręce artylerzystów przeciwlotniczych. Taka instrukcja miała jednak liczne wady. Po pierwsze oznaczała,

że wszystkie stukasy znajdą się poza zasięgiem myśliwców RAF-u, bo właśnie z wysokości 4 500 metrów zaczynają nurkować. Po drugie pułap 6 000 metrów był zbyt wysoki, by samoloty RAF-u mogły być dostrzeżone z ziemi przez żołnierzy brytyjskich. Z tych powodów lotnicy RAF-u latali niżej, nawet za cenę ryzyka zestrzelenia przez działa przeciwlotnicze brytyjskiej marynarki wojskowej.

Według stanu na dzień 27 maja duże niemieckie formacje lotnicze były bliskie osiągnięcia przewagi liczebnej nad siłami RAF-u.

– Zazwyczaj do dwunastu hurricane’ów atakowało czterdzieści do pięćdziesięciu maszyn niemieckich – przyznaje Beamont. – Czasem jednak dysproporcja była jeszcze większa.

Chociaż wielu bombowcom udawało się zrzucić setki bomb na miasto i plaże, to wiele bomb spadało na piasek, gdzie ich energia ulegała rozproszeniu i spora część niszczycielskiej siły szła na marne.

W poniedziałek 27 maja lotnicy RAF odnieśli szczególny sukces. Strącono trzydzieści niemieckich maszyn, w czym zasłużyli się zwłaszcza piloci samolotów typu Boulton Paul Defiant. Wczesnym rankiem unieszkodliwili dwa messerschmitty 109, a podczas kolejnego lotu co najmniej trzy, a może nawet pięć innych, i to bez żadnych strat własnych. Piloci niemieccy nie doceniali jeszcze zagrożenia, jakim były dla nich samoloty typu Boulton Paul Defiant dzięki maszynowym wieżom obrotowym.

28 maja we wtorek nad Dunkierkę wyruszyły bombowce Fliegerkorps I, II i VII pod eskortą myśliwców Jagdfliegerführer 3. Ze sztabu głównego lotnictwa brytyjskiego nadeszła jednocześnie depesza zalecająca pilotom RAF-u „dołożenie szczególnych starań". Dowództwu Myśliwców (Fighter Command) nakazano ochronę plaż Dunkierki „poprzez ciągłe patrolowanie od świtu do nocy", przy czym wszystkie patrole miały być prowadzone w składzie „co najmniej trzech dywizjonów". Luftwaffe stanęło więc w obliczu pierwszej poważnej bitwy powietrznej.

W konfrontacji z silnymi formacjami nieprzyjacielskimi grup pe – odpowiednikiem trzech dywizjonów RAF-u, Brytyjczycy nie mieli innego wyboru, jak wysłanie większych formacji. Oznaczało to jednak mniejszą liczbę lotów i dłuższe przerwy między nimi, które Niemcy mogli wykorzystać. Fighter Command stanęło więc przed swoim pierwszym poważnym wyzwaniem.

Wczesnym rankiem we wtorek 28 maja 54. Dywizjon dostrzegł podczas patrolu niemiecki samolot dornier. Al Deere rozpoczął za nim pościg.

– Grzałem w niego całymi seriami – opowiada – aż nagle odpowiedział mi ogniem jego tylny strzelec.

Al Deere poczuł wstrząs i domyślił się, że pocisk przebił chłodnicę silnika spitfire'a. W tej sytuacji, pozbawiony systemu chłodzenia, musiał przerwać akcję i zejść na ziemię. Lądował awaryjnie na plaży. Zrobił to, co w filmie robi Farrier. Przy zderzeniu z ziemią rozciął sobie łuk

brwiowy. Wylądował kołami na linii wody, a nadchodził właśnie przypływ. Poszedł więc pieszo do pobliskiego baru, przez całą drogę oglądając się raz po raz za siebie w obawie, że przypływ już pochłonął spitfire'a. Barmanka opatrzyła mu krwawiący łuk brwiowy i Al Deere wrócił na plażę. Dopiero wtedy dostrzegł rozmiar panującego tam chaosu, który dotychczas widział jedynie z wysokości kilku tysięcy metrów.

– Panowało tam niezłe zamieszanie – przyznaje. – Bez przerwy bombardowania i naloty. Ciągle trzeba było się kryć.

Zauważył też coś, co wywołało jego szczególny niepokój, mianowicie brytyjska obrona przeciwlotnicza ostrzeliwała samoloty brytyjskie. Al Deere usiłował interweniować, niestety bez skutku.

Po jakimś czasie dotarł do molo i chciał zabrać się na jakiś statek. Oficer w stopniu majora zastąpił mu drogę i polecił ustawić się w kolejce. Deere przekonywał go, że musi dotrzeć jak najprędzej do Anglii, żeby dołączyć do swojego dywizjonu, jednak major był nieugięty:

– Zważywszy na wasze dotychczasowe dokonania, możesz równie dobrze zostać na ziemi – i nie wpuścił pilota na pokład.

Na szczęście Deere dostał się na inny statek, gdzie atmosfera była nieco mniej napięta. Ale żołnierze i tak byli wściekli.

– Gdzie wy jesteście, do cholery? – pytali.

Deere nie miał się z czego tłumaczyć, przecież latał bez przerwy od dziesięciu dni.

– Jesteśmy cały czas, tylko może wy nas nie widzicie.

Żołnierze nie zachowywali się przyjaźnie, ale Deere zachował spokój. Kiedy poproszono go o pomoc przy rozpoznaniu samolotów, zorientował się, że i tym razem obrona przeciwlotnicza statku strzela do samolotów brytyjskich.

Rano niebo zasnuło się chmurami i Luftwaffe musiało pozostać w głębi lądu, zajęło się więc gnębieniem miasta i portu. John Ellis z 610. Dywizjonu przypomina sobie, że przeprowadził tego dnia dwa patrole. Widoczność była jednak słaba i nie dostrzegł żadnego samolotu nieprzyjaciela. Dywizjon przelatywał więc raz po raz nad plażami „żeby dodać wojsku otuchy i żeby wiedzieli, że jesteśmy blisko”. Hilton Haarhoff z Południowej Afryki latał jako tylny strzelec na czteromiejscowym samolocie patrolowym typu Lockheed Hudson. Jego pilot i rodak Ronald Selley również próbował pokrzepić żołnierzy, latając nisko, tuż nad okrętami.

– Zawsze, kiedy tak robiliśmy, żołnierze radośnie nas pozdrawiali – mówi Haarhoff i dodaje, że Selley lubił się popisywać. Latał nad samą wodą, niżej niż inni piloci. Jego nawigator nie bardzo to lubił, chociaż takie ślizganie się tuż nad powierzchnią kanału opłacało się, bo można było na przykład dostrzec odwrócony do góry nogami stół, na którym żeglowali do domu trzej żołnierze, i skierować do nich najbliższy trałowiec.

Również następnego dnia, 29 maja, działania Luftwaffe powstrzymywał niski pułap chmur. Goering był wściekły, ale jego doczesna moc nie obejmowała zwijania chmur. Około południa pogoda poprawiła się na tyle, że pozwoliła Niemcom na przeprowadzenie serii potężnych nalotów bombowych, z których dwa nie spotkały się z żadnym oporem. Był to tragiczny dzień, w którym zatonął Crested Eagle oraz wiele innych statków, w którym – w wyniku nieporozumienia – na kilkanaście długich godzin porzucono molo na pastwę Luftwaffe. Sukces lotnictwa niemieckiego w środę 29 maja po południu był tak ogromny, że szef sztabu Hans Jeschonnek zmienił zdanie i uwierzył, że Luftwaffe potrafi zniszczyć zgromadzone pod Dunkierką Brytyjskie Siły Ekspedycyjne.

Tego dnia Eric Barwell z 264. Dywizjonu, pilot defianta, zrozumiał, że naprawdę zaczęła się dla niego wojna.

– Cztery bombowce nurkujące leciały obok siebie – opowiada – a my w trzech defiantach w szyku między tymi stukasami. I nagle wszystkie cztery wybuchły. Zbiorniki paliwa mieściły się w nich między pilotem a nawigatorem, dlatego stanowiły łatwy łup.

Dla dywizjonu Barwella był to dzień niezwykły, ukoronowany strąceniem trzydziestu siedmiu samolotów nieprzyjacielskich.

Pewien pilot hurricane’a widział potem pilotów defiantów na ziemi i pamięta, że byli „przeszczęśliwi”. Podkreśla, że Niemcy najprawdopodobniej pomylili ich z hurricane’ami i z pewnością nie popełnią już nigdy takiego błędu. Miał

rację. Opisany lot był szczytem osiągnięć defiantów. Z chwilą gdy Niemcy zorientowali się, że jedyną przewagą defianta jest obrotowa wieża, stały się dla niemieckich myśliwców jedną z łatwiejszych zdobyczy. Wkrótce zresztą zostały wycofane z operacji dziennych i służyły jako myśliwce nocne.

Istnieje wiele sprzecznych danych na temat dokładnej liczby samolotów strąconych nad Dunkierką w środę 29 maja 1940 roku. Zawyżanie danych było nieuchronne i zdarzało się po obu stronach. Z drugiej strony nieuznane strącenie często tkwi w pamięci pilota jak cierń nawet po wielu latach. John Nicholas z 65. Dywizjonu natknął się na messerschmitty 110 lecące w charakterystycznym kręgu obronnym. Dał ognia w kierunku jednego z nich i zrobił ostry zwrot w prawo. W lusterku wstecznym widział, że trzy niemieckie maszyny oderwały się od formacji i lecą za nim.

– Zdecydowałem, że jedyne, co mogę zrobić – wyjaśnia Nicholas – to zawrócić i zejść na dół do tego, który był w środku. Tak właśnie zrobiłem.

Posłał mu serię i w ostatniej chwili odskoczył. Kiedy obejrzał się za siebie, wszystkie samoloty gdzieś zniknęły. Po powrocie do bazy w Hornchurch opisał zdarzenie oficerowi wywiadu.

– Ale on nigdy nie zwrócił mi raportu z tej akcji.

W roku 1992 Nicholas odkrył, że zasługę przypisano innemu pilotowi.

– Bardzo mnie to wtedy zirytowało – przyznaje. – Ale potem pomyślałem, że po pięćdziesięciu latach nie ma to

już znaczenia.

Denys Gillam z 616. Dywizjonu twierdzi, że największym problemem był dla Brytyjczyków ograniczony czas trwania lotu nad Dunkierką (niewiele ponad pół godziny) oraz trudność w ocenie wysokości, z której najlepiej lokalizować nieprzyjaciela. Nietrudno sobie wyobrazić, co mogłoby się wydarzyć, gdyby warunki pogodowe sprzyjały Niemcom przez cały tydzień, jak podczas opisanego wyżej popołudnia w środę 29 maja 1940.

W czwartek 30 maja na morzu i na lądzie wystąpiła mgła, która w zestawieniu z dymem z płonącej Dunkierki uniemożliwiła loty stukasów. Pod koniec dnia z molo i z plaż ewakuowano prawie 54 000 żołnierzy brytyjskich. Był to, jak dotąd, najbardziej udany dzień pod tym względem. Co nie znaczy, że dywizjony i piloci brytyjscy spoczywali na laurach.

– Utrzymanie stałego zwiadu wymagało od każdego z nas dwóch lub nawet trzech lotów dziennie – wyjaśnia Gillam – co znaczyło mniej więcej pięć godzin w powietrzu, ze startem o świcie i powrotem o zmierzchu.

W ramach dodatkowej zachęty motywacyjnej dla Gillama i jego kolegów lord Gort wysłał depeszę gratulacyjną do RAF-u. Napisał w niej, że obecność lotników „miała pierwszorzędne znaczenie w zapobieganiu próbom zakłócenia ewakuacji”.

Mimo to niektórzy z trudem znosili napięcie.

– Zdarzało się czasem, że pilot nie wytrzymywał – przyznaje Gillam. – Jeden z pilotów rozsypał się psychicznie

przy wsiadaniu do samolotu. Przyszedł doktor i uderzył go w twarz, i to tak mocno, że aż go znokautował. I pilot przestał latać.

31 maja w piątek w rekordowym, najbardziej wydajnym dniu ewakuacji, Eric Barwell, znany ze skuteczności pilot myśliwca defiant, wrócił nad Dunkierkę. Podczas pierwszego patrolu widział, jak w wyniku zderzenia z innym defiantem lecący obok samolot po rozczepieniu ogona rozpada się na cztery części. Po tym wypadku nie dostrzegł na niebie żadnych spadochronów. Po kilku godzinach wyleciał ponownie i został okrążony przez samoloty nieprzyjaciela. Zdążył zestrzelić jeden z nich, ale podczas ataku na dalsze trzy bombowce typu Heinkel pocisk uszkodził system chłodzenia. Kokpit samolotu wypełniła parą. Barwell odsunął osłonę kabiny i wziął kurs na bazę. Wkrótce okazało się, że albo będzie musiał skakać, albo siadać na morzu.

Pod sobą widział statki, które mogłyby wziąć go na pokład razem ze strzelcem pokładowym. Obawiał się jednak, że skacząc z dużej wysokości, mogą zostać zniesieni za daleko od statków, a być może na pole minowe. Dlatego zdecydował się lądować awaryjnie na wodzie.

Mógł usiąść w pobliżu grupy kutrów rybackich. Jednak mimo że stawką było życie, przeszło mu przez głowę, że na kutrach za bardzo cuchnie rybami. Kiedy więc około półtora kilometra dalej dostrzegł dwa niszczyciele, wybrał lądowanie między nimi, mając nadzieję, że któryś z nich ich wyłowi.

Schodząc w dół, dziwił się, że tak trudno jest ocenić wysokość nad gładką powierzchnią morza. Zanim skończył się dziwić, znalazł się pod wodą i musiał walczyć o wydostanie się z samolotu na powierzchnię. Na wodzie unosił się już strzelec pokładowy. Barwell podpłynął do niego i stwierdził, że strzelec jest nieprzytomny. Musiał płynąć bocznym kraulem, ciągnąc nieprzytomnego kolegę za spadochron w kierunku niszczycieli. Na szczęście jeden z nich zaczął się do nich zbliżać.

Marynarz, który skoczył do wody, przejął strzelca i wciągnął go na pokład. Barwell podpłynął do burty i chwycił siatkę linową w pobliżu rufy. Zabrakło mu jednak siły, żeby się podciągnąć. Jednak ktoś mu pomógł i dopiero wtedy poczuł się bezpieczny. Wkrótce doświadczył kolejnego cudu, mianowicie pilot, którego samolot rozpadł się na kawałki, stał przed nim cały i zdrowy. Musiał wyskoczyć ze spadochronem tak nisko, że Barwell nie zdążył go zauważyć. Strzelec Barwella odzyskał przytomność. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest, i rozglądał się wokół zdezorientowany. Nagle tuż przed sobą, w płomiennoczerwonej świetlistej poświacie ujrzał swojego pilota, który, jak sądził, nie żyje. Strzelec był święcie przekonany, że znalazł się w piekle. Z ulgą dał się jednak przekonać, że to nieprawda, że nadal żyje, podobnie jak pilot, który stał na tle drzwi, w których odbijał się zachód słońca.

Ta relacja wygląda ciekawie zwłaszcza na filmie. Collins sadza spitfire’a na morzu, próbuje rozerwać osłonę kabiny

za pomocą rakietnicy, ale wydostaje się dopiero wtedy, kiedy osłona zostaje rozbita od zewnątrz. Sytuacja Barwella różni się o tyle, że zostaje wyrzucony z samolotu podczas uderzenia maszyny o lustro wody. Czy to możliwe, żeby spitfire pozostawał na powierzchni wody wystarczająco długo, żeby pilot zdążył się z niego wydostać lub by został uwolniony?

Jack Potter, sierżant pilot 10. Dywizjonu, podczas lotu zwiadowczego dnia 1 czerwca natknął się na dwanaście messerschmittów 110. Zaatakował jednego z nich, ale skończyła mu się amunicja. Nie było powodu, żeby pozostawać nadal w powietrzu, więc zawrócił do bazy. Wtedy zauważył, że jego spitfire jest uszkodzony. Około czterdziestu kilometrów przed wybrzeżem Anglii silnik spitfire'a zatarł się i zamilkł. Potter ocenił, że ma słabe szanse na to, żeby ktoś go uratował, gdyby wyskoczył ze spadochronem, jednak lądowanie metalowym spitfire'em na wodzie wydało mu się jeszcze bardziej ryzykowne. W końcu wybrał to drugie, biorąc kurs na niewielki statek, który dostrzegł w oddali.

Zbliżając się do wody rozpiął szelki typu Sutton, którymi przypięty był do fotela, i napompował kamizelkę ratunkową.

– Przy pierwszym uderzeniu o powierzchnię wody maszyna odbiła się i podskoczyła, a przy ponownym lądowaniu wbiła się nosem w morze – opowiada Potter. Podniósł się w kabinie i zobaczył, że samolot wciąż unosi się na wodzie, co trwało mniej więcej dziesięć sekund.

Potter założył spadochron, ponieważ słyszał, że działa jak boja ratunkowa. Spadochron zaklinował się jednak w osłonie kabiny i kiedy samolot zaczął tonąć, wciągnął Pottera pod wodę. Zdołał się jednak od niego uwolnić, zaczął płynąć w górę, ale uderzony przez statecznik tonącej maszyny, znowu poszedł pod wodę.

Małym statkiem, który Potter widział z góry, była francuska łódź Jolie Mascotte. Członkowie jej załogi nie mówili po angielsku. Próbowali przepłynąć do Dunkierki, ale się zgubili, jednak Potter pomógł im znaleźć właściwy kierunek[37]. W zamian został nakarmiony, napojony i wyposażony w suchą odzież.

Z jego relacji wynika, że spitfire pozostał na powierzchni wody wystarczająco długo, żeby pilot zdążył wydostać się z kabiny, utknął w niej ponownie, po czym uwolnił się i przeżył.

Graham Davies z 222. Dywizjonu wyruszył na patrol poranny dzień wcześniej, 31 maja. Dostał się pod ostrzał przeciwlotniczy i zaczął tracić wysokość. Przypomniał sobie, że pewien pilot hurricane'a twierdził, że można lądować na plaży Dunkierki, ponieważ piasek jest tam dostatecznie twardy. Sądząc, że uda mu się naprawić maszynę i ponownie wystartować, Davies wylądował na zachód od Dunkierki, żeby ominąć tysiące żołnierzy zgromadzonych po wschodniej stronie miasta. Ledwo jednak dotknął kołami plaży, został ostrzelany przez Francuzów z Fort-Mardyck. Mimo to wylądował bezpiecznie. Po spotkaniu z artylerzystami, którzy do niego

strzelali, podpalił uszkodzony samolot i dał się podwieźć do Dunkierki.

Przy molo w Dunkierce stały dwa statki, parowiec i trałowiec. Nad portem przelatywały samoloty niemieckie i raz po raz ostrzeliwały teren z broni pokładowej. Jakiś bombowiec zrzucił na doki cały ładunek bombowy. Wszędzie porozrzucane były zwłoki. Przez to wszystko próbował przedrzeć się na molo rozwścieczony żołnierz brytyjski, prowadząc przed sobą jeńca niemieckiego. Był wściekły, bo marynarze odmówili przyjęcia jeńca na pokład.

Rankiem 1 czerwca niebo przejaśniło się. Powrót stukasów zbiegł się z powrotem nowoczesnych brytyjskich niszczycieli. Wcześniej doszło do kilku nalotów Luftwaffe, których nie odparto, w wyniku czego, jak pisaliśmy wcześniej, zatonął okręt HMS *Keith* oraz kilka innych niszczycieli i jednostek marynarki. Żołnierze brytyjscy burzyli się na rzekomy brak ochrony z powietrza. Harold Bird-Wilson opowiada, jak Ken Manger, pilot z 17. Dywizjonu, musiał wyskoczyć ze spadochronem z hurricane’a i wylądował na plaży. Kiedy dotarł do cumującego przy molo niszczyciela, został dosadnie poinformowany przez oficera, że na statkach nie ma miejsca dla lotników z Royal Air Force. Manger, jak się okazało, był doskonałym bokserem amatorem. więc jednym celnym ciosem strącił oficera do morza, po czym śmiało wkroczył na pokład. Następnego dnia znowu latał nad Dunkierką.

Arthur Taylor z 13. Dywizjonu tak często spotykał się z groźbami ze strony żołnierzy, że musiał ukrywać swój lotniczy mundur.

– Chodziłem w kaloszach, żeby ukryć dół – zwierza się Taylor – i w czarnej pelerynie olejówce, żeby zasłonić bluzę RAF-u.

W tym przebraniu dostał się w końcu do Anglii.

Inny pilot, oficer Peter Cazenove, również przymusowo lądował spitfire'em na plaży. Na molo odprawiono go z trzech kolejnych niszczycieli.

– Marynarze oświadczyli, że wszystkie miejsca są zarezerwowane dla armii, a RAF może się odpieprzyć.

Tony Bartley, przyjaciel Petera Cazenove, napisał w liście do jego ojca, że Peter dostał się w ręce Niemców i trafił do obozu jenieckiego.

Żołnierze mieli żal do członków RAF-u z wielu powodów. Po pierwsze, ponieważ RAF postawił na duże formacje, przerwy między poszczególnymi lotami patrolowymi trwały dłużej. Po drugie, Niemcy mieli obserwatorów poza granicami Dunkierki, którzy ostrzegali o nadchodzącym ataku, dzięki czemu Luftwaffe mogło nadlatywać tuż po zniknięciu samolotów RAF. Po trzecie, RAF patrolował przestrzeń nad kontynentem, żeby w razie potrzeby odciąć lotnictwo niemieckie od plaż, bo kiedy Luftwaffe znalazło się już nad plażą, było za późno, żeby zapobiec atakowi. Po czwarte, samoloty RAF-u często latały na wysokości 6000 metrów lub wyżej, a z takiej odległości nie było ich widać z ziemi. Po piąte zaś, ponieważ brytyjska obrona

przeciwlotnicza ostrzeliwała niemal każdy samolot przyjacielski w zasięgu ognia, znajdujący się w pobliżu żołnierze brali maszyny brytyjskie za niemieckie.

Dywizjon Hiltona Haarhoffa wyleciał na patrol nad Dunkierką 1 czerwca po południu. Haarhoff zauważył, że plaże „były o tej porze prawie puste, ale piasek poznaczony był licznymi lejami po wybuchach pocisków i prowizorycznymi schronami pospiesznie wygrzebanymi w piasku przez żołnierzy". Widział też kolumnę ciężarówek, którymi wjechano w morze, żeby utworzyć pomost prowadzący na statki. W powrotnej drodze z rozpoznania załoga samolotu hudson pilotowanego przez Haarhoffa była świadkiem potyczki między spitfire'ami a stukasami atakującymi płynące do Dover statki. Haarhoff obserwował stukasa, który zanurkował, zrzucił ładunek bomb i podniósł się z powrotem.

– Przymierzał się do celu – opowiada Haarhoff – którym był nieszkodliwy holownik ciągnący barkę pełną żołnierzy.

Stukas zrzucił ładunek i przed holownikiem podniósł się potężny słup wody, który go zasłonił.

– Myślałem, że już go nie zobaczę, ale woda opadła, a stateczek wciąż tam był i pruł dalej do przodu. Nic mu się nie stało, więc aż krzyknąłem z radości.

Poranek 2 czerwca zaczął się spokojnie dla Fighter Command, loty patrolowe napotkały tylko nieznaczny opór. Tony Bartley pamięta, że jego dywizjon zszedł, wbrew rozkazom, na pułap 2 700 metrów (9 000 stóp), gdzie napotkał trzydzieści samolotów heinkel 111 i strącił około

osiemnastu z nich. Jeszcze niżej Bartley dostrzegł nurkujące stukasy. Nie zdołały zapobiec odwrotowi wojsk brytyjskich, zadając kłam swojemu dowództwu. Okazało się, że mimo obietnicy, jaką Herman Goering złożył Adolfowi Hitlerowi, Luftwaffe nie potrafi zniszczyć Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych.

Dnia 2 czerwca 611. Dywizjon znalazł się nad Dunkierką po raz pierwszy. Dowódca dywizjonu John McComb wspomina, że tego dnia wieczorem planowali drink-party z udziałem żon w messie jednostki. Kiedy nadszedł rozkaz startu, postanowili nie odwoływać imprezy, „bo nie mogliśmy pozwolić, żeby Hitler wtrącał się w nasze życie towarzyskie”. Tuż przed startem jeden z pilotów, Donald Little, wskoczył na skrzydło samolotu McComba i poprosił go, żeby nakarmił w nocy jego psa. McComb wraz z żoną dzielili dom z małżeństwem Little oraz małżeństwem Crompton.

– Ale od razu wpadliśmy w chmarę messerschmittów – relacjonuje McComb – mieliśmy różne problemy i straciliśmy tych dwóch pilotów.

Dywizjon wracał do bazy pojedynczo i dwójkami.

– Tymczasem przyjęcie się zaczęło i każdego, kto wylądował, witano wiwatami. Aż nadszedł czas, kiedy Lil Crompton i June Little zorientowały się, że nikt już więcej nie przyleci.

Dwie młode dzielne kobiety nie prosiły nikogo o pomoc ani o wsparcie.

– Bez jednej łzy i bez słowa wymknęły się dyskretnie do pomieszczenia na tyłach i same wróciły do domu.

Podczas bitwy o Francję i ewakuacji do baz nie wróciło z akcji lub uległo zniszczeniu na lądzie 931 samolotów brytyjskich (w tym 477 myśliwców). W tym samym czasie poległo, odniosło rany lub dostało się do niewoli 1 526 lotników. Statystyki dotyczące samej ewakuacji są mniej dokładne. 11. Group RAF podaje, że zniszczono 258 samolotów niemieckich.

Oficjalne źródła historyczne z roku 1953 (The Official British History) podają, że zniszczeniu lub uszkodzeniu uległo 177 samolotów brytyjskich, w tym 106 myśliwców. Jednak bez względu na dokładność statystyk nie ulega wątpliwości, że Niemcy stracili podczas ewakuacji więcej samolotów niż Fighter Command. I chociaż obie strony popełniły błędy, obie miały także poważne ograniczenia. Brytyjczycy mieli ograniczony dostęp do swoich samolotów, a Luftwaffe postawiono zadanie niemożliwe do wykonania. Dodatkowe utrudnienie stanowiła odległość pola bitwy od lotnisk, która ograniczała obu stronom czas, jaki można było spędzić w powietrzu.

W ostatecznym rozrachunku, bez względu na to, czy zadanie było realistyczne, czy nie, Luftwaffe nie zdołało zniszczyć Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych. Tym samym nie tylko po raz pierwszy poniosło porażkę w postaci niewykonania wyznaczonego zadania, ale również nie dokonało poważnego wyłomu w siłach Royal Air Force. Z drugiej strony RAF udowodnił, że można unieszkodliwić

Luftwaffe, którego tak bardzo się obawiano. Zdobył też cenne doświadczenie w przededniu zbliżającej się bitwy powietrznej. Strącił mnóstwo samolotów nieprzyjaciela, a także, dzięki sprzyjającej pogodzie, ocalił Brytyjskie Siły Ekspedycyjne. Przede wszystkim zaś nie poniósł klęski.

Można więc śmiało stwierdzić, że wyczyn Królewskich Sił Powietrznych był ostatecznym składnikiem cudu ocalenia pod Dunkierką.

ROZDZIAŁ JEDENASTY
NOWA DUNKIERKA

Operacja Dynamo nie jest zbyt dobrze znana w Stanach Zjednoczonych. Właściwie nie jest dobrze znana nigdzie poza Wielką Brytanią. I wielka szkoda, ponieważ ma ogromne znaczenie międzynarodowe. Gdyby bowiem Brytyjskie Siły Ekspedycyjne zostały pod Dunkierką ujęte i zniszczone, jest niemal pewne, że Wielka Brytania musiałaby się poddać. Stałaby się wówczas, jak ostrzegał Churchill, krajem podległym, a to pozwoliłoby Hitlerowi skoncentrować wszystkie siły na Związku Radzieckim. Trudno też wyobrazić sobie, by Stany Zjednoczone mogły stworzyć drugi front bez partnerskiego udziału Wielkiej Brytanii.

Odłóżmy jednak na bok spekulacje. Gdyby Wielka Brytania się poddała, żylibyśmy dzisiaj w zupełnie innym świecie. Moja rodzina w ogóle by nie żyła, a wszyscy Żydzi zniknęliby z Wielkiej Brytanii wiele lat temu. Bez Wielkiej Brytanii, która stoi na straży wolności i rządów prawa, totalitaryzm nazistowski rozprzestrzeniłby się po całej Europie. Barbarzyństwo, brak tolerancji, przymus, wszystko to byłoby zjawiskiem powszechnym, naturalnym i codziennym.

Podczas uroczystości zakończenia Olimpiady w Londynie w roku 2012 Timothy Spall wystąpił w roli Winstona

Churchilla, który wyłania się z modelu Big Bena. W ten sposób organizatorzy chcieli zakomunikować, że oto jesteśmy tu razem, cieszymy się wolną Olimpiadą w wolnym Zjednoczonym Królestwie, w wolnym świecie – a wszystko to dzięki niemu. Inaczej mówiąc, dzięki tym kilku tygodniom, podczas których Churchill zdołał postawić na swoim, a armia brytyjska uniknęła zniszczenia.

Takie właśnie przesłanie zawiera ta książka. Opowieść o odwrocie i ewakuacji nie jest żadną prowincjonalną angielską historyjką ani też krótkim epizodem poprzedzającym prawdziwą historię, która rozpoczęła się, dopiero gdy do wojny przystąpiły Ameryka i Rosja. Jest to opowieść o walce w obronie wolności całego świata oraz o udaremnieniu nowej ery wieków ciemnych. I dlatego zasługuje na to, by zachować ją w pamięci.

Warto to sobie powiedzieć przed przystąpieniem do omówienia powrotu Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych do Anglii, ponieważ kiedy statki były w drodze, świat nie wiedział jeszcze, co go czeka.

Na pokładach statków zmierzających do Anglii wielu żołnierzy zapadało w sen. Niektórzy zaszywali się w zakamarkach pokładu, żeby nikt ich nie niepokoił.

– Przybijaliśmy do brzegu Anglii – mówi porucznik John McBeath, dowódca HMS *Venomous* – żołnierze opuszczali pokład, a my zawracaliśmy na plaże. I wtedy nagle pojawiał się jakiś żołnierz, który nie wiedział, że płynie z powrotem do Dunkierki.

Leon Wilson, francuski artylerzysta, przypłynął do Anglii na pokładzie niszczyciela. Jego kapitan witał duży kontyngent Francuzów słowami:

– Chodźcie tu, Żabki! Siadajcie i posilajcie się.

Wilson wyjaśnia, że chociaż kapitan oczywiście żartował, dla niego był to pierwszy porządny posiłek od wielu dni.

– Takiego poczęstunku nie powstydziłby się sam Savoy – dodaje z uznaniem.

Większość żołnierzy wracających do Wielkiej Brytanii zdawała sobie sprawę, że armia brytyjska poniosła wielką porażkę. Wielu uważało, że przynieśli wstyd ojczyźnie. Taką postawę reprezentuje też Alex, który pojawia się pod koniec filmu. Jednak tych, którzy podzielali ten pogląd, czekała niespodzianka.

– W Anglii reagowano na nas w sposób zaskakujący – przyznaje pewien oficer z Durham Light Infantry, który był świadkiem powszechnej euforii na widok powracających żołnierzy. Witano ich jak bohaterów.

Humphrey Bredin opowiada, że wsiadł do pociągu w Dover i zaraz zasnął. Zbudził się w miejscowości Headcorn. A tam:

– Kobiety urządziły nam prawdziwe przyjęcie. Wpadły do pociągu i częstowały herbatą, ciastkami i słodkimi bułeczkami.

Anthony Rhodes sięgał właśnie po swój bagaż, kiedy jakiś obcy człowiek wcisnął mu do ręki pieniądze. Członkinie Ochotniczej Służby Kobiet (Women’s Voluntary Service)

krzyczały w kierunku przejeżdżającego pociągu, którym między innymi jechał kapitan Gilbert White:

– Dobra robota, chłopaki! Naprawdę dobra robota!

Do przedziału, w którym podróżował szeregowy William Ridley, wrzucano przez okno pomarańcze i papierosy. Ridley widział też po drodze wymalowany na ścianie budynku wielki napis: „Witamy Bohaterów z Dunkierki!”. Sierżant Ted Oates pisał do rodziny:

Przyjmują nas tutaj z honorami, jak bohaterów. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi[38].

Bredin czuł się zakłopotany reakcją rodaków:

– My przecież stamtąd uciekliśmy.

Ridley także mówi, że czuł wstyd. Wielu żołnierzy czuło wręcz gniew, gdyż uważali, że zostali zdradzeni przez polityków, przez swoich oficerów czy też przez samą armię.

Dnia 2 czerwca w Aldershot wygwizdano Ministra Wojny Anthony’ego Edena podczas przemówienia skierowanego do wojska. Mniej więcej w tym samym czasie Basil Dean, szef ENSA (Entertainment National Services Association), przebywając w pubie w Bridport, przysłuchiwał się rozmowom wzburzonych żołnierzy, którzy przerzucali się opowieściami o swoich przeżyciach na kontynencie. Jeden z nich opowiadał z oburzeniem, że kadra podoficerów z jego jednostki zajęła wszystkie pojazdy, jakie były na wyposażeniu, i uciekła w kierunku wybrzeża, zostawiając rezerwistów i żołnierzy na pastwę losu. Słuchacze jednoznacznie dawali do zrozumienia, że podzielają jego oburzenie.

Osiemnastolatek Colin Perry słyszał w połowie czerwca od pewnego żołnierza, że kiedy statek, którym płynął do Anglii wraz z towarzyszami, został zatopiony podczas nalotu stukasów, wszyscy oficerowie ratowali się sami, porzucając podwładnych. Maurice Machin z Royal Army Service Corps, mimo że od tego czasu minęło ponad siedemdziesiąt lat, nadal jest wściekły z powodu tego, co się stało:

– Mówią, że Dunkierka była zwycięstwem. Nie była. To była dezorganizacja i chaos. Gdyby cywile brytyjscy nie przyszli nam z pomocą, zginąłbym ja i wielu innych[39].

George Purton wyraża się z nieco większą powściągliwością, lecz nie mniej krytycznie:

– Wysłano nas do wykonania zadania, które było niewykonalne.

Tymczasem bez względu na to, czy był to cud, czy dezorganizacja i chaos, reakcja ogółu społeczeństwa na ewakuację nie została w żaden sposób narzucona ani sprokurowana. Była powszechnym spontanicznym przejawem ulgi. Krewni i przyjaciele byli już bezpieczni, a wojna miała trwać dalej. Siostra Eileen Livett ze szpitala w północnym Londynie, przystępując do opieki nad powracającymi z Dunkierki żołnierzami, uważała, że są to bohaterowie.

– My wszyscy tutaj, w domu, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak krytyczna była sytuacja. Naprawdę wszystko wisiało na włosku.

Te nastroje społeczne skutecznie wykorzystał Winston Churchill, kiedy zwracając się do Izby Gmin, przyznał, że chociaż wojen nie wygrywa się ewakuacjami, to jednak nie ma wątpliwości, że nastąpił „cud ocalenia”.

Dla niektórych Dunkierka stała się osobistą inspiracją. Nella Last poczuła się „częścią czegoś nieśmiertelnego, co nigdy się nie starzeje”, dodając na koniec:

– Cieszyłam się, że jestem rodaczką ratujących i uratowanych.

Dla zagorzałego pacyfisty, Dennisa Argenta, Dunkierka okazała się bodźcem do zmiany przekonań. Był już w stanie wyobrazić sobie okoliczności, w których zabicie nieprzyjaciela „może okazać się oczywistym i bezpośrednim środkiem do ratowania życia cywilów, kolegów z pracy, a może nawet przyjaciół i członków rodziny”.

Lord Elton, historyk brytyjski, w przemówieniu wygłoszonym kilkanaście miesięcy po zakończeniu Operacji Dynamo przedstawiał Dunkierkę jako odwrót przypływu. Teraz ludzie dowiadywali się, że „tak naprawdę nie liczy się to, co skomplikowane i wyjątkowe. Nie liczą się akcje na giełdzie i udziały ani ekskluzywne kluby nocne. Liczy się dach nad głową, posiłek i odgłosy dziecięcej zabawy w pobliżu”.

Obraz Dunkierki jako narodowego przebudzenia, odmalowany przez lorda Eltona, może wydawać się nieco uproszczony (i bardzo sentymentalny), ale nie ulega wątpliwości, że klimat społeczny i polityczny w Wielkiej Brytanii uległ nagłej i zasadniczej zmianie. Przed Dunkierką

rządu nie było stać na bezpłatny przydział mleka dla matek i dzieci. Program taki wprowadzono już 7 czerwca. Fundusze przestały nagle być przeszkodą.

Kilkanaście dni później Harold Nicolson, reprezentujący w parlamencie Ministerstwo Informacji, przedstawił Radzie Ministrów sprawozdanie na temat zmian zachodzących w nastrojach społecznych. W raporcie czytamy:

Należy dokładać starań, by zapewnić młodemu pokoleniu rze czywistą równość szans.

W odpowiedzi lord Halifax, uchodzący za relikt minionej epoki, przyznał, że wartości humanitarne zdają się brać górę nad przejrzystością finansową.

Jeśli jednak Wielka Brytania miała przetrwać, to jak nigdy przedtem wymagała pomocy zwykłych ludzi. Potrzebni byli do tego, by walczyć, pracować na długie zmiany w fabrykach, służyć ochotniczą pomocą, wnosząc wkład w wysiłek wojenny i tolerując niewygodne przepisy oraz restrykcje.

W zamian mogli liczyć na kompensacje w postaci wyższych wynagrodzeń i większego bezpieczeństwa. Ta nowa rola i nowe znaczenie umożliwiały im znacznie większy udział w życiu publicznym. Znalazło to wyraz, między innymi, w artykule wstępnym opublikowanym w dzienniku The Times z 1 czerwca 1940 roku:

Kiedy mówimy o demokracji, nie mamy na myśli demokracji, która wprawdzie zapewnia prawo udziału w wyborach, ale zapomina o prawie do pracy i życia. Kiedy mówimy o wolności, nie chodzi nam o bezwzględny

indywidualizm, który wyklucza organizację życia społecznego i planowanie gospodarcze. Kiedy mówimy o równości, nie mamy na myśli równości politycznej, którą redukują przywileje społeczne i ekonomiczne. A kiedy mówimy o rekonstrukcji gospodarki, to mniej zależy nam na maksymalizacji produkcji (chociaż to tak że będzie potrzebne), a bardziej na równym podziale… Nowy porządek nie może opierać się na zachowaniu przywilejów narodowych, klasowych ani osobistych.

Walka o to, by dać odpór nazistowskiej nieprawości, nie miałaby raczej sensu, gdyby Wielka Brytania zignorowała swoje własne nierówności. Dunkierka przekształciła dość abstrakcyjne dotąd pojęcia, jak wolność i równość, w możliwe do realizacji cele, które rząd w warunkach wojennych miał wkrótce wpisać w życie codzienne Brytyjczyków. Nagły wstrząs Dunkierki okazał się iskrą, która umożliwiła stworzenie nowoczesnej Wielkiej Brytanii.

Niestety nie znajdowali w tym zbyt wielkiego pocieszenia ci, którzy dostali się do niemieckiej niewoli we Francji, ani ci, którzy odnieśli rany. Siostra Eileen Livett sprawowała opiekę nad poważnie rannymi żołnierzami. Był wśród nich młody, niespełna dwudziestoletni chłopak z poparzeniami trzeciego stopnia, którego darzyła szczególną sympatią. Zanim uległ poparzeniu, był w tak doskonałej kondycji fizycznej, że rany goiły się bardzo szybko. Na nieszczęście podczas zmiany opatrunku głowy wraz z bandażem oderwało się jego zwęglone ucho. Nazajutrz siostra Livett miała wolne, a po powrocie do szpitala dowiedziała się, że

chłopak zmarł. Po usunięciu opatrunku z oczu okazało się, że stracił wzrok.

– Tak pięknie się goił – wspomina siostra Livett ze smutkiem – a wykończył go wstrząs psychiczny.

Nie należy zapominać, że mimo ewakuacji nie wszyscy wrócili do domu. Ponad 140 000 żołnierzy Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych zostało we Francji. Niektórzy nie zdążyli dotrzeć do Dunkierki. Inni, jak wysłani na Linię Maginota żołnierze 51. Dywizji (Highland), zostali na południe od rzeki Sommy odcięci od reszty armii przez niemieckie natarcie. Kontynuowali walkę jeszcze przez pewien czas po zakończeniu Operacji Dynamo, ale wpadli w okrążenie pod St Valery-en-Caux i 12 czerwca dostali się do niewoli.

W dniu, w którym 51. Dywizja trafiła do niemieckiej niewoli, przybyły do Francji dwie nowe dywizje – 52. Dywizja (Lowland) oraz 1. Dywizja Kanadyjska. Ich zadaniem miało być wspieranie Francuzów w ramach drugiej części Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych. Misja ta nie miała jednak żadnych szans powodzenia. Jej dowódca, generał Brooke, próbował ewakuować swoje wojska już po dwóch dniach pobytu na kontynencie. Ponieważ jednak Churchillowi tak bardzo zależało na tym, by Francja nadal uczestniczyła w wojnie, i ponieważ obawiał się wpływu, jaki ewentualna ewakuacja może wywrzeć na morale Francuzów, polecił dywizjom generała Brooke’a pozostać na miejscu. Wkrótce potem, 14 czerwca, Niemcy wkroczyli do Paryża. Tym samym stało się jasne, że Francuzi zostali naprawdę pokonani. Dopiero wtedy nadszedł rozkaz

ewakuacji Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych 2 z Bordeaux, Cherbourga, St. Malo, Brestu i St Nazaire.

A zatem zaledwie kilka tygodni po pierwszym odwrocie doszło do drugiego, równie chaotycznego marszu w kierunku wybrzeża. Także i tym razem porzucano sprzęt, wzywano na pomoc statki i łodzie. Wtedy też nastąpiła największa tragedia w historii marynarki brytyjskiej. *Lancastria*, statek liniowy firmy Cunard, płynący do Anglii z 6 000 pasażerów na pokładzie, został zatopiony przez lotnictwo niemieckie tuż po wyjściu z portu St Nazaire. Zginęło co najmniej 4 000 mężczyzn, kobiet i dzieci, z których większość utonęła. Churchill zakazał publikowania wiadomości o zatonięciu Lancastrii. Uznał, że tego dnia w prasie ukazało się już wystarczająco dużo złych wieści. W wyniku Operacji Ariel – taki kryptonim nosiła ewakuacja drugiej części Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych – przewieziono do Anglii ogromną liczbę wojsk alianckich.

Francja podpisała zawieszenie broni z Niemcami 22 czerwca. Nastąpiło to w tym samym wagonie kolejowym i w tym samym miejscu nieopodal Compiègne, gdzie doszło do rozejmu w roku 1918. Hitler bardzo pragnął tej zemsty. Zależało mu na upokorzeniu Francuzów nawet za cenę wyrwania starego wagonu ze ściany muzeum i przewiezienia go do Compiègne.

Dziennikarz amerykański William Shirer pisał 14 czerwca z Berlina, że podczas kolacji goście hotelowi zgromadzili się wokół głośnika przy barze, żeby wysłuchać wiadomości o wkroczeniu Niemców do Paryża. Sądząc po wybuchach

śmiechu i innych objawach zadowolenia, zapanowała powszechna radość. Nie okazywano jednak niestosownego ożywienia. Niebawem wszyscy powrócili do stołów i zajęli się konsumpcją. Następnego dnia rano dziennik partii nazistowskiej Volkische Beobachter doniósł, że:

Paryż był miastem trawionym frywolnością i korupcją, miastem demokracji i kapitalizmu, gdzie Żydzi mieli wstęp do sądów, a Murzyni na salony. Taki Paryż nie odrodzi się już nigdy.

Trzy dni później Shirer przyjechał do Paryża i zastał w nim opustoszałe ulice i pozamykane sklepy. Nocą, tam gdzie kiedyś pełno było światła i rozbrzmiewały śmiech i muzyka, było teraz głucho i ciemno. Nie brakowało natomiast turystów, ponieważ każdy żołnierz niemiecki posiadał aparat, którym fotografował jak gość z prowincji:

Były ich tysiące. Fotografowali Notre Dame, Łuk Triumfalny i Plac Inwalidów.

Tymczasem większość żołnierzy francuskich, którzy trafili do Anglii w wyniku Operacji Dynamo i Operacji Ariel, postanowiła wrócić do Francji. Jednym z nielicznych, którzy zostali, był Leon Wilson. Ewakuowano go do Dover na początku czerwca. Spędził pewien czas na stadionie White City, po czym zmienił nazwisko i wstąpił do Armii Brytyjskiej. Jego nowa jednostka stacjonowała w Wiltshire, gdzie posłano go do szkoły dla dzieci, żeby nauczył się angielskiego. Przychodził na lekcje niemal codziennie, siadał przy drzwiach i uczył się angielskiego.

– Szybko zacząłem mówić – wspomina Wilson – a po pewnym czasie mówiłem nawet całkiem nieźle.

Podczas wakacji wybrał się na tańce do klubu Astoria przy Tottenham Court Road. W klubie było niewielu mężczyzn, przeważały kobiety, wśród których zwrócił uwagę na „cudowną młodą damę drobnej budowy, niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, po prostu fantastyczną". Zaprosił ją do tańca, a pod koniec wieczoru odprowadził do Hyde Parku, gdzie spróbował pocałować. Tak poznał swoją żonę.

Po licznych szkoleniach wojskowych w różnych zakątkach Anglii w roku 1943 Wilson trafił do Egiptu jako celowniczy działa. Po kilku miesiącach przeniesiono go do Korpusu Wywiadu, z którym dotarł do Włoch. W sierpniu 1944 roku, dwa dni po wyzwoleniu miasta, znalazł się w rodzinnym Paryżu. Poszedł prosto do swojego domu rodzinnego przy 8 Rue des Bois, 19 Arrondissement. Wilsonowie byli Żydami, a w mieście wiele się zmieniło, odkąd był tu po raz ostatni. Tak wspomina tamte chwile:

Zadzwoniłem do drzwi i poszedłem do konsjerżki. Na mój widok zemdlała. Myślała, że nie żyję! A ja jestem w mundurze brytyjskim. Po kilku minutach powiedziałem, że chciałbym zobaczyć się z rodzi cami, bo nie wiem, co się z nimi działo. Ktoś prawdopodobnie usłyszał naszą rozmowę i poszedł na pierwsze piętro, żeby ostrzec ludzi, którzy tam teraz mieszkali. Wszedłem na piętro. Po prawej stronie zobaczyłem plastikową swastykę. Zapukałem.

Kobieta płakała, arazem z nią płakało troje czy czworo dzieci. Ludzie na ulicy krzyczeli: „Aresztować ich!”.

Nowi lokatorzy zostali umieszczeni w mieszkaniu przez nazistów, ale Wilson nic do nich nie miał, chciał tylko odnaleźć rodzinę. Szukał ich przez kilka dni, ale niczego się nie dowiedział. Udał się do starej rodzinnej fabryki przy Rue Belleville. Była zamknięta. W końcu wrócił do kamienicy i zostawił u konsjerżki swój adres w Londynie.

Czekał długo. W końcu otrzymał wiadomość, że w Paryżu pojawili się jego ojciec i jeden z braci. Obaj przeżyli pobyt w obozach. Wszyscy pozostali członkowie rodziny – matka, babka i pozostali trzej bracia (z których najmłodszy miał zaledwie dwa lata) – zmarli w Buchenwaldzie.

Dwa tygodnie potem ojciec przyjechał do Londynu. Sam, bez ocalałego z Holocaustu syna.

– Dobrze, że go ze sobą nie zabrał – mówi Wilson. – Ojciec pokazał mi zdjęcie, na którym mój brat wygląda jak szkielet.

Ojciec Wilsona powiedział niewiele ponad to, że w obozie strażnicy rozdzielili mężczyzn i kobiety.

– Nigdy nie pytałem brata, co przeżył – mówi Wilson. – Po co to znowu rozdrapywać?

Po zakończeniu wojny Leon Wilson zamieszkał w Anglii. W roku 1950 odwiedził Dunkierkę. Chciał wybrać się do wioski pod miastem, gdzie razem z towarzyszami zatrzymali się podczas odwrotu i gdzie ukradli ze sklepu rowery. Chociaż uratował się dzięki rowerowi, długo miał poczucie winy z powodu tej kradzieży.

Po krótkich poszukiwaniach odnalazł sklep z rowerami, który nadal mieścił się tam gdzie dawniej. Zatrzymał się przed nim na chwilę.

– Szczerze mówiąc, stchórzyłem – przyznaje. – Nie potrafiłem tam wejść i powiedzieć, że przepraszam za kradzież tych rowerów. Ale byłem wzruszony, widząc miejsce, które uratowało nam życie.

Od czasu ewakuacji Leon Wilson przechodził różne koleje losu, a jednak to właśnie Dunkierka okazała się doświadczeniem, które go uformowało. Podobne odczucia miało wielu ewakuowanych, a nawet wielu tych, którzy dostali się do niewoli. Dunkierka wywarła wpływ nie tylko na tych, którzy tam byli, i nie tylko na tych, którzy ją pamiętają. Było to wydarzenie przełomowe, kultowe, którego znaczenie zmieniało się przez minionych siedemdziesiąt siedem lat, w miarę jak zmieniało się społeczeństwo. Zbliżamy się właśnie do chwili, w której Dunkierka przestaje być żywym wspomnieniem i przechodzi do historii. Już niedługo nie będzie nikogo, kto jest w stanie opowiedzieć, jak tam było naprawdę. Politycy, historycy i dziennikarze, wszyscy uzyskają całkowitą swobodę w przywoływaniu tej opowieści albo po to, żeby utrwalić uprzedzenia, albo dla kariery, albo żeby przedstawić ją dla niej samej zgodnie z prawdą. Dlatego właśnie teraz Chris Nolan postanowił zrobić film o przetrwaniu, film, którego akcja toczy się podczas ewakuacji. Chciałem porozmawiać z tymi, którzy uczestniczyli w powstawaniu tego filmu, żeby dowiedzieć

się, co myślą o Dunkierce jako o wydarzeniu historycznym, jak ją traktują jako temat i jak zabrali się do zrobienia o niej filmu.

Emma Thomas jest producentem filmowym, a także żoną Chrisa Nolana. W przeszłości często podsuwała mężowi nowe pomysły na filmy.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu potrafi przeznaczyć na fascynację pomysłem – mówi Emma. – A na koniec mówi, że nie widzi, jak miałby się do tego zabrać jako reżyser.

Tym razem było inaczej. Emma dużo czytała na temat Dunkierki i zauważyła, że nie było ostatnio filmu na ten temat.

– Zauważył tę lukę – mówi Emma – co mnie bardzo ucieszyło.

Dunkierka to historia, z którą Chris dorastał. Kiedy Emma mu o niej przypomniała, zaczął na ten temat dużo czytać. Zamknął się w sobie, podobnie jak w przypadku kultowego *Batmana*.

– Potrzebuję czasu, żeby odnaleźć się w historii, która moim zdaniem jest warta, żeby ją opowiedzieć – wyznaje Chris. Woli zdystansować się od wszelkich wpływów i nacisków.

Proces pisania scenariusza *Dunkierki* nie przebiegał w sposób typowy.

– Przeprowadziłem szerokie badania historyczne, zapoznałem się z wieloma relacjami uczestników. Zazwyczaj tego nie robię bez względu na to, czy mam do czynienia

z wydarzeniami autentycznymi, czy nie – mówi Chris. Tym razem szczególnie zależało mu na tym, żeby zrozumieć mechanizm tego wydarzenia. Dopiero potem zajął się tym, jak opowiedzieć historię. – Dopiero gdy doszedłem do przekonania, że rozumiem, jak to działało, mogłem zająć się układaniem struktury opowieści.

Jednak nie od razu poszedł z pomysłem do studia. Najpierw usiadł i napisał scenariusz. A potem wybrał się na długi spacer. Po Dunkierce.

W sierpniu 2015 roku umówił się w Dunkierce ze scenografem Nathanem Crowleyem. Było dla nich oczywiste, że tam właśnie zaczynają. Ale nikt nie wiedział, dlaczego tam przyjechali. Ani kim są.

– W czapce bejsbolówce Chris wygląda jak każdy – mówi Nathan.

Ten spacer zadecydował o wyglądzie i nastroju całego filmu. Nathan (który pracował już z Chrisem przy filmach *Mroczny Rycerz* i *Interstellar*) zajmuje się w filmie bardzo wieloma rzeczami.

– Ekipa scenograficzna odpowiada za wszystko, co widać przed obiektywem kamery, za wszystkie przedmioty i zjawiska materialne. Od wyboru lokalizacji, po wygląd statków i tego, czy ze statków medycznych widać plażę, jak wyglądają samoloty, molo, niszczyciele i modele niszczycieli. Tworzymy świat, na którym oparty jest cały film, oprócz kostiumów i efektów specjalnych – wyjaśnia Nathan.

Nathan i Chris przeszli z portu do Bray Dunes, ale nie doszli do De Panne.

– Byliśmy już trochę zmęczeni – tłumaczy Nathan.

Spacer miał zasadnicze znaczenie dla wzajemnego porozumienia się ich obu na temat realizacji filmu. Zbadali molo, żeby sprawdzić, z czego jest zbudowane. I szybko się zorientowali, że muszą robić ten film w Dunkierce.

– Tego się nie da podrobić, bo to wszystko jest niepowtarzalne: przypływ, plaża, budynki w mieście i samo molo.

Nie chodziło jednak tylko o klimat miejsca. Ważna była także wiarygodność.

– Wiedzieliśmy po prostu, że musimy to zrobić właśnie tam, że to jest ważne – tłumaczy.

Zastanawiali się, czy uda się ściągnąć prawdziwe samoloty typu Spitfire Mark I albo Małe Statki, które naprawdę brały udział w operacji.

– Zgodziliśmy się, że to powinno być coś w rodzaju powrotu. Trzeba zdobyć oryginalne przedmioty, odbudować molo tam, gdzie wtedy stało. Chodziło oczywiście o dokładność, ale także o to, że tak to trzeba zrobić, bo to jest dobre dla filmu i dla tego wydarzenia.

Im dalej szli, tym więcej się dowiadywali.

– Patrząc na przypływ, na jego skalę, dokładnie widzisz, że faktycznie z tej plaży bardzo trudno było odbić.

A kiedy zabrali się do budowania, trudności zaczęły się mnożyć.

– Odbudowa molo wcale nie była łatwa. Gdy już powstało, okazało się, że trudno do niego przycumować. Albo budowa pomostu z ciężarówek… To dopiero było trudne! No i wtedy zaczynasz rozumieć to ich zadanie, zdajesz sobie sprawę, z czym musieli się zmierzyć.

A przecież ani on, ani jego ekipa nie musieli tego robić pod naporem nurkujących nad głową stukasów. I kiedy pracowali, nieprzyjaciel nie atakował przyczółka.

– Próbowaliśmy przycumować łodzie na molo i okazało się, że też nie jest łatwo. Bo to molo wcale nie zostało zbudowane w tym celu.

Do tego samego wniosku doszedł przecież późną nocą 27 maja

1940 kapitan William Tennant, podobnie jak załogi wielu innych statków w ciągu kolejnych dni.

– Odtwarzanie prawdziwych wydarzeń dało nam wszystkim wyobrażenie o tym, przez co musieli przejść ci ludzie, i wzmocniło nasze poczucie odpowiedzialności – przyznaje Nathan.

Do następnego etapu prac Chris i Nathan przystąpili po powrocie do domu.

– Urządziłem w garażu coś w rodzaju minipracowni projektowej – mówi Nathan. – Tylko dla nas dwóch. Chris lubi najpierw sam zdecydować, w jaki sposób chce robić film, zanim wpuści kogokolwiek na plan.

W końcu Chris i Emma przedstawili pomysł w Warner Brothers.

– Poszliśmy do nich z gotowym scenariuszem – mówi Emma. – Dzięki temu mogliśmy powiedzieć: „To będzie wyglądało tak i tak”. I bardzo im się spodobało.

Dunkierka jest w Ameryce nie tylko mało znana jako wydarzenie. A jeśli nawet jest znana, to jako historia tragedii i militarnej klęski. I każda amerykańska wytwórnia filmowa musiała stanąć przed takim podwójnym wyzwaniem.

– Uniwersalny charakter tej historii i czytelność zawartych w niej dylematów sprawiają jednak, że zrozumie ją każdy, bez względu na to, skąd pochodzi – mówi Emma.

– Wydawało nam się, że nastała właściwa pora, by się tym zająć – dodaje – skoro jesteśmy akurat w całkiem niezłej sytuacji.

Faktycznie, Chris i Emma zrealizowali kilka filmów, które zdobyły ogromne powodzenie, co zapewniło im silną pozycję w rozmowach z Warner Bros.

– Chris zdobył u nich duży kredyt zaufania – przyznaje Emma. – Podobnie było z *Incepcją*. To także był wielki sukces, chociaż trudno sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek oprócz Chrisa mógł zrobić taki niekonwencjonalny film. Tym razem było tak samo: dostali od nas to, co nas w tej historii porwało.

Mając więc wsparcie studia Warner Bros, Chris i Emma zabrali się do kompletowania ekipy. Najpierw poszli do Nilo Otero, pierwszego asystenta reżysera, z którym pracowali już wcześniej, między innymi przy *Incepcji* i *Interstellar*.

Nilo tak opisuje swoją rolę:

– Jestem czymś w rodzaju „numer jeden” na statku. Chris, jako kapitan, zajmuje się strategią i wyznaczaniem celów głównych. A ja odpowiadam za to, żeby statek płynął. To najlepsze porównanie. Miałem kiedyś asystenta, który znał mnóstwo cytatów z filmu Nasz okręt (*In Which We Serve*, 1942), i często mnie pytał: „Jeszcze trochę coli, Number One?”.

Pierwsze zadanie Nilo wynikało ze scenariusza:

– Dostaję scenariusz i dzielę go na kawałki. Scena pierwsza, opis, co jest do niej potrzebne i gdzie będzie miała miejsce.

Następnie Nilo przygotowuje tak zwane *strips* (paski), czyli opis ujęć, zwany także *shooting board*. Kiedyś na papierze, a dzisiaj jest to zabieg skomputeryzowany. Na każdym pasku przedstawiona jest scena lub kilka scen składających się na jakiś fragment akcji. Na tej podstawie podejmuje się decyzję, ile ujęć będzie rejestrowanych podczas każdego dnia zdjęciowego. W ten sposób Nilo i Chris opracowują wstępny plan filmowania całej opowieści w określonym czasie, jaki jest do dyspozycji.

– Zaczynamy się targować – opowiada Nilo. – W tym dniu jest za mało, w tym za dużo, i w trakcie przeglądu poszczególnych składników, które traktujemy jak oddzielne elementy produkcji, wypracowujemy ten plan.

Oczywiście z uwzględnieniem geografii.

– Ustalamy, gdzie to będziemy robić. Na przykład gdzie dokładnie na plaży w Dunkierce, co filmujemy

w Zjednoczonym Królestwie, co w studio w Ameryce, a co na morzu – wyjaśnia.

Projekt był szczególnie trudnym wyzwaniem dla Nilo, bo historia, a zwłaszcza historia drugiej wojny światowej, to jego pasja.

– Pływałem po kanale La Manche i wiem, że nie jest to łatwa woda. Dla mnie pierwszym prawdziwym cudem była w Dunkierce pogoda. To się udało tylko dlatego, że morze było spokojne jak baranek, a kanał nigdy taki nie jest. Hitler miał pełne prawo zakładać, że ewakuacja nigdy się nie powiedzie, bo kto mógł przypuszczać, że można przepłynąć kanał łódką wiosłową?

Do zespołu dołączyli, między innymi, dekorator planu Gary Fettis, projektant ubiorów Jeffrey Kurland, koordynator efektów specjalnych Scott Fisher i rekwizytor Drew Petrotta. Każdy z nich odpowiada za określony obszar, ale wszyscy ściśle ze sobą współpracują. Gary Fettis wyjaśnia, że jego ekipa scenograficzna „dostarcza wszystkie rekwizyty i kostiumy, które określają postaci i wspierają fabułę".

W filmach Nolana zawsze przywiązuje się wielką wagę do szczegółu. Na przykład, w *Interstellar* na ścianach sypialni jednej z postaci są półki z książkami. Każdą z nich wybierali osobiście Gary, Emma i Chris. W przypadku Dunkierki proces przebiegał bardziej naturalnie.

– Przede wszystkim położyliśmy nacisk na szerokie panoramiczne tło samej Dunkierki, czyli plaża, obszary przemysłowe, molo – mówi Gary, który wyznaje zasadę, że

nic nie powinno rozpraszać uwagi, a każdy szczegół służy fabule, wizji reżysera i wyobraźni aktorów. Gary dodaje, że Chris nie chciał przytłoczyć widza obrazem zniszczeń i potworności wojny: – Uznał, że ma prawo przedstawić to w sposób prosty i surowy. Dlatego mój problem polegał na tym, jak to wyrazić w ogromnych przestrzeniach, gdzie bardzo łatwo o efekt miniaturyzacji każdej, nawet największej ilości sprzętu wojskowego.

Rekwizytor Drew Petrotta i kostiumolog Jeffrey Kurland pracują nad indywidualizacją postaci filmowych, dobierając ich ubranie, przedmioty, które mają przy sobie, którymi się otaczają i których używają. Drew tak opisuje wspólne zadanie:

– Podam taki przykład. Jeżeli masz stół w pokoju, gdzie postaci jedzą kolację, to my nie zajmujemy się samym stołem, ale całą zastawą i potrawami.

W scenerii historycznej, takiej jak Dunkierka, trzeba trzymać się tego, co wynika z dokumentacji.

– W filmie o tematyce wojennej, takim jak nasz, dobrze wiadomo, co tam było i co kto miał. Musieliśmy tylko ustalić, ile nam tego potrzeba. A to zależało od tego, ile mamy ludzi i jakimi funduszami dysponujemy.

Jeffrey zabrał się więc do przygotowania setek kostiumów wraz z budową warsztatu tkackiego, gdzie powstawał konkretny rodzaj tkaniny, z której szyto mundury. Wykorzystanie oryginalnych mundurów nie wchodziło w grę.

– Po tym, co takie mundury przeszły w wodzie, w piasku, na słońcu, natychmiast by się rozpadły. Zupełnie nie nadawały się do użytku – wyjaśnia Jeffrey.

Natomiast Drew i jego zespół rekwizytorski korzystali głównie z przedmiotów oryginalnych.

– Na przykład mieliśmy autentyczną lornetkę z drugiej wojny światowej, przez którą patrzył jeden z oficerów, stojąc na molo. Oryginalny był także sprzęt do nawigacji i niektóre karabiny z tego okresu.

Rekwizytorzy nie zajmowali się więc produkcją, może z wyjątkiem „paru gumowych karabinów i kilku kamizelek ratunkowych". Drew zdobył kilka egzemplarzy autentycznych kamizelek ratunkowych z tego okresu, z których Chris wybrał konkretny model.

– Odtworzyliśmy je tak, że wyglądały jak nowe.

Wydrukowali też ulotki, które pojawiają się w pierwszych scenach filmu.

– Nathan i Chris obejrzeli oryginały i wprowadzili drobne zmiany w kolorystyce, żeby pasowały do fabuły. Wyprodukowaliśmy nakład pięciu tysięcy ulotek – śmieje się Drew.

Jeffrey i Drew konsultują się także ze Scottem Fisherem w sprawie efektów specjalnych. Scott odpowiada za wszystkie efekty oprócz generowanych komputerowo w postprodukcji. Chociaż ekipa Scotta idzie z duchem postępu technologicznego, współpraca z Chrisem wygląda inaczej.

– Chris stara się jak najwięcej ujęć realizować kamerą i tylko niektóre elementy poprawiać komputerowo – wyjaśnia Scott. – U niego wszystko musi być tradycyjnie.

Co oznacza, że Scott musi mieć specjalne podejście do filmów Nolana.

– Scenariusz Chrisa czytam zupełnie inaczej niż scenariusze innych reżyserów, gdzie w zasadzie można przyjąć, że różne rzeczy da się zrobić komputerowo. U Chrisa takie założenie jest niemożliwe.

Trzeba więc łączyć metody tradycyjne z nowoczesnymi technikami.

– Podstawę stanowi to, co wypróbowane i niezawodne. Dopiero potem sięgam po dostępne technologie, żeby osiągnąć dokładnie taki efekt, o jaki nam chodzi – wyjaśnia Scott.

Na przykład odtwarzanie wybuchów bomb odbywa się w sposób tradycyjny, w czym zresztą Scott ma mnóstwo doświadczenia. Jego zdaniem grafika komputerowa (CGI) w sposób istotny wpływa na to, jak film odbierany jest przez widza.

– W dłuższych sekwencjach to może być nawet bardzo uciążliwe. Każdy rozpoznaje świat generowany komputerowo, bo jest bardzo charakterystyczny i wygląda inaczej. CGI nadaje się fantastycznie do wymazania drutów w ujęciu kaskadera, który wylatuje w powietrze podczas wybuchu, albo kiedy trzeba wstawić jakąś łódkę tam, gdzie jej akurat nie ma. Ale wszystkie te rzeczowe aktywa pochodzą z żywych ujęć: pełnowymiarowe statki, molo,

wszyscy statyści. Więc jeśli je dodamy gdzieś w dalszym planie, to nie rzucają się w oczy. To jest tylko porządkowanie.

Jedną z większych zalet żywych ujęć jest to, jak prawdziwe okoliczności działają na grę aktorów.

– Dzieje się wtedy coś dziwnego – mówi Scott. – Na przykład przy realizacji *Interstellar* Chris zażyczył sobie, żeby na planie w studio w dialogu z aktorem uczestniczył robot, zamiast żeby aktor udawał interakcję i mówił do zielonego ekranu.

Jeszcze wyraźniej widać to przy filmowaniu uderzenia pocisku czy eksplozji. Efekty mogą być reżyserowane i odbywać się całkiem bezpiecznie, ale autentyczna reakcja aktorów jest nie do podrobienia.

– Uczestniczyłem w prezentacjach scen, które miały być robione komputerowo. Najpierw jednak inscenizowaliśmy jakąś prostą sytuację, na przykład wybuch pocisku z moździerza powietrznego, żeby pokazać reakcję aktora. I wtedy reżyser od razu się ożywia: „O, to była prawdziwa reakcja!”. I odtąd coraz częściej tak właśnie się to robi.

Scott uważa także, że obrazy generowane komputerowo wywołują u widza inne relacje zmysłowe i emocjonalne. Mogą nawet doprowadzić do wyłączenia się z oglądania filmu.

– Wzrok współczesnego widza już przyzwyczaił się do takich efektów. Zdarza się, że to wyłącza cię z przeżywania, bo wiesz, że to nie jest naprawdę. Myślę, że wyłączenie następuje w głowie. Tymczasem Chris i Nathan przywiązują

ogromną wagę do autentyczności przeżycia, do perspektywy osobistej, z pierwszej ręki. Widz musi mieć przed oczami żołnierza na plaży pod ostrzałem albo pilota spitfire'a lecącego do bitwy z Luftwaffe. Dlatego wszystko, co mogłoby spowodować jakiekolwiek wyłączenie, jest wykluczone. Chris chce, żeby jego film oglądało się jak dokument.

– Mamy to robić tak, jakbyśmy tam z nimi byli – dodaje Nathan.

Scenariusz *Dunkierki* obejmuje trzy fabuły rozgrywające się w trzech żywiołach: na lądzie, na morzu i w powietrzu, oraz w żywiole czwartym i kluczowym, którym jest czas. Pod wieloma względami właśnie czas jest najważniejszy. Dlatego nieustannie słychać tykanie zegara, który wyraża ciągłe pytania: Czy im się uda? Czy statki wytrzymają? Czy samolotom wystarczy paliwa? Chris z Nathanem przygotowali zestaw obrazów, które wprowadzają i definiują każdy z tych czterech żywiołów. Nathan zaczął od wykonania modelu nabrzeża.

– Doszliśmy do wniosku, że to droga donikąd – przyznaje.

Z początku sądził, że obrazem definiującym mogą być siedzący na molo żołnierze. Ale po dalszych próbach i wielu dyskusjach ta koncepcja upadła.

– Nie ma w tym nic nowego. Widownia już to zna. To jest za mało intrygujące. Więc ustaliliśmy, że pokażemy to tylko w pierwszej, otwierającej scenie, i na tym koniec, damy sobie spokój.

Film zaczyna się od tego, że Tommy przedziera się przez miasto w kierunku plaży.

– Zdefiniowaliśmy miasto Dunkierka, pokazując, jak bohater biegnie starymi, ciasnymi i ciemnymi uliczkami o niskiej zabudowie. I dopiero gdy nagle wybiega stamtąd na molo, zdajesz sobie sprawę, jakie jest ogromne.

Tak więc kluczowy obraz określający żywioł lądu to:

– Białe molo pełne żołnierzy, którzy stoją ramię w ramię, stłoczeni jeden obok drugiego, niekończący się las hełmów ciągnący się donikąd, prosto w bezkresne morze. Na tym polega rozpaczliwy charakter tego wydarzenia. Żadnych łodzi, tylko mężczyźni na molo. Ten obraz mówi: „To jest kraniec drogi”. Zagoniono cię nad wodę, gdzie jest tylko jeden most. Ale on cię nie zaprowadzi do Anglii.

Z kolei motywem definiującym żywioł morza był żołnierz dryfujący na wodach kanału La Manche na kadłubie przewróconej łodzi. Łódź jest wrakiem, pęknięta śruba napędowa kołysze się na fali przypływu. Została zbombardowana zbyt daleko od plaży, żeby wrócić, i za daleko od domu, żeby dopłynąć. Nathan wyjaśnia, że ta scena wyraża „ruch okrężny filmu”.

– Taki niekończący się dzień świstaka dla żołnierzy, którzy odbijali od brzegu, ale musieli wracać na plażę, bo ich statek zatonął. Stąd zagubiony żołnierz uczepiony wraku na środku morza. Jest wykończony i zrezygnowany, nie liczy już na żaden ratunek. Człowiek zagubiony między wielkim niebem a wielkim morzem.

Ten obraz stał się inspiracją do kolejnej decyzji.

– Pomógł w wyborze IMAX-a, bo ten format doskonale nadaje się do filmowania nieba.

Innym motywem, który wyraża żywioł morza, są Małe Statki. W filmie ograno szczególnie jeden z nich, *Moonstone*, łódź pochodzącą z Loch Ness.

– Spędziliśmy na tym stateczku cały dzień zdjęciowy – mówi Nathan. – To jest wprawdzie obraz znany, ale ma absolutnie zasadniczą wymowę. *Moonstone* nadaje opowieści prawdziwie ludzki wymiar.

Emma twierdzi, że to dzięki temu fabuła staje się tak czytelna.

– Każdy film, który ma trafić do przekonania współczesnej widowni, musi opowiadać o ludziach, o ludzkości. Można oglądać mnóstwo filmów wojennych i czuć do nich dystans, bo człowiek myśli sobie: nie jestem w wojsku, nie służyłem w armii i nigdy nie będę służyć. Ale *Dunkierka* różni się od nich między innymi tym, że opowiada także opowieść o cywilach. Jest opowieścią o bohaterstwie codziennym. Dzięki temu film staje się bardziej atrakcyjny i przekonujący: żołnierze czekają na ratunek, a ludzie płyną im na ratunek Małymi Statkami przez kanał La Manche.

Według Chrisa to właśnie cywile, którzy dobrowolnie wpływają w strefę działań wojennych, sprawiają, że *Dunkierka* jest „jedną z największych opowieści naszych czasów”.

Dwa następne żywioły – powietrze i czas – wiąże ze sobą spitfire. Kamery umieszczono w kabinie samolotu w taki

sposób, żeby obejmowały zarówno pilota przy pracy, jak i to, co pilot widział na zewnątrz.

– Na tym polega bycie z pilotem – tłumaczy Nathan. – Zamiast wciąż pokazywać samoloty z zewnątrz, woleliśmy stworzyć widzowi możliwość, żeby naprawdę poczuł tę maszynę. Dlatego kamery zamontowane są w prawej kabinie samolotu oraz na skrzydłach, żeby można było rzeczywiście filmować zwroty samolotu nad Dunkierką. Bo dopiero kiedy przechylasz samolot w locie, widzisz prawdziwą skalę tego wydarzenia z punktu widzenia samolotu. Zawsze chodzi nam o to, żeby być razem z nimi.

Chris i Nathan wiedzieli, jak to sfilmować, bo sami wykonali lot spitfire'em.

– Paliwa wystarcza na tyle, że można tylko bardzo krótko krążyć nad Dunkierką. No i należy brać pod uwagę wiele innych okoliczności – oprócz możliwości ataku Luftwaffe – które trzeba mieć pod kontrolą, żeby tam dolecieć i wrócić.

Nathan twierdzi, że piloci spitfire'ów stawali przed podobnym wyzwaniem jak żołnierze zebrani na molo albo Małe Statki.

– Czas uciekał, a wraz z nim różne możliwości. Ludzie nie zdają sobie nawet sprawy, ile samolotów spadło, próbując chronić tę plażę.

Podczas dokumentacji Nathan był zaskoczony przemysłowym charakterem tego miasta.

– To wcale nie jest jakieś urocze nadmorskie miasteczko, ale wielki port przemysłowy, w dodatku cały w ogniu. Tego nikt przedtem nie pokazał, jak bardzo przemysłowy jest to

rejon. Chcieliśmy, żeby w naszym filmie to było widać, właśnie tę nieromantyczną nowoczesność.

Nathan dodaje, że oryginalne molo, zbudowane zaledwie dwa lata przed ewakuacją, miało bardzo nowoczesną konstrukcję.

Postanowili wylądować spitfire'em w pobliżu płonących wycieków ropy.

– Potrzebny mi był w tym filmie taki element brutalizmu – wyjaśnia Nathan.

Zadanie odtworzenia zasnuwającego Dunkierkę czarnego dymu, który prowadził lotników RAF-u od samego wybrzeża brytyjskiego, należało do Scotta Fishera. Efekt osiągnięto, spalając olej napędowy, jednak filmowcy musieli dostosować się do ograniczeń nałożonych przez władze miasta.

– Dym był tak gęsty, że otrzymanie pozwolenia uzależnione było od kierunku wiatru. Nie był toksyczny, ale tak czarny, że mógł stanowić zagrożenie dla kierowców poruszających się po okolicznych drogach – mówi Scott.

Okazuje się, że wiatr nie zawsze bywa spolegliwym członkiem ekipy filmowej.

– W pobliżu była fabryka i dym przenikał do środka w takich ilościach, że ludzie nie mogli pracować. Innym razem dym poszedł na miasto, co stwarzało różne inne problemy.

Olej przepuszczany przez pompę wysokociśnieniową zapalał się w specjalnym zbiorniku, ale Scott i jego ludzie

musieli wciąż próbować różnych ustawień, żeby osiągnąć pożądany efekt i kierunek.

– Były dni, że wiatr wiał w niewłaściwym kierunku i nie dało się pracować.

Nathan opowiada z kolei, jak pewnego dnia na plaży pojawiła się piana.

– Zupełnie jak w *Doktorze Żywago*. I żołnierze musieli brodzić w tej pianie.

Wykorzystywanie takich nieprzewidzianych sytuacji także jest częścią procesu produkcji filmu.

– Właśnie w ten sposób chcieliśmy relacjonować wydarzenia z Dunkierki. Ta operacja była przecież wielką improwizacją, zorganizowanym chaosem. Działo się tyle różnych rzeczy, tyle niezależnych od siebie zdarzeń i powstało tyle rozmaitych wersji dramatu Dunkierki, ilu ludzi na plaży. Do tego jeszcze Małe Statki, molo, niszczyciele, trałowce, samoloty, trałowce holenderskie i tysiące żołnierzy. Właśnie na tym to polegało. I nasz film tak konstruuje swoją opowieść: wpada się wizualnie w sam środek wydarzenia, a nie tak, jakby patrzyło się na nie z zewnątrz. Chris ma to wszyst ko w głowie. Ja przychodzę potem i tylko pomagam mu to wizualizować. I przez pierwszych sześć miesięcy na tym polega moje zadanie.

W filmie jest jeszcze jeden żywioł, nieustannie obecny i jednocześnie wciąż nieobecny, czyli nieprzyjaciel. Chris zdawał sobie sprawę, że między żołnierzami na plaży i nieprzyjacielem nie dochodziło do bezpośredniego kontaktu osobistego. I chciał to oddać w filmie.

– Takie są przeżycia wojenne – mówi Nilo Otero. – Starzy żołnierze przyznają, że nie widzieli nieprzyjaciela. Po pierwsze dlatego, że kiedy ktoś do ciebie strzela, to się nie wychylasz, żeby mu się przyjrzeć! Chowasz się w jakiejś kryjówce i tam cicho siedzisz. To jest przerażające przeżycie. Moim zdaniem ten film tak naprawdę mówi o odkrywaniu ludzkiej śmiertelności. I o tym, że po prostu trzeba się nieźle namęczyć, żeby nie umrzeć.

W przekonaniu Chrisa fakt, że zagrożenie nie ma twarzy, pozwala uniknąć implikacji geopolitycznych. Mamy do czynienia z opowieścią o ludzkim przetrwaniu. Chris nie miał zamiaru robić klasycznego filmu wojennego, ponieważ historia Dunkierki pod wieloma względami różni się od konwencjonalnej bitwy.

– Opowiada o śmierci, która nadchodzi z nieba – tłumaczy Chris – i o niewidzialnych U-Bootach w kanale La Manche. Nieprzyjaciel latał nad głową i wyłaniał się z fal, żeby zabijać ludzi i zatapiać statki.

Widownia ma przeżywać to samo co żołnierze, którzy nie rozumieją swojego położenia. Dlatego akcja filmu nigdy nie wychodzi poza plażę.

– Portretując Niemców jako generałów, którzy zamknięci w pokojach bez przerwy rozprawiają o strategii militarnej, wszystko odsłaniasz.

W efekcie widownia wie więcej niż żołnierze.

– Tymczasem ja stoję na plaży i próbuję zrozumieć, o co chodzi, co się dzieje… „Jak się stąd wydostać? Czy mam ustawić się w kolejce? Czy wejść do wody?”. To jest

prawdziwa rzeczywistość empiryczna, którą chcę podzielić się z widzem. Mamy do czynienia z zachowaniem stadnym, pierwotnym, zwierzęcym. Ludzie stoją w kolejkach w wodzie po pas, bo widzą, że inni robią to samo, a nie dlatego, że wiedzą, że przypłyną po nich łodzie. Dla mnie to jest najbardziej fascynujące i przerażające zarazem.

Emma jest podobnego zdania:

– Wrogowie, których nie widać, są groźniejsi. Nie trzeba ich widzieć, by się bać. Nietrudno sobie wyobrazić, co ci ludzie musieli przejść: czołgi i wojsko na ziemi, samoloty w górze, łodzie podwodne i miny pod wodą. I to wystarczy, w zasadzie to wszystko, co trzeba wiedzieć. Kiedy oglądasz *Szczęki*, to nie musisz widzieć rekina, żeby zrozumieć zagrożenie.

W związku z tym jednym z pierwszych zadań ekipy produkcyjnej była odbudowa molo. Mimo dokumentacji i analizy fotografii Nathan nie bardzo rozumiał, na czym polegała rola molo – dopóki nie pojechał na miejsce i nie zobaczył, co z niego zostało.

– Zachowała się znaczna część betonowej konstrukcji – mówi. – Dobudowaliśmy tylko resztę, gdzieś ze trzysta metrów.

Emma pamięta, że był to trudny proces.

– Trzeba było wykonać wiele dodatkowych prac, co nam zajęło dużo czasu. Musieliśmy pogłębić dno wokół molo i odbudować część konstrukcji. Na szczęście władze miasta służyły pomocą. Były bardzo życzliwie nastawione do filmu, a to ma bardzo duże znaczenie.

Proces rekonstrukcji molo wynikał z tego, jakie wrażenie Chris zamierzał wywierać na widzach.

– To, co tam było na początku, to była kombinacja drewna i betonu – mówi Nathan. – Mieliśmy trochę kłopotu z odkryciem, z czego zrobione są te wielkie krzyżaki, które widać na wszystkich fotografiach. Kiedy płynie się łódką wzdłuż molo, widać, że jest be tonowe, ale ludzie mówili też o elementach drewnianych. W końcu zdecydowaliśmy się dodaną część zbudować z drewna, a to z dwóch powodów: po pierwsze, trzeba było zmieścić się w czasie, a po drugie przemawiały za tym względy filmowe. Można było upozorować beton, używając drewna, ale tego nie chcieliśmy. Nie chcieliśmy obaj z Chrisem, żeby widz się zastanawiał: „Z czego to jest zrobione?”. I dlatego zdecydowaliśmy, że robimy z drewna.

Nie chcieli przecież odwracać uwagi widza, żeby przypomniał sobie, że jest w kinie. Dlatego te charakterystyczne krzyżaki wykonano ze ściętych w pobliskim lesie ogromnych drewnianych bali trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Każda belka została przetarta, przecięta i oparta na stalowej płycie.

– Chyba to było największe wyzwanie w całym filmie – przyznaje Nathan. – Bo mieliśmy do czynienia z przypływem. Masz do dyspozycji trzy-, może czterogodzinne okienko, żeby położyć stalowe podstawy tam gdzie trzeba, a potem za pomocą dźwigu ustawić na miejscu całą konstrukcję. Budowaliśmy odcinkami w doku, a potem ustawialiśmy każdy odcinek po kolei z barki

dźwigowej. Ale bardzo trudno jest wszystko przymocować i zabezpieczyć w ciągu czterech godzin, zanim nadejdzie przypływ.

Podczas zdjęć sztorm uszkodził odbudowany fragment molo i zerwał drewniany pomost ułożony na wierzchu.

– Przekonaliśmy się, że morze w tym miejscu wcale nie jest łaskawe – mówi Nathan. – I to było poważne utrudnienie. Inżynier z Warner Brothers pochwalił nas:

– To niewiarygodna konstrukcja, mocniejsza niż większość stałych nabrzeży, na jakich stałem.

Konstrukcja była jednak otwarta, więc fale uderzały od spodu i odbijały w górę deski pomostu. Na wszelki wypadek zaopatrzyliśmy się w deski zapasowe. W końcu wszystko dało się naprawić, mimo że trzeba było zaczekać na poprawę pogody, żeby uzupełniać pomost i filmować dalej.

Chris i ekipa filmu nie doświadczyli cudu tak dobrej pogody, jak objawił się podczas ewakuacji. W zamian osiągnęli satysfakcję twórczą, a może nawet historyczną.

– Na filmie surowa pogoda wygląda znacznie lepiej – wyjaśnia Nathan. – Słońce filmowi nie służy, nawet jeśli świeci zgodnie z prawdą historyczną.

Z tym że przy złej pogodzie na plaży pracuje się znacznie gorzej.

– Staraliśmy się bardzo, ale problemów nie brakowało. Nie tylko z molo, ale także z pomostem z ciężarówek. Lądowanie bezcennym spitfire’em na plaży to też nie byle co.

Tymczasem to właśnie lądowanie spitfire’a na plaży stanowi przełomowy moment filmu. Dan Friedkin, właściciel spitfire’a, który sam pilotuje swój samolot, gotów był podjąć taką próbę. Wielokrotnie przemierzono teren, żeby znaleźć najlepsze lądowisko. W roku 1940 piloci RAF-u odkryli, że plaża Dunkierki zadziwiająco dobrze spełnia takie zadanie.

– Przypływ gładko obmywa plażę i ubija piasek – tłumaczy Nathan. – Wybrany odcinek został ogrodzony i pilot wykonał wiele prób. Wszystkie sfilmowaliśmy.

Nathan doskonale pamięta moment lądowania.

– Widok spitfire’a Mark 1 lądującego na plaży Dunkierki naprawdę jest bezcenny!

Po wylądowaniu samolot utknął jednak w piasku. Nadchodził przypływ i wszyscy musieli przybiec, żeby pomóc przy jego wypychaniu. Nagle wszyscy zaczęli się martwić o bezpieczeństwo spitfire’a.

Pojawiły się jednocześnie dwa poważne problemy: nieuchronny sześciometrowy przypływ i zachód słońca. Tymczasem piloci musieli wracać do bazy przed zmierzchem. Kiedy to dotarło do członków ekipy, Nathana nie było akurat w pobliżu.

– Z daleka widziałem jakieś zamieszanie, ludzie biegli w kierunku spitfire’a. Większa grupa ludzi jest w stanie przepchnąć czy nawet podnieść taką maszynę. Więc wszyscy biegli, żeby go wyciągnąć. W końcu samolot wystartował i wrócił do domu przed zachodem słońca. Ale

widoku spitfire’a lądującego na plaży Dunkierki nie zapomnę do końca życia.

Jeśli chodzi o messerschmitta B 109, który jest niemieckim odpowiednikiem spitfire’a, to Nathan podjął decyzję natury artystycznej.

– W zasadzie potrzebny był tylko żółty nos messerschmitta – przyznaje – mimo że to jest historyczna nieścisłość. Bo messerschmitty zaczęły mieć takie nosy dopiero od sierpnia 1940, a Dunkierka dzieje się w maju i czerwcu[40]. Decyzja zapadła jednak z powodów wizualnych.

– Chodziło o to, żeby samoloty dały się łatwo i od razu rozpoznać, choć poruszają się bardzo szybko. A jeżeli jesteś pilotem, to musisz dokładnie wiedzieć, kto jest kto. Dlatego postanowiliśmy przyprawić nieprzyjacielowi duży żółty nos. I szczerze mówiąc, messerschmitt z żółtym nosem wyglądał znacznie lepiej.

Zdecydowali się także nie oznaczać spitfire’a numerami dywizjonu. Nathan odnalazł prawdziwe numery dywizjonu, których w czasie wojny nie użyto.

– Numery dywizjonu były prawdziwe. Po zakończeniu wojny w Ministerstwie zachował się zapasowy numer dywizjonu, którego jeszcze nie użyto. W ten sposób mieliśmy autentyczne oznakowania numeryczne.

Po zakończeniu rekonstrukcji molo Nathan stanął przed następnym trudnym zadaniem: pomost z ciężarówek.

– Nie ma żadnej dokumentacji na temat tego, jak to zbudować – mówi Nathan. – Powiązaliśmy ze sobą

ciężarówki, autentyczne, wielkie, solidne ciężarówki. I nawet z tym wiązały się pewne komplikacje logistyczne. Na przykład trzeba było spuścić z nich olej, bo miasto nie chciało, żeby do wody dostały się jakieś chemikalia. Odholowaliśmy samochody w morze. A kiedy nadszedł przypływ, okazało się, że one pływają. Już pierwsza fala przypływu porwała nam dwa pojazdy.

Nathan i jego ludzie musieli coś szybko wymyślić.

– Wzięliśmy noże, popłynęliśmy do ciężarówek i poprzebijaliśmy wszystkie opony, zanim nam odpłynęły. Taki szybki kurs pływania.

Podobnie szybki kurs przeszli 30 maja 1940 roku żołnierze Royal Engineers. Oni też musieli przebijać opony, tyle że miasto nie było wtedy na tyle dobrze zorganizowane, żeby nakładać ograniczenia dotyczące zanieczyszczenia środowiska.

– Budując taki pomost z ciężarówek, zaczynasz doceniać trudności, jakie trzeba przezwyciężyć – przyznaje Nathan. – Jest pełno szczegółów, których nie da się przewidzieć. I jeszcze pomost musi być na tyle długi, żeby działał w czasie przypływu, który jest przecież wysoki.

Nathanowi zależało na wykorzystaniu w filmie niszczyciela HMS Cavalier z 1943 roku, który stał w porcie Chatham Dockyard. Chociaż statek nie uczestniczył w operacji, był bardzo podobny do tych, które brały w niej udział, ale nie udało się go przenieść z suchego doku. Jednak ekipa zdobyła inne oryginalne jednostki. Konieczne

było maskowanie wprowadzonych w nich modernizacji. Zbudowano też kilka wyskalowanych makiet niszczycieli.

– W filmie występują statki, które zostały zatopione podczas ewakuacji – wyjaśnia Nathan. – Musiały mieć właściwe oznakowania. Starałem się umieścić na każdym takie same numery, jakie były na prawdziwych jednostkach.

Nathan przykładał też dużą wagę do tego, żeby w miarę możności używać w filmie oryginalnych Małych Statków i wszystkich parowców łopatkowych, jakie można ściągnąć.

– Podczas pierwszego spaceru plażą – wspomina – widzieliśmy szczątki Crested Eagle. A kiedy stoi się na końcu molo przy bardzo niskim przypływie, to widać wrak statku *Fenella.* Zależało mi na zdobyciu parowca łopatkowego, który pływał po Tamizie, bo to nie lada osobliwość zobaczyć, jak cumuje. Dlatego przyholowano nam *Princess Elizabeth*, która nie miała silnika.

Gary Fettis wspomina, że nad łodziami trzeba się było nieźle napracować, żeby nadać im wygląd zgodny z prawdą historyczną.

– Zawsze było przy nich pełno roboty, nawet przy najmniejszych jednostkach. A do tego statki medyczne i całe zaopatrzenie Czerwonego Krzyża. Wprowadzaliśmy sporo zmian w olinowaniu na drabinach linowych.

Tak szeroki zakres prac nieraz wymagał zastosowania nietypowych rozwiązań.

– Dzisiaj na statkach za odbojnice służą wielkie gumowe kule, ale wtedy wykonywano je z lin splatanych z grubych

sznurów konopnych. Potrzebowaliśmy dziesięciu takich odbojnic.

Znaleźli w Dunkierce człowieka, który w miejscowym muzeum zajmował się rekonstrukcją i konserwacją takielunku.

– Potrafił zrobić odbojnice. Zatrudnił do tego więźniów, ale nie zatwardziałych kryminalistów, tylko młodocianych, pierwszy raz skazanych za drobne przestępstwa. Mam nadzieję, że producenci o tym wiedzą, bo sporo w ten sposób oszczędziliśmy.

Gary zatrudniał także ekipę dekoratorów planu na plaży.

– Musiałem zawsze być do przodu z kolejnym planem zdjęciowym. Nie mogę stać z założonymi rękami i patrzeć, jak filmują, bo bym się nie wyrobił. Dlatego potrzebni nam byli dekoratorzy planu. I z powodu skromnego budżetu zaangażowaliśmy do tego członków lokalnej drużyny hokejowej. Mieli akurat przerwę między sezonami i doskonale się sprawdzili. Przyjemne, inteligentne chłopaki. Dostali dokładne instrukcje, co robić, i okazali się świetni.

Przejeżdżając przez Dunkierkę kilka dni później, Gary zauważył plakat przedstawiający drużynę hokejową.

– Wyglądali jak gwiazdy filmowe! Nie mieliśmy pojęcia, że są tacy sławni. Mimo to posłusznie wykonywali polecenia, a na koniec powiedzieli, że nigdy nie zapomną tej przygody.

Jednym z największych planów, jaki Gary urządzał, było wnętrze niszczyciela. Zbudowano go w studio w Los Angeles w ogromnym zbiorniku wodnym. Asystenci

Gary’ego sprowadzili poszczególne elementy wnętrza z największego amerykańskiego składu wraków jednostek morskich w Teksasie.

– Przywieźli do studia wszystkie te części, drzwi, zawory, koje i tak dalej – mówi Gary. – Chociaż w scenariuszu ten fragment zajmuje tylko półtorej strony. No, ale to newralgiczna scena.

Innym razem trzeba było urządzać wnętrze trałowca.

– A w filmach wojennych – mówi Gary – na zewnątrz zawsze jest pełno worków z piaskiem, artylerii, skrzyń z amunicją, ciężarówek i części zapasowych.

Gary często odtwarzał krwawe sceny, prawdziwe masakry.

– Do planów ogólnych używaliśmy manekinów, a bliżej kamery Chris układał aktorów i statystów.

Pewnego dnia Gary zaskoczył Chrisa. Ustawiał wtedy plażę do pierwszej odsłony pod Malo-les-Bains, w której pojawia się Tommy.

– Rozstawiliśmy czterdzieści ciężarówek i skrzynie z amunicją z punktu widzenia kamery, która stała na wydmach. Zastosowaliśmy technikę wymuszonej perspektywy, żeby rozciągnąć obraz. Przez walkie-talkie wydawaliśmy polecenia człowiekowi stojącemu na plaży, żeby przesuwał różne przedmioty, by wszystko wyglądało jak należy. Przyjechał Chris samochodem i mocno poruszony od razu zwrócił się do mnie, ale gdy spojrzał na plażę i na to, co tam zrobiliśmy, powiedział:

– Jadąc tutaj, widziałem po drodze porozkładany sprzęt i wszystko wyglądało bez sensu. Nie wiedziałem, o co chodzi, jakby ktoś postawił to wszystko byle jak i byle gdzie, przypadkowo i bezmyślnie. Teraz rozumiem, że ustawiłeś to pod kamerę.

Tak właśnie komponuje się kadry.

– Wybierasz stanowisko i rozstawiasz przedmioty. W ten sposób można oszukiwać, że przedmioty, które stoją w odległości kilkunastu metrów od siebie, z punktu widzenia kamery znajdują się znacznie bliżej. Wizualnie odnosi się wrażenie, że jest ich tam znacznie więcej. Wiele razy tak robiliśmy na różnych planach, żeby osiągnąć ten efekt.

Scott zajmował się także zatapianiem statków, wybuchami i ostrzałem. Mówi, że w tym filmie zużył więcej silnych ładunków wybuchowych niż normalnie.

– Wybuchy z drugiej wojny światowej wyglądają bardzo wyraziście. Żeby je odtworzyć, trzeba użyć dużo materiału wybuchowego. Stosowaliśmy go w detonacjach w głębi planu, a w pobliżu aktorów używaliśmy moździerzy powietrznych, żeby wybuchy brzmiały blisko, a aktorzy byli bezpieczni.

Moździerze powietrzne to zbiorniki z powietrzem połączone z wysokoprężnymi działkami pneumatycznymi. Rozrywają powierzchnię piasku lub wody.

– Są łatwo powtarzalne – wyjaśnia Scott. A powtarzalność efektu to podstawa jego pracy. – I całkowicie bezpieczne, więc można ustawiać kaskadera lub aktora bardzo blisko.

Przeprowadza się kilka prób i ewentualnie ustawia jeszcze bliżej. I nie ma obawy, że komuś stanie się krzywda.

Kaskaderzy, którzy wylatują w powietrze, pracują pod kierunkiem Toma Struthersa.

– Tom ma do dyspozycji dźwig z wyciągarką, która może poderwać kaskadera bardzo szybko, prawie z prędkością wybuchu.

W studio w Los Angeles ustawiono na planie „zbiorniki dumpingowe" z wodą, w których filmowano zarówno wnętrza tonącego statku, jak też pokłady i powierzchnie zewnętrzne. Zbiornik umożliwiał przechył do dziewięćdziesięciu stopni i zatapianie na głębokość siedmiu i pół metra.

Scott przygotowywał także efekty pocisków uderzających w burty statku. To również było trudne, bo Chris życzył sobie, żeby pociski pruły jednocześnie wodę i burty trałowca, wpadając do wody w smugach przebijającego przez powierzchnię słońca. To był bardzo skomplikowany efekt. Ekipa Scotta wywierciła otwory w burcie statku i ukryła w nich zdalnie odpalane detonatory pirotechniczne. Za ścianą zbudowano czysty zbiornik wypełniony wodą, za którym starannie rozmieszczono światła. Detonatory pirotechniczne służą także do tworzenia efektów pocisków eksplodujących w ciele człowieka.

– Wyzwalacze są bardzo małe – tłumaczy Scott. – Produkuje się je tylko dla potrzeb przemysłu filmowego. W filmie zawsze potrzebna jest jakaś dłuższa akcja ciągła, dlatego podłączamy wyzwalacze do zdalnego sterowania.

Na początku filmu widzimy mężczyzn biegnących przez ulice miasta. Zostają ostrzelani, padają, podnoszą się i biegną dalej, wspinają się na ścianę, pociski uderzają w ścianę...

Detonator jest osłonięty na skórze aktora, wypełniony sztuczną krwią lub czerwonym pyłem i jest na tyle silny, żeby rozerwać tkaninę ubrania.

– Można go zdalnie odpalać z odległości od piętnastu do dwudziestu metrów, na przykład stojąc za kamerą. Odpalenie może być pojedyncze lub wielokrotne, zależnie od potrzeb.

Aktorami i statystami zajmowali się Nilo i jego asystenci.

– Film to jest takie malowanie ludźmi – mówi Nilo. – Chris nie znosi obrazu generowanego komputerowo, więc na planie jest dużo różnych sztuczek i efektów obliczonych na złudzenie optyczne.

W największych scenach zbiorowych brało udział 1 380 statystów.

– A to są przecież istoty ludzkie, które mają zwyczaj się rozchodzić.

Kiedyś, podczas zebrania szefów ekipy Nilo stwierdził:

– Wam się wydaje, że robimy film o Dunkierce, a dla mnie to jest dwieście par gaci.

– Chodziło mi o to – tłumaczy – że w ramach budżetu stać nas na zakup dwustu par spodni tak uszytych, by były identyczne z umundurowaniem Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych. W jednym zbliżeniu możemy pokazać jednocześnie dwustu ludzi. Trzeba też opłacić krawieckie

przeróbki. Budżet wystarcza na dwie przeróbki każdego munduru. Więc robimy film, w którym występuje bardzo dużo ludzi, a my mamy dla nich tylko dwieście par spodni plus dwie przeróbki na każde spodnie. Z tego wynika, że przed kamerą będziemy mieli wciąż tych samych czterystu ludzi, czyli zbyt często będzie widać te same twarze! Dlatego wiele razy powtarzałem:

– Chłopaki, pamiętajcie, dwieście par spodni. Takie kino robimy.

Nathan Crowley i jego zespół stworzyli „sztucznych ludzi", czyli szereg żołnierzy namalowanych na płótnie, które rozwija się i mocuje na wbitych w ziemię słupkach, żeby wypełnić kadr.

– Jeżeli na końcu i ze wszystkich stron masz żywe postaci – tłumaczy Nilo – a także w środku, z przodu i z tyłu, to optycznie wszystko wygląda inaczej. Oko daje się oszukać. Chodzi o wykorzystanie sposobu, w jaki człowiek widzi rzeczy.

Nilo opowiada, że plaża potrafiła „zjadać" ludzi.

– To było niezwykłe zjawisko. Po prostu pochłania ich skala. Patrząc na prawdziwe zdjęcia z tego wydarzenia, na ten ludzki gąszcz i tłok zwłaszcza na łódkach, zrozumieliśmy, że tego nie da się bezpiecznie odtworzyć, nawet gdybyśmy mieli dość ludzi. – I dodaje: – Nie można zrobić dokładnie tego, co robili ludzie podczas wojny. Nie można pilotować samolotów tak jak oni, nie można tak żeglować. Ludzie nie mogą padać na ziemię jak oni, bo to jest niebezpieczne. Okazuje się, że wojna to naprawdę

bardzo niebezpieczna sprawa! I jedynym powodem, dla którego ludzie robią te wszystkie niewiarygodnie niebezpieczne i ryzykowne rzeczy, jest to, że jeśli tego nie zrobią, to mogą zginąć.

Innymi słowy, dokładne odtworzenie pewnych rzeczy jest niemożliwe.

Pojawiały się również trudności natury praktycznej oraz artystycznej wynikające z rozmiarów plaży.

– Na filmie trudno jest oddać prawdziwą skalę – mówi Chris. – Dlatego kolejne plenery mogą być oddalone od siebie o dobrych kilkanaście kilometrów.

Musieli to uwzględnić asystenci odpowiedzialni za aktorów i statystów, żeby obsada planu zawsze była o właściwej porze tam, gdzie powinna.

– Trzeba było pamiętać, że chociaż molo widać z każdego miejsca na plaży, to wcale nie znaczy, że plaża jest jedną lokacją. Bo żeby przejść z planu jednej sceny, na przykład na początku molo, trzeba, jak to mówimy, „przenieść firmę”: załadować wszystkich do samochodów, wywieźć na drogę, przejechać przez miasto, a potem wyjechać z miasta. Tak więc z pozoru prosta geograficznie operacja ustawienia na plaży jest zwodnicza, bo wydaje się, że wszystko jest blisko, chociaż nie jest.

Dlatego Chris skoncentrował się na tym, w jaki sposób żołnierze przemieszczali się na plaży Dunkierki w roku 1940.

– Mam na myśli te wszystkie małe grupki i wspólnoty, które zawiązywały się na plaży podczas ewakuacji. A potem

ludzie, ci konkretni ludzie po prostu nagle znikali.

Ponieważ występujące w filmie osoby nie mają przed sobą przyszłości ani żadnej historii za sobą, Chris opisuje je w czasie teraźniejszym. Zróżnicowaniem postaci zajmował się Jeffrey Kurland, projektant kostiumów.

– Moje zadanie polega na tym, żeby dostarczyć reżyserowi jak najwięcej szczegółów i realiów, które on wykorzystuje zgodnie ze swoimi potrzebami.

Jeffrey zaczął od sprawdzenia dokumentacji historycznej dotyczącej mundurów, następnie zabrał się do indywidualizacji postaci: kim byli ci chłopcy, w jakim byli wieku, jakie mieli doświadczenie.

– Próbowałem ich uczłowieczyć – mówi Jeffrey.

Jak wiemy, zanim dotarli na plażę, przez dwa tygodnie uczestniczyli w odwrocie armii, więc ich mundury uległy zniszczeniu, ekwipunek został zdekompletowany, a broń zaginęła. To dawało Jeffreyowi pewne pole do popisu w zakresie charakterystyki wyglądu postaci.

– Postać Tommy’ego ma w sobie pewien luz, który wyraża się sposobem, w jaki nosi mundur. To wyraźnie odróżnia go od Aleksa, o którym można powiedzieć, że nosi mundur bardziej sztywno, jakby był spięty.

Jest też postać, która wcale nieprzypadkowo nosi niedopasowany mundur, ponieważ wynika to z fabuły. I to właśnie stanowi istotę pracy Jeffreya.

Ciekawie przebiegał także casting do filmu, ponieważ, zgodnie z koncepcją reżysera, wszystkie młodsze postaci mieli odtwarzać aktorzy nieznani.

– John Papsidera i Toby Whale, którzy byli odpowiedzialni za casting, przekazali nam materiał wideo z przesłuchań – mówi Emma – po czym Chris spotykał się z aktorami, którzy szczególnie przypadli mu do gustu.

Emma wspomina kompletowanie obsady do tego filmu jako jedno ze swoich najciekawszych doświadczeń castingowych. Z wykształcenia jest historyczką, historia fascynowała ją od zawsze. Jej zdaniem *Dunkierka* „przywraca historię do życia za pośrednictwem bogatej galerii twarzy i charakterów". Spotkania z tymi młodymi aktorami uświadomiły jej jedną z ważniejszych okoliczności ewakuacji Dunkierki:

– Zaskoczyło mnie, że oni wszyscy byli tacy młodzi. Na przykład Fionn Whitehead, wyjątkowo mądry i niezwykle dojrzały jak na swój wiek, jest tylko cztery lata starszy od mojego najstarszego dziecka. Wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo młodzi ludzie brali udział w tych przerażających wydarzeniach.

Oprócz debiutantów w filmie występują także bardzo doświadczeni aktorzy, choćby Kenneth Branagh czy Mark Rylance. Grają wiarygodnych starych wojowników z Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, podczas gdy nowicjuszom powierzono role niedoświadczonych młodzików. W filmie występuje także debiutujący aktor, który jest jedną z najbardziej znanych młodych muzycznych gwiazd na świecie, czyli Harry Styles. Czy obsadzenie osoby tak znanej, lecz bez doświadczenia filmowego, nie było zbyt ryzykowne?

– Harry odbył takie samo przesłuchanie jak wszyscy inni – wyjaśnia Emma. – Po wielu sesjach przeglądania materiału z przesłuchań musieliśmy przyznać, że doskonale nadaje się do tej roli. Ta decyzja wcale nie była bardziej ryzykowna niż pozostałe.

Emma zgadza się jednak, że jego sława może niektórym przeszkadzać.

– Zawsze istnieje jakieś ryzyko, że taki wizerunek może okazać się ciężarem, ale prawda jest taka, że Harry to bardzo dobry aktor. Jestem pewna, że każdy, kto zobaczy, jak gra w tym filmie, da się w to całkowicie wciągnąć. Bo w filmie to nie jest żaden Harry Styles. Podobnie jak Fionn to nie jest żaden Fionn Whitehead, tylko Tommy.

Nilo Otero, który prywatnie interesuje się historią drugiej wojny światowej, przyznaje, że przez całe życie studiował wojnę „na odległość”. Dziękując mu za udział w filmie, Chris zauważył:

– Miałeś w końcu okazję wykorzystać z pożytkiem swoją wiedzę tajemną.

Scenariusz filmu dotarł do Nilo po raz pierwszy za pośrednictwem Andy’ego Thompsona. Nosił tytuł „Bodega Bay”, ponieważ Chris bardzo starannie chroni swoje scenariusze.

– Pochodzę z San Francisco – mówi Nilo – więc tego się trzymałem. Zrobiłem plan niemieckiej inwazji na północne granice stanu Kalifornia. Gdyby mnie z tym planem nakryli i wzięli na przesłuchanie, to właśnie tak by to wyglądało.

Nilo zaplanował dwadzieścia pięć dni zdjęciowych na plaży. Zadanie zostało wykonane w dwadzieścia trzy dni.

– Zrobiłem już wiele filmów wojennych, gdzie w charakterze doradców występują oficerowie służby czynnej. Przez kilka pierwszych dni tylko się ze mnie śmieją. Ale po czterech czy pięciu dniach zaczynają kombinować w stylu: „Właściwie my to robimy całkiem podobnie”.

Nilo oczywiście wie doskonale, że jest zasadnicza różnica między wojną a filmem wojennym, ale zwraca też uwagę na liczne podobieństwa:

– Masz do dyspozycji jednostkę roboczą złożoną z ludzi, którzy wykonują bardzo specyficzne zadania w rozmaitych okolicznościach i środowiskach. Jednostka musi być na tyle elastyczna, żeby adaptować się do konkretnych warunków i zadań, które należy wykonać w konkretnym dniu.

Dzień zdjęciowy na plaży trwał jedenaście godzin i każdy narażony był na aktualne warunki pogodowe. Wszyscy musieli chodzić w goglach, żeby chronić oczy przed piaskiem.

– Dzisiaj jest już niewiele zawodów, w których jesteś całkowicie skazany na łaskę żywiołów – mówi Nilo – gdzie masz do czynienia z dwoma przypływami dziennie, w wyniku czego plaża raz jest, a raz jej nie ma. Zdziwiło mnie, że na zdjęciach widać tłumy ludzi na plaży, a przecież ta plaża znika! Więc ci goście musieli się ciągle przenosić w tę i z powrotem.

Nilo należy zapewne do nielicznego grona ludzi, którym w ciągu ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat udało się zrozumieć, jak należy zorganizować ewakuację z Dunkierki. Miał przecież do czynienia z prawdziwą armią ludzi, z przypływami, pogodą, ograniczonymi środkami, z koniecznością podprowadzenia okrętów do molo i łodzi na plaże, oraz z pomostem z ciężarówek… Lista jest bardzo długa. Nie groziła mu śmierć, ale musiał pracować wydajnie i bezpiecznie pod silną presją harmonogramu. I chociaż jest zbyt skromny, żeby powoływać się na takie nazwiska jak Tennant, Ramsay czy Wake-Walker, w gruncie rzeczy jego zadanie nie różniło się tak bardzo od zadania oficerów, skoro koordynował pracę wielu tysięcy ludzi.

– Lubię działanie w terenie – przyznaje – i polegam na dobrej pracy sztabowej. Tym właśnie zajmują się kierownik produkcji i producent liniowy. Planuję działania w skali mikro, czyli robię szczegółowy plan dnia minuta po minucie. W taki sposób przebiega proces zarządzania planem filmowym.

Nilo ciekawie komentuje powstawanie merytokracji podczas ewakuacji Dunkierki. Proces ten narastał wraz z postępującym rozpadem jednostek wojskowych, przez co żołnierze musieli sami dbać o przetrwanie. Jego zdaniem dzieje się to także w mikrokosmosie planu filmowego, gdzie również panuje swoisty porządek naturalny. Władza na planie wynika z tego samego powodu, z jakiego żołnierze wykonują polecenia przełożonych:

– Słuchasz poleceń oficera, bo to on jest tym gościem, który cię uratuje. Przestajesz go słuchać, kiedy zaczynasz się go bać. Pod Dunkierką panował powszechny zamęt i nikt nic nie wiedział, a przede wszystkim nikt nie wiedział, ile statków przypłynie. Zapanował całkowity brak pewności, a w takich warunkach bardzo trudno jest działać. Pracowałem z reżyserami, którzy już po pierwszym tygodniu mówili:

– Może byśmy tak kogoś zwolnili, żeby pokazać, że tu się pracuje na poważnie?

Naprawdę niektórzy tak robią! Kompletna głupota. Drogi do szczęścia nie toruje się batem, tylko trzeba dawać dobry przykład.

Jego zdaniem podczas prawdziwej walki, kiedy każdy ma w ręku broń, w armii panuje bezwzględna demokracja.

– Każdy, kto sądzi, że może narażać życie innych wyłącznie z powodu naszywek na czapce, ryzykuje, że zginie od strzału w plecy.

Oceniając sposób przeprowadzenia ewakuacji, Nilo brakuje słów podziwu dla Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych i Marynarki Królewskiej.

– Naprawdę jestem pod ogromnym wrażeniem, że Dunkierka nie skończyła się potwornym rozgardiaszem. To jest właśnie doskonały przykład na działanie dyscypliny. Ale wcale nie dyscypliny wojskowej w czasie pokoju. To jest dyscyplina wynikająca z okoliczności.

– Chris dowodzi filmem zupełnie inaczej niż reżyserzy, z którymi dotąd pracowałem – twierdzi Nilo. – Jest

naprawdę najlepszy. Zna na wylot cały materiał i doskonale wie, czego chce.

Mimo że ich relacje reguluje zasada „kapitan” i „numer jeden”, Nilo często proponuje Chrisowi rozwiązania, które uważa za słuszne.

– Asystenci reżysera to często tylko koproducenci, którzy zajmują się harmonogramem i budżetem. Ja mogę powiedzieć o sobie z dumą, że jestem reżyserem asystentem albo drugim reżyserem. Siedzę w tej branży od jakiegoś czasu i dobrze wiem, że reżyserowanie jest zajęciem samotniczym, bo tylko reżyser troszczy się o fabułę. Chris i ja mamy do siebie zaufanie. On rozumie, że nie da się zarządzać filmem w mikroskali, bo w końcu stajesz na planie z aktorami i operatorem i to będzie działanie zbiorowe, wspólne.

Oczywiście Nilo wie, że ostatecznie wszystko i wszyscy podporządkowani są wizji Chrisa i jej służą.

– Ale jeżeli oczekujesz, że wszystko będzie dokładnie tak, jak chcesz, to możesz zostać malarzem. Chris ma tak pewną i jednoznaczną wizję kinematograficzną jak nikt, z kim przedtem pracowałem. Jednocześnie potrafi uczestniczyć w tym, co się aktualnie dzieje, i adaptować to do swoich pierwotnych zamiarów w sposób, który sprawia prawdziwą radość. I cudownie jest móc od czasu do czasu wnieść do tego jakiś wkład własny. Bo on jest na to otwarty. Albo mówi: „Nie, zapomnijmy o tym”.

– Chris po prostu kocha robić kino – stwierdza Gary Fettis. – Jest w kinie zakochany. A to kino nie było wcale

łatwe. Zdarzało się na przykład, że myślał, że ma już jakiś określony zestaw łodzi, a tu nagle okazywało się, że dwóch łodzi nie można zmieścić, bo plan portu nie jest ustawiony albo z jakiegoś innego powodu. Wtedy wygląda przez chwilę jak zmartwiony chłopiec. Ale po kilku minutach zaczyna myśleć jak reżyser, rozważa, jak to rozwiązać, jak można z tego wybrnąć. I idzie dalej do przodu. A ty musisz do niego doskoczyć, żeby go dogonić.

Emma zaznacza, że chociaż jest to film za miliony dolarów, to i tak „pieniędzy nigdy nie jest dość”.

– W gruncie rzeczy zrobiliśmy ten film znacznie taniej, niż ludzie pomyślą, gdy już go zobaczą.

Kiedy razem z Chrisem przedstawiali scenariusz w studio Warner Bros, od razu powiedzieli, ile potrzebują pieniędzy. Była to kwota znacznie niższa niż w przypadku poprzednich filmów.

– Wydawało nam się, że studio przystanie na taki budżet, chociaż to znaczyło, że będziemy musieli wykazać się sporą wyobraźnią. To bardzo rozległa fabuła i szeroki obraz epicki, więc za pieniądze, które mieliśmy do dyspozycji, było bardzo dużo do zrobienia. Trzeba było wszystko zaplanować z wyjątkową starannością, zarówno harmonogram, jak zdjęcia. Bo taki budżet wymagał od nas ogromnej wydajności.

Emma zaznacza, że w takiej sytuacji szczególnie dużo zależy od doświadczonej i twórczej ekipy, bo ograniczenia finansowe pobudzają inspirację.

– Stawiając sobie tak trudne wyzwania, człowiek otwiera się na ciekawe pomysły, których by w ogóle nie rozważał, gdyby mógł tak po prostu wypisać czek.

Pierwsze filmy, które Emma i Chris realizowali wspólnie za własne niewielkie pieniądze, różnią się zdecydowanie od tych za miliony dolarów.

– Ostatecznie jednak i tak wychodzi na to samo. Przy niewielkich produkcjach nie mieliśmy pieniędzy i nigdy nam nie wystarczało. Ale szczerze mówiąc, nigdy nie wystarcza, bo zawsze próbuje się naciągnąć granice tego, co można zrobić w ramach kwot, które ma się do dyspozycji. Nasze doświadczenia z realizacji wszystkich tych filmów są więc uderzająco podobne.

Nilo Otero ze zdziwieniem zauważył, że przeżycia związane z Dunkierką są dla Brytyjczyków doznaniem niemal religijnym.

– Może dlatego, że po raz pierwszy w tej pieprzonej wojnie coś się wreszcie udało – komentuje. – Bo to rzeczywiście był cud, prawdziwy cud. Myślę, że Anglicy potraktowali to jako znak, że można się jeszcze wyprostować.

Jego zdaniem publiczność amerykańska zwróci na to uwagę.

– Przecież nie da się tego przeoczyć!

Poza tym jego zdaniem jest to niezwykle porywający dramat:

– Wojna wyciąga z ludzi to, co najlepsze i co najgorsze. Kiedy zabierasz się do robienia filmu, to musisz wiedzieć,

że umiesz stworzyć dwie godziny warte oglądania. Nikt nie będzie patrzył przez tyle czasu, jak ludzie jedzą kolację, chyba że to jakaś kolacja nie z tej ziemi. Musisz te dwie godziny zamienić na dwie godziny intensywnego i uniwersalnego ludzkiego doświadczenia. A wojna zdecydowanie się do tego nadaje.

Wielką zaletą filmu jest to, że Chris nie daje lekcji historii, że *Dunkierka* jest filmem o przetrwaniu.

– Kiedy bierzesz udział w czymś, co kiedyś okaże się historią, wcale nie wiesz, że to będzie część historii. Bo dla ciebie to nie jest żadna historia, tylko kolejny dzień twojego życia. Może nieco inny, bardziej niebezpieczny niż pozostałe, ale dzień. A potem słyszysz, jak o tobie i o twoim życiu mówi Winston Churchill. Okazuje się, że uczestniczyłeś w początkach czegoś ważnego.

Chris Nolan wyraża nadzieję, że przedstawiając widzom historię przez filtr jednostkowego doświadczenia, tworzy coś w rodzaju testu Rorschacha. Nie wymusza na widzach żadnych interpretacji politycznych. Lecz w miarę jak Dunkierka zamazuje się w żywej pamięci, w miarę jak odchodzą weterani, proponuje film na temat uniwersalny, film, który daje wyjątkową możliwość utożsamienia się z bohaterami. Tak aby „Każdy mógł odnaleźć w sobie taką Dunkierkę, jaką sam zechce odnaleźć”.

ILUSTRACJE

Alex, Gibson i Tommy na plaży – scena z filmu. (© *Warner Brothers*)

Trzy filmowe Spitfire’y w szyku bojowym. (© *Warner Brothers*)

Niszczyciele brytyjskie w drodze powrotnej do Anglii pod eskortą RAF. (© *Popperfoto / Getty Images*)

Na filmie samolot Spitfire ścigany przez Messerschmitt 109. W dole odwzorowanie HMS Keith. (© *Warner Brothers*)

Żołnierze stoją w kolejkach, oczekując na Małe Statki, którymi mają nadzieję dopłynąć do okrętów zakotwiczonych w głębi morza. (© *Hulton Deutsch / Corbis Historical via Getty Images*)

Scena z filmu: kolejki żołnierzy czekających na Małe Statki podczas wynoszenia ofiar nalotu. (© *Warner Brothers*)

Reżyser Christopher Nolan z Fionnem Whiteheadem w roli Tommy’ego. (© *Warner Brothers*)

Wojska alianckie liczą na ocalenie. (© *Ullstein Bild / Getty Images*)

Molo, zbudowane jako falochron zapobiegający nanoszeniu piasku do portu, zostało gruntownie przebudowane dla potrzeb filmu. (© *War ner Brothers*)

Zdjęcie wykonane przez podporucznika Johna Crosby'ego z pokładu parowca łopatkowego Clyde Oriole. (© *Time Life Pictures / The LIFE Picture Collection via Getty Images*)

Wojsko wmaszerowujące na molo. (© *Popperfoto / Getty Images*)

Pomost z ciężarówek odtworzony przez scenarzystę Nathana Crowleya wraz z zespołem. (© *Warner Brothers*)

Małe Statki z ewakuowanym wojskiem na pokładzie. (© *Hulton Archive / Stringer via Getty Images*)

Na filmie żołnierze wyładowują jeden z oryginalnych zachowanych do dziś Małych Statków. (© *Warner Brothers*)

Molo – widok współczesny przy niskim przypływie. Zachowało się jedynie kilka oryginalnych podpór krzyżowych. (© *Joshua Levine*)

Kapitan William Tennant, późniejszy Admirał Sir William Tennant. (© *Popperfoto / Getty Images*)

George Wagner w swej rezydencji w Lichfield, listopad 2016. (© *Joshua Levine*)

Autor obok jednego z dział Crested Eagle na plaży nieopodal Bray Dunes. (© *Paul Reed*)

PODZIĘKOWANIA

Winien jestem podziękowania bardzo wielu osobom. Przede wszystkim ogromne wsparcie i zachętę zawdzięczam Chrisowi Nolanowi, Emmie Thomas i Andy’emu Thompsonowi. Podziwiałem ich umiejętności i zapał, z radością uczestniczyłem w realizacji ich wizji.

Wielką przyjemność sprawiła mi współpraca z zespołem z Wydawnictwa William Collins, w składzie Joseph Zigmond, Iain Hunt, Tom Killingbeck i Steve Gove. Każdego ranka budziłem się z radością na myśl o czekającym nas spotkaniu, mimo że czas nam nie sprzyjał. Bardzo sprawnie przeprowadzali mnie przez ten niezwykły projekt moi agenci Jim Gill i Yasmin McDonald z United Agents.

Wiele osób poświęcało mi swój czas i udzielało wielu cennych rad. Jak zwykle hojny okazał się pod tym względem Paul Reed, który posiada fenomenalną znajomość historii i topografii terenu. Z kolei nikt nie zna się lepiej na samolotach typu Junkers 87 niż Peter C. Smith, z którym prowadziłem niezwykle sympatyczną korespondencję. Spędziłem cały fascynujący dzień w towarzystwie Clive’a Kidda, kuratora zbiorów HMS Collingwood’s Heritage Collection, który zapoznał mnie z wszelkiego rodzaju sprzętem łącznościowym. Giles Milton przekazywał mi szczodrze tajniki degaussingu, zaś Dan Wybo nie mniej hojnie dzielił się ze mną wiedzą na temat króla Leopolda.

Dzięki mojej wycieczce za kulisy produkcji filmowej miałem możliwość zawrzeć znajomość z osobami tak uroczymi, jak Desiree Finnegan, Con Gornell i Jason Bevan.

Max Arthur skutecznie dodawał mi otuchy, kiedy wydawało się, że nie zdołam sprostać temu zadaniu w tak krótkim czasie, a Peter Hart bezskutecznie usiłował uczynić ze mnie historyka nieco bardziej towarzyskiego. Andy Saunders zapewniał mi niezwykle pomocne wytchnienie, zaś Julian Wilson pozwolił korzystać ze swoich licznych i wartościowych opracowań. Na podziękowanie zasługują Terry Charman, Steven Broomfield, Peter Devitt, Gareth Bellis i National Maritime Museum, jak też archiwum Dokumentów Dźwiękowych Imperial War, które okazały się nieprzebraną kopalnią cennych wiadomości. W przypadku Imperial War Museum pragnę szczególnie podkreślić życzliwość Richarda McDonagha, Richarda Hughesa i Jane Rosen. Dziękuję także za wydatną pomoc ze strony Association of Dunkirk Little Ships. Na moje liczne pytania odpowiadał zawsze obszernie archiwista John Tough, natomiast były komodor Ian Gilbert był łaskaw towarzyszyć mi podczas odwiedzin u licznych weteranów Dunkierki.

W ciągu minionego dziesięciolecia miałem okazję spotykać wielu weteranów. Dwaj z nich – Eric Roderick z Royal Army Service Corps i Harold „Vic” Viner z Royal Navy, których odwiedziliśmy wraz z Ianem, już nie żyją. Zmarli także Philip Brown, który służył na HMS Sabre i któremu zostałem przedstawiony przez jego córkę Joannę

Wortham, oraz Charlie Searle z Royal Army Medical Corps, którego przedstawił mi Nic Taylor.

Pisząc te słowa, dowiaduję się, że po groźnym upadku dochodzi do siebie Colin Ashford z Highland Light, Infantry, a Les Gray z Royal Engineers również odzyskuje zdrowie po przebytym zapaleniu płuc. Jednocześnie z ogromną przyjemnością donoszę, że doskonale mają się Arthur Lobb z Royal Army Service Corps, Arthur Taylor z Royal Air Force, Robert Halliday i George Wagner z Royal Engineers, Ted Oates i George Purton z Royal Army Service Corps oraz Norman Prior z Lancashire Fusiliers. Podobnie jak Jim Thorpe, niemal z pewnością ostatni z tych, którzy przepłynęli Małym Statkiem przez Kanał do Dunkierki i z powrotem. Za pośrednictwo w nawiązaniu kontaktu z Jimem, który jest obecnie pensjonariuszem domu spokojnej starości w Marylandzie, dziękuję Dave'owi Wilkinsowi z University of Maryland. Wszystkim weteranom zawdzięczamy bardzo wiele. Niech im się wiedzie dobrze i jak najdłużej.

Spotkałem się także niedawno z pilotami bitwy o Wielką Brytanię – Timem Elkingtonen i Tomem Neilem, którzy tak obrazowo opisywali realia walki powietrznej. Dziękuję więc im obu, jak też Margaret Clotworthy i żonie Tima, Patricii, za ujmującą gościnność. Moją wdzięczność zaskarbił sobie również Louis van Leemput, emerytowany oficer Belgian Air Force, który jako chłopiec w maju 1940 znalazł się wśród niezliczonych rzesz uciekinierów belgijskich i zechciał w tak wzruszający sposób podzielić się z nami

swoimi wspomnieniami. Poruszające rodzinne relacje swoich ojców udostępniły nam też, między innymi, Susan Cooper, córka Jima Baynesa, i Lorraine Gill, córka Cyrila Robertsa.

Wielu osobom pragnę wyrazić wdzięczność z powodów osobistych. Dziękuję Keithowi Steane'owi, mojemu nauczycielowi historii z Lyndhurst House School, który w tym roku odszedł na emeryturę, za to, że był doskonałym nauczycielem, bo umiał przed laty zarazić nas swoim entuzjazmem. Dziękuję także obecnemu dyrektorowi szkoły, Andrew Reidowi, za pomoc okazaną mi na początku bieżącego roku.

Chciałbym tu także wymienić Santa Massine'a, eksperta w wielu dziedzinach związanych z Dunkierką, którego cierpliwość i poczucie humoru okazały się dla mnie niezwykle ważnym oparciem. Na gorące podziękowania zasługują także Osian Barnes, Turtle Bunbury, Will, Anna, Beau i Gracie Brooks, Lucy Briers, Alexandra Churchill, Richard Clothier, Marshall Cope, Victoria Coren Mitchell, Ruth Cowan, Bob i Susannah Cryer, Simon Dinsdale, Ian Drysdale, Bill Emlyn Jones, Bridget Fallon, Megan Fisher, Simon, Robert, Gillian i Lionel Frumkin, Tanya Gold, Edward Grant, Meekal Hashmi, John Hayes Fisher, Nigel Hobbs, Mishal Husain, Simon Irvine, Katie Johns, Edward, Mollie, Olivia, Rosalind i Lillian Keene, Suzy Klein, Paul Lang, Lionel Levine, Judy Levine, Kim Levine, Marshall i Sue Levine (a także James, Katie i Georgie), Mhairi Macnee, Charles Malpass, Emily Man, Dru Masters, Jon

Medcalf, Paul Miller, David Mitchell, Harry Mount, Duncan Neale, Fred Perry, Jess Redford, Dora Reisser, Andy Robertshaw, Malcolm Rushton, the Rowes (Chris, Sara, Charlie and Matti), Dorothy Sahm, Tanya Shaw, Michael Sparkes, Chris Spencer, Prem Trott, Orlando i Miranda Wells, David Weston, Mike, Annabel, Henry i Arthur Wood – oraz wszyscy ci, których, przyznaję ze wstydem, zapomniałem tu wymienić.

Nade wszystko jednak, wyrażam głęboką wdzięczność Claire Price, która zechciała łączyć ogrom (bezinteresownej) pracy nad tą książką ze swoją błyskotliwą karierą aktorską, nosząc jednocześnie pod sercem nasze pierwsze dziecko. Jest to dowód wszechstronności najwyższej próby.

Noty biograficzne i źródła znaleźć można na stronie internetowej Joshua Levine – joshualevine.co.uk

BIBLIOGRAFIA

Addison, Paul, *The Road to 1945: British Politics and the Second World War*, London: Pimlico, 1994

Addison, Paul and Crang, Jeremy A. (red.), *Listening to Britain: Home Intelligence Reports on Britain's Finest Hour – May to September 1940*, London: Vintage, 2010

Barclay, C. N., *The History of the Royal Northumberland Fusiliers in the Second World War*, London: William Clowes and Sons, 2002

Beaton, Cecil, *The Years Between: Diaries 1939-44*, London: Weidenfeld and Nicolson, 1965

Blake, John, *Northern Ireland in the Second World War*, Belfast: Her Majesty's Stationery Office, 1956

Blaxland, Gregory, *Destination Dunkirk: The Story of Gort's Army*, London: Kimber, 1973

Blitzkrieg in Their Own Words: Firsthand Accounts from German Soldiers 1939-1940, South Yorkshire: Pen & Sword, 2005

Blythe, Ronald, *The Age of Illusion*, London: Hamish Hamilton, 1983

Bond, Brian and Taylor, Michael (red.), *The Battle for France and Flanders 1940: Sixty Years On*, Barnsley: Leo Cooper, 2001

Bourne, Stephen, *Mother Country: Britain's Black Community on the Home Front 1939-45*, Stroud: History

Press, 2010

Brann, Christian, *The Little Ships of Dunkirk*, Cirencester: Collectors' Books, 1989

Brayley, Martin J., *The British Army 1939-45 (1)*, London: Osprey, 2009

Brayley, Martin J., *The British Home Front 1939-45*, London: Osprey, 2005

Bullen, Roy, *History of the 2/7th Battalion, The Queen's Royal Regiment 1939-1946*, Guildford, 1958

Calder, Angus, *The People's War: Britain 1939-1945*, London: Pimlico, 1994

Calder, Angus and Sheridan, Dorothy, *Speak for Yourself: A Mass Observation Anthology, 1937-1949*, London: Cape, 1984

Chappell, Mike, *British Battle Insignia*, London: Osprey, 1987

Churchill, Winston, *The Second World War, Volume 2: Their Finest Hour*, London: Cassell & Co, 1949

Collier, Richard, *The Sands of Dunkirk*, London: Collins, 1961

Colville, John, *The Fringes of Power: Downing Street Diaries 1939-1955*, London: Hodder and Stoughton, 1985

Darrieus, Henri and Quéguiner, Jean, *Historique de la Marine Française 1922-1942*, Saint-Malo: Editions l'Ancre de Marine, 1996

Darwin, Bernard, *War on the Line: The Story of the Southern Railway in WarTime*, London: The Southern Railway Company, 1946

Davis, Brian, *British Army Uniforms and Insignia of World War Two*, London: Arms and Armour, 1992

Dean, Basil, *The Theatre at War*, London: George G. Harrap & Co, 1956

Dickon, Chris, *Americans at War in Foreign Forces*, Jefferson, N. C.: McFarland & Co., 2014

Dildy, Douglas C., *Dunkirk 1940: Operation Dynamo*, London: Osprey, 2010

Ellan, B. J. (Lane, Brian), *Spitfire! The Experiences of a Fighter Pilot*, London: John Murray, 1942

Ellis, L. F., *The War in France and Flanders 1939-1940*, London: Her Majesty's Stationery Office, 1953

Emsley, Clive, *Soldier, Sailor, Beggarman, Thief: Crime and the British Ar med Services since 1914*, Oxford: Oxford University Press, 2013

Engelmann, Bernt, *In Hitler's Germany: Everyday Life in the Third Reich*, London: Methuen, 1988

Fowler, David, *The First Teenagers: The Lifestyles of Young Wage Earners in Interwar Britain*, London: The Woburn Press, 1995

Franks, Norman, *Air Battle for Dunkirk: 26 May-3 June 1940*, London: Grub Street, 2006

Fraser, David, *Knight's Cross: A Life of Field Marshal Erwin Rommel*, London: Harper Collins, 1993

Frieser, Karl-Heinz with Greenwood, Joan, *The Blitzkrieg Legend: The 1940 Campaign in the West*, Annapolis, Maryland: Naval Institute Press, 2005

Gardner, W. J. R. (red.), *The Evacuation from Dunkirk: 'Operation Dynamo' 26 May-4 June 1940*, London: Frank Cass, 2000

Gaulle, Charles de, *War Memoirs, Volume One: The Call to Honour*, London: Collins, 1955

Gilbert, Martin, *Finest Hour: Winston S. Churchill 1939-1941*, London: Heinemann, 1983

Godfrey, Simon, *British Army Communications in the Second World War: Lifting the Fog of Battle*, London: Bloomsbury, 2013

Graves, Charles, *The Home Guard of Britain*, London: Hutchinson, 1943

Griehl, Manfred, *Junkers Ju 87: Stuka*, Airlife, 2001

Grundy, Trevor, *Memoirs of a Fascist Childhood*, London: Arrow, 1999

Guderian, Heinz, *Panzer Leader*, London: Penguin, 2009

Hadley, Peter, *Third Class to Dunkirk: A Worm'sEye View of the B.E.F., 1940*, London: Hollis and Carter, 1944

Halder, Franz, *The Halder Diaries: The Private War Journals of Colonel General Franz Halder*, Boulder Colorado: Westview Press, 1976

Harrison, Ada May (red.), *Letters from the War Areas by Army Sisters on Active Service*, London: Hodder and Stoughton, 1944

Harrison, Tom, *Britain Revisited*, London: Victor Gollancz, 1961

Harrison, Tom and Madge, Charles, *Britain by Mass Observation*, London: The Cresset Library, 1986

Hayward, James, *Myths and Legends of the Second World War*, Stroud: Sutton, 2003

Henrey, Madeleine, *The Siege of London*, London: J. M. Dent and Sons, 1946

Herzog, Rudolph, *Humor in Hitler's Germany*, New York: Melville House, 2011

Hill, Christopher, *Cabinet Decisions on Foreign Policy: The British Expe rience October 1938-June 1941*, Cambridge: Cambridge University Press, 1991

Hinton, James, *Nine Wartime Lives: Mass Observation and the Making of the Modern Self*, Oxford: Oxford University Press, 2010

Hodson, James Lansdale, *Through the Dark Night: Being Some Account of a War Correspondent's Journeys, Meetings and What Was Said to Him, in Fran ce, Britain and Flanders during 1939-1940,* London: Victor Gollancz, 1941

Hollingshead, August, *Elmtown's Youth and Elmtown Revisited*, New York: John Wiley & Sons, 1975

Horne, Alistair, *To Lose a Battle: France 1940*, London: Macmillan, 1969

Irwin, Anthony, *Infantry Officer: A Personal Record*, London: B. T. Batsford, 1943

Jewell, Brian, *British Battledress 1937-61*, London: Osprey, 2005

Kennedy, John Fitzgerald, *Why England Slept*, New York: W. Funk, 1940

Keyes, Roger, *Outrageous Fortune: The Tragedy of Leopold III of the Bel gians 1901-1941*, London: Secker & Warburg, 1984

Langley, J. M., *Fight Another Day*, London: Collins, 1974

Lestrange, W. F., *Wasted Lives*, London: George Routledge & Sons, 1936

Levine, Joshua, *Forgotten Voices of Dunkirk*, London: Ebury, 2011

Lord, Walter, *The Miracle of Dunkirk*, London: Allen Lane, 1983

Lowry, Bernard, *British Home Defences 1940-45*, London: Osprey, 2004

Johnson, Donald McIntosh, *Bars and Barricades*, London: Christopher Johnson, 1952

Mackay, Robert, *Half the Battle: Civilian Morale in Britain during the Second World War,* Manchester: Manchester University Press, 2007

McKay, Sinclair, *Dunkirk: From Disaster to Deliverance – Testimonies of the Last Survivors*, London: Aurum Press, 2015

Martin, T. A., *The Essex Regiment 1929-1950*, Brentwood: The Essex Regiment Association, 1952

Marwick, Arthur, *Britain in the Century of Total War: War, Peace and Social Change 1900-1967*, London: The Bodley Head, 1968

Maschmann, Melita, *Account Rendered: A Dossier on My Former Self*, London: Abelard-Schuman, 1964

Montgomery, Bernard, *The Memoirs of FieldMarshal The Viscount Montgomery of Alamein, K.G.*, London: Collins, 1958

Mosley, Leonard, *Backs to the Wall: London Under Fire 1939-45*, London: Weidenfeld and Nicolson, 1971

Mosley, Leonard, *Battle of Britain*, London: Pan, 1969

Newlands, Emma, *War, the Body and British Army Recruits, 1939-45*, Manchester, Manchester University Press, 2014

Newman, Philip, *Over the Wire: A POW's Escape Story from the Second World War,* South Yorkshire: Pen & Sword, 1983

Orwell, George, *The Road to Wigan Pier*, London: Victor Gollancz, 1937

Perry, Colin, *Boy in the Blitz: The 1940 Diary of Colin Perr,* Stroud: Sutton, 2000

Plummer, Russell, *The Ships that Saved an Army: Comprehensive Record of the One Thousand Three Hundred Little Ships of Dunkirk*, Wellingborough: Patrick Stephens Ltd, 1990

Pownall, Sir Henry and Bond, Brian (red.), *Chief of Staff: The Diaries of Lieutenant General Sir Henry Pownall Volume One*, London: Leo Cooper, 1972

Pratt Paul, William (red.), *History of the Argyll and Sutherland Highlanders, 6th Battalion*, London: Thomas Nelson and Sons, 1949

Price, Dr Alfred, *Britain's Air Defences 1939-45,* London: Osprey, 2004

Priestley, John Boynton, *Postscripts*, London: Heinemann, 1940

Prior, Robin, *When Britain Saved the West: The Story of 1940*, London: Yale University Press, 2015

Rhodes, Anthony, *Sword of Bone*, London: Faber and Faber, 1942

Roberts, Andrew, *Eminent Churchillians*, London: Phoenix, 1994

Roland, Paul, *Life in the Third Reich: Daily Life in Nazi Germany 1933- 1945*, London: Arcturus, 2016

Saunders, Andy, *Battle of Britain, July to October 1940: RAF Operations Manual*, Somerset: Haynes, 2015

Savage, Jon, *Teenage: The Creation of Youth Culture*, London: Chatto and Windus, 2007

Sebag-Montefiore, *Hugh, Dunkirk: Fight to the Last Man*, London: Penguin, 2015

Sharp, Nigel, *Dunkirk Little Ships*, Stroud: Amberley, 2015

Shirer, William, *Berlin Diary: The Journal of a Foreign Correspondent, 1934-1941,* London: Hamish Hamilton, 1942

Smalley, Edward, *The British Expeditionary Force, 1939-40*, Basingstoke: Palgrave Macmillam, 2015

Stewart, Geoffrey, *Dunkirk and the Fall of France,* South Yorkshire: Pen & Sword, 1988

Stewart, Patrick Findlater, *The History of the XII Royal Lancers*, Oxford University Press, 1950

Sumner, Ian and Vauvillier, François, *The French Army 1939-45 (1)*, London: Osprey, 2008

Thomas, Donald, *An Underworld at War: Spivs, Deserters, Racketeers and Civilians in the Second World War*, London: John Murray, 2004

Thompson, Julian, *Dunkirk: Retreat to Victory,* London: Sidgwick & Jackson, 2008

Titmuss, Richard, *Problems of Social Policy,* London: Her Majesty's Stationery Office, 1950

Tubach, Frederic, *German Voices: Memories of Life during Hitler's Third Re ich,* Berkeley: University of California Press, 2011

Walmsley, Leo, *Fishermen at War*, London: Collins, 1941

Warlimont, Walter, *Inside Hitler's Headquarters 1939-45,* London: Weidenfeld and Nicolson, 1964

Waugh, Evelyn, *Put Out More Flags*, London: Chapman and Hall, 1942

Wilson, Patrick, *Dunkirk – 1940: From Disaster to Deliverance*, South Yorkshire: Leo Cooper, 2002

Alex, Gibson i Tommy na plaży – scena z filmu.
(© Warner Brothers)

Trzy filmowe Spitfire’y w szyku bojowym.
(© Warner Brothers)

Niszczyciele brytyjskie w drodze powrotnej do Anglii pod eskortą RAF.
(© Popperfoto / Getty Images)

Na filmie samolot Spitfire ścigany przez Messerschmitt 109. W dole odwzorowanie HMS Keith.
(© Warner Brothers)

Żołnierze stoją w kolejkach oczekując na Małe Statki, którymi mają nadzieję dopłynąć do okrętów zakotwiczonych w głębi morza.
(© Hulton Deutsch / Corbis Historical via Getty Images)

Scena z filmu: kolejki żołnierzy czekających na Małe Statki podczas wynoszenia ofiar nalotu.
(© Warner Brothers)

Reżyser Christopher Nolan z Fionnem Whitehead’em w roli Tommy’ego.
(© Warner Brothers)

Wojska alianckie liczą na ocalenie.
(© Ullstein Bild / Getty Images)

Molo, zbudowane, jako falochron zapobiegający nanoszeniu piasku do portu, zostało gruntownie przebudowane dla potrzeb filmu.
(© Warner Brothers)

Zdjęcie wykonane przez podporucznika Johna Crosby z pokładu parowca łopatkowego Clyde Oriole.
(© Time Life Pictures / The LIFE Picture Collection via Getty Images)

Wojsko wmaszerowujące na molo.
(© Popperfoto / Getty Images)

Pomost z ciężarowek odtworzony przez scenarzystę Nathana Crowleya wraz z zespołem.
(© Warner Brothers)

Małe Statki z ewakuowanym wojskiem na pokładzie.
(© Hulton Archive / Stringer via Getty Images)

Na filmie żołnierze wyładowują jeden z oryginalnych zachowanych do dziś Małych Statków.
(© Warner Brothers)

Molo – widok współczesny przy niskim przypływie. Zachowało się jedynie kilka oryginalnych podpór krzyżowych
(© Joshua Levine)

Kapitan William Tennant, późniejszy Admirał Sir William Tennant.
(© Popperfoto / Getty Images)

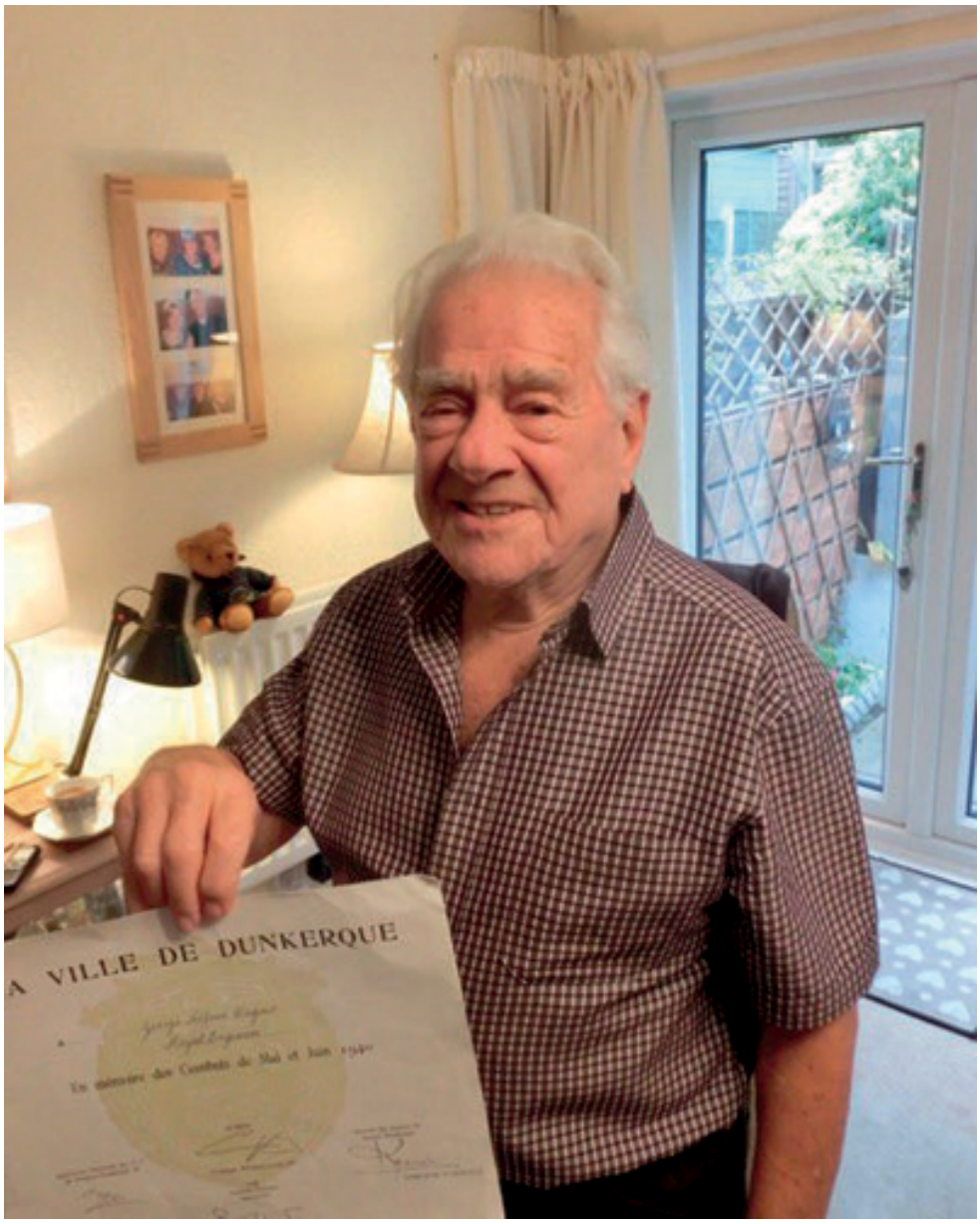

George Wagner w swej rezydencji w Lichfield, listopad 2016.
(© Joshua Levine)

Autor obok jednego z dział Crested Eagle na plaży nieopodal Bray Dunes.
(© Paul Reed)

[1] Rudyard Kipling, „The English Way”.

[2] Król Jerzy VI przyjaźnił się z Chamberlainem do tego stopnia, że dał mu klucz do Buckingham Palace Gardens, dzięki czemu premier mógł chodzić na skróty z domu w dzielnicy Belgravia do Westminsteru.

[3] Relację z tej rozmowy zamieścił Thompson w swojej książce „Trzydzieści minut z Winstonem Churchillem” *(Sixty Minutes with Winston Churchill, 1953)*.

[4] Określenie „Piąta kolumna” zostało prawdopodobnie ukute przez generała Molę podczas wojny domowej w Hiszpanii. Kiedy cztery kolumny nacjonalistów hiszpańskich oblegały Madryt, generał Mola twierdził, że w mieście działała „piąta kolumna” utworzona przez sprzymierzeńców nacjonalistów, którzy czekali na odpowiedni moment, żeby wyjść z ukrycia.

[5] Poprzednicy tego pułku nosili niegdyś mundury w kolorze fioletowym, który był ulubionym kolorem markizy de Pompadour, kochanki Ludwika XV.

[6] 118 ze 175 samolotów typu Lysander współpracujących z armiami Francji i Belgii zostało strąconych. Opisany epizod tłumaczy dlaczego.

[7] Zamiast nich, na dywizję pancerną natknęły się zwiadowcze samochody pancerne daimler dingo z Royal Northumberland Fusiliers. W wyniku tej konfrontacji została zniszczona ponad połowa z dwunastu pojazdów zwiadu.

[8] Tommy, dla ciebie wojna już się skończyła!

[9] Kozioł ofiarny przydał się zapewne także i do powstrzymania Francuzów od ewentualnego stawiania zarzutu zdrady Brytyjczykom, skoro ewakuacja wojsk brytyjskich spod Dunkierki była już w toku, o czym Francuzi jeszcze nie wiedzieli.

[10] Alex, jeden z bohaterów filmu Chrisa Nolana, nosi naramienniki tego właśnie batalionu.

[11] Ten domniemany akt zdrady w ciągu ostatnich siedemdziesięciu siedmiu lat napsuł wiele krwi między Anglią a Francją. Chociaż nietrudno to zrozumieć, warto zwrócić uwagę na dwie kwestie. Po pierwsze, w zaistniałych okolicznościach odwrót i ewakuacja stanowiły jedyne rozsądne rozwiązanie. Upierając się przy swoim niepraktycznym

planie ataku w kierunku północnym, francuski generał Weygand narażał na niebezpieczeństwo zarówno swoje, jak i brytyjskie wojska. Po drugie, okręty brytyjskie miały obok wojsk brytyjskich ewakuować także ogromną liczbę żołnierzy francuskich. W exodusie z Dunkierki należy widzieć rozpaczliwą próbę dalszego prowadzenia wojny, a nie chytry brytyjski sposób na to, jak wziąć nogi za pas.

[12] Jednak nie na długo, ponieważ miesiąc później Langley uciekł ze szpitala, udając się do Marsylii, która leżała w tak zwanej wolnej strefie na terenie Vichy, i zaangażował się w działania grupy organizującej ucieczki jeńców wojennych. Wrócił do Anglii w roku 1941, wstąpił do MI6 i organizował kanały przerzutu ludzi z kontynentu.

[13] Potrzeba występująca regularnie (lub nie), która często bywała przyczyną problemów, o czym świadczy przypadek Edwarda Watsona w Calais.

[14] Film nie tylko przedstawia różne przeżycia, lecz ukazuje także te same wydarzenia z wielu punktów widzenia.

[15] Przylegający do dzisiejszego (niezwykle klimatycznego) Muzeum Dunkierki 1940.

[16] Były to statki *Mona's Queen i Grive.*

[17] Dopóki barierki w końcu nie wyłamano dla ułatwienia wejścia na pokład.

[18] Clouston miał wkrótce zginąć w łodzi Royal Aircraft Marine zatopionej podczas kolejnego nalotu bombowego.

[19] Linię zamontowano wiele miesięcy wcześniej dzięki usilnym staraniom porucznika odpowiedzialnego za łączność w sztabie Ramsaya, które Admiralicja usiłowała odrzucić ze względu na koszta.

[20] Mark Twain, autor *Przygód Tomka Sawyera* i *Huckleberry Finna*, przybrał pseudonim literacki w hołdzie dla okrzyków żeglarzy. „Twain" to staroamerykański odpowiednik liczebnika „dwa".

[21] QUAIMNS – Queen Alexandra's Imperial Military Nursing Service.

[22] Willa niedawno została rozebrana.

[23] Prawdopodobnie był to *Crested Eagle.*

[24] Niestety, rysunek gdzieś przepadł.

[25] George Wagner i Norman Prior pomagali przy budowie pomostu na różnych odcinkach plaży.

[26] Montgomery twierdził, że to on wpadł na pomysł powołania Alexandra na miejsce Gorta. Sam Gort planował powołanie na swojego następcę mniej sprawnego generała Barkera, dowódcę I. Korpusu.

[27] Howell zauważył również samotną łódź wiosłową, a w niej jednego marynarza i od ośmiu do dziesięciu żołnierzy. Zmierzała zapewne do oddalonej około 90 km Anglii, ale obrała zły kurs, więc Howell kilka razy przeleciał nad nią w dobrym kierunku, próbując wskazać właściwy kurs. Po powrocie do bazy przekazał pozycję łodzi w nadziei, że jej pasażerowie zostaną uratowani.

[28] Pewna liczba łodzi obsadzona była załogą złożoną z osób cywilnych, które podpisały formularz T124 uprawniający do wynagrodzenia w wysokości trzech funtów i mianujący ich ochotnikami Marynarki Królewskiej na okres jednego miesiąca.

[29] Zob. Rozdział Siódmy.

[30] Obietnica Churchilla, by bronić rejonu podczas ewakuacji Francuzów, w sposób oczywisty nie była zgodna z koncepcją Alexandra i Tennanta.

[31] ENSA – Entertainments National Service Association, organizacja zapewniająca siłom zbrojnym rozrywkę w postaci koncertów na żywo.

[32] Jego osobisty asystent Hugh Ironside wspomina przyjęcia z sherry, które Dowding urządzał u swojej siostry: „Stuffy pił jedną sherry przez cały wieczór i puszczał antyczne płyty na antycznym patefonie. Po pewnym czasie było mi bardzo trudno znaleźć chętnych do uczestnictwa w tych przyjęciach”.

[33] Zob. Rozdział Szósty.

[34] Zob. Rozdział Czwarty.

[35] Wyrażenie, które weszło do użycia w roku 1918.

[36] I to właśnie z tego powodu w nocy z 27 na 28 maja kapitan William Tennant zalecił wykorzystanie molo do okrętowania żołnierzy.

[37] Chociaż Potter o tym nie mówi, to jednak po takich przeżyciach zapewne nie było mu łatwo pogodzić się z tym, że statek płynął z powrotem do Dunkierki zamiast do bezpiecznej Anglii.

[38] W tym samym liście sierżant Oates przeprasza, że nie przywiózł nic „na urodziny dla Martina, ale tam byli sami uchodźcy, sklepy były pozamykane, a poczty nieczynne”.

[39] Natychmiast po zakończeniu ewakuacji Machin został wysłany na obóz szkoleniowy, gdzie oficerowie, z których żaden nie był we Francji, zarzucali wygłodniałym i pozbawionym mundurów żołnierzom niechlujstwo i brud. Machin był i nadal jest na nich wściekły.

[40] Konsultant historyczny filmu (a zarazem autor tej książki) przypomina sobie, że dzwonił do koproducenta Andy’ego Thompsona z pytaniem, dlaczego messerschmitty mają żółte nosy. Teraz już wie dlaczego.

Tytuł oryginału: *Dunkirk*

Pierwsze wydanie: William Collins, An imprint of HarperCollins Publishers, Londyn 2017

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Andrzej Górski

Korekta: Małgorzata Narewska

© 2017 by Joshua Levine
© 2017 by Warner Bros. Entertainment Inc. DUNKIRK and all related characters and elements are trademark of and © Warner Bros. Entertainment Inc.WB SHIELD
TM and © by Warner Bros. Entertainment Inc.,
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.
Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

ISBN: 978-83-276-3135-0

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.